



UUK

ANDRZEJ SAPKOWSKI

OSTATNIE ŻYCZENIE



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	2
Głos rozsądku I	3
Wiedźmin	4
Głos rozsądku II.	27
Ziarno prawdy	32
Głos rozsądku III	55
Mniejsze zło	59
Głos rozsądku IV	89
Kwestia ceny	93
Głos rozsądku V.	123
Kraniec świata	128
Głos rozsądku VI	160
Ostatnie życzenie	166
Głos rozsądku VI	208

Głos rozsądku I

Przyszła do niego nad ranem.

Weszła bardzo ostrożnie, cicho, stąpając bezszelestnie, płynąc przez komnatę jak widmo, jak zjawą, a jedyny dźwięk, jaki towarzyszył jej ruchom, wydawała opończa, ocierająca się o nagą skórę. A jednak ten właśnie nikły, ledwie słyszalny szelest zbudził wiedźmina, a może tylko wyrwał z półsnu, w którym kołysał się monotonnie, jak gdyby w bezdennej toni, zawieszony pomiędzy dnem a powierzchnią spokojnego morza, pośród falujących leciutko pasemek morszczyń.

Nie poruszył się, nie drgnął nawet. Dziewczyna przyfrunęła bliżej, zrzuciła opończę, powoli, z wahaniem oparła zgięte kolano o krawędź łoża. Obserwował ją spod opuszczonych rzęs, nadal nie zdradzając, że nie śpi. Dziewczyna ostrożnie wspięła się na posłanie, na niego, obejmując go udami. Wsparta na wyprężonych ramionach musnęła mu twarz włosami, które pachniały rumiankiem. Zdecydowana i jakby zniecierpliwiona pochyliła się, dotknęła koniuszkiem piersi jego powieki, policzka, ust. Uśmiechnął się, ujmując ją za ramiona, bardzo wolnym ruchem, ostrożnie, delikatnie. Wyprostowała się, uciekając jego palcom, promieniująca, podświetlona, zatarta swym blaskiem w mglistej jasności świtu. Poruszył się, ale stanowczym naciskiem obu dłoni zabroniła mu zmiany pozycji, lekkimi, ale zdecydowanymi ruchami bioder domagała się odpowiedzi.

Odpowiedział. Nie cofała się już przed jego dłońmi, odrzuciła głowę w tył, potrząsnęła włosami. Jej skóra była chłodna i zadziwiająco gładka. Oczy, które zobaczył, gdy zbliżyła twarz do jego twarzy, były wielkie i ciemne, jak oczy rusalki.

Kołysany utonął w rumiankowym morzu, które wzburzyło się i zaszumiło, zatraciwszy spokój.

Wiedźmin

Później mówiono, że człowiek ten nadszedł od północy od bramy Powroźniczej. Szedł pieszo, a objuczonego konia prowadził za uzdę. Było późne popołudnie i kramy powroźników i rymarzy były już zamknięte, a uliczka pusta. Było ciepło, a człowiek ten miał na sobie czarny płaszcz narzucony na ramiona. Zwracał uwagę.

Zatrzymał się przed gospodą „Stary Narakort”, postać chwilę, posłuchał gwaru głosów. Gospoda, jak zwykle o tej porze, była pełna ludzi.

Nieznajomy nie wszedł do „Starego Narakortu”. Pociągnął konia dalej, w dół uliczki. Tam była druga karczma, mniejsza, nazywała się „Pod Lisem”. Tu było pusto. Karczma nie miała najlepszej sławy.

Karczmarz uniósł głowę znad beczki kiszonych ogórków i zmierzył gościa wzrokiem. Obcy, ciągle w płaszczu, stał przed szynkwasem sztywno, nieruchomo, milczał.

— Co podać?

— Piwa — rzekł nieznajomy. Głos miał nieprzyjemny.

Karczmarz wytarł ręce o płócienny fartuch i napełnił gliniany kufel. Kufel był wyszczerbiony.

Nieznajomy nie był stary, ale włosy miał prawie zupełnie białe. Pod płaszczem nosił wytarty skórzany kubrak, sznurowany pod szyją i na ramionach. Kiedy ściągnął swój płaszcz, wszyscy zauważyli, że na pasie za plecami miał miecz. Nie było w tym nic dziwnego, w Wyzimie prawie wszyscy chodzili z bronią, ale nikt nie nosił miecza na plecach niby łuku czy kołczana.

Nieznajomy nie usiadł za stołem, pomiędzy nielicznymi gośćmi, stał dalej przy szynkwasie, godząc w karczmarza przenikliwymi oczami. Pociągnął z kufla.

— Izby na nocleg szukam.

— Nie ma — burknął karczmarz, patrząc na buty gościa, zakurzone i brudne. — W „Starym Narakorcie” pytajcie.

— Tu bym wolał.

— Nie ma — karczmarz rozpoznał wreszcie akcent nieznajomego. To był Riv.

— Zapłacę — rzekł obcy cicho, jak gdyby niepewnie.

Wtedy właśnie zaczęła się ta cała paskudna historia. Ospowaty drażał, który od chwili wejścia obcego nie spuszczał z niego ponurego wzroku, wstał i podszedł do szynkwasu. Dwójka jego towarzyszy stanęła z tyłu, nie dalej niż dwa kroki.

— Nie ma miejsca, hultaju, rivski włóczęgo — charknął ospowaty, stając tuż obok nieznanomego. — Nie trzeba nam takich jak ty tu, w Wyzimie. To porządne miasto!

Nieznanomy wziął swój kufel i odsunął się. Spojrzał na karczmarza, ale ten unikał jego wzroku. Ani mu było w głowie bronić Riva. W końcu, kto lubił Rivów?

— Każdy Riv to złodziej — ciągnął ospowaty, zionąc piwem, czosnkiem i złością. — Słyszysz, co mówię, pokrzywniku?

— Nie słyszysz. Łajno ma w uszach — rzekł jeden z tych z tyłu, a drugi zarechotał.

— Płać i wynoś się! — wrzasnął dzióbaty.

Nieznanomy dopiero teraz spojrzął na niego.

— Piwo skończę.

— Pomożemy ci — syknął drażał. Wytrącił Rivowi kufel z ręki i jednocześnie chwytając go za ramię, wpił palce w ramię przecinający skosem pierś obcego. Jeden z tych z tyłu wznosił pięść do uderzenia. Obcy zwinął się w miejscu, wytrącając ospowatego z równowagi. Miecz zasyczał w pochwie i błysnął krótko w świetle kaganków. Zakotłowało się. Krzyk. Ktoś z pozostałych gości runął ku wyjściu. Z trzaskiem upadło krzesło, głucho mlasnęły o podłogę gliniane naczynia. Karczmarz — usta mu dygotały — patrzył na okropnie rozrąbaną twarz ospowatego, który wczepiwszy palce w brzeg szynkwasu, osuwał się, nikał z oczu, jak gdyby tonął. Tamci dwaj leżeli na podłodze. Jeden nieruchomo, drugi wił się i drgał w rosnącej szybko ciemnej kałuży. W powietrzu wibrował, świdrując uszy, cienki, histeryczny krzyk kobiety. Karczmarz zatrzęsł się, zaczerpnął tchu i zaczął wymiotować.

Nieznanomy cofnął się pod ścianę. Skurczony, spięty, czujny. Miecz trzymał oburącz, wodząc końcem ostrza w powietrzu. Nikt się nie ruszał. Zgroza, jak zimne błoto, oblepiła twarze, skrzypiała członki, zatkała gardła.

Strażnicy wpadli do karczmy z hukiem i szczękiem, we trzech. Musieli być w pobliżu. Okręcone rzemieniami pałki mieli w pogotowiu, ale na widok trupów natychmiast dobyli mieczy. Riv przylgnął plecami do ściany, lewą ręką wyciągnął sztylet z cholewy.

— Rzuć to! — wrzasnął jeden ze strażników rozdygotanym głosem. — Rzuć to, zbój! Pójdiesz z nami!

Drugi strażnik kopnął stół, nie pozwalający mu obejść Riva z boku.

— Leć po ludzi, Treska! — krzyknął do trzeciego, trzymającego się bliżej drzwi.

— Nie trzeba — rzekł nieznanomy, opuszczając меч. — Sam pójde.

— Pójdiesz, psie nasienie, ale na powrozie! — rozdarł się ten rozdygotany. — Rzuć miecz, bo ci łeb rozwałę!

Riv wyprostował się. Szybko chwycił klingę pod lewą pachę, a prawą, uniesioną do góry, w stronę strażników, nakreślił w powietrzu skomplikowany, szybki znak. Błysnęły ćwieki, którymi gęsto nabijane były długie aż do łokci mankiety skózanego kaftana.

Strażnicy momentalnie cofnęli się, zasłaniając twarze przedramionami. Któryś z gości zerwał się, inny znowu pomknął ku drzwiom. Kobieta znów zakrzyczała, dziko, przeraźliwie.

— Sam pójde — powtórzył nieznajomy dźwięcznym, metalicznym głosem. — A wy trzej przodem. Prowadźcie do grodzierzcy. Drogi nie znam.

— Tak, panie — wymamrotał strażnik, opuszczając głowę. Ruszył ku wyjściu, oglądając się niepewnie. Dwaj pozostali wyszli za nim, tyłem, pospiesznie. Nieznajomy poszedł w ślad, chowając miecz do pochwy, a sztylet do cholewy. Gdy wymijali stoły, goście zakrywali twarze połamami kubraków.

* * *

Velerad, grodzierzca Wyzimy, podrapał się w podbródek, zastanowił się. Nie był ani zabobonny, ani bojaźliwy, ale nie uśmiechało mu się pozostanie z białowłosym sam na sam. Wreszcie zdecydował się.

— Wyjdźcie — rozkazał strażnikom. — A ty siadaj. Nie, nie tu. Tam dalej, jeśli wola.

Nieznajomy usiadł. Nie miał już ani miecza, ani czarnego płaszcza.

— Słucham — rzekł Velerad, bawiąc się ciężkim buzdyganem leżącym na stole. — Jestem Velerad, grodzierzca Wyzimy. Co mi masz do powiedzenia, mości rozbójniku, zanim pójdziesz do lochu? Trzech zabitych, próba rzucenia uroku, nieźle, całkiem nieźle. Za takie rzeczy u nas w Wyzimie wbija się na pal. Ale ze mnie sprawiedliwy człek, wysłucham cię przedtem. Mów.

Riv rozpiął kubrak, wy dobył spod niego zwitek białej kozłej skóry.

— Na rozstajach, po karczmach przybijacie — powiedział cicho. — Prawda to, co napisane?

— A — mruknął Velerad, patrząc na wytrawione na skórze runy — To taka sprawa. Że też od razu się nie domyśliłem. Ano, prawda, najprawdziwsza. Podpisane jest: Foltest, król, pan Temerii, Pontaru i Mahakamu. Znaczy, prawda. Ale orędzie orędziem, a prawo prawem. Ja tu, w Wyzimie, prawa pilnuję i porządku! Ludzi mordować nie pozwolę! Zrozumiałeś?

Riv kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Velerad sapnął gniewnie.

— Znak wiedźmiński masz?

Nieznajomy znów sięgnął w rozcięcie kaftana, wygrzebał okrągły medalion na srebrnym łańcuszku. Na medalionie wyobrażony był łeb wilka z wyszczerzonymi kłami.

— Imię jakieś masz? Może być byle jakie, nie pytam z ciekawości, tylko dla ułatwienia rozmowy.

— Nazywam się Geralt.

— Może być i Geralt. Z Rivii, jak wnoszę z wymowy?

— Z Rivii.

— Tak. Wiesz co, Geralt? Z tym — Velerad klepnął w orędzie otwartą dłoń — z tym daj sobie spokój. To poważna sprawa. Wielu już próbowało. To, bracie, nie to samo, co paru obwiesiów pochłastać.

— Wiem. To mój fach, grododzierzco. Napisane jest: trzy tysiące orenów nagrody.

— Trzy tysiące — Velerad wyduł wargi. — I królowa za żonę, jak ludzie gadają, chociaż tego miłościwy Foltest nie dopisał.

— Nie jestem zainteresowany królową — rzekł spokojnie Geralt. Siedział nieruchomo z rękami na kolanach. — Napisane jest: trzy tysiące.

— Co za czasy — westchnął grododzierzco. — Co za parszywe czasy! Jeszcze dwadzieścia lat temu, kto by pomyślał, nawet po pijanemu, że takie profesje będą? Wiedzmini! Wędrowni zabójcy bazyliiszków! Domokrażni pogromcy smoków i utopców! Geralt? W twoim cechu piwo wolno pić?

— Pewnie.

Velerad klasnął w dłoń.

— Piwa! — zawołał. — A ty, Geralt, siadaj bliżej. Co mi tam.

Piwo było zimne i pieniste.

— Parszywe czasy nastąpiły — monologował Velerad pociągając z kufła. — Namnożyło się wszelkiego plugastwa. W Mahakamie, w górach, aż roi się od bobołaków. Po lasach dawniej aby wilki wyły, a teraz akurat: upiory, borowiki jakieś, gdzie nie spluniesz, wilkołak albo inna zaraza. Po wsiach rusałki i płaczki porywają dzieci, to już idzie w setki. Choroby, o jakich nikt dawniej nie słyszał, włoś się jeży. No i jeszcze to do kompletu! — popchnął zwitek skóry po blacie stołu. — Nie dziwota, Geralt, że taki popyt na wasze usługi.

— To królewskie orędzie, grododzierzco — Geralt uniósł głowę. — Znacie szczegóły?

Velerad odchylił się na krześle, splótł dłoń na brzuchu.

— Szczegóły, mówisz? A znam. Nie to, żeby z pierwszej ręki, ale z dobrych źródeł.

— O to mi właśnie chodzi.

— Uparłeś się. Jak chcesz. Słuchaj — Velerad popił piwa, ściszył głos. — Nasz miłościwy Foltest jeszcze jako królewicz, za rządów starego Medella, swojego ojca, pokazywał nam, co potrafi, a potrafił wiele. Liczyliśmy, że mu to z wie-

kiem przejdzie. A tymczasem krótko po swojej koronacji, zaraz po śmierci starego króla, Foltest przeszedł samego siebie. Aż nam wszystkim szczęki poopadały. Krótko mówiąc: zrobił dziecko swojej rodzonej siostrze Addzie. Adda była młodsza od niego, zawsze trzymali się razem, ale nikt niczego nie podejrzewał, no, może królowa. . . Krótko: patrzmy, a tu Adda o, z takim brzuchem, a Foltest zaczyna gadać o ślubie. Z siostrą, uważasz, Geralt? Sytuacja zrobiła się napięta jak diabli, bo akurat Vizimir z Novigradu umyślił wydać za Foltesta swoją Dalkę, wysłał poselstwo, a tu trzeba trzymać króla za ręce i nogi, bo chce biec i lżyć posłów. Udało się, i dobrze, bo obrażony Vizimir wypruły z nas bebechy Potem, nie bez pomocy Addy, która wpłynęła na braciszka, udało się wyperswadować szczeniakowi szybki ślub. No, a potem Adda urodziła, w przepisowym czasie, a jakże. A teraz słuchaj, bo zaczyna się. Tego, co się urodziło, wiele osób nie widziało, ale jedna położna wyskoczyła oknem z wieży i zabiła się, a druga dostała pomieszania zmysłów i do dzisiaj jest kołowata. Sądzę zatem, że nadbękart nie był specjalnie urodziwy. To była dziewczynka. Zmarła zresztą zaraz, nikt, jak mi się zdaje, nie spieszył się zanadto z podwiązywaniem pępowiny. Adda, na swoje szczęście, nie przeżyła porodu. A potem, bracie, Foltest po raz kolejny zrobił z siebie durnia. Nadbękarta trzeba było spalić albo, bo ja wiem, zakopać gdzieś na pustkowiu, a nie chować go w sarkofagu w podziemiach pałacu.

— Za późno teraz na roztrząsanie — Geralt uniósł głowę. — W każdym razie należało wezwać kogoś z Wiedzących.

— Mówisz o tych wydrwigroszach z gwiazdkami na kapeluszach? A jakże, zleciało się ich z dziesięciu, ale już potem, kiedy okazało się, co leży w tym sarkofagu. I co z niego nocami wyłazi. A zaczęło wyłazić nie od razu, o nie. Siedem lat od pogrzebu był spokój. Aż tu którejś nocy, była pełnia księżyca, wrzask w pałacu, krzyk, zamieszanie! Co tu dużo gadać, znasz się na tym, orędzie też czytałeś. Niemowlak podrósł w trumnie, i to nieźle, a i zęby wyrosły mu jak się patrzy. Jednym słowem, strzyga. Szkoda, że nie widziałeś trupów. Tak jak ja. Pewnie ominąłbyś Wyzimę szerokim łukiem.

Geralt milczał.

— Wtedy — ciągnął Velerad — jak mówiłem, Foltest skrzyknął do nas całą gromadę czarowników. Jazgotali jeden przez drugiego, o mało nie pobili się tymi swoimi dragami, co to je noszą, pewnie żeby psy odpędzać, jak ich kto poszczuje. A myślę, że szcują ich regularnie. Przepraszam, Geralt, jeśli masz inne zdanie o czarodziejach, w twoim zawodzie pewnie je masz, ale dla mnie to darmozjady i durnie. Wy, wiedźmini, budzicie wśród ludzi większe zaufanie. Jesteście przynajmniej, jakby tu rzec, konkretni.

Geralt uśmiechnął się, nie skomentował.

— No, ale do rzeczy — grodzierzca zajrzał do kufla, dolał piwa sobie i Rivowi. — Niektóre rady czarowników wydawały się całkiem niegłupie. Jeden proponował spalenie strzygi razem z pałacem i sarkofagiem, inny radził odciąć jej

łeb szpadlem, pozostali byli zwolennikami wbijania osinowych kołków w różne części ciała, oczywiście za dnia, kiedy diabllica spała w trumnie, zmordowana po nocnych uciechach. Niestety, znalazł się jeden, błazen w spiczastej czapce na łysym czerepie, garbaty eremita, który wymyślił, że to są czary, że to się da odzyskać i że ze strzygi znowu będzie Foltestowa córeczka, śliczna jak malowanie. Trzeba tylko przesiedzieć w krypcie całą noc, i już, po krzyku. Po czym, wyobrazasz sobie, Geralt, co to był za półgłówek, poszedł na noc do dworzyszczu. Jak łatwo zgadnąć, wiele z niego nie zostało, bodajże tylko czapka i laga. Ale Foltest uczepił się tego pomysłu jak rzep psiego ogona. Zakazał wszelkich prób zabicia strzygi, a ze wszystkich możliwych zakamarków kraju pościągał do Wyzimy szarlatanów, aby odzarować strzygę na królową. To była dopiero malownicza kompania! Jakieś pokręcone baby, jacyś kulawcy, brudni, bracie, zawszeni litość brała. No i dawaj czarować, głównie nad miską i kuflem. Pewnie, niektórych Foltest albo rada zdemaskowali prędko, paru nawet powiesili na ostrokole, ale za mało, za mało. Ja bym ich wszystkich powiesił. Tego, że strzyga w tym czasie zagryzała co rusz kogoś innego, nie zwracając na oszustów i ich zaklęcia żadnej uwagi, dodawać chyba nie muszę. Ani tego, że Foltest nie mieszkał już w pałacu. Nikt już tam nie mieszkał.

Velerad przerwał, popił piwa. Wiedźmin milczał.

— I tak to się ciągnie, Geralt, sześć lat, bo to się urodziło tak jakoś czternaście lat temu. Mieliśmy w tym czasie trochę innych zmartwień, bo pobiliśmy się z Vizimirem z Novigradu, ale z porządnymi, zrozumiałymi powodami, poszło nam o przesuwanie słupów granicznych, a nie tam o jakieś córki czy koligacje. Foltest, nawiasem mówiąc, zaczyna już przebąkiwać o małżeństwie i ogląda przesyłane przez sąsiednie dwory konterfekty, które dawniej zwykł był wrzucać do wychodka. No, ale co jakiś czas opada go znowu ta mania i rozsyła konnych, by szukali nowych czarowników. No i nagrodę obiecał, trzy tysiące, przez co zbiegło się trochę postrzeleńców, błędnych rycerzy, nawet jeden pastuszek, kretyn znany w całej okolicy, niech spoczywa w pokoju. A strzyga ma się dobrze. Tyle że co jakiś czas kogoś zagryzie. Można się przyzwyczaić. A z tych bohaterów, co ją próbują odzarowywać, jest chociaż taki pożytek, że bestia nażera się na miejscu i nie szwenda poza dworzyszczem. A Foltest ma nowy pałac, całkiem ładny.

— Przez sześć lat — Geralt uniósł głowę — przez sześć lat nikt nie załatwił sprawy?

— Ano nie — Velerad popatrzył na wiedźmina przenikliwie. — Bo pewnie sprawa jest nie do załatwienia i przyjdzie się z tym pogodzić. Mówię o Folteście, naszym miłościwym i ukochanym władcy, który ciągle jeszcze przybija te orędzia na rozstajnych drogach. Tyle że chętnych zrobiło się jakby mniej. Ostatnio, co prawda, był jeden, ale chciał te trzy tysiące koniecznie z góry. No to wsadziliśmy go do worka i wrzuciliśmy do jeziora.

— Oszustów nie brakuje.

— Nie, nie brakuje. Jest ich nawet sporo — przytaknął grododzierzca, nie spuszczać z wiedźmina wzroku. — Dlatego jak pójdziesz do pałacu, nie żądaj złota z góry. Jeżeli tam w ogóle pójdziesz.

— Pójdę.

— Ano, twoja sprawa. Pamiętaj jednak o mojej radzie. Jeżeli zaś już o nagrodzie mowa, ostatnio zaczęło się mówić o jej drugiej części, wspomniałem ci. Królowna za żonę. Nie wiem, kto to wymyślił, ale jeżeli strzyga wygląda tak, jak opowiadają, to żart jest wyjątkowo ponury. Wszelakoż nie zabrakło durniów, którzy pognali do dworzyszczka galopem, jak tylko wieść gruchnęła, że jest okazja wejść do królewskiej rodziny. Konkretnie, dwóch czeladników szewskich. Dlaczego szewcy są tacy głupi, Geralt?

— Nie wiem. A wiedźmini, grododzierzco? Próbowali?

— Było kilku, a jakże. Najczęściej, kiedy usłyszeli, że strzygę trzeba odczarować, a nie zabić, wzruszali ramionami i odjeżdżali. Dlatego też znacznie wzrósł mój szacunek dla wiedźminów, Geralt. No a potem przyjechał jeden, młodszy był od ciebie, imienia nie pamiętam, o ile je w ogóle podał. Ten spróbował.

— No i?

— Zębata królowna rozwłóczyła jego flaki na sporej odległości. Z pół strzeleń z łuku.

Geralt pokiwał głową.

— To wszyscy?

— Był jeszcze jeden.

Velerad milczał przez chwilę. Wiedźmin nie ponaglał go.

— Tak — rzekł wreszcie grododzierzca. — Był jeszcze jeden. Z początku, gdy mu Foltest zagroził szubienicą, jeżeli zabije lub okaleczy strzygę, roześmiał się tylko i zaczął się pakować. No, ale potem...

Velerad ponownie ściszył głos prawie do szeptu, nachylając się przez stół.

— Potem podjął się zadania. Widzisz, Geralt, jest tu w Wyzimie paru rozumnych ludzi, nawet na wysokich stanowiskach, którym cała ta sprawa obrzydła. Plotka głosi, że ci ludzie przekonali po cichu wiedźmina, aby nie bawiąc się w żadne ceregiele ani czary, zatłukł strzygę, a królowi powiedział, że czar nie podziałał, że córeczka spadła ze schodów, no że zdarzył się wypadek przy pracy. Król, wiadomo, rozzłościł się, ale skończył się na tym, że nie zapłaci ani orena nagrody. Szelma wiedźmin na to, że za darmo sami sobie możemy chodzić na strzygi. No, co było robić... Złożyliśmy się, potargowaliśmy... Tylko że nic z tego nie wyszło.

Geralt podniósł brwi.

— Nic, powiadam — rzekł Velerad. — Wiedźmin nie chciał iść od razu, pierwszej nocy łąził, czał się, kręcił po okolicy. Wreszcie, jak powiadają, zobaczył strzygę, zapewne w akcji, bo bestia nie wyłazi z krypty tylko po to, żeby rozprostować nogi. Zobaczył ją więc i tej samej nocy zwiął. Bez pożegnania.

Geralt wykrzywił lekko wargi w czymś, co prawdopodobnie miało być uśmiechem.

— Rozumni ludzie — zaczął — zapewne mają jeszcze te pieniądze? Wiedźmini nie biorą z góry.

— Ano — rzekł Velerad — pewnie mają.

— Plotka nie mówi, ile tego jest?

Velerad wyszczerzył zęby.

— Jedni mówią: osiemset. . .

Geralt pokręcił głową.

— Inni — mruknął grododzierzca — mówią o tysiącu.

— Niedużo, jeśli wziąć pod uwagę, że plotka wszystko wyolbrzymia. W końcu król daje trzy tysiące.

— Nie zapominaj o narzeczonej — zadrwił Velerad. — O czym my rozmawiamy? Wiadomo, że nie dostaniesz tamtych trzech tysięcy.

— Skąd to niby wiadomo?

Velerad huknął dłonią o blat stołu.

— Geralt, nie psuj mojego wyobrażenia o wiedźminach! To już trwa sześć lat z hakiem! Strzyga wykańcza do pół setki ludzi rocznie, teraz mniej, bo wszyscy trzymają się z daleka od pałacu. Nie, bracie, ja wierzę w czary, niejedno widziałem i wierzę, do pewnego stopnia, rzecz jasna, w zdolności magów i wiedźminów. Ale z tym odczarowywaniem to bzdura, wymyślona przez garbatego i usmarkanego dziada, który zgłupiał od pustelniczego wikt, bzdura, w którą nie wierzy nikt. Prócz Foltesta. Nie, Geralt! Adda urodziła strzygę, bo spała z własnym bratem, taka jest prawda i żaden czar tu nie pomoże. Strzyga żre ludzi, jak to strzyga, i trzeba ją zabić, normalnie i po prostu. Słuchaj, dwa lata temu kmiotkowie z jakiegoś zapadłego zadupia pod Mahakamem, którym smok wyżerał owce, poszli kupą, zatłukli go kłonicami i nawet nie uznali za celowe się tym szczególnie chwalić. A my tu, w Wyzimie, czekamy na cud i ryglujemy drzwi przy każdej pełni księżyca albo wiążemy przestępców do palika przed dworzyszczem licząc, że bestia nażre się i wróci do trumny.

— Niezły sposób — uśmiechnął się wiedźmin. — Przestępczość zmaląa?

— Ani trochę.

— Do pałacu, tego nowego, którądy?

— Zaprowadzę cię osobiście. Co będzie z propozycją rzuconą przez rozumnych ludzi?

— Grododzierzco — rzekł Geralt. — Po co się spieszyć? Przecież naprawdę może zdarzyć się wypadek przy pracy, niezależnie od moich intencji. Wtedy rozumni ludzie winni pomyśleć, jak ocalić mnie przed gniewem króla i przygotować te tysiąc pięćset orenów, o których mówi plotka.

— Miało być tysiąc.

— Nie, panie Velerad — powiedział wiedźmin stanowczo. — Ten, któremu dawaliście tysiąc, uciekł na sam widok strzygi, nawet się nie targował. To znaczy, ryzyko jest większe niż tysiąc. Czy nie jest większe niż półtora tysiąca, okaże się. Oczywiście, ja się przedtem pożegnam.

Velerad podrapał się w głowę.

— Geralt? Tysiąc dwieście?

— Nie, grodzierzco. To nie jest łatwa robota. Król daje trzy, a muszę wam powiedzieć, że odczarować jest czasem łatwiej niż zabić. W końcu któryś z moich poprzedników zabiłby strzygę, gdyby to było takie proste. Myślicie, że dali się zagryźć tylko dlatego, że bali się króla?

— Dobra, bracie — Velerad smętnie pokiwał głową. — Umowa stoi. Tylko przed królem ani mru — mru o możliwości wypadku przy pracy. Szczerze ci radzę.

* * *

Foltest był szczupły, miał ładną — za ładną — twarz. Nie miał jeszcze czterdziestki, jak ocenił wiedźmin. Siedział na karle rzeźbionym z czarnego drewna, nogi wyciągnął w stronę paleniska, przy którym grzały się dwa psy. Obok, na skrzyni siedział starszy, potężnie zbudowany mężczyzna z brodą. Za królem stał drugi, bogato odziany, z dumnym wyrazem twarzy. Wielmoża.

— Wiedźmin z Rivii — powiedział król po chwili ciszy, jaka zapadła po wstępnej przemowie Velerada.

— Tak, panie — Geralt schylił głowę.

— Od czego ci tak łeb posiwiął? Od czarów? Widzę, żeś niestary. Dobrze już, dobrze. To żart, nic nie mów. Doświadczenie, jak śmiem przypuszczać, masz niejaki?

— Tak, panie.

— Radbym posłuchać.

Geralt skłonił się jeszcze niżej.

— Wiecie wszak, panie, że nasz kodeks zabrania mówienia o tym, co robimy.

— Wygodny kodeks, mości wiedźminie, wielce wygodny. Ale tak, bez szczygółów, z borowikami miałeś do czynienia?

— Tak.

— Z wampirami, z leszymi?

— Też.

Foltest zawahał się.

— Ze strzygami?

Geralt uniósł głowę, spojrzął królowi w oczy.

— Też.

Foltest odwrócił wzrok.

— Velerad!

— Słucham, miłościwy panie.

— Wprowadziłeś go w szczegóły?

— Tak, miłościwy panie. Twierdzi, że królową można odczarować.

— To wiem od dawna. W jaki sposób, mości wiedźminie? Ach, prawda, zapomniałem. Kodeks. Dobrze. Tylko jedna mała uwaga. Było tu już u mnie kilku wiedźminów. Velerad, mówiłeś mu? Dobrze. Stąd wiem, że waszą specjalnością jest raczej zabijanie, a nie odczynianie uroków. To nie wchodzi w rachubę. Jeżeli mojej córce spadnie włos z głowy, ty swoją położysz na pieńku. To tyle. Ostrit, a i wy, panie Segelin, zostańcie, udzielcie mu tyle informacji, ile będzie chciał. Oni zawsze dużo pytają, wiedźmini. Nakarmcie go i niech mieszka w pałacu. Niech się nie włóczy po karczmach.

Król wstał, gwizdnął na psy i ruszył ku drzwiom, rozrzucając słomę pokrywającą podłogę komnaty. Przy drzwiach odwrócił się.

— Uda ci się, wiedźminie, nagroda jest twoja. Może jeszcze coś dorzucę, jeśli dobrze się spiszesz. Oczywiście, bajania pospólstwa co do ożenku z królową nie zawierają słowa prawdy. Nie sądzisz chyba, że wydam córkę za byle przybłędę?

— Nie, panie. Nie sądzę.

— Dobrze. To dowodzi, że jesteś rozumny.

Foltest wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Velerad i wielmoża, którzy dotychczas stali, natychmiast rozsiedli się przy stole. Grododzierzca dopił w połowie pełny puchar króla, zajrzał do dzbana, zaklął. Ostrit, który zajął fotel Foltesta, patrzył na wiedźmina spode łba, gładząc dłońmi rzeźbione poręcze. Segelin, brodac, skinął na Geralta.

— Siadajcie, mości wiedźminie, siadajcie. Zaraz wieczerzę podadzą. O czym chcielibyście rozmawiać? Grododzierzca Velerad powiedział wam już chyba wszystko. Znam go i wiem, że powiedział prędzej za dużo niż za mało.

— Tylko kilka pytań.

— Zadajcie je.

— Mówił grododzierzca, że po pojawieniu się strzygi król wezwał wielu Wiedzących.

— Tak było. Ale nie mówcie: „strzyga”, mówcie: „królowa”. Łatwiej unikniecie takiej pomyłki przy królu... i związanych z tym przykrości.

— Czy wśród Wiedzących był ktoś znany? Sławny?

— Byli tacy i wówczas, i później. Nie pamiętam imion... A wy, panie Ostrit?

— Nie pamiętam — rzekł wielmoża. — Ale wiem, że niektórzy cieszyli się sławą i uznaniem. Mówiło się o tym dużo.

— Czy byli zgodni co do tego, że zakłęcie można zdjąć?

— Byli dalecy od zgody — uśmiechnął się Segelin. — W każdym przedmiocie. Ale takie stwierdzenie padło. Miało to być proste, wręcz nie wymagające

zdolności magicznych, i jak zrozumiałem, wystarczyło, aby ktoś spędził noc, od zachodu słońca do trzecich kurów, w podziemiu, przy sarkofagu.

— Rzeczywiście, proste — parsknął Velerad.

— Chciałbym usłyszeć opis... królowny.

Velerad zerwał się z krzesła.

— Królowna wygląda jak strzyga! — wrzasnął. — Jak najbardziej strzygowata strzyga, o jakiej słyszałem! Jej wysokość królewska córka, przeklęty nadbękart, ma cztery łokcie wzrostu, przypomina baryłę piwa, ma mordę od ucha do ucha, pełną zębów jak sztylety, czerwone ślepia i rude kudły! Łapska, opazurzone jak u żbika, wiszą jej do samej ziemi! Dziwię się, że jeszcze nie zaczęliśmy rozsyłać jej miniatur po zaprzyjaźnionych dworach! Królowna, niech ją zaraza udusi, ma już czternaście lat, czas pomyśleć o wydaniu jej za jakiegoś królewicza!

— Pohamuj się, grodzierzco — zmarszczył się Ostrit, zerkając w stronę drzwi. Segelin uśmiechnął się lekko.

— Opis, choć tak obrazowy, był w miarę dokładny, a o to chodziło mości wiedźminowi, prawda? Velerad zapomniał dodać, że królowna porusza się z niewiarygodną prędkością i jest o wiele silniejsza, niż można wnosić z jej wzrostu i budowy. A to, że ma czternaście lat, jest faktem. O ile to ważne.

— Ważne — powiedział wiedźmin. — Czy ataki na ludzi zdarzają się tylko podczas pełni?

— Tak — odrzekł Segelin. — Jeżeli napada poza starym pałacem. W pałacu, niezależnie od fazy księżyca, ludzie ginęli zawsze. Ale wychodzi tylko podczas pełni, a i to nie każdej.

— Czy był chociaż jeden wypadek ataku za dnia?

— Nie. Za dnia nie.

— Zawsze pożera ofiary?

Velerad splunął zamasyście na słomę.

— Niech cię, Geralt, zaraz wieczera będzie. Tfu! Pożera, nadgryza, zostawia, różnie, zależnie od humoru zapewne. Jednemu tylko głowę odgryzła, paru wybebeszyła, a paru ogryzła na czysto, do goła, można by rzec. Taka jej mać!

— Uważaj, Velerad — syknął Ostrit. — O strzydze gadaj, co chcesz, ale Addy nie obrażaj przy mnie, bo przy królu się nie odważasz!

— Czy był ktoś, kogo zaatakowała, a przeżył? — spytał wiedźmin, pozornie nie zwracając uwagi na wybuch wielmoży.

Segelin i Ostrit spojrzeli po sobie.

— Tak — powiedział brodac. — Na samym początku, sześć lat temu, rzuciła się na dwóch żołnierzy stojących na warcie u krypty. Jednemu udało się uciec.

— I później — wtrącił Velerad — młynarz, na którego napadła pod miastem. Pamiętacie?

* * *

Młynarza przyprowadzono na drugi dzień, późnym wieczorem, do komnatki nad kordegardą, w której zakwaterowano wiedźmina. Przyprowadził go żołnierz w płaszczu z kapturem.

Rozmowa nie dała większych rezultatów. Młynarz był przerażony, bełkotał, jękał się. Więcej powiedziały wiedźminowi jego blizny: strzyga miała imponujący rozstaw szczęk i rzeczywiście ostre zęby, w tym bardzo długie górne kły — cztery, po dwa z każdej strony. Pazury zapewne ostrzejsze od żbiczych, choć mniej zakrzywione. Tylko dlatego zresztą udało się młynarzowi wyrwać.

Zakończywszy oględziny, Geralt skinął na młynarza i żołnierza, odprawiając ich. Żołnierz wypchnął chłopca za drzwi i zdjął kaptur. Był to Foltest we własnej osobie.

— Siadaj, nie wstawaj — rzekł król. — Wizyta nieoficjalna. Zadowolony z wywiadu? Słyszałem, że byłeś w dworzyszczu przed południem.

— Tak, panie.

— Kiedy przystąpisz do dzieła?

— Do pełni cztery dni. Po pełni.

— Wolisz sam się jej wcześniej przyjrzeć?

— Nie ma takiej potrzeby. Ale najedzona... królowa... będzie mniej ruchliwa.

— Strzyga, mistrzu, strzyga. Nie bawmy się w dyplomację. Królową to ona dopiero będzie. O tym zresztą przyszedłem z tobą porozmawiać. Odpowiadaj, nieoficjalnie, krótko i jasno: będzie czy nie będzie? Nie zaślaniaj mi się tylko żadnym kodeksem.

Geralt potarł czoło.

— Potwierdzam, królu, że czar można odczynić. I jeżeli się nie mylę, to rzeczywiście spędzając noc w dworzyszczu. Trzecie pianie koguta, o ile zaskoczy strzygę poza sarkofagiem, zlikwiduje urok. Tak zwykle postępuje się ze strzygami.

— Takie proste?

— To nie jest proste. Trzeba tę noc przeżyć, to raz. Możliwe są też odstępstwa od normy. Na przykład nie jedną noc, ale trzy kolejne. Są też przypadki... no... beznadziejne.

— Tak — zachnął się Foltest. — Ciągle to słyszę od niektórych. Zabić potwora, bo to przypadek nieuleczalny. Mistrzu, jestem pewien, że już z tobą rozmawiano. Co? Żeby zarąbać ludojadkę bez ceregieli, na samym wstępie, a królowi powiedzieć, że inaczej się nie dało. Król nie zapłaci, my zapłacimy. Bardzo wygodny sposób. I tani. Bo król każe ściąć lub powiesić wiedźmina, a złoto zostanie w kieszeni.

— Król bezwarunkowo każe ściąć wiedźmina? — wykrzywił się Geralt.

Foltest przez dłuższą chwilę patrzył w oczy Riva.

— Król nie wie — powiedział wreszcie. — Ale liczyć się z taką ewentualnością wiedźmin raczej powinien.

Teraz Geralt chwilę pomilczał.

— Zamierzam zrobić, co w mojej mocy — rzekł po chwili. — Ale gdyby poszło źle, będę bronił swojego życia. Wy, panie, też się musicie liczyć z taką ewentualnością.

Foltest wstał.

— Nie rozumiesz mnie. Nie o to chodzi. To jasne, że zabijesz ją, gdy się zrobi gorąco, czy mi się to podoba, czy nie. Bo inaczej ona ciebie zabije, na pewno i nieodwołalnie. Nie rozgłaszam tego, ale nie ukarałbym nikogo, kto zabiłby ją w obronie własnej. Ale nie dopuszczę, aby zabito ją, nie próbując uratować. Były już próby podpalenia starego pałacu, strzelali do niej z łuków, kopali doły, zastawiali sidła i wnyki dopóty, dopóki kilku nie powiesiłem. Ale nie o to chodzi. Mistrzu, słuchaj!

— Słucham.

— Po tych trzech kurach nie będzie strzygi, jeśli dobrze zrozumiałem. A co będzie?

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, czternastolatka.

— Czerwonooka? Z zębami jak krokodyl?

— Normalna czternastolatka. Tyle że...

— No?

— Fizycznie.

— Masz babo placek. A psychicznie? Codziennie na śniadanie wiadro krwi? Udko dziewczęcia?

— Nie. Psychicznie... Nie sposób powiedzieć... Sądzę, że na poziomie, bo ja wiem, trzyletniego, czteroletniego dziecka. Będzie wymagała troskliwej opieki przez dłuższy czas.

— To jasne. Mistrzu?

— Słucham.

— Czy to jej może wrócić? Później?

Wiedźmin milczał.

— Aha — rzekł król. — Może. I co wtedy?

— Gdyby po długim, kilkudniowym omdleniu zmarła, trzeba spalić ciało. I to prędko.

Foltest zasępił się.

— Nie sądzą jednak — dodał Geralt — aby do tego doszło. Dla pewności udzielię wam, panie, kilku wskazówek, jak zmniejszyć niebezpieczeństwo.

— Już teraz? Nie za wcześnie, mistrzu? A jeżeli...

— Już teraz — przerwał Riv. — Różnie bywa, królu. Może się zdarzyć, że rano znajdziecie w krypcie odczarowaną królową i mojego trupa.

— Aż tak? Pomimo mojego zezwolenia na obronę własną? Na którym, zdaje mi się, nie bardzo ci nawet zależało?

— To jest poważna sprawa, królu. Ryzyko jest wielkie. Dlatego słuchajcie: królowna stale musi nosić na szyi szafir, najlepiej inkluz, na srebrnym łańcuszku. Stale. W dzień i w nocy.

— Co to jest inkluz?

— Szafir z pęcherzykiem powietrza wewnątrz kamienia. Oprócz tego, w komnacie, w której będzie sypiała, należy co jakiś czas palić w kominku gałązki jałowca, żarnowca i leszczyny.

Foltest zamyślił się.

— Dziękuję ci za rady, mistrzu. Zastosuję się do nich, jeżeli... A teraz ty posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli stwierdzisz, że to przypadek beznadziejny, zabijesz ją. Jeżeli odczynisz urok, a dziewczyna nie będzie... normalna... jeżeli będziesz miał cień wątpliwości, czy ci się udało w pełni, zabijesz ją również. Nie obawiaj się, nic ci nie grozi z mojej strony. Będę na ciebie krzychał przy ludziach, wypędzę z pałacu i z miasta, nic więcej. Nagrody oczywiście nie dam. Może coś wytargujesz, wiesz od kogo.

Milczeli chwilę.

— Geralt — Foltest po raz pierwszy zwrócił się do wiedźmina po imieniu.

— Słucham.

— Ile jest prawdy w gadaniu, że dziecko było takie, a nie inne, bo Adda była moją siostrą?

— Niewiele. Czar trzeba rzucić, żadne zaklęcie nie rzuca się samo. Ale myślę, że wasz związek z siostrą był przyczyną rzucenia czaru, a więc i takiego skutku.

— Tak myślałem. Tak mówili niektórzy z Wiedzących, chociaż nie wszyscy. Geralt? Skąd się biorą takie sprawy? Czary, magia?

— Nie wiem, królu. Wiedzący zajmują się badaniem przyczyn tych zjawisk. Dla nas, wiedźminów, wystarcza wiedza, że skupiona wola może takie zjawiska powodować. I wiedza, jak je zwalczać.

— Zabijać?

— Najczęściej. Za to nam zresztą najczęściej płacą. Mało kto żąda odczynienia uroków, królu. Z reguły ludzie chcą się po prostu uchronić od zagrożenia. Jeżeli zaś potwór ma ludzi na sumieniu, dochodzi jeszcze motyw zemsty.

Król wstał, zrobił kilka kroków po komnacie, zatrzymał się przed mieczem wiedźmina wiszącym na ścianie.

— Tym? — spytał, nie patrząc na Geralta.

— Nie. Ten jest na ludzi.

— Słyszałem. Wiesz co, Geralt? Pójdę z tobą do krypty.

— Wykluczone.

Foltest odwrócił się, oczy mu zabłyśły.

— Czy ty wiesz, czarowniku, że ja jej nie widziałem? Ani po urodzeniu, ani... potem. Bałem się. Mogę jej już nigdy nie zobaczyć, prawda? Mam prawo chociaż widzieć, jak ją będziesz mordował.

— Powtarzam, wykluczone. To pewna śmierć. Również dla mnie. Jeżeli osłabię uwagę, wolę... Nie, królu.

Foltest odwrócił się, ruszył ku drzwiom. Geraltowi przez chwilę zdawało się, że wyjdzie bez słowa, bez pożegnania, ale król zatrzymał się, spojrzął na niego.

— Budzisz zaufanie — powiedział. — Pomimo że wiem, jakie z ciebie ziółko. Opowiadano mi, co zaszło w karczmie. Jestem pewien, że zabiłeś tych opryszków wyłącznie dla rozgłosu, żeby wstrząsnąć ludźmi, mną. Jest dla mnie oczywiste, że mogłeś ich pokonać bez zabijania. Boję się, że nigdy się nie dowiem, czy idziesz ratować moją córkę, czy też ją zabić. Ale godzę się na to. Muszę się zgodzić. Wiesz, dlaczego?

Geralt nie odpowiedział.

— Bo myślę — rzekł król — myślę, że ona cierpi. Prawda?

Wiedźmin utkwiał w królu swoje przenikliwe oczy. Nie przytaknął, nie skinął głową, nie uczynił najmniejszego gestu, ale Foltest wiedział. Znał odpowiedź.

* * *

Geralt po raz ostatni wyjrzał przez okno dworzyszczka. Zmierzch zapadał szybko. Za jeziorem migotały niejasne światła Wyzimy. Dookoła dworzyszczka było pustkowiem — pas ziemi niczyjej, którym miasto w ciągu sześciu lat odgrodziło się od niebezpiecznego miejsca, nie zostawiając nic oprócz kilku ruin, przegniłych belkowań i resztek szczerbatego ostrokołu, których widać nie opłacało się rozbiierać i przenosić. Najdalej, bo na zupełnie przeciwległy kraniec osiedla, przeniósł swoją rezydencję sam król — pękaty stołb jego nowego pałacu czerniał się w dali na tle granatowiejącego nieba.

Wiedźmin wrócił do zakurzonego stołu, przy którym w jednej z pustych, splądrowanych komnat przygotowywał się niespiesznie, spokojnie, pieczołowicie. Czasu, jak wiedział, miał dużo. Strzyga nie opuści krypty przed północą.

Przed sobą na stole miał niedużą, okutą skrzyneczkę. Otworzył ją. Wewnątrz, ciasno, w wyłożonych suchą trawą przegródkach, stały flakoniki z ciemnego szkła. Wiedźmin wyjął trzy.

Z podłogi podjął podłużny pakunek, grubo owinięty owczymi skórąmi i okręcony rzemieniem. Rozwinął go, wydobyl miecz z ozdobną rękojeścią, w czarnej, lśniącej pochwie pokrytej rzędami runicznych znaków i symboli. Obnażył ostrze, które rozblęskło czystym, lustrzanym blaskiem. Klinga była z czystego srebra.

Geralt wyszeptał formułę, wypił po kolei zawartość dwu flakoników, po każdym łyku kładąc lewą dłoń na głowni miecza. Potem, owijając się szczelnie

w swój czarny płaszcz, usiadł. Na podłodze. W komnacie nie było żadnego krzesła. Jak zresztą w całym dworzyszczu.

Siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Jego oddech, początkowo równy, stał się nagle przyspieszony, chrapliwy, niespokojny. A potem ustał zupełnie. Mieszanka, za pomocą której wiedźmin poddał pełnej kontroli pracę wszystkich organów ciała, składała się głównie z ciemężycy, bieluniu, głogu i wilczomleczka. Inne jej składniki nie posiadały nazw w żadnym ludzkim języku. Dla człowieka, który nie był, tak jak Geralt, przyzwyczajony do niej od dziecka, byłaby to śmiertelna trucizna.

Wiedźmin gwałtownie odwrócił głowę. Jego słuch, wyostrzony obecnie ponad wszelką miarę, z łatwością wyłowił z ciszy szelest kroków na zarośniętym pokrzywami dziedzińcu. To nie mogła być strzyga. Było za jasno. Geralt zarzucił miecz na plecy, ukrył swój tobołek w palenisku zrujnowanego kominka i cicho jak nietoperz zbiegł po schodach.

Na dziedzińcu było jeszcze na tyle jasno, by nadchodzący człowiek mógł zobaczyć twarz wiedźmina. Człowiek — był to Ostrit — cofnął się gwałtownie, mimowolny grymas przerażenia i wstrętu wykrzywił mu usta. Wiedźmin uśmiechnął się krzywo — wiedział, jak wygląda. Po wypiciu mieszanki pokrzywy, tojadu i świetlika twarz nabiera koloru kredy, a źrenice zajmują całe tęczówki. Ale mikstura pozwala widzieć w najgłębszych ciemnościach, a o to Geraltowi chodziło.

Ostrit opanował się szybko.

— Wyglądasz, jakbyś już był trupem, czarowniku — powiedział. — Pewnie ze strachu. Nie bój się. Przynoszę ci ułaskawienie.

Wiedźmin nie odpowiedział.

— Nie słyszysz, co powiedziałem, rivski znachorze? Jesteś uratowany. I bogaty — Ostrit zważył w rękę sporą sakwę i rzucił ją pod nogi Geralta. — Tysiąc orenów. Bierz to, wsiadaj na konia i wynoś się stąd!

Riv wciąż milczał.

— Nie wytrzeszczaj na mnie oczu! — Ostrit podniósł głos. — I nie marnuj mojego czasu. Nie mam zamiaru stać tutaj do północy. Czy nie rozumiesz? Nie życzę sobie, abyś odczyniał uroki. Nie, nie myśl, że odgadłeś. Nie trzymam z Veleradem i Segelinem. Nie chcę, byś ją zabijał. Masz się po prostu wynosić. Wszystko ma zostać po staremu.

Wiedźmin nie poruszył się. Nie chciał, aby wielmoża zorientował się, jak przyspieszone są w tej chwili jego ruchy i reakcje. Ciemniało szybko, było to o tyle korzystne, że nawet półmrok zmierzchu był zbyt jaskrawy dla jego rozszerzonych źrenic.

— A dlaczego to, panie, wszystko ma zostać po staremu? — spytał, starając się wolno wypowiadać poszczególne słowa.

— A to — Ostrit dumnie podniósł głowę — powinno cię diabelnie mało obchodzić.

— A jeżeli już wiem?

— Ciekawe.

— Łatwiej będzie usunąć Foltesta z tronu, jeżeli strzyga dokuczy ludziom jeszcze bardziej? Jeżeli królewskie szaleństwo do cna obrzydni i wielmożom, i pospólstwu, prawda? Jechałem do was przez Redanię, przez Novigrad. Wiele się tam mówi o tym, że niektórzy w Wyzimie wyglądają króla Vizimira jako wybawiciela i prawdziwego monarchę. Ale mnie, panie Ostrit, nie obchodzi ani polityka, ani sukcesje tronów, ani przewroty pałacowe. Ja jestem tu, aby wykonać pracę. Nie słyszeliście nigdy o poczuciu obowiązku i zwykłej uczciwości? O etyce zawodowej?

— Uważaj, do kogo mówisz, włóczęgo! — krzyknął wściekle Ostrit, kładąc dłoń na rękojeści miecza. — Dość już mam tego, nie przywykłem dyskutować z byle kim! Patrzcie go, etyka, kodeksy, moralność?! Kto to mówi? Zbój, który ledwo przybył, pomordował ludzi? Który giął się przed Foltestem w ukłonach, a za jego plecami targował się z Veleradem jak najemny zbir? I ty ośmielasz się zadzierać głowę, pachołku? Udawać Wiedzącego? Maga? Czarodzieja? Ty parszywy wiedźminie! Precz stąd, zanim płazem przez pysk przejadę!

Wiedźmin nawet nie drgnął, stał spokojnie.

— To wy stąd idźcie, panie Ostrit — powiedział. — Ściemnia się.

Ostrit cofnął się o krok, błyskawicznie dobył miecza.

— Sam tego chciałeś, czarowniku. Zabiję cię. Nic ci nie pomogą twoje sztuczki. Mam przy sobie żółwi kamień.

Geralt uśmiechnął się. Opinia o mocy żółwiego kamienia była równie powszechna, jak błędna. Ale wiedźmin nie myślał tracić sił na zaklęcia, ani tym bardziej narażać srebrnej klingi na zetknięcie się z brzeszczotem Ostrita. Znurkował pod młynkującym ostrzem i nasadą pięści, srebrnymi ćwiekami mankietu uderzył wielmożę w skroń.

* * *

Ostrit oprzytomniał rychło, wodził wkoło oczami w zupełnej ciemności. Spostrzegł, że jest związany. Geralta, który stał tuż obok, nie widział. Ale zorientował się, gdzie jest, i zawył, przeciągle, przeraźliwie.

— Milcz — rzekł wiedźmin. — Bo przyciągniesz ją przed czasem.

— Ty przeklęty morderco! Gdzie jesteś? Rozwiąż mnie natychmiast, łajdaku! Będziesz za to wisiał, suczy synu!

— Milcz.

Ostrit dyszał ciężko.

— Zostawisz mnie jej na pożarcie! Związanego? — spytał już ciszej, dorzucając plugawe wyzwisko prawie szeptem.

— Nie — rzekł wiedźmin. — Wypuszczę cię. Ale nie teraz.

— Ty łotrze — zasyczał Ostrit. — Żeby odciągnąć strzygę?

— Tak.

Ostrit zamilkł, przestał się miotać, leżał spokojnie.

— Wiedźminie?

— Tak.

— To prawda, że chciałem obalić Foltesta. Nie ja jeden. Ale ja jeden pragnąłem jego śmierci, chciałem, by umarł w mękach, by oszalał, by żywcem zgnił. Wiesz, dlaczego?

Geralt milczał.

— Kochałem Addę. Królewską siostrę. Królewską kochankę. Królewską dziewczę. Kochałem ją. . . Wiedźminie, jesteś tu?

— Jestem.

— Wiem, co myślisz. Ale tak nie było. Uwierz mi, nie rzucałem żadnych uroków. Nie znam się na żadnych czarach. Tylko raz w złości powiedziałem. . . Tylko raz. Wiedźminie? Słuchasz?

— Słucham.

— To jego matka, stara królowa. To na pewno ona. Nie mogła patrzeć, że on i Adda. . . To nie ja. Ja tylko raz, wiesz, próbowałem perswadować, a Adda. . . Wiedźminie! Zamroczyło mnie i powiedziałem. . . Wiedźminie? To ja? Ja?

— To już nie ma znaczenia.

— Wiedźminie? Północ blisko?

— Blisko.

— Wypuść mnie wcześniej. Daj mi więcej czasu.

— Nie.

Ostrit nie usłyszał zgrzytu odsuwanej płyty grobowca, ale wiedźmin tak. Pochylił się i rozciął sztyletem więzy wielmoży. Ostrit nie czekał na żadne słowa, zerwał się, niezgrabnie pokuśtykał zdrętwiały, pobiegł. Jego wzrok na tyle już przyzwyczał się do ciemności, że widział drogę prowadzącą z głównej sali do wyjścia.

Z hukiem wyskoczyła z podłogi płyta blokująca wejście do krypty. Geralt, przezornie ukryty za balustradą schodów, dostrzegł pokraczną postać strzygi, pędzącą zwinnie, szybko i nieomylnie w ślad za oddalającym się tupotem butów Ostrita. Strzyga nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Potworny, rozedrgany, opętańczy wrzask rozdarł noc, wstrząsnął starymi murami i trwał, wznosząc się i opadając, wibrując. Wiedźmin nie mógł dokładnie ocenić odległości — jego wyczulony słuch mylił — ale wiedział, że strzyga dopadła Ostrita szybko. Za szybko.

Wyszedł na środek sali, stanął tuż przy wejściu do krypty. Odrzucił płaszcz. Poruszył barkami, poprawiając ułożenie miecza. Naciągnął rękawice. Miał jeszcze chwilę czasu. Wiedział, że strzyga, choć najedzona po ostatniej pełni, nie

porzuci prędko trupa Ostrita. Serce i wątroba były dla niej cennym zapasem pożywienia na długie trwanie w letargu.

Wiedźmin czekał. Do jutrzeńki, jak obliczał, pozostawało jeszcze około trzech godzin. Pianie koguta mogłoby go tylko zmylić. W okolicy nie było zresztą prawdopodobnie żadnych kogutów.

Usłyszał. Szła powoli, człapiąc po posadzce. A potem zobaczył ją.

Opis był dokładny. Nieproporcjonalnie duża głowa osadzona na krótkiej szyi okolona była splątana, wijącą się aureolą czerwonych włosów. Oczy świeciły w mroku jak dwa karbunkuły. Strzyga stała nieruchomo, wpatrzona w Geralta. Nagle otworzyła paszczę — jak gdyby chwając się rzędami białych, spiczastych zębisk, po czym kłapnęła zuchwą z trzaskiem przypominającym zamykanie skrzyni. I od razu skoczyła, z miejsca, bez rozbiegu, godząc w wiedźmina okrwawionymi pazurami.

Geralt odskoczył w bok, zawirował w błyskawicznym piruecie, strzyga otarła się o niego, też zawirowała, tnąc powietrze szponami. Nie straciła równowagi, zaatakowała ponownie, natychmiast, z półobrotu, kłapiąc zębami tuż przed pierśią Geralta. Riv odskoczył w drugą stronę, trzykrotnie zmienił kierunek obrotu w furkoczącym piruecie, zdeorientował strzygę. Odskakując, mocno, choć bez zamachu, uderzył ją w bok głowy srebrnymi kolcami osadzonymi na wierzchniej stronie rękawicy, na knykciach.

Strzyga zaryczała potwornie, wypełniając dworzyszczę dudniącym echem, przypadła do ziemi, zamarła i poczęła wyć, głucho, złowrogo, wściekle.

Wiedźmin uśmiechnął się złośliwie. Pierwsza próba, tak jak liczył, wypadła pomyślnie. Srebro było zabójcze dla strzygi, jak dla większości potworów powołanych do życia przez czary. Istniała więc szansa: bestia była jak inne, a to mogło gwarantować pomyślne odczarowanie, zaś srebrny miecz, ostateczność, mógł gwarantować mu życie.

Strzyga nie spieszyła się z następnym atakiem. Tym razem zbliżała się wolno, szczerząc kły, śliniąc się obrzydliwie. Geralt cofnął się, szedł półkolem, ostrożnie stawiając kroki, zwalniając i przyspieszając ruchy dekoncentrował strzygę, utrudnił jej spięcie się do skoku. Idąc wiedźmin rozwijał długi, cienki, mocny łańcuch, obciążony na końcu. Łańcuch był ze srebra.

W momencie gdy strzyga sprężyła się i skoczyła, łańcuch świsnął w powietrzu i zwijając się jak wąż, w okamgnieniu oplótł ramiona, szyję i głowę potwora. Strzyga zwała się w skoku, wydając przeszywający uszy wizm. Miotła się po posadzce, rycząc okropnie, nie wiadomo było, z wściekłości czy z palącego bólu, jaki zadawał jej nienawistny metal. Geralt był zadowolony — zabicie strzygi, gdyby tego chciał, nie przedstawiało w tej chwili wielkiego problemu. Ale wiedźmin nie dobywał miecza. Jak do tej pory nic w zachowaniu strzygi nie dawało powodów przypuszczać, że mógłby to być przypadek nieuleczalny. Geralt cofnął się

na odpowiednią odległość i nie spuszczać wzroku z kotłującego się na posadzce kształtu, oddychał głęboko, koncentrował się.

Łańcuch pękł, srebrne ogniwa, jak deszcz, sypnęły się na wszystkie strony, dzwoniąc po kamieniu. Zaślepią wściekłością strzyga runęła do ataku wyjąc. Geralt czekał spokojnie, uniesioną prawą dłonią kreślił przed sobą Znak Aard.

Strzyga poleciała w tył kilka kroków jak uderzona młotem, ale utrzymała się na nogach, wyciągnęła szpony, obnażyła kły. Jej włosy uniosły się i załopotały, jak gdyby szła pod gwałtowny wiatr. Z trudem, charcząc, krok po kroku, powoli szła. Jednak szła.

Geralt zaniepokoił się. Nie oczekiwał, że tak prosty Znak zupełnie sparaliżuje strzygę, ale i nie spodziewał się, że bestia pokona opór tak łatwo. Nie mógł trzymać Znaku zbyt długo, było to zbyt wyczerpujące, a strzyga miała już do przebycia nie więcej niż dziesięć kroków. Raptownie zdjął Znak i odskoczył w bok. Tak jak oczekiwał, zaskoczona strzyga poleciała naprzód, straciła równowagę, przewróciła się, pośliznęła po posadzce i stoczyła w dół po schodach, w ziejący w podłodze otwór wejścia do krypty. Z dołu rozległo się jej potępieńcze wycie.

Aby zyskać na czasie, Geralt skoczył na schody prowadzące na galerijkę. Nie przebył nawet połowy stopni, gdy strzyga wypadła z krypty, pędząc jak ogromny czarny pająk. Wiedźmin odczekał, aż wbiegnie za nim na schody, po czym przesadził balustradę, zeskoczył w dół. Strzyga zakreśliła się na schodach, odbiła i poleciała na niego w nieprawdopodobnym, ponad dziesięciometrowym skoku. Nie dała się już tak łatwo zwieść jego piruetom — dwukrotnie, jej szpony naczyniły skórzany kaftan Riva. Ale ponowny, rozpaczliwie mocny cios srebrnych kolców rękawicy odrzucił strzygę, zachwiał nią. Geralt, czując wzbierającą w sobie wściekłość, zakotłował się, wygiął tułów do tyłu i potężnym kopniakiem w bok zwałił bestię z nóg.

Ryk, jaki wydała, był głośniejszy od wszystkich poprzednich. Aż tynk posypał się z sufitu.

Strzyga zerwała się, dygocąc z nieopanowanej złości i żądzy mordy. Geralt czekał. Już dobył miecza, opisywał nim w powietrzu koła, szedł, okrążał strzygę, bacząc, by ruchy miecza były niezgodne z rytmem i tempem jego kroków. Strzyga nie skoczyła, zbliżała się powoli, wodząc oczami za jasną smugą klingi.

Geralt raptownie zatrzymał się, zamarł z uniesionym mieczem. Strzyga, zdetonowana, stanęła również. Wiedźmin opisał ostrzem powolne półkole, zrobił krok w stronę strzygi. Potem jeszcze jeden. A potem skoczył, wywijając młyńca nad głową.

Strzyga skuliła się, zrejterowała zygzakiem, Geralt był znowu blisko, klinga migotała mu w dłoni. Oczy wiedźmina rozpalili się złowrogim blaskiem, zza zacisniętych zębów rwał się chrapliwy ryk. Strzyga znów cofnęła się pchnięta do tyłu mocą skoncentrowanej nienawiści, złości i przemocy emanujących z atakującego ją człowieka, bijących w nią falami, wdzierających się do mózgu i trzewi.

Przerazona aż do bólu nieznanym jej dotychczas uczuciem wydała z siebie roztrzęsiony, cienki kwik, zakręciła się w miejscu i rzuciła do obłąkańczej ucieczki w mroczną płataninę korytarzy dworzyszca.

Geralt, wstrząsany dreszczem, stał pośrodku sali. Sam. Długo to trwało, pomyślał, zanim ten taniec na skraju przepaści, ten szaleńczy, makabryczny balet walki doprowadził do oczekiwanego rezultatu, pozwolił mu na osiągnięcie psychicznej jedności z przeciwnikiem, na dobranie się do pokładów skupionej woli, która przepełniała strzygę. Złej, chorobliwej woli, z mocy której strzyga powstała. Wiedźmin zadygotał na wspomnienie momentu, w którym wchłonał w siebie ten ładunek zła, by skierować go, jak zwierciadłem, na potwora. Nigdy jeszcze nie spotkał się z taką koncentracją nienawiści i morderczego szału, nawet u bazyliiszków cieszących się pod tym względem najgorszą sławą.

Tym lepiej, myślał, idąc w stronę wejścia do krypty czerniejącego w podłodze jak ogromna kałuża. Tym lepiej, tym mocniejsze uderzenie odebrała sama strzyga. To mu da trochę więcej czasu na dalsze działanie, zanim bestia otrząśnie się z szoku. Wiedźmin wątpił, czy zdobyłby się na jeszcze jeden podobny wysiłek. Działanie eliksirów słabło, a świt był jeszcze daleko. Strzyga nie może dostać się do krypty przed jutrzenką, inaczej cały dotychczasowy trud zda się na nic.

Zszedł po schodach. Krypta była nieduża, mieściła trzy kamienne sarkofagi. Pierwszy od wejścia miał na wpół odsuniętą pokrywę. Geralt wydobył zza pazuchy trzeci flakonik, wypił szybko jego zawartość, wszedł do grobowca, zanurzył się w nim. Tak jak oczekiwał, grobowiec był podwójny — dla matki i córki.

Zasunął pokrywę dopiero wtedy, gdy z góry usłyszał znów ryk strzygi. Położył się na wznak obok zmumifikowanych zwłok Addy, na płycie od wewnątrz nakreślił Znak Yrden. Na piersiach położył miecz i postawił maleńką klepsydrę wypełnioną fosforyzującym piaskiem. Skrzyżował ręce. Nie słyszał już wrzasków strzygi przetrząsającej dworzyszczę. Przeształ słyszeć cokolwiek, bo czworolist i jaskótcze ziele zaczynały działać.

* * *

Kiedy Geralt otworzył oczy, piasek w klepsydrze przesypał się już do końca, co oznaczało, że jego letarg był nawet dłuższy, niż należało. Nadstawił uszu — nie usłyszał nic. Jego zmysły działały już normalnie.

Ujął miecz w dłoń, przesunął ręką po pokrywie sarkofagu mruczając formułę, po czym lekko, na kilka cali, odsunął płytę.

Cisza.

Odsunął wieko bardziej, usiadł, trzymając broń w pogotowiu wystawił głowę ponad grobowiec. W krypcie było ciemno, ale wiedźmin wiedział, że na zewnątrz świta. Skrzesał ognia, zapalił miniaturowy kaganek, uniósł go, śląc na ścianę krypty dziwaczne cienie.

Pusto.

Wygramolił się z sarkofagu, obolały, zdrętwiały, zziębnięty. I wtedy dostrzegł ją. Leżała na wznak przy grobowcu, naga, nieprzytomna.

Była raczej brzydka. Szczuplutka, z małymi szpiczastymi piersiami, brudna. Włosy — płoworude — sięgały jej prawie do pasa. Stawiając kaganek na płycie ukląkł przy niej, pochylił się. Usta miała blade, na kości policzkowej duży krwiak od jego uderzenia. Geralt zdjął rękawicę, odłożył miecz, bezceremonialnie zadarł jej palcem górną wargę. Zęby miała normalne. Sięgnął po jej rękę zagrzebaną w splątanych włosach. Zanim namacał dłoń, zobaczył otwarte oczy. Za późno.

Chlasnęła go szponami po szyi, tnąc głęboko, krew bryzgnęła jej na twarz. Zawyła, godząc w oczy drugą ręką. Zwalił się na nią, łapiąc za przeguby obu rąk, przygważdżając do posadzki. Kłapnęła zębami — już za krótkimi — przed jego twarzą. Uderzył ją czołem w twarz, mocniej przydusił. Nie miała już dawnej siły, wiła się tylko pod nim, wyła, wypływając krew — jego krew — zalewającą jej usta. Krew uchodziła szybko. Nie było czasu. Wiedźmin zaklął i ugryzł ją mocno w szyję tuż pod uchem, wbił zęby i zaciskał je, dopóki nieludzkie wycie nie zmieniło się w cienki, rozpaczliwy krzyk, a potem dławiący się szloch — płacz krzywdzonej czternastoletniej dziewczynki.

Puścił ją, gdy przestała się poruszać, unióś się na kolana, wyrwał z kieszeni na rękawie kawał płótna, przycisnął go do szyi. Namacał leżący obok miecz, przyłożył nieprzytomnej dziewczynie ostrze do gardła, pochylił się nad jej dłonią. Paznokcie były brudne, połamane, zakrwawione, ale... normalne. Najzupełniej normalne.

Wiedźmin wstał z trudem. Przez wejście do krypty wlewała się już lekko-mokra szarość poranka. Ruszył ku schodom, ale zachwiał się, usiadł ciężko na posadzce. Przez przesiąknięte płótno krew lała mu się po ręce, ściekała do rękawa. Rozpiął kaftan, rozdarł koszulę, pruł, darł szmaty, wiązał je wokół szyi wiedząc, że nie ma za dużo czasu, że zaraz zemdleje...

Zdążył. I zemdłał.

W Wyzimie, za jeziorem, kogut, strosząc pióra w chłodnej wilgoci, zapiał ochryple po raz trzeci.

* * *

Zobaczył bielone ściany i belkowany sufit komnatki nad kordegardą. Poruszył głową krzywiąc się z bólu, jęknął. Szyję miał obandażowaną, grubo, solidnie, fachowo.

— Leż czarowniku — powiedział Velerad. — Leż, nie ruszaj się.

— Mój... miecz...

— Tak, tak. Najważniejszy jest oczywiście twój srebrny, wiedźmiński miecz. Jest tu, nie obawiaj się. I miecz, i kuferek. I trzy tysiące orenów. Tak, tak, nic nie

mów. To ja jestem stary dureń, a ty jesteś mądry wiedźmin. Foltest powtarza to od dwóch dni.

— Dwóch. . .

— Ano, dwóch. Nieźle rozplatała ci szyję, widać było wszystko, co tam masz w środku. Straciłeś mnóstwo krwi. Szczęściem pognaliśmy do dworzyszczu zaraz po trzecich kurach. W Wyzimie nikt nie spał tamtej nocy. Nie dało się. Okropnieście tam hałasowali. Nie męczy cię moje gadanie?

— Kró. . . lewna?

— Królowna jak królowna. Chuda. I głupawa taka jakaś. Płacze bez ustanku. I sika w łóżko. Ale Foltest mówi, że to się jej odmieni. Myślę, że nie na gorsze, co, Geralt?

Wiedźmin zamknął oczy.

— Dobrze, idę już — Velerad wstał. — Odpoczywaj. Geralt? Zanim pójdę, powiedz, dlaczego chciałeś ją zagryźć? He? Geralt?

Wiedźmin spał.

Głos rozsądku II

— Geralt.

Poderwał głowę wyrwany ze snu. Słońce było już wysoko, przymocą przepychało przez listwy okiennic oślepiająco złote plamy, penetrowało izbę mackami światła. Wiedźmin przysłonił oczy dłonią, niepotrzebnym, odruchowym gestem, którego nigdy się nie wyzbył — bo przecież wystarczyło tylko zwięzić źrenice w pionowe szparki.

— Już późno — powiedziała Nenneke, otwierając okiennice. — Zaspaliście. Iola, zmykaj. Już cię tu nie ma.

Dziewczyna uniosła się gwałtownie, wychyliła z łoża, podnosząc opończę z podłogi. Na ramieniu, w miejscu, gdzie były przed chwilą jej usta, Geralt czuł strużkę stygnącej śliny.

— Zaczekaj... — powiedział niepewnie. Spojrzała na niego, szybko odwróciła głowę.

Zmieniła się. Nie miała już w sobie nic z rusałki, nic ze świetlistej, rumiankowej zjawy, którą była o świcie. Jej oczy były modre, nie czarne. I była piegowata — na nosie, na dekolcie, na ramionach. Piegi te były wcale wdzięczne, pasowały do jej karnacji i rudawych włosów. Ale nie widział ich wtedy, o świcie, gdy była jego snem. Ze wstydem i przykrością stwierdził, że to, co czuje, to żal do niej, żal o to, że nie pozostała marzeniem. I że nigdy sobie nie wybaczy tego żalu.

— Zaczekaj — powtórzył. — Iola... Chciałem...

— Nie mów nic do niej, Geralt — powiedziała Nenneke. — I tak ci nie odpowie. Zmykaj, Iola. Pospiesz się, dziecko.

Dziewczyna, owinięta opończą, podreptała w stronę drzwi, klaszcząc po posadzce bosymi stopami, zakłopotana, zaróżowiona, niezręczna. W niczym nie przypominała już...

Yennefer.

— Nenneke — powiedział, sięgając po koszulę. — Mam nadzieję, że nie masz pretensji... Chyba jej nie ukarzesz?

— Głupis — parsknęła kapłanka, podchodząc do łoża. — Zapomniałeś gdzie jesteś. To nie pustelnia ani konwent. To świątynia Melitele. Nasza bogini nie zabrania kapłankom. . . niczego. Prawie.

— Zabroniłaś mi mówić do niej.

— Nie zabroniłam, zwróciłam uwagę na bezcelowość. Iola milczy.

— Co?

— Milczy, bo uczyniła taki ślub. To rodzaj wyrzeczenia, dzięki któremu. . . Ach, co ja będę ci tłumaczyć, i tak nie zrozumiesz, nawet nie będziesz próbował zrozumieć. Znane mi są twoje poglądy na religię. Nie, nie ubieraj się jeszcze. Chcę sprawdzić, jak goi się twoja szyja.

Usiadła na skraju łoża, wprawnie odwinęła Iniane bandażę, grubo omotując szyję wiedźmina. Skrzywił wargi z bólu.

Zaraz po przybyciu do Ellander Nenneke usunęła paskudne grube szwy z szewskiej dratwy, którą zszyto go w Wyzimie, otworzyła ranę i ponownie opatrzyła. Skutek był oczywisty — do świątyni przyjechał prawie zdrowy, no, może trochę sztywny. Teraz zaś był znowu chory i obolały. Ale nie protestował. Znał kapłankę od lat, wiedział, jak ogromna jest jej wiedza o leczeniu i jak bogatą i wszechstronną apteką dysponuje. Kuracja w świątyni Melitele mogła mu wyjść wyłącznie na dobre.

Nenneke obmacała ranę, przemyła ją i zaczęła kłać. Znał to już na pamięć, zaczęła zaraz pierwszego dnia i nie zapomniała psioczyć za każdym razem, ilekroć zobaczyła pamiątkę po szponach królowny z Wyzimy.

— Coś potwornego! Żeby się tak dać pochlastać zwykłej strydze! Mięśnie, ścięgna, o mały włos poszłaby tętnica szyjna! Na Wielką Melitele, Geralt, co się z tobą dzieje? Jak to się stało, że dopuściłeś ją tak blisko? Coś ty chciał z nią zrobić? Wychędożyć?

Nie odpowiedział, uśmiechnął się lekko.

— Nie uśmiechaj się głupkowato. — Kapłanka wstała, wzięła z komody torbę z opatrunkami. Pomimo tuszy i niskiego wzrostu poruszała się zwinnie i z wdziękiem. — W tym, co się stało, nie ma niczego zabawnego. Tracisz refleks, Geralt.

— Przesadzasz.

— Wcale nie przesadzam — Nenneke przykleiła do rany zieloną papkę wydzielającą ostry zapach eukaliptusa. — Nie powinieneś dać się zranić, a dałeś, i to bardzo poważnie. Wręcz fatalnie. Nawet przy twoich niebywałych zdolnościach regeneracyjnych minie kilka miesięcy, zanim odzyskasz pełną mobilność szyi. Ostrzegam cię, w tym czasie nie próbuj sił w walce z ruchliwym przeciwnikiem.

— Dziękuję za ostrzeżenie. Udziel mi może jeszcze rady: z czego mam w tym czasie żyć? Skrzyknąć kilka pańienek, kupić wóz i zorganizować objazdowy dom rozpusty?

Nenneke wzruszyła ramionami, bandażując mu szyję szybkimi, pewnymi ruchami pulchnych dłoni.

— Mam udzielać ci rad i życiowych nauk? Co to, jestem twoją matką, czy jak? No, gotowe. Możesz się ubrać. W refektarzu czeka na ciebie śniadanie. Pospiesz się, w przeciwnym razie będziesz sobie pitrasiał sam. Nie mam zamiaru trzymać dziewcząt w kuchni do południa.

— Gdzie cię później znajdę? W sanktuarium?

— Nie. — Nenneke wstała. — Nie w sanktuarium. Jesteś tu mile widzianym gościem, wiedźminie, ale po sanktuarium mi się nie pętaj. Idź się przejść. A znaleźć to ja cię sama znajdę.

— Dobrze.

* * *

Geralt przeszedł się po raz czwarty topolową alejką prowadzącą od bramy ku budynkom mieszkalnym i w stronę wtopionego w urwistą skałę bloku sanktuarium i głównej świątyni. Po krótkim namyśle zrezygnował z powrotu pod dach, skręcił w kierunku ogrodów i zabudowań gospodarskich. Kilkanaście kapłanek w szarych roboczych szatach pracowało tam pilnie przy pieleniu grządek i karmieniu ptactwa w kurnikach. Przeważały wśród nich młode i bardzo młode, nieledwie dzieci. Niektóre, przechodząc obok, pozdrowiały go skinieniem głowy lub uśmiechem. Odpowiadał na pozdrowienia, ale nie rozpoznawał żadnej. Choć bywał w świątyni często, raz, niekiedy nawet dwa razy do roku, nigdy nie natrafiał na więcej niż trzy, cztery znajome twarze. Dziewczęta przychodziły i odchodziły — jako wieszczki do innych świątyń, jako położne i wyspecjalizowane w chorobach kobiecych i dziecięcych uzdrowicielki, jako wędrowne druidki, nauczycielki lub guwernantki. Ale nigdy nie brakowało nowych, przybywających zewsząd, nawet z najdalszych okolic. Świątynia Melitele w Ellander była znana i cieszyła się zasłużoną sławą.

Kult bogini Melitele był jednym z najstarszych, a swego czasu jednym z najbardziej rozpowszechnionych, a początki swe wywodził z niepamiętnych, przedludzkich jeszcze czasów. Każda nieledwie przedludzka rasa i każde pierwotne, koczownicze jeszcze ludzkie plemię czciły jakąś boginię urodzaju i płodności, opiekunkę rolników i ogrodników, patronkę miłości i małżeństwa. Większość z tych kultów skupiła się i zlała w kult Melitele.

Czas, który dość nielitościwie obszedł się z innymi religiami i kultami, skutecznie izolując je w zapomnianych, rzadko odwiedzanych, zatopionych w zabudowie miast świątynkach i chramach, okazał się łaskaw dla Melitele. Melitele nadal nie brakowało ani wyznawców, ani sponsorów. Uczeni, analizujący to zjawisko, tłumacząc popularność bogini zwykli sięgać do prakultów Wielkiej Macierzy, Matki Natury, wskazywali na powiązania z cyklem przyrody, z odradzaniem się życia i innymi, szumnie nazywanymi zjawiskami. Przyjaciel Geralta, trubadur

Jaskier lubiący uchodzić za specjalistę we wszystkich możliwych dziedzinach, szukał prostszych wyjaśnień. Kult Melitele wywodził, jest kultem typowo kobiecym. Melitele jest wszak patronką płodności, rodzenia, jest opiekunką położnic. A rodząca kobieta musi krzyczeć. Oprócz zwykłych wrzasków, treścią których są zwykle obiecanki — cacanki, że już nigdy w życiu nie odda się żadnemu parszywemu chłopu, rodząca kobieta musi wzywać na ratunek jakieś bóstwo, a Melitele jest do tego w sam raz. A ponieważ kobiety rodziły, rodzą i będą rodzić, udowodniał poeta, przeto bogini Melitele nie musi obawiać się o popularność.

— Geralt.

— Jesteś, Nenneke. Rozglądałem się za tobą.

— Za mną? — kapłanka spojrzała na niego drwiącym wzrokiem. — Nie za Iolą?

— Za Iolą również — przyznał. — Masz coś przeciw temu?

— W tej chwili tak. Nie chcę, byś jej przeszkadzał i rozpraszał ją. Musi się przygotowywać i modlić, jeśli coś ma wyjść z tego transu.

— Już ci mówiłem — rzekł zimno — że nie chcę żadnego transu. Nie sądzę, by taki trans w czymkolwiek mi pomógł.

— Ja zaś — wykrzywiła się lekko Nenneke — nie sądzę, żeby taki trans w czymkolwiek ci zaszkodził.

— Mnie nie da się zahipnotyzować, mam immunitet. Boję się o Iolę. To może być za duży wysiłek dla medium.

— Iola nie jest żadnym medium ani umyślowo chorą wróżbitką. To dziecko cieszy się szczególną łaską bogini. Nie rób głupich min, jeśli łaska. Mówiłam, twoje poglądy na religię są mi znane, nigdy nie przeszkadzało mi to zbytnio i w przyszłości też zapewne przeszkadzać nie będzie. Nie jestem fanatyczką. Ty masz prawo uważać, że rządzi nami Natura i ukryta w niej Moc. Wolno ci mniemać, że bogowie, w tym i moja Melitele, to jedynie personifikacja tej siły wymyślona na użytek prostaczków po to, by łatwiej ją zrozumieli, by zaakceptowali jej istnienie. Według ciebie, ta siła jest siłą ślepą. A dla mnie, Geralt, wiara pozwala oczekiwać od natury tego, co uosabia moja bogini: ładu, prawa, dobra. I nadziei.

— Wiem.

— Jeśli to wiesz, skąd zastrzeżenia co do transu? Czego się obawiasz? Że każę ci bić czołem o posadzkę przed posągiem i śpiewać kantyczki? Geralt, my po prostu posiedzimy chwilę razem, ty, ja i Iola. I zobaczymy, czy zdolności tej dziewczyny pozwolą poczytać w kłębowisku sił, które cię otacza. Może dowiemy się czegoś, o czym dobrze byłoby wiedzieć. A może niczego się nie dowiemy. Może otaczające cię moce przeznaczenia nie zechcą objawić się nam, pozostaną ukryte i niezrozumiałe. Nie wiem tego. Ale dlaczego nie mielibyśmy spróbować?

— Dlatego, że to nie ma sensu. Nie otacza mnie żadne kłębowisko przeznaczenia. A jeśli nawet, to po diabła w nim grzebać?

— Geralt, ty jesteś chory.

— Ranny, chciałaś powiedzieć.

— Wiem, co chciałam powiedzieć. Coś jest z tobą nie tak, wyczuwam to. Przecież znam cię od takiego, o, wyrostka, gdy cię poznałam, sięgałeś mi do paska spódnicy. A teraz czuję, że kręcisz się w jakimś cholernym wirze, zaplątany ze szczeniem, zadzierzgnięty w pętle, która zaciska się powoli. Chcę wiedzieć, o co chodzi. Sama nie potrafię, muszę się zdać na zdolności Ioli.

— Nie za głęboko chcesz sięgać? Po co ta metafizyka? Jeśli chcesz, pozwieram ci się. Wypełnię ci wieczory opowieściami o co ciekawszych wydarzeniach ostatnich kilku lat. Zorganizuj antałek piwa, by mi w gardle nie zaschło, i możemy zacząć choćby dziś. Obawiam się jednak, że cię zanudzę, bo żadnych pętli i kłębowisk tam nie znajdziesz. Ot, zwykłe wiedźmińskie historie.

— Posłucham z chęcią. Ale trans, powtarzam, nie zaszkodziłby.

— A nie sądzisz — uśmiechnął się — że moja niewiara w sens takiego transu z góry przekreśla jego celowość?

— Nie, nie sądzę. A wiesz, dlaczego?

— Nie.

Nenneke pochyliła się, spojrzała mu w oczy, z dziwnym uśmiechem na bladych wargach.

— Bo byłby to pierwszy znany mi dowód na to, że niewiara ma jakąkolwiek moc.

Ziarno prawdy

Czarne punkciki na jasnym, poznaczonym pasmami mgły tle nieba, poruszając się przyciągnęły uwagę wiedźmina. Było ich wiele. Ptaki krążyły, zataczając wolne, spokojne kręgi, potem raptownie zniżały lot i zaraz znów wzlatywały w górę, bijąc skrzydłami.

Wiedźmin obserwował ptaki przez dłuższy czas, oceniał odległość i przypuszczalny czas, potrzebny na jej pokonanie, z poprawką na rzeźbę terenu, gęstwę lasu, na głębokość i przebieg jaru, który podejrzewał na trasie. Wreszcie odrzucił płaszcz, o dwie dziurki skrócił pas, na ukos przecinający pierś. Głowica i rękojeść miecza przerzuconego przez plecy wyjrzały znad prawego barku.

— Nadłożymy trochę drogi, Płotka — powiedział. — Zjedziemy z traktu. Ptaszyska, jak mi się zdaje, nie krążą tam bez przyczyny.

Klacz, rzecz jasna, nie odpowiedziała, ale ruszyła z miejsca, posłuszna głosowi, do którego przywykła.

— Kto wie, może to jest padły łoś — mówił Geralt. — Ale może to nie łoś. Kto wie?

Jar był rzeczywiście tam, gdzie się go spodziewał — w pewnym momencie wiedźmin z góry spojrział na korony drzew, ciasno wypełniające rozpadlinę. Zbocza wąwozu były jednak łagodne, a dno suche, bez tarniny, bez gnijących pni. Pokonał jar łatwo. Po drugiej stronie był brzozowy zagajnik, za nim duża polana, wrzosowisko i wiatrołom, wyciągający w górę macki poplątanych gałęzi i korzeni.

Ptaki, spłoszone pojawieniem się jeźdźca, wzbiły się wyżej, zakrakały dziko, ostro, chrapliwie.

Geralt od razu zobaczył pierwsze zwłoki — biel baraniego kozuska i matowy błękit sukni wyraźnie odcinały się od pożółkłych kęp turzycy. Drugiego trupa nie widział, ale wiedział, gdzie leży — położenie zwłok zdradzała pozycja trzech wilków, które patrzyły na jeźdźca spokojnie, przysiadłszy na zadach. Klacz wiedźmina parsknęła. Wilki, jak na komendę, bezszelestnie, nie spiesząc się potruchały w las, co jakiś czas odwracając w stronę przybysza trójkątne głowy. Geralt zeskończył z konia.

Kobieta w kozuszkę i błękitnej sukni nie miała twarzy, gardła i większej części lewego uda. Wiedźmin minął ją, nie schylając się.

Mężczyzna leżał twarzą ku ziemi. Geralt nie odwracał ciała, widząc, że i tu wilki i ptaki nie próżnowały. Nie było zresztą potrzeby dokładniejszego oglądania zwłok — ramiona i plecy wełnianego kubraka pokrywał czarny, rozgałęziony desień zaschniętej krwi. Było oczywiste, że mężczyzna zginął od ciosu w kark, zaś wilki zmasakrowały ciało dopiero później.

Na szerokim pasie, obok krótkiego korda w drewnianej pochwie, mężczyzna nosił skórzaną sakwę. Wiedźmin zerwał ją, wyrzucił kolejno w trawę krzesiwo, kawałek kredy, wosk do pieczętowania, garść srebrnych monet, składany nożyk do golenia w kościanej oprawie, królicze ucho, trzy klucze na kółku, amulet z fallicznym symbolem. Dwa listy, pisane na płótnie, zawilgły od deszczu i rosy, runy rozlały się, zamazały. Trzeci, na pergaminie, był również zniszczony wilgocią, ale czytelny. Był to list kredytowy, wystawiony przez krasnoludzki bank w Murivel na kupca o nazwisku Rulle Asper lub Aspen. Suma akredytywy była niewielka.

Schyliwszy się Geralt uniósł prawą rękę mężczyzny. Tak jak się spodziewał, miedziany pierścień, wrzynający się w opuchły i zsiniały palec, nosił znak cechu płatnerzy — stylizowany hełm z przyłbicą, dwa skrzyżowane miecze i runę A wrytą pod nimi.

Wiedźmin wrócił do trupa kobiety. Kiedy odwracał ciało, coś ukuło go w palec. Była to róża przypięta do sukni. Kwiat zwiędł, ale nie stracił koloru — płatki były ciemnoniebieskie, prawie granatowe. Geralt po raz pierwszy w życiu widział taką różę. Odwrócił ciało zupełnie i drgnął.

Na odsłoniętym, zdeformowanym karku kobiety wyraźnie widać było ślady zębów. Nie wilczych.

Wiedźmin cofnął się ostrożnie do konia. Nie spuszczać wzroku ze skraju lasu, wspiął się na siodło. Dwukrotnie okrążył polanę, pochylony, bacznie lustrował ziemię, rozglądając się.

— Tak, Płotka — powiedział cicho, wstrzymując konia. — Sprawa jasna, choć nie do końca. Płatnerz i kobieta przyjechali konno, od strony tamtego lasu. Byli ponad wszelką wątpliwość w drodze z Murivel do domu, bo nikt nie wozi ze sobą długo nie zrealizowanych akredytyw. Dlaczego jechali tędy, a nie traktem, nie wiadomo. Ale jechali przez wrzosowisko, bok w bok. I wówczas, nie wiem dlaczego, oboje zsiadli lub spadli z koni. Płatnerz zginął natychmiast. Kobieta biegła, potem upadła i również zginęła, a to coś, co nie zostawiło śladów, ciągnęło ją po ziemi, trzymając zębami za kark. To się wydarzyło dwa lub trzy dni temu. Konie rozbiegły się, nie będziemy ich szukać.

Klacz, rzecz jasna, nie odpowiedziała, prychała niespokojnie, reagując na znany sobie ton głosu.

— To coś, co zabiło oboje — ciągnął Geralt, patrząc na skraj lasu — nie było ani wilkołakiem, ani leszym. Ani jeden, ani drugi nie zostawiliby tyle dla

padlinożerców. Gdyby tu były bagna, powiedziałbym, że to kikumora albo wipper. Ale tu nie ma bagien.

Schyliwszy się, wiedźmin odwinął nieco derkę przykrywającą bok konia, odsłaniając przytroczony do juków drugi miecz z błyszczącym, ozdobnym jelcem i czarną karbowaną rękojeścią.

— Tak, Płotka. Nadłożymy drogi. Trzeba sprawdzić, czemu płatnerz i kobieta jechali przez bór, a nie traktem. Jeżeli będziemy obojętnie omijać takie wydarzenia, nie zarobimy nawet na owies dla ciebie, prawda, Płotka?

Klacz posłusznie ruszyła do przodu, poprzez wiatrołom, ostrożnie przestępując wykroty.

— Chociaż to nie wilkołak, nie będziemy ryzykować — ciągnął wiedźmin, wydobywając z torby u siodła zasuszony bukciek tojadu i wieszając go przy munsztuku. Klacz parsknęła. Geralt rozsznurował nieco kaftan pod szyją, wydobyl na zewnątrz medalion z wyszczerzoną wilczą paszczą. Medalion, zawieszony na srebrnym łańcuszku, podrygiwał w rytm chodu konia, jak rtęć rozbłyśkując w promieniach słońca.

* * *

Czerwone dachówki stożkowatego dachu wieży dostrzegł po raz pierwszy ze szczytu wzniesienia, na które wspiął się, ścinając łuk zakrętu niewyraźnej ścieżki. Zbocze, porośnięte leszczyną, zatarasowane zeschniętymi gałęziami, usłane grubym dywanem żółtych liści, nie było zbyt bezpieczne dla zjazdu. Wiedźmin wycofał się, ostrożnie zjechał po pochyłości, wrócił na ścieżkę. Jechał powoli, co jakiś czas wstrzymywał konia, zwisając z kulbaki wypatrywał śladów.

Klacz targnęła łbem, zarżała dziko, zatupała, zatańczyła na ścieżce, wzbijając kurzawę zeschniętych liści. Geralt, oplatając szyję konia lewym ramieniem, dłonią prawej ręki, złożywszy palce w Znak Aksji, wodził nad łbem wierzchowca, szepcząc zaklęcie.

— Aż tak źle? — mruzczał, rozglądając się dookoła, nie zdejmując Znaku. — Aż tak? Spokojnie, Płotka, spokojnie.

Czar szybko podzielał, ale szturchnięta piętą klacz ruszyła z ociąganiem, tępo, nienaturalnie, tracąc elastyczny rytm chodu. Wiedźmin zwinnie zeskoczył na ziemię, poszedł dalej pieszo, ciągnąc konia za uzdę. Zobaczył mur.

Pomiędzy murem a lasem nie było odstępu, wyraźnej przerwy. Młode drzewka i krzaki jałowców mieszały liście z bluszczem i dzikim winem, uczepionym kamiennej ścianie. Geralt zadarł głowę. W tym samym momencie poczuł, jak do karku drażniąc, podnosząc włosy, przysysa się i porusza pełznąco niewidzialne miękkie stworzonko. Wiedział, co to jest.

Ktoś patrzył.

Odwrócił się wolno, płynnie. Płotka parsknęła, mięśnie na jej szyi zadrgały, poruszyły się pod skórą.

Na zboczu wzniesienia, z którego przed chwilą zjechał, stała nieruchomo dziewczyna wsparta jedną ręką o pień olchy. Jej biała powłóczysta suknia kontrastowała z połyskliwą czernią długich rozczochranych włosów spadających na ramiona. Geraltowi wydało się, że się uśmiecha, ale nie był pewien — była za daleko.

— Witaj — rzekł, unosząc dłoń w przyjaznym geście. Zrobił krok w stronę dziewczyny. Ta, lekko obracając głowę, śledziła jego poruszenia. Twarz miała bladą, oczy czarne i ogromne. Uśmiech — o ile to był uśmiech — znikł z jej twarzy jak starty ścierką. Geralt zrobił jeszcze jeden krok. Liście zaszeleściły. Dziewczyna zbiegła po zboczu jak sarna, przemknęła pomiędzy krzakami leszczyny, była już tylko białą smugą, gdy znikła w głębi lasu. Długa suknia zdawała się zupełnie nie ograniczać swobody jej ruchów.

Klacz wiedźmina zarżała jękliwie, podrywając w górę łeb. Geralt, wciąż patrząc w kierunku lasu, odruchowo uspokoił ją Znakiem. Ciągnąc konia za uzdę, poszedł dalej powoli wzdłuż muru, tonąc po pas wśród łopianów.

Brama, solidna, okuta żelazem, osadzona na przerdzewiałych zawiasach, opatrzona była wielką mosiężną kołatką. Po chwili wahania Geralt wyciągnął rękę i dotknął zaśnieżonego kółka. Odskoczył natychmiast, bo w tej samej chwili brama rozwarła się, skrzypiąc, chrzęszcząc, rozgarniając na boki kępki trawy, kamyki i gałązki. Za bramą nie było nikogo — wiedźmin widział tylko pusty dziedziniec, zaniedbany, zarośnięty pokrzywą. Wszedł ciągnąc konia za sobą. Oszołomiona Znakiem klacz nie opierała się, ale nogi stawiała sztywno i niepewnie.

Dziedziniec z trzech stron okolony był murem i resztkami drewnianych rusztowań, czwartą stanowiła fasada pałacyku, pstrokata ospą poodpadanego tynku, brudnymi zaciekami, girlandami bluszczu. Okiennice, z których oblaża farba, były zamknięte. Drzwi również.

Geralt przerzucił wodze Płotki przez słupek przy bramie i poszedł wolno w stronę pałacyku żwirową alejką, wiodącą obok niskiej cembrowiny niedużej fontanny pełnej liści i śmiecia. W środku fontanny, na fantazyjnym cokole, prężył się delfin wykuty z białego kamienia, wyginając w górę obtłuczony ogon.

Obok fontanny, na czymś, co bardzo dawno temu było klombem, rósł krzak róży. Niczym oprócz koloru kwiatów krzak ten nie różnił się od innych krzaków róży, jakie przychodziło oglądać Geraltowi. Kwiaty stanowiły wyjątek — miały kolor indyga, z lekkim odcieniem purpury na końcach niektórych płatków. Wiedźmin dotknął jednego, zbliżył twarz, powąchał. Kwiaty miały typowy dla róż zapach, ale nieco bardziej intensywny.

Drzwi pałacyku — i równocześnie wszystkie okiennice — otwarły się z trzaskiem. Geralt raptownie uniósł głowę. Alejką, zgrzytając żwirem, pędził prosto na niego potwór.

Prawa ręka wiedźmina błyskawicznie pomknęła do góry ponad prawe ramię, w tym samym momencie lewa targnęła mocno za pas na piersi, przez co rękojeść miecza sama wskoczyła do dłoni. Brzeszczot, z sykiem wyskakując z pochwy, opisał krótkie świetliste półkole i zamarł, wymierzony ostrzem w kierunku szarżującej bestii. Potwór na widok miecza wyhamował, zatrzymał się. Żwir prysnął na wszystkie strony. Wiedźmin ani drgnął.

Stwór był człekokształtny, ubrany w podniszczone, ale dobrego gatunku odzienie, nie pozbawione gustownych, choć całkowicie niefunkcjonalnych ozdób. Człekokształtność sięgała jednak nie wyżej niż przybrudzona kryza kaftana — nad nią wznosił się bowiem olbrzymi, kosmaty jak u niedźwiedzia łeb z ogromnymi uszami, parą dzikich ślepi i przerażającą paszczą pełną krzywych kłów, w której, niby płomień, migotał czerwony ozór.

— Precz stąd, człeku śmiertelny! — ryknął potwór, machając łapami, ale nie ruszając się z miejsca. — Bo pożrę cię! Na sztuki rozedrę!

Wiedźmin nie poruszył się, nie opuścił miecza.

— Głuchy jesteś? Precz stąd! — wrzasnęło stworzenie, po czym wydało z siebie odgłos będący czymś pośrednim pomiędzy kwikiem wieprza a rykiem jelenia samca. Okiennice we wszystkich oknach zakłapały i załomotały, strząsając gruz i tynk z parapetów. Ani wiedźmin, ani potwór nie poruszyli się.

— Umykaj, pókiś cały! — zaryczał stwór, ale jak gdyby mniej pewnie. — Bo jak nie, to...

— To co? — przerwał Geralt.

Potwór zasapał gwałtownie, przekrzywił potworną głowę.

— Patrzcie go, jaki śmiały — rzekł spokojnie, szczerząc kły, łypiąc na Geraltą przekrwionym ślepiem. — Opuść to żelazo, jeśli łaska. Może nie dotarło do ciebie, że znajdujesz się na podwórzu mojego własnego domu? A może tam, skąd pochodzisz, jest zwyczaj wygrażania gospodarzowi mieczem na jego własnym podwórzu?

— Jest — potwierdził Geralt. — Ale tylko względem gospodarzy, którzy witają gości rykiem i zapowiedzią rozrywania na sztuki.

— A, zaraza — podniecił się potwór. — Jeszcze mnie będzie obrażał, przybłęda. Gość się znalazł! Pcha się na podwórze, niszczy cudze kwiaty, panoszy się i myśli, że zaraz wyniosą chleb i sól. Tfu!

Stwór splunął, sapnął i zamknął paszczę. Dolne kły pozostały na wierzchu, nadając mu wygląd odyńca.

— I co? — rzekł wiedźmin po chwili, opuszczając miecz. — Będziemy tak stać?

— A co proponujesz? Położyć się? — prychnął potwór. — Schowaj to żelazo, mówię.

Wiedźmin zręcznie wsunął broń do pochwy na plecach, nie opuszczając ręki pogładził głowicę sterczącą powyżej ramienia.

— Wolałbym — powiedział — żebyś nie wykonywał zbyt gwałtownych ruchów. Ten miecz zawsze da się wyjąć, i to prędzej, niż myślisz.

— Widziałem — charknął potwór. — Gdyby nie to, już dawno byłbyś za bramą, ze śladem mojego obcasa na rzyci. Czego tu chcesz? Skąd się tu wzięłeś?

— Zabłądziłem — skłamał wiedźmin.

— Zabłądziłeś — powtórzył potwór, wykrzywiając paszczę w groźnym grymasie. — No to się wyblądź. Za bramę, znaczy się. Nastaw lewe ucho ku słońcu i tak trzymaj, a wnet wrócisz na trakt. No, na co czekasz?

— Woda tu jest? — spytał spokojnie Geralt. — Koń jest spragniony. I ja również, jeśli ci to specjalnie nie wadzi.

Potwór przestąpił z nogi na nogę, podrapał się w ucho.

— Słuchaj no, ty — rzekł. — Czy ty się mnie naprawdę nie boisz?

— A powinienem?

Potwór rozejrzał się, chrząknął, zamasyścił podciągnął bufiaste spodnie.

— A, zaraza, co mi tam. Gość w dom. Niecodziennie trafia się ktoś, kto na mój widok nie ucieka lub nie mdleje. No, dobra. Jeśliś strudzony, ale uczciwy wędrowiec, zapraszam cię do środka. Jeśliś jednak zbój albo złodziej, ostrzegam: ten dom wykonuje moje rozkazy. Wewnątrz tych murów rządzą ja!

Uniósł kosmatą łapę. Wszystkie okiennice ponownie zaklekotały o mur, a w kamiennej gardzieli delfina coś głucho zaburczało.

— Zapraszam — powtórzył.

Geralt nie poruszył się, patrząc na niego badawczo.

— Mieszkasz sam?

— A co cię obchodzi, z kim mieszkam? — rzekł gniewnie stwór, rozwierając paszczę, po czym zarechotał głośno. — Aha, rozumiem. Pewnie idzie ci o to, czy mam czterdziestu pacholków dorównujących mi urodą. Nie mam. No to jak, zaraza, korzystasz z zaproszenia danego ze szczerego serca? Jeśli nie, to brama jest tam, dokładnie za twoim tyłkiem!

Geralt skłonił się sztywno.

— Zaproszenie przyjmuję — rzekł formalnie. — Prawu gościny nie uchybię.

— Dom mój twoim domem — odrzekł stwór, również formalnie, choć nie dbale. — Tędy, gościu. A konia daj tu, ku studni.

Pałacyk również od wewnątrz prosił się o gruntowny remont, było tu jednakowoż w miarę czysto i porządkie. Meble wyszły zapewne spod ręki dobrych rzemieślników, nawet jeżeli stało się to bardzo dawno temu. W powietrzu wisiał ostry zapach kurzu. Było ciemno.

— Światło! — warknął potwór, a łuczywo zatknięte w żelazny uchwyt natchmiast buchnęło płomieniem i kopciem.

— Nieźle — rzekł wiedźmin. Potwór zarechotał.

— Tylko tyle? Zaiste, widzę, że byle czym cię nie zadziwić. Mówiłem ci, ten dom wykonuje moje rozkazy. Tędy, proszę. Uważaj, schody są strome. Światło!

Na schodach potwór odwrócił się.

— A cóż to dynda ci na szyi, gościu! Co to takiego?

— Zobacz.

Stwór ujął medalion w łapę, podniósł do oczu, napinając lekko łańcuszek na szyi Geralta.

— Nieładny wyraz twarzy ma to zwierzę. Co to takiego?

— Znak cechowy.

— Aha, zapewne trudnisz się wyrobem kagańców. Tędy, proszę. Światło!

Środek dużej komnaty, całkowicie pozbawionej okien, zajmował ogromny, dębowy stół, zupełnie pusty, jeżeli nie liczyć wielkiego lichtarza z pozieleniałego mosiądzu pokrytego festonami zastygłego wosku. Na kolejną komendę potwora świece zapaliły się, zamigotały, rozjaśniając nieco wnętrze.

Jedna ze ścian komnaty obwieszona była bronią — wisiały tu kompozycje z okrągłych tarcz, skrzyżowanych partyzan, rohatyn i gizarm, ciężkich koncerzy i toporów. Połowę przyległej ściany zajmowało palenisko olbrzymiego komina, nad którym widniały rzędy łuszczących się i oblatzłych portretów. Ściana na wprost wejścia wypełniona była trofeami łowieckimi — łopaty łosi i rosochate rogi jeleni rzuciły długie cienie na wyszczerzone łby dzików, niedźwiedzi i rysi, na zmierzwione i postrzępione skrzydła wypchanych orłów i jastrzębi. Centralne, honorowe miejsce zajmował pobrązowiały, zniszczony, roniący pakuły łeb skalnego smoka. Geralt podszedł bliżej.

— Upolował go mój dziadunio — powiedział potwór, ciskając w czelusć paleniska ogromną kłodę. — To był chyba ostatni w okolicy, który dał się upolować. Siadaj, gościu. Głodny jesteś, jak mniemam?

— Nie zaprzeczę, gospodarzu.

Potwór usiadł przy stole, opuścił głowę, splótł na brzuchu kosmate łapy, przez chwilę coś mamrotał, kręcąc młynka olbrzymimi kciukami, po czym ryknął z cicha, waląc łapą o stół. Półmiski i talerze brzęknęły cynowo i srebrnie, puchary zadzwoniły kryształowo. Zapachniało pieczystym, czosnkiem, majerankiem, gałką muszkatolową. Geralt nie okazał zdziwienia.

— Tak — zatarł łapy potwór. — To lepsze od służby, nie? Częstuj się, gościu. Tu jest pularda, tu szynka z dzika, tu pasztet z... Nie wiem z czego. Z czegoś. Tutaj mamy jarzabki. Nie, zaraza, to kuropatwy. Pomyliłem zakłęcia. Jedz, jedz. To porządne, prawdziwe jedzenie, nie obawiaj się.

— Nie obawiam się. — Geralt rozerwał pulardę na dwie części.

— Zapomniałem — parsknął potwór — żeś nie z tych strachliwych. Zwać cię, na ten przykład, jak?

— Geralt. A ciebie, gospodarzu?

— Nivellen. Ale w okolicy mówią na mnie Wyrod albo Kłykacz. I straszą mną dzieci. — Potwór wlał sobie do gardła zawartość ogromnego pucharu, po

czym zatopił paluchy w pasztecie, wyrywając z misy około połowy za jednym zamachem.

— Straszą dzieci — powtórzył Geralt z pełnymi ustami. — Pewnie bezpodstawnie?

— Najzupełniej. Twoje zdrowie, Geralt!

— I twoje, Nivellen.

— Jak to wino? Zauważyłeś, że to z winogron, a nie z jabłek? Ale jeśli ci nie smakuje, wyczaruję inne.

— Dziękuję, to jest niezłe. Zdolności magiczne masz wrodzone?

— Nie. Mam je od czasu, kiedy mi to wyrosło. Morda, znaczy. Sam nie wiem, skąd to się wzięło, ale dom spełnia, czego sobie zażyczę. Nic wielkiego, umiem wyczarować żarcie, picie, odzienie, czystą pościel, gorącą wodę, mydło. Byle baba to potrafi i bez czarów. Otwieram i zamykam okna i drzwi. Zapalam ogień. Nic wielkiego.

— Zawsze coś. A tę... jak mówisz, mordę, masz od dawna?

— Od dwunastu lat.

— Jak to się stało?

— A co cię to obchodzi? Nalej sobie jeszcze.

— Z chęcią. Nic mnie to nie obchodzi, pytam przez ciekawość.

— Powód zrozumiały i do przyjęcia — zaśmiał się gromko potwór. — Ale ja go nie przyjmę. Nic ci do tego, i już. Żeby jednak choć częściowo zaspokoić twoją ciekawość, pokażę ci, jak wyglądałem przedtem. Popatrz no tam, na portrety. Pierwszy, licząc od kominka, to mój tatunio. Drugi, jedna zaraza wie kto. A trzeci, to ja. Widzisz?

Spod kurzu i pajęczyn, z portretu spoglądał wodnistym spojrzeniem nijaki grubasek o nalanej, smutnej i pryszczatej twarzy. Geralt, któremu nieobce były skłonności do schlebiania klientom, rozpowszechnione wśród portrecistów, ze smutkiem pokiwał głową.

— Widzisz? — powtórzył Nivellen, szczerząc kły.

— Widzę.

— Kto ty jesteś?

— Nie rozumiem.

— Nie rozumiesz? — potwór uniósł głowę, ślepią zalśniły mu jak u kota. — Mój portret, gościu, wisi poza zasięgiem światła świec. Ja go widzę, ale ja nie jestem człowiekiem. Przynajmniej nie w tej chwili. Człowiek, żeby obejrzyć portret, wstałby, podszedłby bliżej, zapewne musiałby także wziąć świecznik. Ty tego nie zrobiłeś. Wniosek jest prosty. Ale ja pytam bez ogródek: jesteś człowiekiem?

Geralt nie spuścił wzroku.

— Jeśli tak stawiasz sprawę — odpowiedział po chwili milczenia — to niezupełnie.

— Aha. Nie będzie chyba nietaktem, jeżeli spytam, kim w takim razie jesteś?

— Wiedźminem.

— Aha — powtórzył Nivellen po chwili. — Jeżeli dobrze pamiętam, wiedźmini w ciekawy sposób zarabiają na życie. Zabijają za opłatą różne potwory.

— Dobrze pamiętasz.

Znowu zapadła cisza. Płomyki świec tętniły, biły w górę cienkimi wąsami ognia, lśniły w rżniętym kryształach pucharów, w kaskadach wosku ściekającego po lichtarzu. Nivellen siedział nieruchomo, poruszając lekko olbrzymimi uszami.

— Założmy — powiedział wreszcie — że zdążysz wyciągnąć miecz, nim do ciebie doskoczę. Założmy, że zdążysz mnie nawet ciąć. Przy mojej wadze mnie to nie zatrzyma, zwałę cię z nóg samym impetem. A potem, to już zdecydują zęby. Jak myślisz, wiedźminie, kto z nas dwu ma większe szanse, jeżeli dojdzie do przegryzania gardzieli?

Geralt, przytrzymując kciukiem cynowy kołpaczek karafy, nalał sobie wina, wypił łyk, odchylił się na oparcie krzesła. Patrzył na potwora uśmiechając się, a był to uśmiech wyjątkowo paskudny.

— Taaak — rzekł przeciągle Nivellen, dłubiąc pazurem w kąciuku paszczy. — Trzeba przyznać, że umiesz odpowiedzieć na pytanie, nie używając wielu słów. Ciekawe, jak sobie poradzisz z następnym, które ci zadam. Kto ci za mnie zapłacił?

— Nikt. Jestem tu przypadkiem.

— Nie łzesz aby?

— Nie mam we zwyczaju łąć.

— A co masz we zwyczaju? Opowiadano mi o wiedźminach. Zapamiętałem, że wiedźmini porywają maleńkie dzieci, które potem karmią magicznymi ziołami. Te, które to przeżyją, same zostają wiedźminami, czarownikami o nieludzkich zdolnościach. Szkoli się je w zabijaniu, wykorzenia wszelkie ludzkie uczucia i odruchy. Czyni się z nich potwory, które mają zabijać inne potwory. Słyszałem, jak mówiono, że najwyższy czas, by ktoś zaczął polować na wiedźminów. Bo potworów jest coraz mniej, a wiedźminów coraz więcej. Zjedz kuropatwę, zanim zupełnie ostygnie.

Nivellen wziął z półmiska kuropatwę, całą włożył do paszczy i schrupał jak sucharek, trzeszcząc miazdżonymi w zębach kostkami.

— Dlaczego nic nie mówisz? — spytał niewyraźnie, przełykając. — Co z tego, co o was mówią, jest prawdą?

— Prawie nic.

— A co jest kłamstwem?

— To, że potworów jest coraz mniej.

— Fakt. Jest ich niemało — wyszczerzył kły Nivellen. — Jeden właśnie siedzi przed tobą i zastanawia się, czy dobrze zrobił zapraszając cię. Od razu nie spodobał mi się twój znak cechowy, gościu.

— Ty nie jesteś żadnym potworem, Nivellen — rzekł sucho wiedźmin.

— A, zaraza, to coś nowego. Więc, według ciebie, czym ja jestem? Kisielem z żurawiny? Kluczem dzikich gęsi odlatujących na południe w smutny, listopadowy poranek? Nie? Więc może cnotą utraconą u źródła przez cycatą córkę młynarza? No, Geralt, powiedz mi, czym jestem. Nie widzisz, że aż się trzęsę z ciekawości?

— Nie jesteś potworem. W przeciwnym razie nie mógłbyś dotykać tej srebrnej tacy. A już w żadnym wypadku nie wzięłybyś do ręki mojego medalionu.

— Ha! — ryknął Nivellen tak, że płomyki świec przybrały na moment pozycję horyzontalną. — Dziś jest najwyraźniej dzień wyjawiania wielkich, strasznych tajemnic! Zaraz się dowiem, że te uszy wyrosły mi, bo jako dziecko nie lubiłem owsianki na mleku!

— Nie, Nivellen — powiedział spokojnie Geralt. — To się stało na skutek rzuconego uroku. Jestem pewien, że wiesz, kto rzucił ten urok.

— A jeżeli wiem, to co?

— Urok można odczynić. W wielu wypadkach.

— Ty, jako wiedźmin, oczywiście umiesz odczyniać uroki. W wielu wypadkach?

— Umie. Chcesz, żebym spróbował?

— Nie. Nie chcę.

Potwór otworzył paszczę i wywiesił czerwony ozór, długi na dwie piędzi.

— Zatkało cię, co?

— Zatkało — przyznał Geralt.

Potwór zachichotał, rozparł się w fotelu.

— Wiedziałem, że cię zatka — powiedział. — Nalej sobie jeszcze, usiądź wygodnie. Opowiem ci całą historię. Wiedźmin czy nie wiedźmin, dobrze patrzy ci z oczu, a ja mam ochotę pogadać. Nalej sobie.

— Nie ma już czego.

— A, zaraza — potwór chrząknął, po czym ponownie łupnął łapą w stół. Obok dwóch pustych karafek pojawił się, nie wiedzieć skąd, spory gliniany gąsiorek w wiklinowym koszyku. Nivellen zdarł zębami woskową pieczęć.

— Jak zapewne zauważyłeś — zaczął, nalewając — okolica jest dość odludna. Do najbliższych osiedli ludzkich jest kawał drogi. Bo widzisz, mój tatunio, a i mój dziadunio, swojego czasu nie dawali zbyt wielu powodów do miłości ani sąsiadom, ani kupcom, którzy wędrowali traktem. Każdy, kto się tu zawieruszył, tracił w najlepszym wypadku swój majątek, jeśli tatunio wypatrzył go z wieży. A parę bliższych osad spaliło się, bo tatunio uznał, że danina płacona jest opieszale. Mało kto lubił mojego tatunia. Oprócz mnie, naturalnie. Strasznie płakałem, gdy pewnego razu przywieziono na wozie to, co zostało z mojego tatunia po ciosie dwuręcznym mieczem. Dziadunio podówczas nie zajmował się aktywnym rozbojem, bo od dnia, w którym dostał po czerepie żelaznym morgensternem, jękał się

okropnie, ślinił i rzadko kiedy zdążył w porę do wygodki. Padło na to, że jako spadkobierca, ja muszę przewodzić drużynie.

Młody wówczas byłem — ciągnął Nivellen — istny mlekosys, więc chłopcy z drużyny migiem owinęli mnie sobie dookoła palca. Dowodziłem nimi, jak się domyślasz, w takim stopniu, w jakim tłusty prosiak może przewodzić wilczej hordzie. Wnet zaczęliśmy robić rzeczy, na które tatunio, gdyby żył, nigdy by nie zezwolił. Oszczędzę ci szczegółów, przejdę od razu do rzeczy. Pewnego dnia wypuściliśmy się aż do Gelibolu, pod Mirt, i obrabowaliśmy świątynię. Na domiar złego, była tam również młoda kapłanka.

— Co to była za świątynia, Nivellen?

— Jedna zaraza wie, Geralt. Ale musiała to być niedobra świątynia. Na ołtarzu, pamiętam, leżały czaszki i gnaty, palił się zielony ogień. Śmierdziało jak nieszczęście. Ale do rzeczy. Chłopcy obezwładnili kapłankę i odarli z przyodziewy, po czym powiedzieli, że muszę zmeźnić. No i zmeźniałem, durny smark. W trakcie meźnienia kapłanka napłuła mi w gębę i coś wywrzeszczała.

— Co?

— Że jestem potwór w ludzkiej skórze, że będę potworem w potwornej, coś o miłości, o krwi, nie pamiętam. Sztylecik, taki mały, miała chyba ukryty we włosach. Zabiła się, a wtedy... Wialiśmy stamtąd, Geralt, mówię ci, mało nie zajeździliśmy koni. To była niedobra świątynia.

— Mów dalej.

— Dalej było tak, jak powiedziała kapłanka. Za parę dni budzę się rano, a służba, co mnie który zobaczy, we wrzask i w nogi. Ja do lustra... Widzisz, Geralt, spanikowałem, dostałem jakiegoś ataku, pamiętam to jak przez mgłę. Mówiąc krótko, padły trupy. Kilka. Używałem, co mi wpadło w ręce, a nagle zrobiłem się bardzo silny. A dom pomagał jak mógł: trzaskały drzwi, latały w powietrzu sprzęty, buchał ogień. Kto zdążył, uciekł w popłochu, ciotunia, kuzynka, chłopcy z drużyny, co ja mówię, uciekły nawet psy, wyjąc i kuląc ogony. Uciekła moja kotka Żarłoczka. Ze strachu szlag trafił nawet papugę ciotuni. Wnet zostałem sam, rycząc, wyjąc, szalejąc, tłukąc co popadło, głównie zwierciadła.

Nivellen przerwał, westchnął, pociągnął nosem.

— Kiedy atak minął — podjął po chwili — było już za późno na cokolwiek. Byłem sam. Nikomu już nie mogłem wyjaśnić, że zmienił mi się tylko i wyłącznie wygląd, że choć w strasznej postaci, jestem tylko głupim wyrostkiem, szlochającym w pustym zamku nad ciałami służących. Potem przyszedł potworny strach: wróca i zatłuka, zanim zdążę wytłumaczyć. Ale nikt nie wrócił.

Potwór zamilkł na chwilę, otarł nos rękawem.

— Nie chcę wracać do tamtych pierwszych miesięcy, Geralt, jeszcze dziś mnie trzęsie, gdy wspominam. Przejdę do rzeczy. Długo, bardzo długo siedziałem w zamku jak mysz pod miotłą, nie wystawiając nosa na zewnątrz. Jeśli się ktoś pojawił, rzadko to się zdarzało, nie wychodziłem, ot, kazałem domowi trza-

snąć ze dwa razy okiennicą albo ryknąłem sobie przez gargulec od rynny, i to zwykle wystarczało, by gość wzbił za sobą potężną chmurę kurzu. Tak było aż do dnia, w którym, bladym świtem, wyglądam przez okno i co widzę? Jakiś grubas ścina róże z krzewu ciotuni. A trzeba ci wiedzieć, że to nie byle co, ale niebieskie róże z Nazairu, sadzonki przywiózł jeszcze dziadunio. Złość mnie porwała, wyskoczyłem na dwór. Gruby, gdy odzyskał głos, który utracił był na mój widok, wykwiczał, że chciał jeno kilka kwiatów dla córeczki, żebym go oszczędził, życiem darował i zdrowiem. Jużem się sposobił, by wykopać go za główną bramę, kiedy coś mnie oświeciło, przypomniałem sobie bajki, które opowiadała mi niegdyś Lenka, moja niania, stara prukwa. Zaraza, pomyślałem, podobno ładne dziewczuszki zamieniają żaby w królewiczów, czy też odwrotnie, więc może. . . Może jest w tym gadaniu ziarno prawdy, jakaś szansa. . . Podskoczyłem na dwa sążnie, zaryczałem tak, że dzikie wino oberwało się z muru i wrzasnąłem: „Córka albo życie!”, nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Kupiec, bo to był kupiec, uderzył w płacz, po czym wyznał mi, że córeczka ma osiem lat. Co, śmiejesz się?

— Nie.

— Bo ja nie wiedziałem, śmiać się czy płakać nad swoim zasranym losem. Żał mi się zrobiło kupczyny, patrzeć nie mogłem, jak się trzęsie, zaprosiłem do środka, ugościłem, na odjezdnym nasypałem złota i kamyków do worka. Trzeba ci wiedzieć, że w podziemiu zostało sporo dobra, jeszcze z tatuniowych czasów, nie bardzo wiedziałem, co z tym począć, mogłem sobie pozwolić na gest. Kupiec promieniał, dziękował, aż się cały opluł. Musiał się gdzieś pochwalić swoją przygodą, bo nie minęły dwa miesiące, a przybył tu drugi kupiec. Miał ze sobą przygotowany spory worek. I córkę. Też sporą.

Nivellen wyciągnął nogi pod stołem, przeciągnął się, aż fotel zatrzeszczał.

— Dogadałem się z kupcem raz dwa — ciągnął. — Ustaliliśmy, że zostawi mi ją na rok. Musiałem mu pomóc załadować wór na muła, sam by nie udźwignął.

— A dziewczyna?

— Przez jakiś czas dostawała konwulsji na mój widok, była przekonana, że ją jednak zjem. Ale po miesiącu jadaliśmy już przy jednym stole, gawędziliśmy i chodziliśmy na długie spacerki. Ale chociaż była miła i nad podziw rozgarnięta, język mi się plątał, kiedy z nią rozmawiałem.

Widzisz, Geralt, zawsze byłem nieśmiały wobec dziewcząt, zawsze wystawiałem się na pośmiewisko, nawet wobec dziewczuch z obory, tych z gnojem na łydkach, które chłopcy z drużyny obracali jak chcieli, na wszystkie strony. Nawet te się ze mnie nabijały. Co dopiero, myślałem, z taką mordą. Nie przemogłem się nawet, by jej cokolwiek napomknąć o przyczynie, dla której tak drogo zapłaciłem za rok jej życia. Rok ciągnął się jak smród za pospolitym ruszeniem, aż wreszcie kupiec zjawił się i zabrał ją. Ja zaś, zrezygnowany, zamknąłem się w domu i przez kilka miesięcy nie reagowałem na żadnych gości z córkami, jacy się tu pojawiali. Ale po roku spędzonym w towarzystwie zrozumiałem, jak ciężko jest, kiedy

nie ma do kogo otworzyć gęby. — Potwór wydał z siebie odgłos, który miał być westchnieniem, a zabrzmiał jak czkawka.

— Następna — powiedział po chwili — nazywała się Fenne. Była mała, bystra i ćwierkotliwa, istny mysikrólik. Wcale się mnie nie bała. Któregoś dnia, była akuratnie rocznica moich postrzyżyn, opiliśmy się oboje miodu i... he, he. Zaraz po tym wyskoczyłem z łoża i do lustra. Przyznam, byłem zawiedziony i zgnębiony. Morda została, jak była, może z odrobinę głupszym wyrazem. A mówią, że w bajkach jest mądrość ludu! Gównu warta taka mądrość, Geralt. No, ale Fenne rychło postarała się, żebym zapomniał o zmartwieniach. To była wesoła dziewczyna, mówię ci. Wiesz, co wymyśliła? Straszylismy we dwójkę niepożądanych gości. Wyobraź sobie: wchodzi taki na podwórko, rozgląda się, aż tu z rykiem wypadam na niego ja, na czworakach, a Fenne, całkiem goła, siedzi mi na grzbiecie i trąbi na myśliwskim rogu dziadunia!

Nivellen zatrzęsł się od śmiechu, błyskając bielą kłów.

— Fenne — kontynuował — była u mnie pełny rok, potem wróciła do rodziny, z wielkim posagiem. Sposobiła się wyjść za mąż za pewnego właściciela szynku, wdowca.

— Opowiadaj dalej, Nivellen. To zajmujące.

— Powiadasz? — rzekł potwór, drapiąc się z chrzęstem pomiędzy uszami. — No, dobrze. Następna, Primula, była córką zubożałego rycerza. Rycerz, gdy tu przybył, miał wychudłego konia, zardzewiały kirys i nieprawdopodobne długi. Paskudny był, mówię ci, Geralt, jak kupa obornika, i rozsiewał dookoła podobną woń. Primula, rękę bym sobie dał uciąć, musiała być poczęta, gdy on był na wojnie, bo była całkiem ładniutka. I w niej nie wzbudzałem strachu, nie dziwota zresztą, bo w porównaniu z jej rodzicem mogłem się wydawać wcale nadobny. Miała, jak się okazało, nielichy temperament, a i ja, nabrawszy wiary w siebie, nie zasypiałem gruszek w popiele. Już po dwóch tygodniach byłem z Primulą w bardzo bliskich stosunkach, podczas których lubiła targać mnie za uszy i wykrzykiwać: „Zagryź mnie, zwierzu”, „Rozszarp mnie, bestio!” i temu podobne idiotyzmy. Ja w przerwach biegałem do lustra, ale wystaw sobie, Geralt, spoglądałem w nie z rosnącym niepokojem. Coraz mniej tęskniłem do powrotu do tamtej, mniej wydolnej postaci. Widzisz, Geralt, przedtem byłem rozlazły, zrobiłem się chłop na schwał. Przedtem ciągiem chorowałem, kasłałem i leciało mi z nosa, teraz nic się mnie nie imało. A zęby? Nie uwierzyłybyś, jakie ja miałem popsute zęby! A teraz? Mogę przegryźć nogę od krzesła. Chcesz, żebym przegryzł nogę od krzesła?

— Nie. Nie chcę.

— Może to i dobrze — rozdziawił paszczę potwór. — Panienci bawiło, jak się popisywałem i w domu zostało strasznie mało całych krzesel. — Nivellen ziewnął, przy czym jęzor zwinął mu się w trąbkę.

— Zmęczyło mnie to gadanie, Geralt. Krótko: potem były jeszcze dwie, Ilka i Venimira. Wszystko odbywało się tak samo, aż do znudzenia. Najpierw mieszanina strachu i rezerwy, potem nić sympatii, wzmacniana drobnymi, acz kosztownymi upominkami, potem „Gryź mnie, zjedz mnie całą”, potem powrót taty, czułe pożegnanie i coraz bardziej zauważalny ubytek w skarbcu. Postanowiłem robić dłuższe przerwy na samotność. Oczywiście, w to, że dziewiczy całus odmieni moją postać, już dawno przestałem wierzyć. I pogodziłem się z tym. Co więcej, doszedłem do wniosku, że dobrze jest, jak jest, i żadnych zmian nie trzeba.

— Żadnych, Nivellen?

— A żebyś wiedział. Mówiłem ci, końskie zdrowie związane z tą postacią, to raz. Dwa: moja inność działa na dziewczęta jak afrodyzjak. Nie śmieję się! Jestem więcej niż pewien, że jako człowiek musiałbym się zdrowo nabiegać, by móc dobrać się do takiej, dla przykładu, Venimiry, która była wielce urodziwą panną. Widzi mi się, że na takiego, jak na tym portrecie, nawet by nie spojrzała. I po trzecie: bezpieczeństwo. Tatunio miał wrogów, paru przeżyło. Ci, których posłała do ziemi drużyna pod moim żalonym dowództwem, mieli krewnych. W piwnicach jest złoto. Gdyby nie postrach, jaki wzbudzam, ktoś by po nie przyszedł. Choćby wieśniacy z widłami.

— Wyglądasz na zupełnie pewnego — rzekł Geralt, bawiąc się pustym pucharem — że w obecnej postaci nikomu się nie naraziłeś. Żadnemu ojcu, żadnej córce. Żadnemu krewnemu lub narzeczonemu córki. Co, Nivellen?

— Daj spokój, Geralt — obruszył się potwór. — O czym ty mówisz? Ojcowie nie posiadali się z radości, mówiłem ci, byłem hojny ponad wyobrażenie. A córki? Nie widziały ich, jak tu przybywały, w zgrzebnych sukienkach, z łapkami wylugowanymi od prania, przygarbione od dźwigania cebrów. Primula jeszcze po dwóch tygodniach u mnie miała na plecach i udach ślady rzemienia, którym łoła ją jej rycerski tatuś. A u mnie chodziły jak księżniczki, do ręki brały wyłącznie wachlarz, nawet nie wiedziały, gdzie tu jest kuchnia. Stroiłem je i obwieszałem świecidełkami. Wyczarowywałem na zawołanie gorącą wodę do blaszanej wanny, którą tatunio zrabował jeszcze dla mamy w Assengardzie. Wyobrażasz sobie? Blaszana wanna! Rzadko który komes, co ja mówię, rzadko który władca ma u siebie blaszaną wannę. Dla nich to był dom z bajki, Geralt. A co się tyczy łoża, to... Zaraza, cnota jest w dzisiejszych czasach rzadsza niż skalny smok. Żadnej nie przymuszałem, Geralt.

— Ale podejrzewałeś, że ktoś mi za ciebie zapłacił. Kto mógł zapłacić?

— Łajdak, który zapragnął reszty mojej piwnicy, a nie miał więcej córek — rzekł dobitnie Nivellen. — Chciwość ludzka nie zna granic.

— I nikt inny?

— I nikt inny.

Milczeli obaj, wpatrując się w mrugające nerwowo płomyki świec.

— Nivellen — rzekł nagle wiedźmin. — Jesteś teraz sam?

— Wiedźminie — odpowiedział potwór po chwili zwłoki — myślę sobie, że zasadniczo powinienem zwymyślać cię teraz nieprzyzwoitymi słowami, wziąć za kark i zrzucić ze schodów. Wiesz, za co? Za traktowanie mnie jak półgłówka. Od samego początku widzę, jak nastawiasz ucha, jak zerkasz na drzwi. Dobrze wiesz, że nie mieszkam sam. Mam rację?

— Masz. Przepraszam.

— Zaraza z twoimi przeprosinami. Widziałeś ją?

— Tak. W lesie, koło bramy. Czy to jest powód, dla którego kupcy z córkami od pewnego czasu odjeżdżają stąd z niczym?

— A więc i o tym wiedziałeś? Tak, to jest ten powód.

— Pozwolisz, że zapytam. . .

— Nie. Nie pozwolę.

Znowu milczenie.

— Cóż, twoja wola — rzekł wreszcie wiedźmin, wstając. — Dzięki za gościnę, gospodarzu. Czas mi w drogę.

— Słusznie — Nivellen wstał również. — Z pewnych względów nie mogę zaoferować ci noclegu w zamku, a do nocowania w tych lasach nie zachęcam. Od czasu gdy okolica wyludniła się, w nocy jest tutaj niedobrze. Powinieneś wrócić na trakt przed zmierzchem.

— Będę miał to na uwadze, Nivellen. Jesteś pewien, że nie potrzebujesz mojej pomocy?

Potwór spojrzał na niego z ukosa.

— A jesteś pewien, że mógłbyś mi pomóc? Dałbyś radę zdjąć to ze mnie?

— Nie tylko o taką pomoc mi chodziło.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Chociaż. . . Chyba odpowiedziałeś. Nie dałbyś.

Geralt spojrzał mu prosto w oczy.

— Mieliście wtedy pecha — powiedział. — Ze wszystkich świątyń w Geli-bolu i Dolinie Nimnar wybraliście akurat chram Coram Agh Tera, Lwiogłowego Pajaka. Żeby zdjąć przekleństwo rzucone przez kapłankę Coram Agh Tera, trzeba wiedzy i zdolności, których ja nie posiadam.

— A kto je posiada?

— Jednak cię to interesuje? Mówiłeś, że dobrze jest, jak jest.

— Jak jest, tak. Ale nie jak może być. Obawiam się. . .

— Czego się obawiasz?

Potwór zatrzymał się w drzwiach komnaty, odwrócił.

— Dosyć mam twoich pytań, wiedźminie, które ciągle zadajesz, zamiast odpowiadać na moje. Widocznie trzeba cię odpowiednio pytać. Słuchaj, od pewnego czasu mam paskudne sny. Może słowo „potworne” byłoby trafniejsze. Czy słusznie się obawiam? Krótko, proszę.

— Czy po takim śnie, po obudzeniu, nigdy nie miałeś zabłoconych nóg? Iglwia w pościeli!

— Nie.

— A czy...

— Nie. Krótko, proszę.

— Słusznie się obawiasz.

— Czy można temu zaradzić? Krótko, proszę.

— Nie.

— Nareszcie. Chodźmy, odprowadzę cię.

Na podwórzu, gdy Geralt poprawiał juki, Nivellen pogładził klacz po nozdrzach, poklepał po szyi. Płotka, rada pieszczocie, pochyliła łeb.

— Lubią mnie zwierzaki — pochwalił się potwór. — I ja też je lubię. Moja kotka Żarłoczka, chociaż uciekła z początku, wróciła potem do mnie. Przez długi czas była to jedyna żywa istota, jaka towarzyszyła mi w niedoli. Vereena też...

Urwał, wykrzywił paszczę. Geralt uśmiechnął się.

— Też lubi koty?

— Ptaki — wyszczerzył zęby Nivellen. — Wydałem się, zaraza. A, co mi tam. To nie jest kolejna kupiecka córka, Geralt, ani kolejna próba szukania ziarna prawdy w starych bajkach. To coś poważnego. Kochamy się. Jeśli się zaśmiejesz, strzele cię w pysk.

Geralt nie zaśmiał się.

— Twoja Vereena — powiedział — to prawdopodobnie rusałka. Wiesz o tym?

— Podejrzewam. Szczupła. Czarna. Mówi rzadko, w języku, którego nie znam. Nie je ludzkiego jadła. Na całe dni znika w lesie, potem wraca. To typowe?

— Mniej więcej — wiedźmin dociągnął popręg. — Pewnie myślisz, że nie wróciłaby, gdybyś stał się człowiekiem?

— Jestem tego pewien. Wiesz, jak rusałki boją się ludzi. Mało kto widział rusałkę z bliska. A ja i Vereena... Ech, zaraza. Bywaj, Geralt.

— Bywaj, Nivellen.

Wiedźmin szturchnął piętą bok klaczy, ruszył ku bramie. Potwór człapał u jego boku.

— Geralt?

— Słucham cię.

— Nie jestem taki głupi, jak myślisz. Przyjechałeś tu śladem jednego z kupców, którzy tu ostatnio byli. Coś się któremuś stało?

— Tak.

— Ostatni był u mnie trzy dni temu. Z córką, nie najładniejszą zresztą. Kazałem domowi zamknąć wszystkie drzwi i okiennice, nie dałem znaku życia. Pokręcili się po dziedzińcu i odjechali. Dziewczyna zerwała jedną różę z krzewu ciotuni i przypięła sobie do sukni. Szukaj ich gdzie indziej. Ale uważaj, to paskudna oko-

lica. Mówiłem ci, nocą w lesie nie jest najbezpieczniej. Słyszysz się i widzisz nieładne rzeczy.

— Dzięki, Nivellen. Będę pamiętał o tobie. Kto wie, może znajdę kogoś, kto...

— Może. A może nie. To mój problem, Geralt, moje życie i moja kara. Nauczyłem się to znosić, przyzwyczailem się. Jak się pogorszy, też się przyzwyczaję. A jak się bardzo pogorszy, nie szukaj nikogo, przyjedź tu sam i skończ sprawę. Po wiedźmińsku. Bywaj, Geralt.

Nivellen odwrócił się i rażno pomaszzerował w stronę pałacyku. Nie obejrzał się już ani razu.

* * *

Okolica była odludna, dzika, złowrogo nieprzyjazna. Geralt nie wrócił na trakt przed zmierzchem, nie chciał nadkładać drogi, pojechał na skróty, przez bór. Noc spędził na łysym szczycie wysokiego wzgórza, z mieczem na kolanach, przy małym ognisku, w które co jakiś czas wrzucał pęczki tojadu. W środku nocy dostrzegł daleko w dolinie blask ognia, usłyszał obłąkańcze wycia i śpiewy, a także coś, co mogło być tylko krzykiem torturowanej kobiety. Ruszył tam, ledwie zaświtało, ale odnalazł jedynie wydeptaną polanę i zwęglone kości w ciepłym jeszcze popiele. Coś, co siedziało w koronie olbrzymiego dębu, wrzeszczało i syczało. Mógł to być leszy, ale mógł też to być i zwykły żbik. Wiedźmin nie zatrzymał się, by sprawdzić.

* * *

Okolo południa, gdy poił Płotkę u źródła, klacz zarżała przenikliwie, cofnęła się, szczerząc żółte zęby i gryząc munsztuk. Geralt odruchowo uspokoił ją Znakiem i wówczas dostrzegł regularny krąg uformowany przez wystające z mchu czapeczki czerwonych grzybków.

— Prawdziwa histeryczka robi się z ciebie, Płotka — powiedział. — To przecież zwyczajne czarcie koło. Po co te sceny?

Klacz prychnęła, odwracając ku niemu łeb. Wiedźmin potarł czoło, zmarszczył się, zamyślił. Potem jednym skokiem znalazł się w siodle, zawrócił konia, ruszając szybko z powrotem, po własnych śladach.

— „Lubią mnie zwierzaki” — mruknął. — Przepraszam cię, koniku. Wychodzi na to, że masz więcej rozumu niż ja.

* * *

Klacz tuliła uszy, parskała, rwała podkowami ziemię, nie chciała iść. Geralt nie uspokajał jej Znakiem — zeskoczył z kulbaki, przerzucił wodze przez łeb

konia. Na plecach nie miał już swego starego miecza w pochwie z jaszczurczej skóry — jego miejsce zajmowała teraz błyszcząca, piękna broń z krzyżowym jelcem i smukłą, dobrze wyważoną rękojeścią, zakończoną kulistą głowicą z białego metalu.

Tym razem brama nie otwarła się przed nim. Była otwarta, tak jak ją zostawił wyjeżdżając.

Usłyszał śpiew. Nie rozumiał słów, nie mógł nawet zidentyfikować języka, z którego pochodziły. Nie było to potrzebne — wiedźmin znał, czuł i rozumiał samą naturę, istotę tego śpiewu, cichego, przenikliwego, rozlewającego się po żyłach falą mdlącej, obezwładniającej grozy.

Śpiew urwał się gwałtownie i wtedy ją zobaczył.

Przylgnęła do grzbietu delfina w wyschniętej fontannie, obejmując omszały kamień drobnymi rękami, tak białymi, że wydawały się przezroczyste. Spod burzy splecionych czarnych włosów błyszczały wlepione w niego ogromne, szeroko rozwarte oczy koloru antracytów.

Geralt zbliżył się powoli miękkiem, elastycznym krokiem, idąc półkolem od strony muru, obok krzewu niebieskich róż. Stworzenie przyklejone do grzbietu delfina obracało za nim maleńką twarzyczkę o wyrazie nieopisanej tęsknoty, pełną uroku, który sprawiał, że wciąż słyszało się pieśń — choć maleńkie, blade usteczka były zaciśnięte i nie dobywał się zza nich najmniejszy nawet dźwięk.

Wiedźmin zatrzymał się w odległości dziesięciu kroków. Miecz, powolutku dobywany z czarnej emaliowanej pochwy, rozjarzył się i zaśnił nad jego głową.

— To srebro — powiedział. — Ta klinga jest srebrna.

Błada twarzyczka nie drgnęła, antracytowe oczy nie zmieniły wyrazu.

— Tak bardzo przypominasz rusałkę — ciągnął spokojnie wiedźmin — że mogłabyś zwieść każdego. Tym bardziej że rzadki z ciebie ptaszek, czarnowłosa. Ale konie nigdy się nie mylą. Rozpoznają takie jak ty instynktownie i bezbłędnie. Kim jesteś? Myślę, że mulą albo alpem. Zwyczajny wampir nie wyszedłby na słońce.

Kąciki białych usteczek drgnęły i lekko uniosły się.

— Przyciągnął cię Nivellen w swojej postaci, prawda? Sny, o których wspominał, wywoływałaś ty. Domyślam się, co to były za sny, i współczuję mu.

Stworzenie nie poruszyło się.

— Lubisz ptaki — ciągnął wiedźmin. — Ale nie przeszkadza ci to przegryzać karków ludziom obojga płci, co? Zaiste, ty i Nivellen! Piękna by była z was para, potwór i wampirzyca, władcy leśnego zamku. Zapanowalibyście w mig nad całą okolicą. Ty, wiecznie spragniona krwi, i on, twój obrońca, morderca na zawołanie, ślepe narzędzie. Ale wpieryw musiał stać się prawdziwym potworem, nie człowiekiem w potwornej masce.

Wielkie czarne oczy zwężyły się.

— Co z nim, czarnowłosa? Śpiewałaś, a więc piłaś krew. Sięgnęłaś po ostateczny środek, czyli że nie udało ci się zniewolić jego umysłu. Mam słuszność?

Czarna główka kiwnęła leciutko, prawie niedostrzegalnie, a kąciki ust uniosły się jeszcze wyżej. Małeńka twarzyczka nabrała upiornego wyrazu.

— Teraz zapewne uważasz się za panią tego zamku?

Kiwnięcie, tym razem wyraźniejsze.

— Jesteś mula?

Powolny, przeczący ruch głowy. Syk, który się rozległ, mógł pochodzić tylko z bladych, koszmarnie uśmiechniętych ust, choć wiedźmin nie dostrzegł, by się poruszyły.

— Alp?

Zaprzeczenie.

Wiedźmin cofnął się, mocniej ścisnął rękojeść miecza.

— To znaczy, że jesteś. . .

Kąciki ust zaczęły unosić się wyżej, coraz wyżej, wargi rozwarły się. . .

— Bruxa! — krzyknął wiedźmin rzucając się ku fontannie.

Zza bladych warg błysnęły białe kończyste kły. Wampirzyca poderwała się, wygięła grzbiet jak lampart i wrzasnęła.

Fala dźwięku uderzyła w wiedźmina jak taran, pozbawiając oddechu, miażdżąc żebra, przeszywając uszy i mózg cierniami bólu. Lecąc do tyłu, zdążył jeszcze skrzyżować przeguby obu rąk w Znak Heliotropu. Czar w znacznej mierze zamortyzował impet, z jakim wyrznął plecami o mur, ale i tak pociemniało mu w oczach, a reszta powietrza wyrwała się z płuc wraz z jękiem.

Na grzbiecie delfina, w kamiennym kręgu wyschniętej fontanny, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą siedziała filigranowa dziewczyna w białej sukni, rozpląszczał połyskliwe cielsko ogromny czarny nietoperz, rozwierając długą, wąską paszczkę, przepelnioną rzędami igłokształtnej bieli. Błoniaste skrzydła rozwinęły się, załopotwały bezgłośnie i stwór runął na wiedźmina jak bełt wystrzelony z kuszy. Geralt, czując w ustach żelazisty posmak krwi, krzyknął zakłęcie, wyrzucając przed siebie dłoń z palcami rozwartymi w Znak Quen. Nietoperz, sycząc, skręcił gwałtownie, chichocząc wzbil się w powietrze i natychmiast spikował pionowo w dół, wprost na kark wiedźmina. Geralt odskoczył w bok, ciął, nie trafiając. Nietoperz płynnie, z gracją, kurcząc jedno skrzydło zawrócił, okrążył go i znów zaatakował, rozwierając bezoki, zębaty pysk. Geralt czekał, wyciągając w stronę stwora trzymany oburącz miecz. W ostatniej chwili skoczył — nie w bok lecz do przodu, tnąc na odlew, aż zawyło powietrze. Nie trafił. Było to tak nieoczekiwane, że wypadł z rytmu, o ułamek sekundy spóźnił się z unikiem. Poczuł, jak szpony bestii rozrywają mu policzek, a aksamitnie wilgotne skrzydło chlaszcze po karku. Zwinął się w miejscu, przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i ciął ostrym zamachem w tył, ponownie chybiając fantastycznie zwrotnego stwora.

Nietoperz zamachał skrzydłami, wzbil się, poszybował w stronę fontanny. W momencie gdy zakrzywione pazury zazgrzytały o kamień cembrowiny, potworny, ośliniony pysk już rozmazywał się, metamorfował, znikał, choć zjawiające się w jego miejscu blade usteczka nadal nie kryły morderczych kłów.

Bruxa zawyła przesywająco, modulując głos w makabryczny zaśpiew, wytrzeszczyła na wiedźmina przepelnione nienawiścią oczy i wrzasnęła znowu.

Uderzenie fali było tak potężne, że przełamało Znak. W oczach Geralta zaawirowały czarne i czerwone kręgi, w skroniach i ciemieniu załomotało. Poprzez ból świdrujący uszy zaczął słyszeć głosy, zawodzenia i jęki, dźwięki fletu i oboju, szum wichru. Skóra na jego twarzy martwiała i ziębła. Upadł na jedno kolano, potrząsnął głową.

Czarny nietoperz bezszelestnie płynął ku niemu, w locie rozwierając zębate szczęki. Geralt, choć oszołomiony falą wrzasku — zareagował instynktownie. Poderwał się z ziemi, błyskawicznie dopasowując tempo ruchów do prędkości lotu potwora wykonał trzy kroki w przód, unik i półobrót, a po nich szybki jak myśl, oburęczny cios. Ostrze nie napotkało oporu. Prawie nie napotkało. Usłyszał wrzask, ale tym razem był to wrzask bólu, wywołanego dotknięciem srebra.

Bruxa, wyjąc, metamorfowała na grzbiecie delfina. Na białej sukni, nieco powyżej lewej piersi, widać było czerwoną plamę pod draśnięciem, nie dłuższym niż mały palec. Wiedźmin zgrzytnął zębami — cięcie, które winno było rozpołowić bestię, okazało się zadrapaniem.

— Krzycz, wampirzyco — warknął, ocierając krew z policzka. — Wywrzeszcz się. Strać siły. A wtedy zetnę ci śliczną główkę!

Ty. Osłabniesz pierwszy. Czarownik. Zabiję.

Usta bruxy nie poruszyły się, ale wiedźmin słyszał słowa wyraźnie, rozbrzmiewały w jego mózgu eksplodując, dzwoniąc głucho, z pogłosem, jak gdyby spod wody.

— Zobaczmy — wycedził, pochylony idąc w kierunku fontanny.

Zabiję. Zabiję. Zabiję.

— Zobaczmy.

— Vereena!

Nivellen, ze zwieszoną głową, oburącz uczepiony ościeżnicy, wytoczył się z drzwi pałacyku. Chwiejnym krokiem poszedł w stronę fontanny, niepewnie machając łapami. Kryzę kaftana plamiła krew.

— Vereena! — ryknął ponownie.

Bruxa szarpnęła głowę w jego kierunku. Geralt, wznosząc miecz do cięcia, skoczył ku niej, ale reakcje wampirzycy były znacznie szybsze. Ostry wrzask i kolejna fala zbiła wiedźmina z nóg. Runął na wznak, poszorował po żwirze alejki. Bruxa wygięła się, sprężyła do skoku, kły w jej ustach zabłyśły jak zbójcekie puginały. Nivellen, rozczapierzając łapy jak niedźwiedź, spróbował ją chwycić, ale wrzasnęła mu prosto w paszczę, odrzucając kilka sążni do tyłu, na drewniane

rusztowanie pod murem, które załamało się z przenikliwym trzaskiem, grzebiąc go pod stertą drewna.

Geralt już był na nogach, biegł półkolem okrążając dziedziniec, starając się odciągnąć uwagę bruxy od Nivellena. Wampirzyca, furkocząc białą suknią, mknęła wprost na niego, lekko jak motyl, ledwo dotykając ziemi. Nie wrzeszczała już, nie próbowała metamorfować. Wiedźmin wiedział, że jest zmęczona. Ale wiedział i to, że nawet zmęczona jest nadal śmiertelnie niebezpieczna. Za plecami Geralta Nivellen hurkotał wśród desek, ryczał.

Geralt odskoczył w lewo, otoczył się krótkim, dezorientującym młyńcem miecza. Bruxa sunęła ku niemu — białe — czarna, rozwiana, straszna. Nie docenił jej — wrzasnęła w biegu. Nie zdążył złożyć Znaku, poleciał w tył, rąbnął plecami o mur, ból w kręgosłupie zapromieniował aż do czubków palców, sparaliżował ramiona, podciął kolana. Upadł na klęczki. Bruxa, wyjąc śpiewnie, skoczyła ku niemu.

— Vereena! — ryknął Nivellen.

Odwróciła się. I wtedy Nivellen z rozmachem wbił jej pomiędzy piersi złamany, ostry koniec trzymetrowej żerdzi. Nie krzyknęła. Westchnęła tylko. Wiedźmin, słysząc to westchnienie, zadygotał.

Stali — Nivellen, na szeroko rozstawionych nogach, dzierżył żerdź oburącz, blokując jej koniec pod pachą. Bruxa, jak biały motyl na szpilce, zawisała na drugim końcu drąga, również zaciskając na nim obie dłonie.

Wampirzyca westchnęła rozdzierająco i nagle napała silnie na kół. Geralt zobaczył, jak na jej plecach, na białej sukni, wykwita czerwona plama, z której w gejzerze krwi wyłazi, ohydnie i nieprzyzwoicie, ułamany szpic. Nivellen wrzasnął, zrobił krok do tyłu, potem drugi, potem szybko zaczął się cofać, ale nie puszczał drąga, wlokąc za sobą przebitą bruxę. Jeszcze krok i wsparł się plecami o ścianę pałacyku. Koniec żerdzi, który trzymał pod pachą, zazgrzytał o mur.

Bruxa powoli, jak gdyby pieszczotliwie, przesunęła drobne dłonie wzdłuż drąga, wyciągnęła ramiona na całą długość, uchwyciła się mocno żerdzi i napała na nią ponownie. Już przeszło metr skrwawionego drewna wystawał jej z pleców. Oczy miała szeroko otwarte, głowę odrzuconą do tyłu. Jej westchnienia stały się częstsze, rytmiczne, przechodząc w rżenie.

Geralt wstał, ale zafascynowany obrazem nadal nie mógł zdobyć się na żadną akcję. Usłyszał słowa głucho rozbrzmiewające wewnątrz czaszki, jak pod sklepieniem zimnego i mokrego lochu.

Mój. Albo niczyj. Kocham cię. Kocham.

Kolejne straszne, rozedrgane, dławiące się krwią westchnienie. Bruxa szarpnęła się, przesunęła dalej wzdłuż żerdzi, wyciągnęła ręce. Nivellen zaryczał rozpaczliwie, nie puszcżając drąga usiłował odsunąć wampirzycę jak najdalej od siebie. Nadaremnie. Przesunęła się jeszcze bardziej do przodu, chwyciła go za głowę. Zawył jeszcze przeraźliwiej, zaszamotał kosmatym łbem. Bruxa znów przesunę-

ła się na żerdzi, przechyliła głowę ku gardłu Nivellena. Kły błysnęły oślepiającą bielą.

Geralt skoczył. Skoczył jak bezwolna, zwolniona sprężyna. Każdy ruch, każdy krok, jaki należało teraz wykonać, był jego naturą, był wyuczony, nieunikniony, automatyczny i śmiertelnie pewny. Trzy szybkie kroki. Trzeci, jak setki takich kroków przedtem, kończy się na lewą nogę mocnym, zdecydowanym stąpnięciem. Skręt tułowia, ostre, zamaszyste cięcie. Zobaczył jej oczy. Nic już nie mogło się zmienić. Usłyszał głos. Nic. Krzyknął, by zagłuszyć słowo, które powtarzała. Nic nie mogło. Ciął.

Uderzył pewnie, jak setki razy przedtem, środkiem brzeszczotu, i natychmiast, kontynuując rytm ruchu, zrobił czwarty krok i półobrót. Klinga, pod koniec półobrotu już wolna, sunęła za nim błyszcząc, wlokąc za sobą wachlarzyk czerwonych kropelek. Kruczoczarne włosy zafalowały rozwiewając się, płynęły w powietrzu, płynęły, płynęły, płynęły. . .

Głowa upadła na żwir.

Potworów jest coraz mniej?

A ja? Czym ja jestem?

Kto krzyczy? Ptaki?

Kobieta w kożuszk i błękitnej sukni?

Róża z Nazairu?

Jak cicho!

Jak pusto. Jaka pustka.

We mnie.

Nivellen, zwinięty w kłębek, wstrząsany kurczami i dreszczem, leżał pod murem pałacyku w pokrzywach obejmując głowę ramionami.

— Wstań — powiedział wiedźmin.

Młody, przystojny, potężnie zbudowany mężczyzna o bladej cerze, leżący pod murem, uniósł głowę, rozejrzał się dookoła. Wzrok miał błędny. Przetarł oczy knykciami. Spojrzał na swoje dłonie. Obmacał twarz. Jęknął cicho włożył palec do ust, długo wodził nim po dziąsłach. Znowu złapał się za twarz i znów jęknął, dotykając czterech krwawych, napuchłych pręg na policzku. Zaszlochał, potem zaśmiał się.

— Geralt! Jak to? Jak to się. . . Geralt!

— Wstań, Nivellen. Wstań i chodź. W jukach mam lekarstwa, są potrzebne nam obu.

— Ja już nie mam. . . Nie mam? Geralt? Jak to?

Wiedźmin pomógł mu wstać, starając się nie patrzeć na drobne, tak białe, że aż przezroczyście ręce, zaciśnięte na żerdzi utkwionej pomiędzy małymi piersiami, oblepionymi mokrą czerwoną tkaniną. Nivellen jęknął znowu.

— Vereena. . .

— Nie patrz. Chodźmy.

Poszli poprzez dziedziniec, obok krzaku niebieskich róż, podtrzymując jeden drugiego. Nivellen bezustannie obmacywał sobie twarz wolną ręką.

— Nie do wiary, Geralt. Po tylu latach? Jak to możliwe?

— W każdej baśni jest ziarno prawdy — rzekł cicho wiedźmin. — Miłość i krew. Obie mają potężną moc. Magowie i uczeni łamią sobie nad tym głowy od lat, ale nie doszli do niczego, poza tym, że...

— Że co, Geralt?

— Miłość musi być prawdziwa.

Głos rozsądku III

— Jestem Falwick, hrabia Moën!. A to rycerz Tailles z Dorndal.

Geralt ukłonił się niedbale, patrząc na rycerzy. Obaj byli w zbrojach i karminowych płaszczach ze znakiem Białej Róży na lewym ramieniu. Zdziwił się nieco, bo w okolicy, jak wiedział, nie było żadnej komandorii zakonu.

Nenneke, pozornie swobodnie i niefrasobliwie uśmiechnęta, dostrzegła jego zdziwienie.

— Ci szlachetnie urodzeni panowie — powiedziała od niechcienia, rozsiadając się wygodniej na swym przypominającym tron fotelu — pozostają w służbie miłościwie władającego tymi ziemiami diuka Herewarda.

— Księcia — poprawił z naciskiem Tailles, młodszy z rycerzy, wlepiając w kapłankę jasne, niebieskie oczy, w których była wrogość. — Księcia Herewarda.

— Nie bawmy się w nazewnicze szczegóły — Nenneke uśmiechnęła się drwiąco. — Za moich czasów książętami zwykło się tytułować tylko tych, w żyłach których płynęła królewska krew, ale dzisiaj nie ma to, zdaje się, większego znaczenia. Wróćmy do prezentacji i wyjaśnienia celu wizyty rycerzy Białej Róży w mojej skromnej świątyni. Trzeba oto ci wiedzieć, Geralt, że kapituła zabiega właśnie u Herewarda o nadania dla zakonu, dlatego wielu rycerzy Róży wstąpiło na służbę do księcia. A niemało tutejszych, jak obecny tu Tailles, złożyło śluby i przyjęło czerwony płaszcz, w którym tak mu twarzowo.

— Zaszczyt dla mnie — wiedźmin skłonił się ponownie, równie niedbale jak poprzednio.

— Wątpię — rzekła zimno kapłanka. — Oni nie przyjechali tu, by cię zaszczycać. Wręcz przeciwnie. Przybyli z żądaniem, byś się stąd jak najprędzej wyniósł. Przybyli, by cię wypędzić, mówiąc krótko a treściwie. Uważasz to za zaszczyt? Ja nie. Ja to uważam za obelgę.

— Szlachetni rycerze trudzili się bez powodu, jak słyszę — wzruszył ramionami Geralt. — Nie zamierzam się tu osiedlać. Wyniosę się stąd sam bez dodatkowych bodźców i ponagleń, i to niebawem.

— Natychmiast — warknął Tailles. — Bez chwili zwłoki. Książę rozkazuje. . .

— Na terenie tej świątyni rozkazy wydaję ja — przerwała Nenneke zinnym, władczym głosem. — Staram się zwykle, by moje rozkazy nie stały w nadmiernej sprzeczności z polityką Herewarda. O ile ta polityka jest logiczna i zrozumiała. W tym konkretnym przypadku jest ona irracjonalna, nie będę jej więc traktować poważniej, niż na to zasługuje. Geralt z Rivii jest moim gościem, panowie. Jego pobyt w mojej świątyni jest mi miły. Dlatego Geralt z Rivii pozostanie w mojej świątyni tak długo, jak zechce.

— Masz czelność sprzeciwić się księciu, niewiasto? krzyknął Tailles, po czym odrzucił płaszcz na ramię, demonstrując w całej okazałości żłobkowany, lamowany mosiądzem napierśnik. — Ośmielasz się kwestionować autorytet władzy?

— Ciszej — powiedziała Nenneke i zmrużyła oczy. Zniź ton. Uważaj, co mówisz i do kogo mówisz.

— Wiem, do kogo mówię! — rycerz postąpił krok. Falwick, ten starszy, chwycił go mocno za łokieć, ścisnął, aż zazgrzytała pancerna rękawica. Tailles szarpnął się wściekle. — Mówię zaś słowa, które są wolą księcia, pana tych włości! Wiedz, niewiasto, że mamy na podwórku dwunastu żołnierzy. . .

Nenneke sięgnęła do mieszka przy pasku, wyjęła z niego nieduży porcelanowy słoiczek.

— Naprawdę nie wiem — powiedziała spokojnie — co się stanie, jeśli rozwałę ci to naczynie pod nogami, Tailles. Może pękną ci płuca. Może porośniesz sierścią. A może i jedno, i drugie, któż to wie? Chyba tylko miłościwa Melitele.

— Nie wąż się grozić mi twymi czarami, kapłanko! Nasi żołnierze. . .

— Wasi żołnierze, jeśli którykolwiek z nich dotknie kapłanki Melitele, będą wisieli na akacjach wzdłuż drogi do miasta, i to zanim jeszcze słońce dotknie horyzontu. Oni wiedzą o tym bardzo dobrze. I ty o tym wiesz, Tailles, przestań więc zachowywać się jak cham. Odbierałam twój poród, zaszraną smarkaczu, i żał mi twojej matki, ale nie kuś losu. Nie zmuszaj mnie, bym nauczyła cię manier!

— Dobrze już, dobrze — wtrącił wiedźmin, znudzony już nieco całym wydarzeniem. — Wygląda na to, że moja skromna osoba urasta do rozmiarów przyczynny poważnego konfliktu, a nie widzę powodu, aby tak miało być. Panie Falwick, wyglądacie mi na bardziej zrównoważonego niż wasz towarzysz, którego, jak widzę, roznosi zapał młodości. Posłuchajcie, panie Falwick: zaręczam, że opuszczę te okolice rychło, za kilka dni. Zaręczam też, nie zamierzałem i nie zamierzam pracować tutaj, przyjmować zleceń i zamówień. Nie jestem tu jako wiedźmin, ale jako osoba prywatna.

Hrabia Falwick spojrział mu w oczy, a Geralt od razu zrozumiał swoją pomyłkę. We wzroku rycerza Białej Róży była czysta, niewzruszona i niczym nie skażona nienawiść. Wiedźmin zrozumiał i był pewien, że to nie diuk Hereward wyrzuca i przepędza go, ale Falwick i jemu podobni.

Rycerz odwrócił się do Nenneke, skłonił z szacunkiem i zaczął mówić. Mówił spokojnie i grzecznie. Mówił logicznie. Ale Geralt wiedział, że Falwick łże jak pies.

— Czcigodna Nenneke, proszę o wybaczenie, ale ksiązę Hereward, mój senior, nie życzy sobie i nie będzie tolerował w swych włościach wiedźmina Geralta z Rivii. Nieważnym jest, czy Geralt z Rivii poluje na potwory, czy też uważa się za osobę prywatną. Ksiązę wie, że Geralt z Rivii osobą prywatną nie bywa. Wiedźmin przyciąga kłopoty jak magnes opiłki. Czarodzieje burzą się i piszą petycje, druidzi wręcz grożą...

— Nie widzę powodu, aby Geralt z Rivii ponosił konsekwencje rozwyrzenia tutejszych czarodziejów i druidów — przerwała kapłanka. — Od kiedy to Herewarda interesuje zdanie jednych lub drugich?

— Dość tej dyskusji — uniósł głowę Falwick. — Czy nie wyrażam się dostatecznie jasno, czcigodna Nenneke? Powiem zatem tak jasno, że jaśniej nie sposób: ani ksiązę Hereward, ani kapituła zakonu nie życzą sobie ani jednego dnia dłużej tolerować w Ellander wiedźmina Geralta z Rivii, znanego jako Rzeźnik z Blaviken.

— Tu nie jest Ellander! — kapłanka zerwała się z fotela. — Tu jest świątynia Melitele! A ja, Nenneke, główna kapłanka Melitele, nie życzę sobie ani jednej chwili dłużej tolerować bytności na terenie świątyni waszych osób panowie!

— Panie Falwick — odezwał się cicho wiedźmin. — Posłuchajcie głosu rozsądku. Nie chcę kłopotów, a i wam jak sądzę, też niespecjalnie na tym zależy. Opuszczę te okolice najdalej za trzy dni. Nie, Nenneke, milcz, proszę. I tak czas mi w drogę. Trzy dni, panie hrabio. Nie proszę o więcej.

— I słusznie, że nie prosisz — powiedziała kapłanka zanim Falwick zdążył zareagować. — Słyszeliście, chłopcy? Wiedźmin pozostanie tu przez trzy dni, bo taka jest jego zachcianka. A ja, kapłanka Wielkiej Melitele, będę mu przez owe trzy dni udzielać gościny, bo taka jest moja zachcianka. Powtórzcie to Herewardowi. Nie, nie Herewardowi. Powtórzcie to jego małżonce, szlachetnej Ermelli, dodając, że jeśli zależy jej na nieprzerwanych dostawach afrodyzjaków z mojej apteki, niechaj lepiej uspokoi swego diuka. Niechaj powściągnie jego humory i fanaberie wyglądające coraz bardziej na objawy zidiocenia.

— Dosyć! — krzyknął cienko Tailles, a głos załamał mu się w falset. — Nie myślę słuchać, jak jakaś szarlatanka znieważa mojego seniora i jego małżonkę! Nie puszcę płazem takiej zniewagi! Tu rządzić będzie teraz zakon Białej Róży, koniec będzie z waszymi gniazdami ciemnot i zabobonu! A ja, rycerz Białej Róży...

— Słuchaj no, smarkaczu — przerwał Geralt, uśmiechając się paskudnie. — Pohamuj rozlatany języczek. Mówisz do kobiety, której należy się szacunek. Zwłaszcza od rycerza Białej Róży. Co prawda, aby zostać takowym, ostatnio wystarczy wpłacić do skarbcza kapituły tysiąc novigradzkich koron, zakon zrobił się

zatem pełen synów lichwiarzy i krawców, ale jakieś obyczaje chyba jeszcze u was przetrwały. A może się mylę?

Tailles pobił i sięgnął do boku.

— Panie Falwick — powiedział Geralt, nie przestając się uśmiechać. — Jeśli on wyciągnie miecz, odbiorę mu go i oplązę gówniarza po rzyci. A potem wybije nim drzwi.

Tailles drżącymi rękami wyciągnął zza pasa żelazną rękawicę i z traskiem cisnął nią o posadzkę tuż przed stopami wiedźmina.

— Zmyję zniewagę zakonu twoją krwią, odmieńcze! — wrzasnął. — Na udeptanej ziemi! Wychodź na podwórzec!

— Coś ci upadło, synku — rzekła spokojnie Nenneke. — Podnieś to zatem, tu nie wolno śmiecić, tu jest świątynia. Falwick, zabierz stąd tego durnia, bo skończy się to nieszczęściem. Wiesz, co masz powtórzyć Herewardowi. Zresztą, napiszę do niego osobisty list, wy nie wyglądacie mi na godnych zaufania posłańców. Wynoście się stąd. Traficie do wyjścia sami, mam nadzieję?

Falwick, powstrzymując rozwścieczonego Taillesa żelaznym uchwytem, ukłonił się, chrzęszcząc zbroją. Potem spojrział w oczy wiedźmina. Wiedźmin nie uśmiechnął się. Falwick zarzucił na ramię karminowy płaszcz.

— To nie była nasza ostatnia wizyta, czcigodna Nenneke — powiedział. — Wrócimy tu.

— Tego się właśnie obawiałam — odrzekła zimno kapłanka. — Cała nieprzyjemność po mojej stronie.

Mniejsze zło

Jak zwykle, pierwsze zwróciły na niego uwagę koty i dzieci. Pręgowaty kocur, śpiący na nagrzanym słońcem sęgu drewna, drgnął, uniósł okrągłą głowę, położył uszy, parsknął i czmychnął w pokrzywy. Trzyletni Dragomir, syn rybaka Trigli, który na progu chałupy robił co mógł, aby jeszcze bardziej upaprać upapraną koszulinę, rozwrzeszczał się, wlepiając załzawione oczy w przejeżdżającego obok jeźdźca.

Wiedźmin jechał powoli, nie starając się wyprzedzać wozu z sianem tarasującego uliczkę. Za nim, wyciągając szyję, co chwila mocno napinając postronek, uwiązany do łęku siodła, truchtał objuczony osioł. Oprócz zwykłych juków długouch taszczył na grzbiecie spory kształt owinięty w derkę. Szarobiały bok osła pokrywały czarne smugi zakrzepłej krwi.

Wóz skręcił wreszcie w boczną uliczkę prowadzącą do spichlerza i przystani, z której wiało bryzą, smołą i wolim moczem. Geralt przyspieszył. Nie zareagował na zduszony krzyk handlarki warzyw, wpatrzonych w kościstą, szponiastą łapę wystającą spod derki, podrygującą w rytmie truchtu osła. Nie obejrzał się na rosnący tłumek ludzi idący za nim, falujący w podnieceniu.

Przed domem wójta, jak zwykle, pełno było wozów. Geralt zeskoczył z siodła, poprawił miecz na plecach, przerzucił uzdę przez drewnianą barierkę. Tłum podążający za nim utworzył półkole wokół osła.

Krzyki wójta słychać było już przed wejściem.

— Nie wolno, mówię! Nie wolno, psiamać! Nie rozumiesz po ludzku, łachudro?

Geralt wszedł. Przed wójtem, małym i pękatym, poczerwieniałym z gniewu, stał wieśniak trzymając za szyję szamoczącą się gęś.

— Czego... Na wszystkich bogów! To ty, Geralt? Czy mnie wzrok nie myli? — I znowu, zwracając się do chłopca: — Zabieraj to, chamie! Ogluchłeś?

— Mówili — bełkotał wieśniak, zezując na gęś — że trzeba dać cosik wielmożnemu, bo inakszy...

— Kto mówił? — wrzasnął wójt. — Kto? Że ja niby co, łapówki biorę? Nie pozwalam, powiadam! Won, powiadam! Witaj, Geralt.

— Witaj, Caldemejn.

Wójt, ściskając dłoń wiedźmina, klepnął go w ramię drugą ręką.

— Nie było cię tu chyba ze dwa lata, Geralt. Co? Że też ty nigdzie nie zagrzejesz miejsca. Skąd przybywasz? A, psia rzyć, co za różnica skąd. Hej, przynieś tam który piwa! Siadaj, Geralt, siadaj. U nas zamieszanie, bo jutro jarmark. Co tam u ciebie, opowiadaj!

— Potem. Najpierw wyjdźmy.

Na zewnątrz tłumek był już ze dwa razy większy, ale wolna przestrzeń wokół osła nie zmniejszyła się. Geralt odrzucił derkę. Tłum ochnął i cofnął się. Caldemeyn szeroko otworzył usta.

— Na wszystkich bogów, Geralt! Co to jest?

— Kikimora. Nie ma za nią jakiejś nagrody, panie wójcie?

Caldemeyn przestąpił z nogi na nogę, patrząc na pająkowaty, obciążony ze schłą czarną skórą kształt, na szkliste oko z pionową źrenicą, na igłowate kły w zakrwawionej paszczy.

— Gdzie... Skąd to...

— Na grobli, ze cztery mile przed miasteczkiem. Na mokradłach. Caldemeyn, tam musieli ginąć ludzie. Dzieci.

— Ano, zgadza się. Ale nikt... Kto mógł przypuścić... Hej, ludkowie, do domów, do roboty! To nie widowisko! Zakryj to, Geralt. Muchy się zlatują.

W izbie wójt bez słowa chwycił garniec piwa i wypił do dna, nie odejmując od ust. Westchnął ciężko, pociągnął nosem.

— Nagrody nie ma — powiedział ponuro. — Nikt nawet nie przypuszczał, że coś takiego siedzi w słonych bagnach. Fakt, kilka osób przepadło w tamtej okolicy, ale... Mało kto łąził po tej grobli. A ty skąd się tam wzięłeś? Dlaczego nie jechałeś głównym traktem?

— Na głównych traktach trudno o zarobek dla mnie Caldemeyn.

— Zapomniałem — wójt stłumił beknęcie, wydymając policzki. — A taka to była spokojna okolica. Nawet skrzaty z rzadka jeno szczały tu babom do mleka. I masz, pod samym bokiem jakaś kociozmora. Wypada, że muszę ci podziękować. Bo zapłacić, to ja ci za nią nie zapłacę. Nie mam funduszy.

— Pech. Przydałoby mi się trochę grosza, aby przezimować — wiedźmin łyknął z garnca, otarł usta z piany — Wybieram się do Yspaden, ale nie wiem, czy zdążę, nim śniegi zawałą drogi. Mogę utknąć w którymś z gródków wzdłuż Luñońskiego traktu.

— Długo zabawisz w Blaviken?

— Krótko. Nie mam czasu się zabawiać. Idzie zima.

— Gdzie się zatrzymasz? Może u mnie? Wolna izba jest na stryszku, po co masz się dać obedrzeć przez karczmarzy, tych złodziei. Pogadamy, opowiesz, co w szerokim świecie słyhać.

— Chętnie. Ale co na to twoja Libusze? Ostatnim razem dało się zauważyć, że nie przepada za mną.

— W moim domu baby nie mają głosu. Ale, między nami nie rób przy niej tego, co ostatnim razem, podczas kolacji.

— Idzie ci o to, że rzuciłem widelcem w szczura?

— Nie. Idzie mi o to, że trafiłeś, chociaż było ciemno.

— Myślałem, że to będzie zabawne.

— Było. Ale nie rób tego przy Libusze. Słuchaj, a ta... jak jej tam... Kiki...

— Kikimora.

— Potrzebna ci do czegoś?

— Ciekawe, do czego? Jeśli nie ma nagrody, możesz ją kazać wrzucić do gnojówki.

— Pomysł nie jest zły. Hej tam, Karelka, Borg, Nosikamyk! Jest tam który?

Wszedł strażnik miejski z partyzaną na ramieniu, z hukiem zawadzając ostrzem o ościeżnicę.

— Nosikamyk — rzekł Caldemeyn. — Weź kogoś do pomocy, zabierz sprzed chałupy osła razem z tym świństwem zapakowanym w derkę, wyprowadź za chlewiki i utop w gnojówce. Zrozumiałeś?

— Wedle rozkazu. Ale... Panie wójcie...

— Czego?

— Może nim topić to ohydztwo...

— No?

— Pokazaćby Mistrzowi Irionowi. A nuż mu się do czegoś przygodzi.

Caldemeyn pacnął się w czoło otwartą dłonią.

— Niegłupiś, Nosikamyk. Słuchaj, Geralt, może nasz miejscowy czarodziej odpali ci coś za tę padlinę. Rybacy znoszą mu różne dziworyby, ośmionogi, klabatry czy kerguleny, niejeden na tym zarobił. Chodź, przejdziemy się do wieży.

— Dorobiliście się czarodzieja? Na stałe czy dorywczo?

— Na stałe. Mistrz Irion. Mieszka w Blaviken od roku. Można mag, Geralt, z samego wyglądu poznasz.

— Wątpię, czy możny mag zapłaci za kikimorę — skrzywił się Geralt. — O ile wiem, nie jest potrzebna do produkcji żadnych eliksirów. Zapewne wasz Irion tylko mi naurąga. My, wiedźmini, nie kochamy się z czarodziejami.

— Nigdy nie słyszałem, żeby Mistrz Irion komuś urągał. Czy zapłaci, nie przysięgnę, ale spróbować nie zawadzi. Na bagnach może być więcej takich kikimorów, i co wtedy? Niech czarodziej obejrzy stwora i w razie czego rzuci jakieś czary na bagniska albo co.

Wiedźmin pomyślał przez chwilę.

— Punkt dla ciebie, Caldemeyn. Cóż, zaryzykujemy spotkanie z Mistrzem Irionem. Idziemy?

— Idziemy Nosikamyk, odgoń te dzieciaki i bierz kłapoucha na postronek. Gdzie moja czapka?

* * *

Wieża, zbudowana z gładko ociosanych bloków granitu, zwieńczona zębatymi blankami, przedstawiała się imponująco, górując nad potłuczonymi dachówkami domostw i wkleśniętymi strzechami chałup.

— Odnowił, widzę — rzekł Geralt. — Czarami czy zapędził was do roboty?

— Czarami, głównie.

— Jaki on jest, ten wasz Irion?

— Porządny. Ludziom pomaga. Ale odludek, mruk. Z wieży prawie nie wychodzi.

Na drzwiach zdobnych rozetą intarsjowaną jasnym drewnem wisiała ogromna kołatka w kształcie płaskiego, wylupiastookiego łba ryby trzymającej mosiężne kółko w zębatej paszczęce. Caldemeyn, obeznany widać z działaniem mechanizmu, zbliżył się, odchrząknął i wyrecytował:

— Pozdrawia wójt Caldemeyn ze sprawą do Mistrza Iriona. Z nim pozdrawia wiedźmin Geralt z Rivii, także ze sprawą.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, wreszcie rybi łeb poruszył zębatą żuchwą, tchnął obłoczkiem pary.

— Mistrz Irion nie przyjmuje. Odejdźcie, dobrzy ludzie.

Caldemeyn podreptał w miejscu, spojrzął na Geralta. Wiedźmin wzruszył ramionami. Nosikamyk, skupiony i poważny, dłużej w nosie.

— Mistrz Irion nie przyjmuje — powtórzyła metalicznie kołatka. — Odejdźcie, dobrzy...

— Nie jestem dobrym człowiekiem — przerwał głośno Geralt. — Jestem wiedźminem. To, na ośle, to jest kikimora, którą zabiłem bardzo blisko miasteczka. Obowiązkiem każdego czarodzieja rezydenta jest dbać o bezpieczeństwo w okolicy. Mistrz Irion nie musi zaszczycać mnie rozmową, nie musi mnie przyjmować, jeśli taka jego wola. Ale kikimorę niech sobie obejrzy i wyciągnie wnioski. Nosikamyk, odtrocz kikimorę i zwał ją tutaj, pod same drzwi.

— Geralt — rzekł cicho wójt. — Ty odjedziesz, a ja tu będę musiał...

— Idziemy, Caldemeyn. Nosikamyk, wyjmij palec z nosa i zrób, co kazałem.

— Zaraz — powiedziała kołatka zupełnie innym głosem. — Geralt, to naprawdę ty?

Wiedźmin zaklął cicho.

— Tracę cierpliwość. Tak, to naprawdę ja. I co z tego, że to naprawdę ja?

— Podejść blisko do drzwi — rzekła kołatka, pykając obłoczkiem pary. — Sam. Wpuszczę cię.

— Co z kikimorą?

— Pal ją łącho. Chcę z tobą rozmawiać, Geralt. Tylko z tobą. Wybaczcie, wójtcie.

— Co mi tam, Mistrzu Irionie — machnął ręką Caldemeyn. — Bywaj, Geralt. Zobaczymy się później. Nosikamyk! Potwora do gnojówki!

— Wedle rozkazu.

Wiedźmin podszedł do intarsjowanych drzwi, które uchyliły się bardzo niewiele, tyle, by mógł się przecisnąć, po czym natychmiast zatrzasnęły się, pozostawiając go w zupełnym mroku.

— Hej! — zawołał, nie kryjąc złości.

— Już — odpowiedział głos, dziwnie znajomy.

Wrażenie było tak niespodziewane, że wiedźmin zatoczył się i wyciągnął rękę, szukając oparcia. Nie znalazł.

Sad kwitł biało i różowo, pachniał deszczem. Niebo przecinał wielobarwny łuk tęczy, spinający korony drzew z dalekim, błękitnym łańcuchem górskim. Domek pośród sadu, maleńki i skromny, tonął w malwach. Geralt spojrzął pod nogi i stwierdził, że stoi po kolana w macierzance.

— No, chodźże, Geralt — odezwał się głos. — Jestem przed domem.

Wszedł w sad pomiędzy drzewa. Dostrzegł po lewej ruch, obejrzał się. Jasnówłosa dziewczyna, zupełnie naga, szła wzdłuż rzędu krzewów, niosąc koszyk pełen jabłek. Wiedźmin solennie sobie obiecał nie dziwić się więcej.

— Nareszcie. Witaj, wiedźminie.

— Stregobor! — zdziwił się Geralt.

Wiedźmin spotykał w życiu złodziei wyglądających jak rajcy miejscy, rajców wyglądających jak proszalne dziady, nierządnicę wyglądającą jak królowy, królowy wyglądające jak cielne krowy i królów wyglądających jak złodzieje. A Stregobor zawsze wyglądał tak, jak wedle wszystkich prawideł i wyobrażeń winien wyglądać czarodziej. Był wysoki, chudy, zgarbiony, miał wielkie, siwe, krzaczaste brwi i długi, zakrzywiony nos. Na dobitkę nosił czarną powłóczystą szatę z nieprawdopodobnie szerokimi rękawami, a w ręku dzierżył długaśny posoch z kryształową gałką. Żaden ze znanych Geraltowi czarodziejów nie wyglądał tak jak Stregobor. Co dziwniejsze, Stregobor faktycznie był czarodziejem.

Siedli na ganku otoczonym malwami w wiklinowych fotelach, przy stoliku z blatem z białego marmuru. Naga blondynka z koszem jabłek zbliżyła się, uśmiechnęła, obróciła i wróciła do sadu, kołysząc biodrami.

— To też iluzja? — spytał Geralt, patrząc na kołysanie.

— Też. Jak wszystko tutaj. Ale to jest, mój kochany, iluzja pierwszej klasy. Kwiaty pachną, jabłka możesz jeść, pszczoła może cię użądlić, a ją — czarodziej wskazał na blondynkę — możesz...

— Może później.

— Słusznie. Co tu robisz, Geralt? Nadal trudnisz się zabijaniem za pieniądze przedstawicieli ginących gatunków? Ile dostałeś za kikimorę? Pewnie nic, inaczej nie przyszedłbyś tutaj. I pomyśleć, że są ludzie nie wierzący w przeznaczenie. Chyba że wiedziałeś o mnie. Wiedziałeś?

— Nie wiedziałem. To ostatnie miejsce, w którym mogłem się ciebie spozdiewać. O ile mnie pamięć nie myli, dawniej mieszkałeś w Kovirze, w podobnej wieży.

— Wiele się zmieniło od tamtych czasów.

— Chociażby twoje miano. Podobno jesteś teraz Mistrzem Irionem.

— Tak nazywał się twórca tej wieży, zmarło mu się coś ze dwieście lat temu. Uznałem, że należy jakoś go uczcić, zajmując jego siedlisko. Robię tu za rezydenta. Większość mieszkańców utrzymuje się z morza, a jak wiesz, moja specjalność, poza iluzjami, to pogoda. Czasem sztorm uciszę, czasem wywołam, czasem zachodnim wiatrem przygnam bliżej brzegów ławice witlinków i dorszy. Można żyć. To znaczy — dodał ponuro — można było żyć.

— Dlaczego „można było”? Skąd zmiana imienia?

— Przeznaczenie ma wiele twarzy. Moje jest piękne z wierzchu i obrzydliwe wewnątrz. Wyciągnęło ku mnie swoje krwawe szpony. . .

— Nic się nie zmieniłeś, Stregobor — skrzywił się Geralt. — Bredzisz, robiąc przy tym mądre i znaczące miny. Nie możesz mówić normalnie?

— Mogę — westchnął czarnoksiężnik. — Jeśli cię to ma uszczęśliwić, to mogę. Dotarłem aż tutaj, kryjąc się i uciekając przed potworną istotą, która chce mnie zamordować. Ucieczka nie zdała się na nic, odnalazła mnie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spróbuje mnie zabić jutro, najdalej pojutrze.

— Aha — rzekł beznamiętnie wiedźmin. — Teraz rozumiem.

— Jak mi się zdaje, grożąca mi śmierć nie robi na tobie większego wrażenia?

— Stregobor — powiedział Geralt. — Taki jest świat. Wiele się widzi podróżując. Dwóch chłopów zabija się o miedzę pośrodku pola, które jutro stratuja konie drużyn dwóch komesów chcących się nawzajem wymordować. Wzdłuż dróg na drzewach dyndają wisielcy, w lasach zbójcy podrzynają gardła kupcom. W miastach co krok potykasz się o trupy w rynsztokach. W pałacach dżgają się sztyletami, a na ucztach co i rusz ktoś wali się pod stół, siny od trucizny. Przyzwyczałem się. Dlaczego więc ma robić na mnie wrażenie grożąca śmierć, i to w dodatku grożąca tobie?

— W dodatku grożąca mnie — powtórzył z przekąsem Stregobor. — A ja miałem cię za przyjaciela. Liczyłem na twoją pomoc.

— Nasze ostatnie spotkanie — rzekł Geralt — miało miejsce na dworze króla Idiego w Kovirze. Przyszedłem po zapłatę za zabicie amfisbeny, która terroryzowała okolicę. Wówczas ty i twój konfrater Zavist na wypródki nazywaliście mnie szarlatanem, bezmyślną maszyną do mordowania i, jeżeli dobrze pamiętam, ścierwojadem. W rezultacie Idi nie dość, że nie zapłacił mi ani szeląga, to jeszcze dał dwanaście godzin na opuszczenie Koviru, a że miał popsutą klepsydrę, ledwo zdążyłem. A teraz, powiadasz, liczysz na moją pomoc. Powiadasz, ściga cię potwór. Czego się boisz, Stregobor? Jeśli cię dopadnie, powiedz mu, że ty lubisz potwory,

chronisz je i dbasz, by żaden wiedźmin ścierwojad nie zakłócał im spokoju. Zaliste, jeśli potwór cię wypatroszy i pożre, okaże się strasznym niewdzięcznikiem.

Czarodziej milczał odwróciwszy głowę. Geralt zaśmiał się.

— Nie nadymaj się jak żaba, magiku. Mów, co ci grozi. Zobaczymy, co się da zrobić.

— Słyszałeś o Przekleństwie Czarnego Słońca?

— A jakże, słyszałem. Tyle że pod nazwą Mania Obłąkanego Eltibalda. Tak wszakże nazywał się mag, który rozpętał hecę, w wyniku której zamordowano lub uwięziono w wieżach kilkadziesiąt dziewcząt z wielkich rodów, nawet królewskich. Miały być jakoby opętane przez demony, przeklęte, skażone przez Czarne Słońce, bo tak w waszym nadętym żargonie nazwaliście najzwyczajsze w świecie zaćmienie.

— Eltibald, który wcale nie był obłąkany, odcyfrował napisy na menhirach Dauków, na płytach nagrobnych w nekropoliach Woźgorów, zbadał legendy i podania bobołaków. Wszystkie mówiły o zaćmieniu w sposób pozostawiający mało wątpliwości. Czarne Słońce miało zwiastować rychły powrót Lilit, czczonej wciąż na Wschodzie pod imieniem Niya, i zagładę rasy ludzkiej. Drogę dla Lilit miało utorować „sześćdziesiąt niewiast w koronach złotych, które krwią wypełnią doliny rzek”.

— Brednia — powiedział wiedźmin. — A w dodatku nie do rymu. Wszystkie przyzwoite przepowiednie są do rymu. Wiadomo powszechnie, o co wówczas szło Eltibaldowi i Radzie Czarodziejów. Wykorzystaliście majaczenia szaleńca, aby umocnić waszą władzę. By rozbić sojusze, popsuć koligacje, zamieszać w dynastiach, słowem, mocniej potargać za sznurki umocowane do kukiełek w koronach. A ty mi tu prawisz o przepowiedniach, których powstydziliby się dziad na jarmarku.

— Można mieć zastrzeżenia do teorii Eltibalda, do interpretacji przepowiedni. Ale nie sposób podważyć faktu wystąpienia potwornej mutacji wśród dziewcząt urodzonych krótko po zaćmieniu.

— Cóż sprawia, że nie można tego podważyć? Słyszałem coś zupełnie przeciwnego.

— Byłem przy sekcji jednej z nich — powiedział czarodziej. — Geralt, to, co znaleźliśmy wewnątrz czaszki i rdzenia, nie dawało się jednoznacznie określić. Jakaś czerwona gąbka. Wewnętrzne organy przemieszane, niektórych w ogóle brak. Wszystko pokryte ruchliwymi rzęskami, sinoróżowymi strzępkami. Serce o sześciu komorach. Dwie praktycznie w atrofii, ale jednak. Co ty na to?

— Widziałem ludzi mających zamiast rąk orle szpony, ludzi z wilczymi kłami. Ludzi o dodatkowych stawach, dodatkowych organach i dodatkowych zmysłach. Wszystko to były efekty waszego babrania się w magii.

— Widziałeś różne mutacje, powiadasz — uniósł głowę czarnoksiężnik. — A ile z nich zatłukłeś za pieniądze, zgodnie ze swoim wiedźmińskim powołaniem?

Co? Bo można mieć wilcze kły i poprzestawać na szczerzeniu ich do dziewczek w oberży, a można mieć jednocześnie wilczą naturę i atakować dzieci. A tak właśnie było w przypadku dziewczynek urodzonych po zaćmieniu, u których stwierdzono wręcz niepoczytalną skłonność do okrucieństwa, agresji, gwałtownych wybuchów gniewu, a także wybujały temperament.

— U każdej baby można stwierdzić coś takiego — zadrwił Geralt. — Co ty mi tu pleciesz? Pytasz, ile mutantów zabiłem, dlaczego nie ciekawi cię, ile z nich odczarowałem, wyzwoliłem od klątwy? Ja, pogardzany przez was wiedźmin. A co uczyniliście wy, potężni czarnoksiężnicy?

— Zastosowano wyższą magię. Naszą, jak również kapłańską, w różnych świątyniach. Wszystkie próby zakończyły się śmiercią dziewczynek.

— To świadczy źle o was, nie o dziewczynkach. A więc mamy już pierwsze trupy. Rozumiem, że tylko te sekcjonowano?

— Nie tylko. Nie patrz tak na mnie, wiesz dobrze, że były i dalsze trupy. Początkowo postanowiono eliminować wszystkie. Usunęliśmy kilka... naście. Wszystkie sekcjonowano. Jedną wiwisekcjonowano.

— I wy, sukinsyny, ośmielacie się krytykować wiedźminów? Ech, Stregobor, przyjdzie dzień, kiedy ludzie zmądrzeją i dobiorą się wam do skóry.

— Nie sądzę, żeby prędko przyszedł taki dzień — rzekł cierpko czarodziej. — Nie zapominaj, że działaliśmy właśnie w obronie ludzi. Mutantki utopiłyby we krwi całe krainy.

— Tak twierdzicie wy, magicy, zadartszy nosy do góry, ponad wasz nimb nieomyślności. Jeśli już o tym mowa, nie będziesz chyba twierdził, że w waszym polowaniu na rzekome mutantki nie pomyliliście się ani razu?

— Niech ci będzie — rzekł Stregobor po dłuższej chwili milczenia. — Będę szczery, chociaż nie powinienem, we własnym interesie. Pomyliliśmy się, i to więcej niż jeden raz. Ich selekcja była nader trudna. Dlatego też zaprzestaliśmy je... usuwać, zaczęliśmy izolować.

— Wasze słynne wieże — parsknął wiedźmin.

— Nasze wieże. To był jednak kolejny błąd. Nie docenialiśmy ich i sporo nam uciekło. Wśród królewiczów, zwłaszcza tych młodszych, co to niewiele mieli do roboty, a jeszcze mniej do stracenia, zapanowała jakaś obłąkańcza moda na uwalnianie więzionych ślicznotek. Większość, na szczęście, poskręcała karki.

— O ile wiem, uwięzione w wieżach szybko marły. Mówiono, że bez waszej pomocy się nie obeszło.

— Kłamstwo. Rzeczywiście jednak szybko popadały w apatię, odmawiały jedzenia... Co ciekawe, krótko przed śmiercią zdradzały dar jasnowidzenia. Kolejny dowód mutacji.

— Co dowód, to mniej przekonujący. Nie masz ich więcej?

— Mam. Silvena, pani na Naroku, do której nigdy nie udało się nam nawet zbliżyć, bo przejęła władzę bardzo szybko. Teraz dzieją się w tym kraju okrop-

ne rzeczy Fialka, córka Evermira, uciekła z wieży za pomocą sznura upleczonego z warkoczy i obecnie terroryzuje Północny Velhad. Bernikę z Talgaru uwolnił idiota królewicz. Teraz oślepiiony siedzi w lochu, a najczęściej zauważalnym elementem krajobrazu w Talgarze jest szubienica. Są i inne przykłady.

— Pewno że są — rzekł wiedźmin. — W Jamurlaku, na przykład, panuje starsuszek Abrad, ma skrofuły, nie ma ani jednego zęba, urodził się chyba ze sto lat przed tym zaćmieniem, a nie uśnie, jeśli kogoś nie zakatują w jego przytomności. Wyrznął wszystkich krewnych i wyludnił połowę kraju w niepoczytalnych, jak to określiłeś, napadach gniewu. Są i ślady wybujałego temperamentu, podobno w młodości przeżywano go nawet Abrad Zadrzykiecka. Ech, Stregobor, byłoby pięknie, gdyby okrucieństwa władców można było wytłumaczyć mutacją lub kłębą.

— Posłuchaj, Geralt. . .

— Ani myślę. Nie przekonasz mnie do swoich racji, ani tym bardziej do tego, że Eltibald nie był zbrodniczym wariatem. Wróćmy do potwora, który jakoby ci zagraża. Po wstępie, jaki zrobiłeś, bądź świadom, że historia mi się nie podoba. Ale wysłucham cię do końca.

— Nie przeszkadzając złośliwymi uwagami?

— Tego nie mogę obiecać.

— Cóż — Stregobor wsunął dłonie w rękawy szaty — tym dłużej to będzie trwało. A zatem, historia zaczęła się w Creyden, małym księstewku na północy. Żoną Fredefalka, księcia Creyden, była Aridea, mądra, wykształcona kobieta. Miała w rodzie wielu wybitnych adeptów kunsztu czarnoksięskiego i zapewne w drodze dziedzictwa przejęła dość rzadki i potężny artefakt, Zwierciadło Nehaleni. Jak wiesz, Zwierciadła Nehaleni służyły głównie prorokom i wyroczniom, bo bezbłędnie, choć zawile, przepowiadają przyszłość. Aridea dość często zwracała się do Zwierciadła. . .

— Ze zwyczajowym pytaniem, jak sądzę — przerwał Geralt. — „Kto jest najpiękniejszy na świecie?” Jak wiem, wszystkie Zwierciadła Nehaleni dzielą się na uprzejme i na rozbite.

— Mylisz się. Arideę bardziej interesowały losy kraju. A na jej pytania Zwierciadło przepowiedziało paskudną śmierć jej samej i całego mnóstwa ludzi z ręki bądź z winy córki Fredefalka z pierwszego małżeństwa. Aridea postarała się, aby wiadomość o tym dotarła do Rady, a Rada wysłała do Creyden mnie. Nie muszę dodawać, że pierworodna Fredefalka urodziła się krótko po zaćmieniu. Obserwowałem małą dyskretnie krótki czas. W tym to czasie zdążyła zamęczyć kanarka i dwa szczeniaki, a także trzonkiem grzebienia wyłupiła oko służebnicy. Przeprowadziłem kilka testów za pomocą zakłęb, większość potwierdziła, że mała była mutantem. Poszedłem z tym do Aridei, bo Fredefalk świata poza córką nie widział. Aridea, jak mówiłem, była niegłupią kobietą. . .

— Jasne — przerwał znowu Geralt — i zapewne nie przepadała za pasierbicą. Wołała, by tron dziedziczyły jej własne dzieci. Dalszego ciągu się domyślam. Że też nie znalazł się tam wówczas ktoś, kto ukręciłby jej szyję. I tobie przy okazji też.

Stregobor westchnął, uniósł oczy ku niebu, na którym tęcza wciąż mieniła się wielobarwnie i malowniczo.

— Ja byłem za tym, by ją tylko izolować, ale księżna zdecydowała inaczej. Posłała małą do lasu z wynajętym zbirem, łowczym. Znaleźliśmy go później w zaroślach. Nie miał na sobie spodni, nietrudno było więc odtworzyć przebieg wypadków. Wbiła mu szpilkę od broszki w mózg, przez ucho, zapewne wtedy, gdy uwagę miał zaprzątniętą zupełnie czymś innym.

— Jeżeli sądzisz, że mi go żal — mruknął Geralt — to jesteś w błędzie.

— Urządziliśmy obławę — ciągnął Stregobor — ale po małej ślad zginął. Ja zaś musiałem w pośpiechu opuścić Creyden, bo Fredefalk zaczął coś podejrzywać. Dopiero po czterech latach otrzymałem wieści od Aridei. Wytropiła małą, żyła w Mahakamie z siedmioma gnomami, których przekonała, że bardziej opłaca się łupić kupców na drogach niż zapyłać sobie płuca w kopalni. Powszechnie nazywano ją Dzierzbą, bo pojmanych żywcem lubiła nabijać na zaostrome kołki. Aridea kilkakrotnie wynajmowała morderców, ale żaden nie wrócił. Potem zaś trudno było znaleźć chętnych, mała była już dość sławna. Mieczem nauczyła się robić tak, że mało który mężczyzna mógł stawić jej czoło. Wezwany, przybyłem potajemnie do Creyden, po to tylko, by się dowiedzieć, że ktoś otruł Arideę. Powszechnie uważano, że to sam Fredefalk, który upatrzył sobie młodszego i jędrniejszy mezalians, ale ja sądzę, że to Renfri.

— Renfri?

— Tak się nazywała. Mówiłem, otruła Arideę. Księżę Fredefalk krótko po tym zginął w dziwnym wypadku na łowach, a najstarszy syn Aridei przepadł bez wieści. To też musiała być robota małej. Mówię: „małej”, a miała już wtedy siedemnaście lat. I była nieźle wyrosnięta.

— W tym czasie — podjął czarodziej po chwili przerwy — ona i jej gnomy były już postrachem całego Mahakamu. Tyle że pewnego dnia o coś tam się pokłócili, nie wiem, o podział łupów czy kolejność nocy w tygodniu, dość, że porznęli się nożami. Siódemka gnomów nie przeżyła nożowej rozprawy. Przeżyła tylko Dzierzba. Ona jedna. Ale wówczas ja już byłem w okolicy. Spotkaliśmy się oko w oko: w mig poznała mnie i zorientowała się co do roli, jaką odegrałem wtedy w Creyden. Mówię ci, Geralt, ledwo zdążyłem wypowiedzieć zaklęcie, a ręce trzęsły mi się jak nie wiem, gdy ta dzika kocica leciała na mnie z mieczem. Zapakowałem ją w zgrabną bryłę kryształu górskiego, sześć łokci na dziewięć. Gdy zapadła w letarg, wrzuciłem bryłę do gnomowej kopalni i zawałem szyb.

— Partacka robota — skomentował Geralt. — To było do odczarowania. Nie mogłeś jej spalić na żużel? Przecież znacie tyle sympatycznych zaklęć.

— Nie ja. Nie moja specjalność. Ale masz rację, spartaczyłem. Odnalazł ją jakiś idiota królewicz, wydał mnóstwo pieniędzy na kontr zaklęcie, odczarował i tryumfalnie zawiózł do domu, do jakiegoś zapadłego królestwa na wschodzie. Jego ojciec, stary rozbójnik, okazał więcej rozsądku. Spuścił synowi lanie, a Dzierzbę postanowił wypytać o skarby, jakie zagrabiła wraz z gnomami i przemyślnie ukryła. Jego błąd polegał na tym, że kiedy nagą rozciągnięto na katowskiej ławie, asystował mu starszy syn. Jakoś tak wyszło, że nazajutrz tenże najstarszy syn, już sierota i pozbawiony rodzeństwa, panował w owym królestwie, a Dzierzba objęła urząd pierwszej faworyty.

— Znaczy się, jest niebrzydka.

— Kwestia gustu. Faworytą długo nie była, do pierwszego przewrotu pałacowego, szumnie mówiąc, bo tamtejszy pałac bardziej przypominał oborę. Wnet okazało się, że nie zapomniała o mnie. W Kovirze dokonała na mnie trzech skrytobójczych zamachów. Postanowiłem nie ryzykować i przeczekać w Pontarze. Znalazła mnie znowu. Tym razem uciekłem do Angrenu, ale i tam mnie odnalazła. Nie wiem, jak to robi, ślady zacieram dobrze. To musi być cecha jej mutacji.

— Co cię powstrzymało przed ponownym zaklęciem jej w kryształ? Wyrzuty sumienia?

— Nie. Nie miałem takowych. Okazało się jednak, że uodporniła się na magię.

— To nie jest możliwe.

— Jest. Wystarczy mieć odpowiedni artefakt albo aurę. Względnie znowu to może być związane z jej mutacją, która postępuje. Uciekłem z Angrenu i ukryłem się tutaj, na Łukomorzu, w Blaviken. Miałem spokój przez rok, ale znowu mnie wytropiła.

— Skąd wiesz? Jest już w miasteczku?

— Tak. Widziałem ją w kryształach — czarodziej uniósł różdżkę. — Nie jest sama, prowadzi bandę, to znak, że szykuje coś poważnego. Geralt, ja nie mam już dokąd uciekać, nie znam miejsca, gdzie mógłbym się ukryć. Tak. To, że ty przybyłeś tutaj właśnie w tym momencie, nie może być przypadkiem. To przeznaczenie.

Wiedźmin uniósł brwi.

— Co masz na myśli?

— To chyba oczywiste. Zabijesz ją.

— Nie jestem najemnym zbirem, Stregobor.

— Zbirem nie jesteś, zgoda.

— Za pieniądze zabijam potwory. Bestie zagrażające ludziom. Straszdyła wywoływane czarami i zaklęciami takich jak ty. Nie ludzi.

— Ona nie jest człowiekiem. Jest właśnie potworem mutantem, przeklętym odmieniecem. Przywiozłeś tu kikimorę. Dzierzba jest gorsza od kikimory. Kikimora zabija z głodu, a Dzierzba dla przyjemności. Zabij ją, a ja zapłacę ci każdą sumę, jakiej zażadasz. W granicach rozsądku, rozumie się.

— Już ci mówiłem, historię o mutacji i przekleństwie Lilit uważam za brednie. Dziewczyna ma powody do porachunków z tobą, ja się do tego mieszałem nie będę. Zwróć się do wójta, do straży miejskiej. Jesteś miejscowym czarodziejem, chroni cię miejscowe prawo.

— Napluć mi na prawo, na wójta i na jego pomoc! — wybuchnął Stregobor. — Nie potrzebuję obrony, chcę, byś ją zabił! Do tej wieży nie wejdzie nikt, jestem tu zupełnie bezpieczny. Ale co mi z tego, nie mam zamiaru siedzieć tu do końca swoich dni. Dzierzba nie zrezygnuje, póki żyje, wiem to. Mam siedzieć w tej wieży i czekać na śmierć?

— One siedziały. Wiesz co, magiku? Trzeba było zostawić polowanie na dziewczęta innym, potężniejszym czarodziejom, trzeba było przewidzieć konsekwencje.

— Proszę cię, Geralt.

— Nie, Stregobor.

Czarnoksiężnik milczał. Nieprawdziwe słońce na nieprawdziwym niebie nie przesunęło się w kierunku zenitu, ale wiedźmin wiedział, że w Blaviken już zmierzcha. Poczuł głód.

— Geralt — powiedział Stregobor — kiedy słuchaliśmy Eltibalda, wielu z nas miało wątpliwości. Ale postanowiliśmy wybrać mniejsze zło. Teraz ja ciebie proszę o podobny wybór.

— Zło to zło, Stregoborze — rzekł poważnie wiedźmin wstając. — Mniejsze, większe, średnie, wszystko jedno, proporcje są umowne a granice zatarte. Nie jestem świątobliwym pustelnikiem, nie samo dobro czyniłem w życiu. Ale jeżeli mam wybierać pomiędzy jednym złem a drugim, to wolę nie wybierać wcale. Czas na mnie. Zobaczmy się jutro.

— Może — powiedział czarodziej. — Jeżeli zdążysz.

* * *

W „Złotym Dworze”, reprezentacyjnym zajeździe miasteczka, było ludno i gwarno. Goście, miejscowi i przyjezdni, zajęci byli w większości czynnościami typowymi dla nacji lub profesji. Poważni kupcy kłócili się z krasnoludami o ceny towarów i oprocentowanie kredytu. Mniej poważni kupcy szczypali w tyłki dziewczęta roznoszące piwo i kapustę z grochem. Lokalni przygłupkowie udawali dobrze poinformowanych. Dziewki starały się podobać mającym pieniądze, równocześnie zniechęcając nie mających. Woźnice i rybacy pili tak, jak gdyby od jutra miano wydać zakaz uprawy chmielu. Żeglarze śpiewali piosenkę sławiącą morskie fale, odwagę kapitanów i wdzięki syren, te ostatnie malowniczo i w szczegółach.

— Wyteż pamięć, Setniku — rzekł Caldemeyn do karczmarza, przechylając się przez kontuar, by być słyszonym poprzez harmider. — Sześciu chłopów i dziewczucha, czarno odziani w skórę nabijaną srebrem, novigradzką modą. Widziałem ich na rogatkach. Zatrzymali się u ciebie czy „Pod Tuńczykiem” ?

Karczmarz zmarszczył wypukłe czoło, wycierając kufel w pasiasty fartuch.

— Tu, wójcie — powiedział wreszcie. — Prawili, że na jarmark przyjechali, a wszyscy przy mieczach, nawet dziewczka. Czarno, jak rzekliście, odziani.

— Ano — kiwnął głową wójt. — Gdzie oni teraz? Tu ich nie widzę.

— We mniejszym alkierzu. Złotem płacili.

— Pójdę sam — powiedział Geralt. — Nie ma co robić z tego sprawy urzędowej, przynajmniej na razie, wobec nich wszystkich. Przyprawdę ją tutaj.

— Może i dobrze. Ale uważaj, nie chcę tu awantury.

— Będę uważał.

Piosenka żeglarzy, sądząc po rosnącym nasyceniu plugawymi słowami, zmierziała do wielkiego finału. Geralt uchylił kotarę zasłaniającą wejście do alkierza, sztywną i lepką od brudu.

Przy stole w alkierzu siedziało sześciu mężczyzn. Tej, której się spodziewał, nie było wśród nich.

— Czego? — wrzasnął ten, który dostrzegł go pierwszy, łysawy, z twarzą zniekształconą blizną biegnącą przez lewą brew, nasadę nosa i prawy policzek.

— Chcę się widzieć z Dzierzbą.

Od stołu wstały dwie jednakowe postacie o identycznych nieruchomych twarzach, jasnych zmierzwionych włosach sięgających ramion, w identycznych obcisłych strojach z czarnej skóry lśniących od srebrnych ozdób. Jednakowymi ruchami bliźniacy podnieśli z ławy jednakowe miecze.

— Spokój, Vyr. Siadaj, Nimir — powiedział człowiek z blizną, opierając łokcie na stole. — Z kim, mówisz, chcesz się widzieć, bracie? Kto to jest Dzierzba?

— Wiesz dobrze, o kogo mi chodzi.

— Co to za jeden? — spytał półnagi osiłek, spocony, przepasany na krzyż pasami, z kolczastymi ochraniaczami na przedramionach. — Znasz go, Nohorn?

— Nie znam — powiedział człowiek z blizną.

— To jakiś albinos — zachichotał szczupły ciemnowłosy mężczyzna siedzący obok Nohorna. Delikatne rysy, wielkie czarne oczy i spiczasto zakończone uszy nieomylnie zdradzały półkrwi elfa. — Albinos, mutant, wybryk natury. Że też takim pozwala się wchodzić do szynków między porządnymi ludźmi.

— Ja go już gdzieś widziałem — powiedział krępy, ogorzały typ z włosami zaplecionymi w warkocz, mierząc Geralta złym spojrzeniem zmrużonych oczu.

— Nieważne, gdzie go widziałeś, Tavik — powiedział Nohorn. — Słuchaj no, bracie. Civril przed chwilą strasznie cię obraził. Nie wyzwiesz go? Taki nudny wieczór.

— Nie — rzekł spokojnie wiedźmin.

— A mnie, jeśli wyleję ci na łeb tę rybą polewkę, wyzwiesz? — zarechotał goły do pasa.

— Spokój, Piętnastka — rzekł Nohorn. — Powiedział, że nie, to nie. Na razie. No, bracie, mów, co masz do powiedzenia i wynoś się. Masz okazję sam się wynieść. Nie skorzystasz, to wyniesie cię obsługa.

— Tobie nie mam nic do powiedzenia. Chcę się widzieć z Dzierzbą. Z Renfri.

— Słyszeliście, chłopcy? — Nohorn rozejrzał się po kompanach. — On chce się widzieć z Renfri. A w jakimże to celu, bracie, można wiedzieć?

— Nie można.

Nohorn podniósł głowę i popatrzył na bliźniaków, ci zaś postąpili krok do przodu, brzęcząc srebrnymi klamerkami wysokich butów.

— Wiem — powiedział nagle ten z warkoczem. — Już wiem, gdzie go widziałem!

— Co tam mamlesz, Tavik?

— Przed domem wójta. Przywiózł jakiegoś smoka na handel, takie skrzyżowanie pająka z krokodylem. Ludzie gadali, że to wiedźmin.

— Co to takiego jest, wiedźmin? — spytał ten goły, Piętnastka. — Hę? Civril?

— Najemny czarownik — powiedział półelf. — Kuglarz za garść srebrników. Mówiłem, wybryk natury. Obraza praw ludzkich i boskich. Takich powinno się palić.

— Nie lubimy czarowników — zazgrzytał Tavik, nie odrywając od Geralta zmrużonych ślepi. — Coś mi się zdaje, Civril, że będziemy mieli w tej dziurze więcej roboty, niż myśleliśmy. Tu ich jest więcej niż jeden, a wiadomo, że oni trzymają się razem.

— Ciągnie swój do swego — uśmiechnął się złośliwie mieszaniec. — Że też ziemia nosi takich jak ty. Kto was płodzi, dziwołagi?

— Więcej tolerancji, jeśli łaska — rzekł spokojnie Geralt. — Twoja matka, jak widzę, musiała dostatecznie często chodzić sama po lesie, byś miał powody zastanawiać się nad własnym pochodzeniem.

— Możliwe — odpowiedział półelf, nie przestając się uśmiechać. — Ale ja przynajmniej znałem moją matkę. Ty jako wiedźmin nie możesz tego powiedzieć o sobie.

Geralt pobrał lekko i zacisnął wargi. Nohorn, którego uwadze to nie uszło, zaśmiał się gromko.

— No, bracie, takiej obrazy nie możesz puścić płazem.

To, co masz na grzbiecie, wygląda na miecz. Więc jak? Wyjdziecie z Civrilem na dwór? Wieczór taki nudny.

Wiedźmin nie zareagował.

— Zastrany tchórz — parsknął Tavik.

— Co on mówił o matce Civrila? — ciągnął monotonicznie.

Nohorn, opierając podbródek na splecionych dłoniach. — Coś strasznie obrzydliwego, jak zrozumiałem. Że się puszczała, czy jakoś tak. Hej, Piętnastka, czy wypada słuchać, jak jakiś przybłęda obraża matkę kompana? Matka, taka jej mać, to świętość!

Piętnastka wstał ochoczo, odpiął miecz, cisnął na stół. Wypiął pierś, poprawił najeżone srebrnymi ćwiekami ochraniacze na przedramionach, splunął i postąpił krok do przodu.

— Jeżeli masz jakieś wątpliwości — powiedział Nohorn — to Piętnastka właśnie wyzywa cię do walki na pięści. Mówiłem, że cię stąd wyniosą. Zróbcie miejsce.

Piętnastka zbliżył się, unosząc pięści. Geralt położył dłoń na rękojeści miecza.

— Uważaj — powiedział. — Jeszcze krok, a będziesz szukał swojej ręki na podłodze.

Nohorn i Tavik zerwali się, łapiąc za miecze. Milczący bliźniacy dobyli swoich jednakowymi ruchami. Piętnastka cofnął się. Nie poruszył się jedynie Civril.

— Co tu się wyrabia, psiakrew? Na chwilę nie można was samych zostawić?

Geralt odwrócił się bardzo wolno i spojrzał w oczy koloru morskiej wody.

Prawie dorównywała mu wzrostem. Włosy koloru słomy nosiła nierówno obcięte, nieco poniżej uszu. Stała opierając się jedną ręką o drzwi, w obcisłym aksamitnym kaftaniku ściągniętym ozdobnym pasem. Jej spódnica była nierówna, asymetryczna — z lewej strony sięgała łydki, z prawej odsłaniała mocne udo ponad cholewą wysokiego buta z łosiowej skóry. U lewego boku miała miecz, u prawego sztylet z wielkim rubinem w głowicy.

— Zaniemówiliście?

— To wiedźmin — bąknął Nohorn.

— No to co?

— Chciał rozmawiać z tobą.

— No to co?

— To czarownik! — zahuczał Piętnastka.

— Nie lubimy czarowników — warknął Tavik.

— Spokojnie, chłopcy — powiedziała dziewczyna. — Chce ze mną porozmawiać, to nie zbrodnia. Wy bawcie się dalej. I bez awantur. Jutro jest dzień targowy. Nie chcecie chyba, żeby wasze wybryki zakłóciły jarmark, tak ważne wydarzenie w życiu tego miłego miasteczka?

W ciszy, jaka zapadła, rozległ się cichy, paskudny chichot. Civril, wciąż rozwalony niedbale na ławie, śmiał się.

— Niech cię, Renfri — wykrztusił mieszaniec. — Ważne... wydarzenie!

— Zamknij się, Civril. Natychmiast.

Civril przestał się śmiać. Natychmiast. Geralt nie zdziwił się. W głosie Renfri zadźwięczało coś bardzo dziwnego. Coś, co kojarzyło się z czerwonym odbłaskiem pożaru na klingach, wyciem mordowanych, rzeniem koni i zapachem krwi.

Inni również musieli mieć podobne skojarzenia, bo bladość pokryła nawet ogorzałą gębę Tavika.

— No, białowłosa — przerwała ciszę Renfri. — Wyjdźmy do większej izby, dołączmy do wójta, z którym tu przyszedłeś. On pewnie także chce ze mną rozmawiać.

Caldemeyn, czekający przy kontuarze, na ich widok przerwał cichą rozmowę z karczmarzem, wyprostował się, splótł ręce na piersi.

— Słuchajcie, pani — rzekł twardo, nie tracąc czasu na wymianę zdawkowych grzeczności. — Wiem od tego tu wiedźmina z Rivii, co was sprowadza do Blaviken. Podobno żywicie urazę do naszego czarodzieja.

— Może. I co z tego? — spytała cicho Renfri, również niezbyt grzecznym tonem.

— A to, że do takich uraz sądy grodzkie albo kasztelańskie są. Kto urazę u nas na Łukomorzu żelazem chce mścić, za zwykłego zbója bywa uważany. A to jeszcze, że albo wczesnym rankiem wyniesiecie się z Blaviken razem ze swoją czarną kompanią, albo was wsadzę do jamy, pre... Jak to się nazywa, Geralt?

— Prewencyjnie.

— Właśnie. Pojęliście, panienko?

Renfri sięgnęła do sakiewki przy pasie, wydobyła kilkakrotnie złożony pergamin.

— Przeczytajcie to sobie, wójcie, jeśliście gramotni. I więcej nie mówcie do mnie: „panienko”.

Caldemeyn wziął pergamin, czytał długo, potem bez słowa podał go Geraltowi.

— „Do moich komesów, wasali i poddanych wolnych — przeczytał wiedźmin na głos. — Wszem i wobec oznajmiam, jako Renfri, księżniczka creydeńska, w naszej pozostaje służbie i miłą jest nam, tegdy gniew nasz ściągnie na siebie, kto by jej wstrenty czynił. Audoen, król...” „Wstrenty” pisze się inaczej. Ale pieczęć wygląda na autentyczną.

— Bo jest autentyczna — powiedziała Renfri, wrywając mu pergamin. — Postawił ją Audoen, wasz miłościwy pan. Dlatego nie radzę robić mi wstretów. Niezależnie od tego, jak się to pisze, skutek może być dla was opłakany. Nie będziecie mnie, mości wójcie, wsadzać do jamy. Ani mówić do mnie: „panienko”. Żadnego prawa nie naruszyłam. Na razie.

— Jeśli je naruszysz choćby na piędź — Caldemeyn wyglądał, jakby chciał splunąć — wsadzę cię do lochu razem z tym pergaminem. Klnę się na wszystkich bogów, panienko. Chodź, Geralt.

— Z tobą, wiedźminie — Renfri dotknęła ramienia Geralta — jeszcze słowo.

— Nie spóźnij się na kolację — rzucił wójt przez ramię — bo Libusze będzie wściekła.

— Nie spóźnię się.

Geralt oparł się o kontuar. Bawiąc się medalionem z paszczą wilka zawieszonym na szyi, patrzył w niebieskozielone oczy dziewczyny.

— Słyszałam o tobie — powiedziała. — Jesteś Geralt z Rivii, białowłosey wiedźmin. Stregobor to twój przyjaciel?

— Nie.

— To upraszcza sprawę.

— Nie zanadto. Nie mam zamiaru spokojnie się przyglądać.

Oczy Renfri zwężyły się.

— Stregobor jutro umrze — rzekła cicho, odgarniając z czoła nierówno obcięte włosy. — Byłoby mniejszym złem gdyby umarł tylko on.

— Jeśli, a właściwie zanim Stregobor umrze, umrze jeszcze kilka osób. Nie widzę innej możliwości.

— Kilka, wiedźminie, to skromnie powiedziane.

— Żeby mnie nastraszyć, trzeba czegoś więcej niż słowa, Dzierzbo.

— Nie nazywaj mnie Dzierzbą. Nie lubię tego. Rzecz w tym, że ja widzę inne możliwości. Warto by to obgadać, ale cóż, Libusze czeka. Ładna chociaż ta Libusze?

— To wszystko, co miałaś mi do powiedzenia?

— Nie. Ale teraz już idź. Libusze czeka.

* * *

Ktoś był w jego izdebce na stryszku. Geralt wiedział o tym, zanim jeszcze zbliżył się do drzwi, poznał to po ledwie wyczuwalnej wibracji medalionu. Zdmuchnął kaganek, którym przyświecał sobie na schodach. Wyjął sztylet z cholewy, wetknął go z tyłu za pas. Nacisnął klamkę. W izbie było ciemno. Nie dla wiedźmina.

Przekroczył próg rozmyślnie wolno, ospale, powoli zamknął za sobą drzwi. W następnej sekundzie skoczył z potężnego odbicia długim szczupakiem, zwałił się na człowieka siedzącego na jego łóżku, przygniótł go do pościeli, lewe przedramię wraził mu pod brodę, sięgnął po sztylet. Nie wydobył go. Coś było nie tak.

— Początek całkiem niezły — odezwała się stłumionym głosem, leżąc pod nim bez ruchu. — Liczyłam się z tym, ale nie sądziłam, że tak prędko będziemy oboje w łóżku. Zabierz rękę z mojego gardła, jeśli łaska.

— To ty.

— To ja. Słuchaj, są dwie możliwości. Pierwsza: zejdziesz ze mnie i porozmawiamy. Druga: zostaniemy w tej pozycji, ale chciałabym zdjąć przynajmniej buty.

Wiedźmin wybrał pierwszą możliwość. Dziewczyna westchnęła, wstała, poprawiła włosy i spódnice.

— Zapal świecę — powiedziała. — Ja nie widzę po ciemku jak ty, a lubię widzieć swojego rozmówcę.

Podeszła do stołu, wysoka, szczupła, zwinna, usiadła, wyciągając przed siebie nogi w wysokich butach. Nie miała żadnej widocznej broni.

— Masz tu coś do picia?

— Nie.

— W takim razie dobrze, że przyniosłam — zaśmiała się, stawiając na stole podróżny bukłaczek i dwa skórzane kubki.

— Jest prawie północ — rzekł Geralt zimno. — Może przejdziemy do rzeczy?

— Zaraz. Masz, pij. Twoje zdrowie, Geralt.

— Nawzajem, Dzierzbo.

— Nazywam się Renfri, psiakrew — poderwała głowę. — Pozwalam ci pomijać książęcy tytuł, ale przestań nazywać mnie Dzierzbą!

— Ciszey, obudzisz cały dom. Czy dowiem się nareszcie, w jakim celu wkradłaś się tu przez okno?

— Jakiś ty niedomyślny, wiedźminie. Chcę ocalić Blaviken przed rzezią. Żeby to z tobą omówić, łąziłam po dachach jak kocica w marcu. Doceń to.

— Doceniam — powiedział Geralt. — Tyle że nie wiem, co może dać taka rozmowa. Sytuacja jest jasna. Stregobor siedzi w czarodziejskiej wieży, żeby go dostać, musiałabyś go tam oblegać. Jeżeli to zrobisz, nie pomoże ci twój list żelazny Audoen nie będzie cię chronił, jeśli otwarcie złamiesz prawo. Wójt, straż, całe Blaviken wystąpi przeciwko tobie.

— Całe Blaviken, jeśli wystąpi przeciwko mnie, to będzie strasznie żałować — Renfri uśmiechnęła się, ukazując drapieżne białe zęby. — Przyjrzałeś się moim chłopcom? Zaręczam ci, znają się na swoim rzemiośle. Czy wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli dojdzie do walki między nimi a tymi ciołkami ze straży, którzy co krok potykają się o własne halabardy?

— A czy ty, Renfri, wyobrażasz sobie, że ja będę stał i przyglądał się spokojnie takiej walce? Jak widzisz, mieszkam u wójta. W potrzebie wypadnie mi stanąć u jego boku.

— I nie wątpię — Renfri spoważniała — że staniesz. Tyle że pewnie sam, bo reszta pochowa się po piwnicach. Nie ma na świecie wojownika, który dałby radę siódemce z mieczami. Tego żaden człowiek nie dokona. Ale, białowłosa, przestańmy straszyć się nawzajem. Mówiłam: rzezi i rozlewowi krwi można zapobiec. Konkretnie, są dwie osoby, które mogą temu zapobiec.

— Zamieniam się w słuch.

— Jedna — powiedziała Renfri — to sam Stregobor. Dobrowolnie wyjdzie ze swojej wieży, ja zabiorę go gdzieś na pustkowie, a Blaviken znów pogrąży się w błogiej apatii i rychło zapomni o całej sprawie.

— Stregobor może i sprawia wrażenie pomyłonego, ale nie do tego stopnia.

— Kto wie, wiedźminie, kto wie. Istnieją argumenty, których nie można odeprzeć, istnieją propozycje nie do odrzucenia. Do takich należy, na przykład, tridamskie ultimatum. Postawię czarownikowi tridamskie ultimatum.

— Na czym takie ultimatum polega?

— Moja słodka tajemnica.

— Niech ci będzie. Wątpię jednak w jego skuteczność. Stregoborowi, kiedy mówi o tobie, dzwonią zęby. Ultimatum, które skłoniłoby go do dobrowolnego oddania się w twoje śliczne rączki, musiałyby być naprawdę nieliczne. Przejdźmy więc raczej do drugiej osoby mogącej zapobiec rzezi w Blaviken. Spróbuję zgadnąć, kto to taki.

— Ciekawam twej przenikliwości, białowłosa.

— To ty, Renfri. Ty sama. Wykażesz iście książęcą, co ja mówię, królewską wielkoduszność i poniechasz zemsty Zgadłem?

Renfri odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się gromko, w porę zakrywając usta dłonią. Potem spoważniała, utkwiała w wiedzminie błyszczące oczy.

— Geralt — powiedziała — ja byłam księżniczką, ale w Creyden. Miałam wszystko, o czym tylko zamarzyłam, nawet prosić nie potrzebowałam. Służbę na każde zawołanie, sukienki, buciki. Majtki z batystu. Klejnoty i błyskotki, bułanego kucyka, złote rybki w basenie. Lalki i dom dla nich, większy od tej twojej izby tutaj. I tak było aż do dnia, w którym twój Stregobor i ta kurwa Aridea rozkazali łowczemu zabrać mnie do lasu, zarznąć i przynieść sobie serce i wątrobę. Pięknie, nieprawdaż?

— Nie, raczej obrzydliwie. Ciesz się, że wówczas poradziłaś sobie z łowczym, Renfri.

— Gównu tam, poradziłam. Zlitował się i puścił mnie. Ale przedtem zgwałcił, sukinsyn, obrabował z kolczyków i złotego diademiku.

Geralt spojrzał jej prosto w oczy, bawiąc się medalionem. Nie spuściła wzroku.

— I to był koniec księżniczki — ciągnęła. — Sukienka podarła się, batyst bezpowrotnie utracił biel. A potem był brud, głód, smród, kije i kopniaki. Oddawanie się byle łajzie za miskę zupy lub dach nad głową. Czy wiesz, jakie ja miałam włosy? Jak jedwab, a sięgały mi dobry łokieć poniżej tyłka. Kiedy złapałam wszy, obcięto mi je nożycami do strzyżenia owiec, przy samej skórze. Nigdy już nie odrosły mi porządnie.

Zamilkła na chwilę, odgarnęła z czoła nierówne kosmyki.

— Kradłam, by nie zdechnąć z głodu — podjęła. — Zabijałam, by mnie nie zabito. Siedziałam w lochach śmierdzących uryną, nie wiedząc, czy mnie naza-jutrz powieszają, czy tylko wychłoszczą i wypędzą. A przez cały ten czas moja macocha i twój czarownik deptali mi po piętach, nasyłali morderców, próbowali otruć. Rzucali uroki. Okazać wielkoduszność? Wybaczyć mu po królewsku? Ja mu po królewsku urwę głowę, a może przedtem obie nogi, to się zobaczy.

— Aridea i Stregobor próbowali cię otruć?

— Owszem. Jabłkiem zaprawionym wyciągiem z pokrzyku. Uratował mnie pewien gnom. Dał mi emetyk, po którym myślałam, że wywrócę się na nice jak pończocha. Ale przeżyłam.

— To był jeden z siedmiu gnomów?

Renfri, która właśnie nalewała, zamarła z bukłaczkiem nad kubkiem.

— Oho — rzekła. — Sporo o mnie wiesz. A co? Masz coś przeciw gnomom? Albo innym humanoidom? Jeżeli chodzi o ścisłość, byli dla mnie lepsi od większości ludzi. Ale to cię nie powinno obchodzić. Mówiłam, Stregobor i Aridea szczuli mnie jak dzikie zwierzę, dopóki mogli. Później przestali móc, ja sama stałam się myśliwym. Aridea wyciągnęła kopyta we własnym łóżku, miała szczęście, że jej wcześniej nie dopadłam, miałam dla niej ułożony specjalny program. A teraz mam dla czarownika. Geralt, według ciebie, zasłużył na śmierć? Powiedz.

— Nie jestem sędzią. Jestem wiedźminem.

— Właśnie. Mówiłam, że są dwie osoby mogące zapobiec rozlewowi krwi w Blaviken. Drugą jesteś ty. Ciebie czarownik wpuści do wieży, a wtedy go zabijesz.

— Renfri — powiedział spokojnie Geralt. — Czy po drodze do mojej izdebki nie spadłaś przypadkiem z dachu na głowę?

— Jesteś wiedźminem czy nie, psiakrew? Mówią, że zabiłeś kikimorę, przywiozłeś ją na osiołku do wyceny. Stregobor jest gorszy niż kikimora, która jest bezrozumnym bydlęciem i zabija, bo taką ją bogowie stworzyli. Stregobor to okrutnik, maniak, potwór. Przywieź mi go na osiołku, a ja nie pożałuję złota.

— Nie jestem najemnym zbirerem, Dzierzbo.

— Nie jesteś — zgodziła się z uśmiechem. Odchyliła się na oparcie zydła i skrzyżowała nogi na stole, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by przykryć uda spódnicą. — Jesteś wiedźmin, obrońca ludzi, których chronisz od Zła. A w tym przypadku Zło to żelazo i ogień, które zaczną tu hulać, gdy staniemy przeciw sobie. Nie wydaje ci się, że proponuję mniejsze zło, najlepsze rozwiązanie? Nawet dla tego sukinsyna Stregobora. Możesz go zabić miłosiernie jednym pchnięciem, zniechęca. Umrze, nie wiedząc, że umiera. A ja mu tego nie gwarantuję. Wręcz przeciwnie.

Geralt milczał. Renfri przeciągnęła się unosząc ręce do góry.

— Rozumiem twoje wahanie — powiedziała. — Ale odpowiedź muszę znać natychmiast.

— Czy wiesz, dlaczego Stregobor i księżna chcieli cię zabić, wtedy w Creyden, i później?

Renfri wyprostowała się gwałtownie, zdjęła nogi ze stołu.

— To chyba oczywiste — wybuchnęła. — Chcieli pozbyć się pierworodnej córki Fredefalka, bo byłam dziedziczką tronu. Dzieci Aridei były z morganatycznego związku i nie miały żadnych praw do... .

— Renfri, nie o tym mówię.

Dziewczyna opuściła głowę, ale tylko na moment. Oczy jej rozbłysły.

— No, więc dobrze. Mam być jakoby przeklęta. Skażona w łonie matki. Mam być...

— Dokończ.

— Potworem.

— A jesteś?

Przez moment, bardzo krótki, wyglądała na bezbronną i załamana. I bardzo smutną.

— Nie wiem, Geralt — szepnęła, po czym rysy stwardniały jej znowu. — Bo i skąd mam, psiakrew, wiedzieć? Jak się skaleczę w palec, krwawię. Krwawię też co miesiąc. Jak się obeżrę, boli mnie brzuch, a jak opiję, głowa. Jak jestem wesoła, to śpiewam, a jak smutna, klnę. Jak kogoś nienawidzę, to zabijam, a jak... Ach, psiakrew, dość tego. Twoja odpowiedź wiedźminie.

— Moja odpowiedź brzmi: „Nie”.

— Pamiętasz, co mówiłam? — spytała po chwili milczenia. — Są propozycje, których nie można odrzucić, skutki bywają straszne. Poważnie cię ostrzegam, moja właśnie do takich należała. Zastanów się dobrze.

— Zastanowiłem się dobrze. I potraktuj mnie poważnie, bo ja również poważnie cię ostrzegam.

Renfri milczała przez czas jakiś, bawiąc się sznurem pereł trzykrotnie okręconym wokół kształtnej szyi, figlarnie wpadającym pomiędzy dwie zgrabne półkule widoczne w rozcięciu kaftanika.

— Geralt — powiedziała. — Czy Stregobor prosił cię, abyś mnie zabił?

— Tak. Uważał, że to będzie mniejszym złem.

— Czy mogę przyjąć, że mu odmówiłeś tak jak mnie?

— Możesz.

— Dlaczego?

— Bo nie wierzę w mniejsze zło.

Renfri uśmiechnęła się lekko, po czym usta skrzywił jej grymas, bardzo nieładny w żółtym świetle świecy.

— Nie wierzysz, powiadasz. Widzisz, masz rację, ale tylko częściowo. Istnieje tylko Zło i Większe Zło, a za nimi oboma, w cieniu, stoi Bardzo Wielkie Zło. Bardzo Wielkie Zło, Geralt, to takie, którego nawet wyobrazić sobie nie możesz, choćbyś myślał, że nic już nie może cię zaskoczyć. I widzisz, Geralt, niekiedy bywa tak, że Bardzo Wielkie Zło chwyci cię za gardło i powie: „Wybieraj, bratku, albo ja, albo tamto, trochę mniejsze”.

— Czy mogę wiedzieć, do czego zmierzasz?

— Do niczego. Wypiłam trochę i filozofuję, szukam prawd ogólnych. Właśnie jedną znalazłam: mniejsze zło istnieje, ale my nie możemy wybierać go sami. To Bardzo Wielkie Zło potrafi nas do takiego wyboru zmusić. Czy tego chcemy, czy nie.

— Najwyraźniej ja wypilem za mało — wiedźmin uśmiechnął się cierpko. — A północ, jak to północ, minęła tymczasem. Przejdźmy do konkretów. Nie zabijesz Stregobora w Blaviken, nie pozwolę ci na to. Nie pozwolę, by doszło tu do walki i rzezi. Po raz drugi proponuję: zaniechaj zemsty. Zrezygnuj z zabicia go. W ten sposób udowodnisz jemu, i nie tylko jemu, że nie jesteś niehumanicznym, krwiożerczym potworem, mutantem i odmieniec. Udowodnisz mu, że się mylił. Że wyrządził ci wielką krzywdę swoją pomyłką.

Renfri przez chwilę patrzyła na medalion wiedźmina kręcący się na łańcuszku obracającym w palcach.

— A jeśli ci powiem, wiedźminie, że nie potrafię wybaczać ani rezygnować z zemsty, będzie to równoznaczne z przyznaniem mu, i nie tylko jemu, racji, prawda? Udowodnię tym samym, że jednak jestem potworem, niehumanicznym demonem przeklętym przez bogów? Posłuchaj, wiedźminie. Na samym początku mojej tułaczki przygarnął mnie pewien wolny kmieć. Spodobałam mu się. Ponieważ on jednak wcale mi się nie podobał, a wręcz przeciwnie, za każdym razem, kiedy chciał mnie mieć, prał mnie tak, że rano ledwo zwlekałam się z barłogu. Któregoś razu wstałam, gdy było jeszcze ciemno, i poderznięłam kmieciowi gardło. Kosą. Nie miałam wtedy jeszcze takiej wprawy jak dzisiaj i nóż wydał mi się za mały. I widzisz, Geralt, słuchając, jak kmieć gulgocze i krztusi się, patrząc, jak wierzga nogami, poczułam, że ślady jego kija i pięści nie boją już nic, i że jest mi dobrze, tak dobrze, że aż... Odeszłam rażno pogwizdując, zdrowa, wesoła i szczęśliwa. I później za każdym razem było tak samo. Gdyby było inaczej, ktoś by tracił czas na zemstę?

— Renfri — powiedział Geralt. — Niezależnie od twoich racji i motywów, nie odjedziesz stąd pogwizdując i nie będzie ci tak dobrze, że aż. Nie odjedziesz wesoła i szczęśliwa, ale odjedziesz żywa. Jutro wcześniej rano, tak jak nakazał wójt. Już ci to mówiłem, ale powtórzę. Nie zabijesz Stregobora w Blaviken.

Oczy Renfri błyszczały w świetle świecy, błyszczały perły w wycięciu kaftanika, błyszczał medalion z paszczą wilka, wirując na srebrnym łańcuszku.

— Żal mi ciebie — powiedziała nagle dziewczyna wolno, wpatrzona w migoczący krążek srebra. — Twierdzisz, że nie istnieje mniejsze zło. Stoisz na placu, na bruku zalany krwią, sam, taki bardzo samotny, bo nie umiałeś dokonać wyboru. Nie umiałeś, ale dokonałeś. Nigdy nie będziesz wiedział, nigdy nie będziesz miał pewności, nigdy, słyszysz... A twoją zapłatą kamień, złe słowo. Żal mi ciebie.

— A ty? — spytał wiedźmin cicho, prawie szeptem.

— Ja też nie umiem wybierać.

— Kim jesteś?

— Jestem tym, czym jestem.

— Gdzie jesteś?

— Zimno... mi...

— Renfri! — Geralt ścisnął medalion w dłoni.

Poderwała głowę jak zbudzona ze snu, mrugnęła kilkakrotnie, zdziwiona. Przez moment, bardzo krótki, wyglądała na przestraszoną.

— Wygrałeś — powiedziała nagle ostro. — Wygrałeś, wiedźminie. Jutro raniem wyjeżdżam z Blaviken i nigdy nie wrócę do tego parszywego miasteczka. Nigdy. Nalej, jeśli jeszcze coś zostało we flaszcze.

Zwykły drwiący, figlarny uśmieszek wrócił na jej wargi, gdy odstawiała pusty kubek na stół.

— Geralt?

— Jestem.

— Ten cholerny dach jest stromy. Wolałabym wyjść o świcie. Po ciemku mogę spaść i potłuc się. Jestem księżniczką, mam delikatne ciało, wyczuwam ziarnko grochu przez siennik. O ile nie jest porządnie wypchany słomą, rzecz jasna. Co ty na to?

— Renfri — Geralt uśmiechnął się mimo woli. — Czy to, co mówisz, przystoi księżniczce?

— Co ty, psiakrew, możesz wiedzieć o księżniczkach? Ja byłam księżniczką i wiem, że cała przyjemność bycia takową to możliwość robienia, co się chce. Mam ci powiedzieć wprost, czego mi się chce, czy sam się domyślisz?

Geralt, wciąż uśmiechnięty, nie odpowiedział.

— Nie chcę nawet dopuścić do siebie myśli, że ci się nie podobam — skrzywiła się dziewczyna. — Wolę założyć, że masz stracha, by nie spotkał cię los wolnego kmiecia. Ech, białowłosy. Nie mam przy sobie niczego ostrego. Zresztą sprawdź sam.

Położyła mu nogi na kolanach.

— Ściągnij mi buty. Cholewa to najlepsze miejsce do ukrycia noża.

Bosa, wstała, szarpnęła klamrę pasa.

— Tutaj również niczego nie ukrywam. Ani tutaj, jak widzisz. Zgaś tę cholerną świecę.

Na zewnątrz w ciemnościach darł się kot.

— Renfri?

— Co?

— To batyst?

— Pewnie że tak, psiakrew. Jestem księżniczką czy nie?

* * *

— Tata — nudziła monotonnie Marilka. — Kiedy pójdziemy na jarmark? Na jarmark, tata!

— Cicho, Marilka — burknął Caldemeyn, wycierając talerz chlebem. — Więc jak mówisz, Geralt? Wynoszą się z miasteczka?

— Tak.

— No, nie myślałem, że tak gładko pójdzie. Z tym pergaminem opieczętowanym przez Audeona trzymali mnie za gardło. Robiłem dobrą minę, ale po prawdzie to guzik mógłbym im uczynić.

— Nawet jeśli otwarcie złamałoby prawo? Wszczęli gwałt, bijatykę?

— Nawet. Audoen, Geralt, to bardzo drażliwy król, posyła na szafot za byle co. Ja mam żonę, córkę, dobrze mi na moim urzędzie, nie muszę się głowić, skąd jutro wytrzasnę omastę do kaszy. Jednym słowem, dobrze się stało, że wyjeżdżają. A jak to się właściwie stało?

— Tata, ja chcę na jarmark!

— Libusze! Weź stąd Marilkę! Tak, Geralt, nie sądziłem. Wypytywałem Setnika, karczmarza ze „Złotego Dworu”, o tę novigradzką kompanię. To nielicha zgraja. Niektórych rozpoznało.

— Aha?

— Ten ze szramą na gębie to Nohorn, dawniej przyboczny Abergarda, z tak zwanej wolnej kompanii angreńskiej. Słyszałeś o wolnej kompanii? Jasne, kto nie słyszał. Ten byk, którego wołają Piętnastka, również. Nawet jeśli nie, to nie myślę, by jego przezwisko wzięło się od piętnastu dobrych uczynków, jakie w życiu zrobił. Ten czarniawy półelf to Civril, zbój i zawodowy morderca. Podobno miał coś wspólnego z masakrą w Tridam.

— Gdzie?

— W Tridam. Nie słyszałeś? Głośno było o tym trzy... Tak trzy lata temu, bo Marilka miała dwa latka. Baron z Tridam trzymał w lochu jakichś zbrojczyków. Ich kamraci, wśród nich podobno ten mieszaniec Civril, opanowali prom na rzece pełen pielgrzymów, było to w czasie Święta Nis. Posłali do barona żądanie uwolnienia tamtych. Baron, ma się rozumieć, odmówił, a wtedy oni zaczęli mordować pątników, po kolei, jednego po drugim. Zanim baron zmiękł i zwolnił tamtych z lochu, spuścili z prądem ponad dziesięciu. Baronowi groziło potem wygnanie albo nawet i topór, jedni mieli mu za złe, że uległ, dopiero gdy aż tyłu zabito, inni wszczęli rwetes, że bardzo wielkie zło uczynił, że prę... precedens to był albo jak, że trzeba było tamtych wystrzelać z kusz razem z zakładnikami albo szturmem brać na łodziach, nie popuścić ni na palec. Baron na sądzie prawił, że mniejsze zło wybrał, bo na promie było więcej jak ćwierć setki ludzi, baby, dzieciaki.

— Tridamskie ultimatum — szepnął wiedźmin. — Renfri...

— Co?

— Caldemeyn, jarmark.

— Co?

— Nie rozumiesz, Caldemeyn? Oszukała mnie. Nie wyjadą. Zmuszą Stregobora do wyjścia z wieży, tak jak zmusili barona z Tridam. Albo mnie zmuszą do... Nie rozumiesz? Zaczną mordować ludzi na jarmarku. Wasz rynek, w tych murach, to prawdziwa pułapka!

— Na wszystkich bogów, Geralt! Siadaj! Dokąd, Geralt?
Marilka, przerażona krzykiem, zachlipała wtulona w kąt kuchni.
— Mówiłam ci! — krzyknęła Libusze, wyciągając rękę w kierunku wiedźmi-
na. — Mówiłam! Samo zło przez niego!
— Cicho, babo! Geralt! Siadaj!
— Trzeba ich powstrzymać. Zaraz, zanim ludzie wejdą na rynek. Zwołaj straż-
ników. Gdy będą wychodzili z zajazdu, za łby ich i w tyka.
— Geralt, bądź rozsądny. Tak nie wolno, nie możemy ich ruszyć, jeśli niczego
nie przeszkrobali. Będą się bronić poleje się krew. To zawodowcy, wyrzną mi ludzi.
Jeśli dojdzie do Audeona, zapłacę głową. Dobrze, zbiorę straż, pójdę na targ, tam
będę miał na nich oko. . .
— To nic nie da, Caldemeyn. Jeśli tłum wejdzie już na plac, nie zapobiegiesz
panice i rzezi. Ich trzeba unieszkodliwić zaraz, póki rynek jest pusty.
— To będzie bezprawie. Nie mogę na to zezwolić. Z tym półelfem i Tridam
to może być plotka. Możesz się mylić, i co wtedy? Audoen pasy ze mnie będzie
darł.
— Trzeba wybrać mniejsze zło!
— Geralt! Zabraniam ci! Jako wójt, zabraniam! Zostaw miecz! Stój!
Marilka krzyczała zakrywszy buzię rączkami.

* * *

Civril, przysłaniając oczy dłonią, popatrzył na słońce wychodzące zza drzew.
Na rynku zaczynało się ożywiać, turkotały wozy i wózki, pierwsi przekupnie już
zapełniali stragany towarem. Stukał młotek, piał kogut, głośno wrzeszczały mowy.
— Piękny dzień się zapowiada — rzekł Piętnastka w zadumie. Civril popatrzył
na niego koso, ale nic nie powiedział.
— Konie jak, Tavik? — spytał Nohorn, naciągając rękawice.
— Gotowe, osiodłane. Civril, wciąż ich mało na tym rynku.
— Będzie więcej.
— Wypadałoby coś zjeść.
— Później.
— Akurat. Będziesz miał później czas. I ochotę.
— Patrzcie — rzekł nagle Piętnastka.
Wiedźmin nadchodził od strony głównej uliczki, wchodził między stragany,
zmierzał prosto na nich.
— Aha — powiedział Civril. — Renfri miała rację. Daj mi kuszę, Nohorn.
Zgarbił się, napiął cięciwę, przydeptując stopą strzemiączko. Starannie ułożył
bełt w rowku. Wiedźmin szedł. Civril uniósł kuszę.
— Ani kroku dalej, wiedźminie!

Geralt zatrzymał się. Około czterdziestu kroków dzieliło go od grupy.

— Gdzie jest Renfri?

Mieszaniec wykrzywił swoją ładną twarz.

— Pod wieżą, składa czarownikowi pewną propozycję. Wiedziała, że tu przyjdiesz. Poleciała mi przekazać ci dwie rzeczy.

— Mów.

— Pierwsza rzecz to postanie, które brzmi: „Jestem tym, czym jestem. Wybieraj. Albo ja, albo tamto drugie, mniejsze”. Masz jakoby wiedzieć, o co chodzi.

Wiedźmin kiwnął głową, potem uniósł rękę, chwytając rękojeść miecza sterzącą nad prawym barkiem. Klinga błysnęła, opisując łuk nad jego głową. Wolnym krokiem ruszył w kierunku grupy.

Civril zaśmiał się paskudnie, złowrogo.

— Więc jednak. Ona i to przewidziała, wiedźminie. A zatem zaraz otrzymasz drugą rzecz, którą poleciała ci przekazać. Prosto między oczy.

Wiedźmin szedł. Półelf uniósł kuszę do policzka. Zrobiło się bardzo cicho.

Szczęknięta cięciwa. Wiedźmin machnął mieczem, rozległ się przeciągły jęk uderzonego metalu, bełt wyleciał w górę koziółkując, sucho trzasnął o dach, zadudnił w rynnie. Wiedźmin szedł.

— Odbił... — stęknął Piętnastka. — Odbił w locie...

— W kupę — skomenderował Civril. Syknęły miecze dobywane z pochew, grupa zwarła się ramię do ramienia, najeżyła ostrzami.

Wiedźmin przyspieszył kroku, jego chód, zadziwiająco płynny i miękki, przeszedł w bieg — nie na wprost, na kolczastą od mieczów grupę, ale w bok, okrążając ją po zacieśniającej się spirali.

Tavik nie wytrzymał, rzucił się na spotkanie, skracając dystans. Za nim skoczyli bliźniacy.

— Nie rozbiegać się! — wrzasnął Civril kręcąc głową, tracąc wiedźmina z pola widzenia. Zaklął, odskoczył w bok widząc, że grupa rozpada się zupełnie, kręci między stragany w szaleńczym korowodzie.

Tavik był pierwszy. Jeszcze przed chwilą ścigał wiedźmina, teraz nagle dostrzegł, że ten mija go z lewej strony, biegnąc w przeciwnym kierunku. Zadrobił nogami, by wyhamować, ale wiedźmin przemknął obok, nim zdążył unieść miecz. Tavik poczuł silne uderzenie tuż ponad biodrem. Odkręcił się i stwierdził, że pada. Już na kolanach, zdziwiony spojrzął na swoje biodro i zaczął krzyczeć.

Bliźniacy jednocześnie atakując pędzący na nich czarny, rozmazany kształt, wpadli na siebie, zderzyli się barkami, na moment tracąc rytm. Wystarczyło. Vyr, cięty przez całą szerokość piersi, zgiął się w pół, z opuszczoną głową zrobił jeszcze parę kroków i runął na stragan z warzywami. Nimir dostał w skroń, zawirował w miejscu i padł do rynsztoka, ciężko, bezwładnie.

Na rynku zakotłowało się od uciekających przekupniów, zahurkotały przewracane stragany, wzbił się kurz i krzyk. Tavik jeszcze raz spróbował unieść się na rozedrganych rękach, upadł.

— Z lewej, Piętnastka! — ryknął Nohorn, biegnąc półkolem, by zająć wiedźmina z tyłu.

Piętnastka obrócił się szybko. Nie dość szybko. Dostał raz, przez brzuch, wytrzymał, złożył się do ciosu, wtedy dostał drugi raz, w bok szyi, tuż pod ucho. Wyprężony, postąpił cztery rozkołysane kroki i zwałił się na wózek pełen ryb. Wózek potoczył się. Piętnastka zsunął się na bruk srebrzący się od łusek.

Civril i Nohorn uderzyli jednocześnie z dwóch stron, elf zamaszystym cięciem z wysoka, Nohorn z przykłęku, nisko, płasko. Oba ciosy zostały sparowane, dwa metaliczne szczęknięcia zlały się w jedno. Civril odskoczył, potknął się, utrzymał na nogach, chwytając się drewnianej konstrukcji straganu. Nohorn rzucił się i zasłonił go trzymanym pionowo mieczem. Odbił cios, tak silny, że rzuciło go w tył, musiał przykłęknąć. Podrywając się, złożył paradę, za wolno. Dostał cięcie przez twarz, symetryczne do starej blizny.

Civril odbił się plecami od straganu, przeskoczył padającego Nohorna, zaatakował z półobrotu, oburącz, nie trafił, momentalnie odskoczył. Nie poczuł uderzenia, nogi ugięły się pod nim, dopiero gdy po odruchowej paradzie usiłował przejść od finty do kolejnego ataku. Miecz wypadł mu z ręki przeciętej po wewnętrznej stronie, powyżej łokcia. Upadł na klęczki, potrząsnął głową, chciał wstać, nie zdołał. Opuścił głowę na kolana, tak zamarł w czerwonej kałuży, wśród porzrucanej kapusty, obwarzanków i ryb.

Na rynek weszła Renfri.

Nadchodziła wolno miękko, kocim krokiem, wymijając wózki i stragany. Tłum, który w uliczkach i pod ścianami domów buczał jak rój szerszeni, ścichł. Geralt stał nieruchomo, z mieczem w opuszczonej ręce. Dziewczyna zbliżyła się na dziesięć kroków, zatrzymała. Zobaczył, że pod kaftanikiem ma kolczugę, krótką, ledwo zakrywającą biodra.

— Dokonałeś wyboru — stwierdziła. — Jesteś pewien, że właściwego?

— Nie będzie tu drugiego Tridam — rzekł Geralt z wysiłkiem.

— Nie byłoby. Stregobor wyśmiał mnie. Powiedział, że mogę wymordować całe Blaviken i dorzucić kilka okolicznych wsi, a on i tak nie wyjdzie z wieży. I nikogo, wliczając w to ciebie, tam nie wpuści. Co tak patrzysz? Tak, oszukałam cię. Całe życie oszukiwałam, gdy było trzeba, dlaczego miałam robić wyjątek dla ciebie?

— Odejdź stąd, Renfri.

Zaśmiała się.

— Nie, Geralt — wydobyła miecz, szybko i zwinnie.

— Renfri.

— Nie, Geralt. Ty dokonałeś wyboru. Kolej na mnie.

Jednym ostrym ruchem zerwała spódnicę z bioder, zakreśliła nią w powietrzu, owijając materiał dookoła lewego przedramienia. Geralt cofnął się, uniósł dłoń, składając palce w Znak. Renfri zaśmiała się znowu, krótko, chrapliwie.

— Nic z tego, białowłoso. To się mnie nie ima. Tylko miecz.

— Renfri — powtórzył. — Odejdź. Jeśli skrzyżujemy ostrza, ja... już nie będę... mógł...

— Wiem — powiedziała. — Ale ja... Ja też nie mogę inaczej. Po prostu nie mogę. Jesteśmy tym, czym jesteśmy. Ty i ja.

Ruszyła na niego lekkim, rozkołysanym krokiem. W prawej ręce, wyprostowanej, wyciągniętej w bok, połykiwał miecz, lewą włókła spódnicę po ziemi. Geralt cofnął się o dwa kroki.

Skoczyła, machnęła lewą ręką, spódnica furknęła w powietrzu, w ślad za nią, przysłoniony, błysnął miecz w oszczędnym, krótkim cięciu. Geralt odskoczył, tkanina nawet go nie musnęła, a klinga Renfri ześliznęła się po ukośnej paradzie. Zripostował odruchowo środkiem brzeszczotu, związał obie klingi krótkim młyńcem, próbując wytrącić jej broń. To był błąd. Odbiła jego ostrze i od razu, z ugiętych kolan i rozkołysanych bioder cięła, mierząc w twarz. Ledwie zdołał sparować to uderzenie, odskoczył przed spadającą na niego materią spódnicy. Zawirował w piruecie, unikając migocącej w błyskawicznych cięciach klingi, znowu odskoczył. Wpadła na niego, cisnęła spódnicę prosto w oczy, cięła płasko, z bliska, z półobrotu. Umknął przed ciosem, obracając się tuż przy niej. Znała tę sztuczkę. Obróciła się wraz z nim i z bliska, tak że poczuł jej oddech, przejechała mu ostrzem przez pierś. Ból targnął nim, ale nie zakłócił rytmu. Obrócił się jeszcze raz, w przeciwną stronę, odbił klingę lecącą ku jego skroni, zrobił szybką flintę i zaatakował. Renfri odskoczyła, złożyła się do uderzenia z góry. Geralt, przyklekając w wypadzie, błyskawicznie ciął ją z dołu, samym końcem miecza, przez odsłonięte udo i pachwinę.

Nie krzyknęła. Padając na kolano i na bok puściła miecz, wpiła obie dłonie w przecięte udo. Spomiędzy palców krew zatętniła jasnym strumieniem na ozdobny pas, na łosiove buty, na brudny bruk. Tłum wciśnięty w uliczki zafalował i zakrzyczał.

Geralt schował miecz.

— Nie odchodź... — jęknęła zwijając się w kłębek.

Nie odpowiedział.

— Zimno... mi...

Nie odpowiedział. Renfri jęknęła znowu, kuląc się jeszcze bardziej. Krew wartkimi strumyczkami wypełniała jamki między kamieniami.

— Geralt... Obejmij mnie...

Nie odpowiedział.

Odwróciła głowę i znieruchomiała z policzkiem na bruku. Sztylet o bardzo wąskim ostrzu, do tej pory skrywany pod ciałem, wysliznął się z jej martwiejących palców.

Po chwili będącej wiecznością wiedźmin uniósł głowę na odgłos stukającej o bruk różdżki Stregobora. Czarodziej zbliżał się pospiesznie, wymijając trupy.

— Ale jatki — zasapał. — Widziałem, Geralt, wszystko widziałem w kryształach...

Podszedł bliżej, pochylił się. W powłóczyściej czarnej szacie, wsparty na posochu, wyglądał staro, bardzo staro.

— Wierzyć się nie chce — pokręcił głową. — Dzierzba całkiem nieżywa.

Geralt nie odpowiedział.

— No, Geralt — czarodziej wyprostował się. — Idź po wózek. Weźmiemy ją do wieży. Trzeba zrobić sekcję.

Spojrzał na wiedźmina, nie doczekawszy się odpowiedzi schylił się nad ciałem.

Ktoś, kogo wiedźmin nie znał, sięgnął do rękojeści miecza, wy dobył go bardzo szybko.

— Dotknij jej tylko, czarowniku — powiedział ktoś, kogo wiedźmin nie znał. Tylko jej dotknij, a twoja głowa poleci na bruk.

— Co ty, Geralt, oszalałeś? Jesteś ranny, w szoku! Sekcja to jedyny sposób, żeby stwierdzić...

— Nie dotykaj jej!

Stregobor, widząc wznoszoną klingę, odskoczył, machnął laską.

— Dobrze! — krzyknął. — Jak chcesz! Ale nigdy nie będziesz wiedział! Nigdy nie będziesz miał pewności! Nigdy, słyszysz, wiedźminie?

— Precz.

— Jak chcesz — czarodziej odwrócił się, uderzył posochem o bruk. — Wracam do Koviru, nie zostanę ani dnia o dłużej w tej dziurze. Chodź ze mną, nie zostawaj tu. Ci ludzie niczego nie wiedzą, widzieli tylko, jak zabijasz. A ty paskudnie zabijasz, Geralt. No, idziesz?

Geralt nie odpowiedział, nawet nie patrzył na niego. Schował miecz. Stregobor wzruszył ramionami, odszedł szparkim krokiem, rytmicznie postukując laską.

Z tłumu poleciał kamień, dźwięknął o bruk. Za nim drugi, przelatując tuż nad ramieniem Geralta. Wiedźmin wyprostowany, uniósł obie dłonie, wykonał nimi szybki gest. Tłum zaszumiał, kamienie poleciały gęściej, ale Znak odpychał je na boki — mijały cel chroniony niewidzialnym obłym pancerzem.

— Dość!!! — ryknął Caldemeyn. — Koniec z tym, psiamać!

Tłum zahuczał jak fala przyboju, ale kamienie przestały, lecieć. Wiedźmin stał nieruchomo.

Wójt zbliżył się do niego.

— Czy to — rzekł wskazując szerokim gestem na rozrzucone po placu nieruchome ciała — już wszystko? Tak wygląda mniejsze zło, które wybrałeś? Czy już załatwiłeś, co uważałeś za konieczne?

— Tak — odpowiedział Geralt z wysiłkiem, nie od razu.

— Twoja rana jest poważna?

— Nie.

— W takim razie zabieraj się stąd.

— Tak — powiedział wiedźmin. Stał jeszcze chwilę, unikając wzroku wójta. Potem odwrócił się wolno, bardzo wolno.

— Geralt.

Wiedźmin obejrzał się.

— Nie wracaj tu nigdy — powiedział Caldemeyn. — Nigdy.

Głos rozsądku IV

— Porozmawiajmy, Iola.

Potrzebuję tej rozmowy. Mówią, że milczenie jest złotem. Może. Nie wiem, czy jest aż tyle warte. W każdym razie, ma swoją cenę. Trzeba za nie płacić.

Tobie jest łatwiej, tak, nie zaprzeczaj. Ty przecież milczysz z wyboru, ty z milczenia uczyniłaś ofiarę dla twojej bogini. Nie wierzę w Melitele, nie wierzę też w istnienie innych bogów, ale cenię twój wybór, twoją ofiarę, cenię i szanuję to, w co wierzysz. Bo twoja wiara i poświęcenie, cena milczenia, jaką płacisz, uczynią cię lepszą, bardziej wartościową istotą. A przynajmniej mogą cię taką uczynić. A moja niewiara nie może nic. Jest bezsilna.

Pytasz, w co w takim razie wierzę?

Wierzę w miecz.

Jak widzisz, noszę dwa. Każdy wiedźmin ma dwa miecze. Nieżyczliwi mawiają, że ten srebrny jest na potwory, a ten z żelaza na ludzi. To oczywiście nieprawda. Są potwory, które można ugodzić wyłącznie srebrnym ostrzem, ale istnieją i takie, dla których zabójcze jest żelazo. Nie, Iola, nie każde żelazo, ale wyłącznie to, które pochodzi z meteorytu. Pytasz, co to meteoryt? To spadająca gwiazda. Widziałas pewnie nieraz spadającą gwiazdę, krótką, świetlistą smugę na nocnym niebie. Widząc ją, wypowiadałaś zapewne jakieś życzenie, może był to dla ciebie kolejny powód, by wierzyć w bogów. Dla mnie meteoryt jest tylko kawałem metalu, który spadając zarywa się w ziemię. Metalu, z którego można zrobić miecz.

Możesz, oczywiście, że możesz, wziąć mój miecz do ręki. Widzisz, jaki jest lekki? Nawet ty unosisz go bez trudu. Nie! Nie dotykaj ostrza, skaleczysz się. Jest ostrzejsze niż brzytwa. Musi takie być.

O tak, ćwiczę często. W każdej wolnej chwili. Nie wolno mi wyjść z wprawy. Tutaj, w najdalszy zakątek świątynnego parku, też przyszedłem, by się rozruszać, by wypalić z mięśni to paskudne, wredne drętwienie, które mnie opada, to krążące we mnie zimno. A ty mnie tu odnalazłaś. Zabawne, przez kilka dni to ja próbowałem odnaleźć ciebie. Rozglądałem się za tobą. Chciałem. . .

Potrzebuję tej rozmowy, Iola. Usiądźmy, porozmawiajmy chwilę.

Ty mnie przecież w ogóle nie znasz, Iola.

Nazywam się Geralt. Geralt z... Nie. Tylko Geralt. Geralt znikąd. Jestem wiedźminem.

Mój dom, to Kaer Morhen, Wiedźmińskie Siedliszczce. Stamtąd pochodzę. Jest... Była taka warownia. Niewiele z niej zostało.

Kaer Morhen... Tam produkowało się takich jak ja. Już się tego nie robi, a w Kaer Morhen już nikt nie mieszka. Nikt oprócz Vesemira. Pytasz, kim jest Vesemir? Jest moim ojcem. Dlaczego spoglądasz na mnie ze zdumieniem? Co w tym dziwnego? Każdy ma jakiegoś ojca. Moim jest Vesemir. A że nie jest moim prawdziwym ojcem, cóż z tego? Prawdziwego nie znałem, matki też nie. Nie wiem nawet, czy żyją. I w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi.

Tak, Kaer Morhen... Przeszedłem tam zwykłą mutację. Próba Traw, a potem to co zwykle. Hormony, zioła, zakażenie wirusem. I od nowa. I jeszcze raz. Do skutku. Podobno zniósłem Zmiany nad podziw dobrze, chorowałem bardzo krótko. Uznano mnie więc za niezwykle odpornego gówniarza i wybrano do pewnych dalszych, bardziej skomplikowanych... eksperymentów. Z tym było gorzej. Znacznie gorzej. Ale, jak widzisz, przeżyłem. Jako jedyny z tych, których do owych eksperymentów wybrano. Od tamtego czasu mam białe włosy. Pełny zanik pigmentu. Jak to się mówi — skutek uboczny. Drobiazg. Mało przeszkadza.

Potem uczono mnie różnych rzeczy. Dość długo. Aż wreszcie nadszedł dzień, w którym opuściłem Kaer Morhen i ruszyłem na szlak. Miałem już mój medalion, o, właśnie ten. Znak Szkoły Wilka. Miałem też dwa miecze: srebrny i żelazny. Oprócz mieczy niosłem jeszcze z sobą przekonanie, zapał, motywację i... wiarę. Wiarę w to, że jestem potrzebny i użyteczny. Bo świat, Iola, miał jakoby być pełen potworów i bestii, a moim zadaniem było chronić tych, którym owe bestie zagrażały. Gdy wyruszałem z Kaer Morhen, marzyłem o spotkaniu z moim pierwszym potworem, nie mogłem doczekać się chwili, gdy stanę z nim oko w oko. I doczekałem się.

Mój pierwszy potwór, Iola, był łysy i miał wyjątkowo brzydkie, popsute zęby. Napotkałem go na gościńcu, gdzie do spótki z koleżkami potworami, maruderami z jakiejś armii zatrzymał chłopski wóz i wyciągnął z tego wozu dziewczynkę, może trzynastoletnia, a może nawet nie. Koleżkowie trzymali ojca dziewczynki, a łysy zdzierał z niej sukienkę i wrzeszczał, że nadszedł czas, by poznała, co to takiego prawdziwy mężczyzna. Podjechałem, zsiadłem i powiedziałem łysemu, że dla niego również nadszedł taki czas. Wydawało mi się to szalenie dowcipne. Łysy puścił smarkulę i rzucił się na mnie z toporem. Był bardzo powolny, ale wytrzymały. Uderzyłem go dwa razy, dopiero wtedy upadł. To nie były specjalnie czyste cięcia, ale bardzo, powiedziałbym, spektakularne, takie, że koleżkowie łysego uciekli, widząc, co wiedźmiński miecz może zrobić z człowiekiem... .

Nie nudzę cię, Iola?

Potrzebuję tej rozmowy Naprawdę jej potrzebuję.

Na czym to ja stanąłem? Aha, na moim pierwszym szlachetnym czynie. Wiesz, Iola, w Kaer Morhen wbito mi do głowy, bym się nie mieszał do takich zajęć, bym je omijał z daleka, nie bawił się w błędnego rycerza i nie wyręczał stróżów prawa. Ruszyłem na szlak nie po to, by się popisywać, ale by za pieniądze wykonywać zlecane mi prace. A ja wmieszałem się jak kto głupi, nie ujechawszy nawet pięćdziesięciu mil od podnóża gór. Czy wiesz, dlaczego to zrobiłem? Chciałem, by dziewczyna zalawszy się łzami wdzięczności całowała mnie, swego wybawcę, po rękach, a jej ojciec dziękował mi na kolanach. Tymczasem ojciec dziewczyny uciekł razem z maruderami, a dziewczyna, na którą poleciała większość krwi łysego, porzygała się i dostała ataku hysterii, a gdy się do niej zbliżyłem, zemdląca ze strachu. Od tamtego czasu wtrącałem się w podobne historie już bardzo rzadko.

Robiłem swoje. Szybko nauczyłem się jak. Podjeżdżałem do opłotków wsi, zatrzymywałem się pod palisadami osad i grodów. I czekałem. Jeśli pluto, złorzeczono i rzucono kamieniami, odjeżdżałem. Jeśli miast tego ktoś wychodził i dawał mi zlecenie, wykonywałem je.

Odwiedzałem miasta i twierdze, szukałem orędzi przybijanych do słupów na rozstajnych drogach. Szukałem wiadomości: „Wiedźmin potrzebny pilnie”. A potem było zwykle jakieś uroczysko, loch, nekropolia lub ruiny, leśny wąwóz lub grotta w górach pełna kości i śmierdząca padliną. I było coś, co żyło tylko po to, by zabijać. Z głodu, dla przyjemności, powodowane czyjąś chorobliwą wolą, z innych przyczyn. Mantikora, wyvern, mgłak, żagnica, żyrytwa, przeraza, leszy, wampir, ghul, graveir, wilkołak, gigaskorpion, strzyga, zjadarka, kikimora, wiper. I był taniec w ciemnościach i cięcie miecza. I był strach i wstręt w oczach tego, kto wręczał mi później zapłatę.

Błędy? A jakże. Popelniałem.

Ale trzymałem się zasad. Nie, nie kodeksu. Zwykłem niekiedy zaślaniać się kodeksem. Ludzie to lubią. Takich, którzy mają jakieś kodeksy i kierują się nimi, szanuje się i poważa.

Nie ma żadnego kodeksu. Nigdy nie ułożono żadnego wiedźmińskiego kodeksu. Ja sobie swój wymyśliłem. Zwyczajnie. I trzymałem się go. Zawsze...

Nie zawsze.

Bo było tak, iż wydawałoby się, że nie ma miejsca na żadne wątpliwości. Że należałoby powiedzieć sobie: „A co mnie to obchodzi, to nie moja sprawa, ja jestem wiedźminem”. Że należałoby posłuchać głosu rozsądku. Posłuchać instynktu, jeżeli nie tego, co dyktuje doświadczenie. A choćby i zwykły, najzwyklejszy strach.

Powinienem być posłuchać głosu rozsądku, wtedy...

Nie posłuchałem.

Myślałem, że wybieram mniejsze zło. Wybrałem mniejsze zło. Mniejsze zło! Jestem Geralt z Rivii. Zwany także Rzeźnikiem z Blaviken.

Nie, Iola. Nie dotykaj mojej ręki. Kontakt może wyzwolić w tobie... Możesz zobaczyć...

A ja nie chcę, byś zobaczyła. Nie chcę wiedzieć. Znam moje przeznaczenie, które kręci mną jak wir. Moje przeznaczenie? Ono idzie za mną krok w krok, ale ja nigdy nie oglądam się za siebie.

Pętla? Tak, Nenneke czuje to, zdaje się. Co mnie wtedy podkusiło, tam w Cintrze? Jak mogłem tak głupio ryzykować?

Nie, nie i jeszcze raz nie. Ja nigdy nie oglądam się za siebie. A do Cintry nie wrócę nigdy, będę omijał Cintrę jak gniazdo dzumy. Nigdy tam nie wrócę.

Ha, jeśli dobrze liczę, ten dzieciak musiał urodzić się w maju, gdzieś w okolicach święta Belleteyn. Gdyby tak było w istocie, to mielibyśmy do czynienia z interesującym zbiegiem okoliczności. Bo Yennefer też urodziła się w Belleteyn...

Chodźmy już, Iola. Zmierzcha już.

Dziękuję ci, że zechciałaś ze mną porozmawiać.

Dziękuję ci, Iola.

Nie, nic mi nie jest. Czuję się dobrze.

Całkiem dobrze.

Kwestia ceny

Wiedźmin miał nóż na gardle.

Leżał, pławiąc się w mydlinach, z głową odrzuconą do tyłu, na śliską krawędź drewnianej balii. W ustach czuł gorzki posmak mydła. Nóż, tępy jak siedem nieszczęść, skrobał go boleśnie po jabłku Adama, z chrzęstem przesuwając się ku podbródkowi.

Balwierz, z miną artysty świadomego narodzin arcydzieła, skrobął jeszcze raz, z czystej maniery, po czym otarł mu twarz kawałkiem lnianego płótna zmoczonym w czymś, co mogło być nalewką na arcydzięgielu.

Geralt wstał, pozwolił, by pacholek wylał na niego cebrzyk wody, otrząsnął się, wyszedł z balii, znacząc ceglana podłogę śladami mokrych stóp.

Ręcznik, panie — pacholek zerknął ciekawie na jego medalion.

— Dzięki.

— Tu jest odzienie — powiedział Haxo. — Koszula, gacie, spodnie, wams. A tu buty.

— O wszystkim pomyśleliście, kasztelanie. A we własnych butach nie mógłbym pójść?

— Nie. Piwa?

— Chętnie.

Ubierał się powoli. Dotyk obcego, szorstkiego, nieprzyjemnego ubrania na spęczniałej skórze psuł mu humor, jakiego nabrał, wylegując się w gorącej wodzie.

— Kasztelanie?

— Słucham was, panie Geralt?

— Nie wiecie aby, po co to wszystko? No, do czego jestem tu potrzebny?

— Nie moja rzecz — powiedział Haxo, zezując na pacholków. — Do mnie należy ubrać was...

— Przebrać, chcieliście powiedzieć.

— ... Ubrać i zaprowadzić na ucztę, do królowej. Włóżcie wams, panie Geralt. I ukryjcie pod nim wiedźmiński medalion.

— Tu leżał mój sztylet.

— Ale już nie leży. Jest w bezpiecznym miejscu, tak jak oba wasze miecze i cały dobytek. Tam, dokąd idziecie, idzie się bez oręża.

Wiedźmin wzruszył ramionami, obciągając na sobie ciasny purpurowy wams.

— Co to jest? — spytał, wskazując na haft na przodzie ubioru.

— A właśnie — rzekł Haxo. — Byłbym zapomniał. Na czas uczyty nazywacie się wielmożny Ravix z Czteroroga. Jako honorowy gość, zasiądziecie po prawicy królowej, takie jest jej życzenie. A to na wamsie, to wasz herb. W polu złotym niedźwiedź czarny, kroczący, na nim panna w szacie błękitnej, z włosami rozpuszczonymi i rękoma wzniesionymi. Powinniście to zapamiętać, ktoś z gości może mieć hyzia na punkcie heraldyki, to się często zdarza.

— Jasne, zapamiętam — powiedział poważnie Geralt. — A Czteroróg, gdzie leży?

— Dostatecznie daleko. Gotowiście? Możemy iść?

— Możemy. Powiedźcie jeszcze, panie Haxo, z jakiej okazji ta uczta?

— Królowna Pavetta kończy piętnaście lat, wedle zwyczaju zwalili się konkurenci do jej ręki. Królowa Calanthe chce ją wydać za kogoś ze Skellige. Zależy nam na przymierzu z wyspiarzami.

— Dlaczego akurat z nimi?

— Na tych, z którymi są w przymierzu, nie napadają tak często jak na innych.

— Istotny powód.

— Ale nie jedyny. W Cintrze, panie Geralt, tradycja nie pozwala na niewieście rządy. Nasz król Roegner zmarł był jakiś czas temu od morowego powietrza, a królowa nie chce drugiego męża. Nasza pani Calanthe mądra jest i sprawiedliwa, ale co król, to król. Ten, kto ożeni się z królowną, siądzie na tronie. Dobrze by było, żeby trafił się chłop na schwał. A takich trzeba szukać na wyspach. To twardy naród. Chodźmy już.

W połowie krużganka otaczającego mały, pusty wewnętrzny dziedziniec Geralt zatrzymał się, rozejrzał.

— Kasztelanie — rzekł półgłosem. — Jesteśmy sami. Mówcie, do czego królowej wiedźmin. Musicie coś wiedzieć. Kto, jeśli nie wy?

— Do tego, co i wszystkim innym — burknął Haxo. — Cintra jest jak każdy jeden inny kraj, taka sama. Mamy tu i wilkołaki, i bazyliuszki, a i mantikora się znajdzie, jak dobrze poszukać. To i wiedźmin może się przydać.

— Nie kręćcie, kasztelanie. Pytam, do czego królowej wiedźmin na uczcie, i to przebrany za błękitnego niedźwiedzia z rozpuszczonymi włosami.

Haxo też się rozejrzał, a nawet wychylił się przez balustradę krużganka.

— Niedobrego coś się dzieje, panie Geralt — mruknął. — Na zamku, znaczy. Straszy coś.

— Co?

— A co ma straszyć? Straszydło. Mówią, małe, garbate, kolczaste jak jeź. Nocą po zamku łązi, brzęka łańcuchami. Pojękuje i stęka w komnatach.

— Wyście widzieli?
— Nie — Haxo splunął. — I widzieć nie chcę.
— Pleciecie, kasztelanie — skrzywił się wiedźmin. — To się kupy nie trzyma. Idziemy na zaręczynową biesiadę. I co ja mam tam robić? Czuwać, żeby spod stołu nie wyskoczył garbus i nie zastękał? Bez broni? Wystrojony jak błazen? Eee, panie Haxo.
— A myślcie sobie, co chcecie — naburmuszył się kasztelan. — Kazali niczego wam nie mówić. Prosiłście, to powiedziałem. A wy, że plotę. Wielceście uprzejmi.
— Wybaczcie, nie chciałem was urazić, kasztelanie. Dziwiłem się tylko. . .
— Przestańcie się tedy dziwić — Haxo odwrócił głowę, nadal naburmuszony. — Nie jesteście od dziwienia. I dobrze wam radzę, panie wiedźmin, jeśli królowa rozkaże wam rozdziać się do goła, pomalować sobie rzyć niebieską farbką i powiesić się w sieni głową w dół jako kandelabr, to zróbcie to bez zdziwienia i wahania. Inaczej mogą was spotkać nieliche przykrości. Pojęliście?
— Pojąłem. Idziemy, panie Haxo. Cokolwiek ma być, zgłodniałem po tej kąpieli.

* * *

Nie licząc zdawkowego, ceremonialnego pozdrowienia, gdy powitała go jako „pana na Czterorogu”, królowa Calanthe nie zamieniła z wiedźminem ani słowa. Uczta nie rozpoczynała się, wciąż schodzili się biesiadnicy, gromko zapowiadani przez herolda.

Stół był ogromny, prostokątny, mógł pomieścić z górą czterdziestu chłopca. W jego szczycie zajmowała miejsce Calanthe, siedząc na tronie z wysokim oparciem. Po jej prawej ręce zasiadał Geralt, po lewej siwowłosa bard z lutnią, zwany Drogodarem. Dwa szczytowe krzesła po lewicy królowej pozostawały wolne.

Na prawo od Geralta, wzdłuż dłuższego boku stołu, zasiadali kasztelan Haxo i wojewoda o trudnym do zapamiętania nazwisku. Za nimi siedzieli goście z księstwa Attre — ponury i milczący rycerz Rainfarn i pozostający pod jego opieką pucołowaty dwunastolatek, książe Windhalm, jeden z pretendentów do ręki królowy. Dalej — kolorowi i różnobarwni rycerze z Cintry i okoliczni wasale.

— Baron Eylembert z Tigg! — ogłosił herold.

— Kudkudak! — mruknęła Calanthe, szturchając Drogodara. — Wesole będzie.

Chudy i wąsaty, dostatnio odziany rycerz skłonił się nisko, ale jego żywe, wesołe oczy i błędzący po ustach uśmiezek zaprzeczały czołobitności.

— Witajcie nam, panie Kudkudaku — rzekła ceremonialnie królowa. Najwyraźniej przydomek barona zrosnięty był z nim trwalej niż rodowe nazwisko. — Rada wam jestem za przybycie.

— I jam rad z zaproszenia — oznajmił Kudkudak i westchnął. — Cóż, rzucę okiem na królowę, jeśli pozwolisz, królowo. Trudno żyć samotnie, pani.

— Ejże, panie Kudkudaku — Calanthe uśmiechnęła się lekko, nawijając lok włosów na palec. — Wszakżeście żonaty, jak nam dobrze wiadomo.

— Eee — zachnął się baron. — Sama wiesz, pani, jaka ta moja żona słabiutka i delikatna, a teraz w naszych okolicach ospa panuje. Stawiam mój pas i miecz przeciwko starym łapciom, że za rok będzie nawet po żałobie.

— Biednyś, Kudkudaku, ale i szczęściarz z ciebie zarazem — Calanthe uśmiechnęła się jeszcze milej. — Twoja żona rzeczywiście jest słabiutka. Słyszałam, że jak czasu zeszytych żniw zdybała cię w stogu z dziewczką, to goniła cię z widłami niecałą milę, i nie dogoniła. Musisz ją lepiej karmić i hołubić, a i baczyć, by jej w nocy plecy nie ziębły. A za rok, zobaczysz, jak się poprawi.

Kudkudak posmętniał, ale niezbyt przekonywająco.

— Aluzję zrozumiałem. Ale na uczcie zostać mogę?

— Rada będę, baronie.

— Poselstwo ze Skellige! — krzyknął herold, już solidnie zachrypnięty.

Wyspiarze wkroczyli dziarskim, dudniącym krokiem, we czterech, w lśniących, skórzanych kubrakach obszytych foczym futrem, przepasani szarfami z kraćastej wełny. Prowadził ich żyłasty wojownik o ciemnej twarzy i orlim nosie, mający u boku barczystego młodziana z rudą czupryną. Wszyscy skłonili się przed królową.

— Wielki to zaszczyt — rzekła Calanthe, lekko zarumieniona — witać ponownie na moim zamku świetnego rycerza, jakim jest Eist Tuirseach ze Skellige. Gdyby nie dobrze znany fakt, że żywisz pogardę dla ożenku, ucieszyłabym się nadzieją, że może przybywasz ubiegać się o moją Pavettę. Czyżby samotność jednak dokuczyła ci, panie?

— Nie raz, piękna Calanthe — odrzekł smagłolicy wyspiarz, unosząc na królową błyszczące oczy. — Zbyt niebezpieczne jednak wiodę życie, by myśleć o trwałym związku. Gdyby nie to... Pavetta jest młodziutką jeszcze panną, nierozkwitłym pączkiem, ale...

— Ale co, rycerzu?

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni — uśmiechnął się Eist Tuirseach, błyskając bielą zębów. — Wystarczy spojrzeć na ciebie, królowo, by wiedzieć, jaką pięknością stanie się królowna, gdy osiągnie wiek, jaki powinna mieć kobieta, by uszczęśliwić wojownika. Tymczasem jednak o jej rękę winni ubiegać się młodzieńcy. Tacy jak siostrzeniec naszego króla Brana, ten oto Crach an Craite, który przybył tu w tym właśnie celu.

Crach, kłoniąc rudą głową, ukląkł przed królową na jedno kolano.

— Kogóż jeszcze przywiodłeś, Eist?

Krępy, krzepki mężczyzna z miotłową brodą i dryblas z kobzą na plecach przyklękli obok Cracha an Craite.

— Oto waleczny druid Myszowór, który, jak ja, jest przyjacielem i doradcą króla Brana. A to Draig Bon-Dhu, nasz sławny skald. Trzydziestu żeglarzy ze Skellige czeka zaś na podwórku, płoną nadzieją, że piękna Calanthe z Cintry ukaże się im choć w oknie.

— Siadajcie, szlachetni goście. Ty, panie Tuirseach, tutaj.

Eist zajął wolne miejsce przy węższym końcu stołu, oddzielony od królowej tylko pustym krzesłem i miejscem Drogodara. Pozostali wyspiarze siedli razem po lewej, pomiędzy marszałkiem Vissegerdem a trójką synów władzyki Streptu, na których wołano Pomrów, Paszkot i Dzirżygórka.

— To mniej więcej wszyscy — królowa przechyliła się w stronę marszałka. — Zaczynamy, Vissegerd.

Marszałek klasnął w dłonie. Pachółkowie, niosąc półmiski i dzbany, długim sznurem ruszyli ku stołowi, witani radosnym pomrukiem biesiadników.

Calanthe prawie nie jadła, niechętnie trącała podawane kęski srebrnym widelcem. Drogodar, przełknąwszy coś w pośpiechu, brzdąkał dalej na lutni. Pozostali goście czynili natomiast prawdziwe spustoszenie wśród pieczonych prosiąt, ptactwa, ryb i małży, w czym przodował rudy Crach an Craite. Rainfarn z Attre srogo strofował młodego księcia Windhalma, raz nawet dał mu po łapach za próbę sięgnięcia po dzban z jabłecznikiem. Kudkudak, przerywając na moment ogryzanie kości, uradował sąsiadów naśladowaniem gwizdu błotnego żółwia. Robiło się coraz weselej. Wznoszono pierwsze toasty, coraz bardziej nieskładne.

Calanthe poprawiła wąską złotą obręcz na popielatych, ufryzowanych w loki włosach, obróciła się lekko w stronę Geralta zajętego kruszeniem skorupy wielkiego czerwonego raka ocieźnika.

— No, wiedźminie — powiedziała. — Dookoła jest już dostatecznie głośno, abyśmy mogli zamienić dyskretnie kilka słów. Zacznijmy od grzeczności. Cieszę się z poznania ciebie.

— To odwzajemniona radość, królowo.

— Po grzecznościach, konkrety. Mam dla ciebie pracę do wykonania.

— Domyślam się. Rzadko kto zaprasza mnie na biesiady z czystej sympatii.

— Cóż, pewnie nie jesteś interesującym partnerem przy stole. Czy jest jeszcze coś, czego się domyślasz?

— Jest.

— Cóż to takiego?

— Powiem ci, gdy dowiem się, jakie zadanie masz dla mnie, królowo.

— Geralt — powiedziała Calanthe, trącając palcami naszyjnik ze szmaragdów, z których najmniejszy był wielkości majowego chrabąszcza — jak myślisz, jakie zadanie można mieć dla wiedźmina? Co? Wykopanie studni? Załatwienie dziury w dachu? Utkanie gobelinu przedstawiającego wszystkie pozycje, jakie król Vridank i piękna Cerro wypróbowali podczas nocy poślubnej? Sam chyba wiesz najlepiej, na czym polega twoja profesja.

— Tak, wiem. A teraz mogę powiedzieć, czego się domyślam, królowo.
— Ciekawam.
— Domyślam się, że jak wielu innych, mylisz mój zawód z całkiem inną profesją.

— Och — Calanthe, nachylona swobodnie w kierunku brzdąkającego na lutni Drogodara, sprawiała wrażenie zamyślanej i nieobecnej. — A kimże, Geralt, są ci inni, których jest tak wielu, a z którymi byłeś łaskaw zrównać mnie pod względem ignorancji? I z jaką to profesją myślą twój zawód owi głupcy?

— Królowo — rzekł Geralt spokojnie — jadąc do Cintry, spotykałem wieśniaków, kupców, krasnoludów domokrażców, kotlarzy i drwali. Mówili mi o zjadarce, która gdzieś w tutejszych lasach ma swoją kryjówkę, domek na pazurzastym kurzym trójnogu. Wspominali o przerażeniu gnieźdzącej się w górach. O żagnicach i skolopendromorfach. Podobno znajdzie się i mantikora, jak dobrze poszukać. Tyle zadań, które mógłby wykonać wiedźmin, nie musząc przy tym stroić się w cudze piórka i herby.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Królowo, nie wątpię, że przymierze ze Skellige, zawarte przez małżeństwo twojej córki, jest Cintrze potrzebne. Możliwe też, że intryganci, którzy chcą temu przeszkodzić, zasługują na nauczkę, i to w taki sposób, by władca nie był w to zamieszany. Pewnie, że byłoby najlepiej, by tę nauczkę dał im nie znany nikomu pan z Czeroroga, który zniknie potem ze sceny. A teraz odpowiem na twoje pytanie. Mylisz mój zawód z profesją najemnego mordercy. Ci inni, których jest tak wielu, to ci, którzy mają władzę. Nie pierwszy raz wzywany jestem na dwór na którym problemy władcy wymagają szybkich ciosów miecza. Ale ja nigdy nie zabijałem ludzi dla pieniędzy, niezależnie, w dobrej czy złej sprawie. I nigdy tego robił nie będę.

Atmosfera przy stole ożywiła się w miarę jak ubywało piwa. Rudy Crach an Craite znalazł wdzięcznych słuchaczy do opowieści o bitwie nad Thwyth. Nakreśliwszy na stole mapę za pomocą kości z mięsem zamaczanej w sosie, nanosił na nią sytuację taktyczną, wrzeszcząc głośno. Kudkudak, dowodząc celności swego przewiska, zagadał nagle jak najprawdziwsza kwoka, budząc powszechną wesołość wśród biesiadników, a konsternację wśród służby, przekonanej, że ptak, drwiąc z jej czujności, dostał się jakoś z dziedzińca na salę.

— Tak oto, los pokarał mnie nazbyt domyślnym wiedźminem — Calanthe uśmiechnęła się, ale oczy miała zmrużone i złe. — Wiedźminem, który bez cienia szacunku czy chociażby zwykłej grzeczności demaskuje moje intrygi i niecne, zbrodnicze plany. Czy jednak fascynacja moją urodą i ujmującą osobowością nie przyćmiły przypadkiem twojego rozsądku? Nigdy więcej tego nie rób, Geralt. Nie odzywaj się w taki sposób do tych, którzy mają władzę. Niejeden nie zapomni ci takich słów, a znasz królów, wiesz, że mają różne środki. Sztylet. Trucizna. Loch. Rozpalone kleszcze. Są setki, tysiące sposobów, po które sięgają królowie

zwykli mścić swoją urażoną dumę. Nie uwierzysz, Geralt, jak łatwo jest urazić dumę niektórych władców. Rzadko który z nich zniesie spokojnie słowa takie jak: „Nie”, „Nie będę” czy „Nigdy”. Mało tego, wystarczy takiemu przerwać, gdy mówi, lub wtrącać niestosowne uwagi, i już ma się zapewnione łamanie kołem.

Królowa złożyła razem białe, wąskie dłonie i lekko oparła na nich usta, robiąc efektowną pauzę. Geralt nie przerywał i niczego nie wtrącał.

— Królowie — podjęła Calanthe — dzielą ludzi na dwie kategorie. Jednym rozkazują, a drugich kupują. Hołdują bowiem starej i banalnej prawdzie, że każdego można kupić. Każdego. To tylko kwestia ceny. Zgadzasz się z tym? Ach, niepotrzebnie pytam. Przecież jesteś wiedźminem, wykonujesz swoją pracę i bierzesz zapłatę, w odniesieniu do ciebie słowo „kupić” traci swój pogardliwy wydźwięk. Również kwestia ceny to w twoim przypadku rzecz oczywista, związana ze stopniem trudności zadania, jakością wykonania, mistrzostwem. Także z twoją sławą, Geralt. Dziadowie na jarmarkach wyśpiewują o czynach białowłosego wiedźmina z Rivii. Jeśli chociaż połowa z tego jest prawdą, to mogę założyć, że cena twoich usług nie jest mała. Angażowanie cię do tak prostych i banalnych spraw, jak intrygi pałacowe czy morderstwa, byłoby trwonieniem pieniędzy. Można to załatwić innymi, tańszymi rękami.

— BRAAAK! Ghaaa-braaak! — zaryczał nagle Kudkudak, zdobywając huczny aplauz za imitację odgłosów kolejnego zwierzęcia. Geralt nie wiedział jakiego, ale nie chciałby nigdy czegoś takiego napotkać. Odwrócił głowę, dostrzegając spokojne, jadowicie zielone spojrzenie królowej. Drogodar, z opuszczoną głową i twarzą niewidoczną zza zasłony siwych włosów opadających na ręce i instrument, brzdąkał cicho na lutni.

— Ach, Geralt — powiedziała Calanthe, gestem zabraniając pachołkowi dolewać do swojego pucharu. — Ja mówię, a ty milczysz. Jesteśmy na ucztę, wszyscy chcemy dobrze się bawić. Zabaw mnie. Zaczyna mi brakować twoich celnych uwag i domyślnych komentarzy. Zdałby się też jeden z drugim komplement, hołd czy też zapewnienie o posłuszeństwie. Kolejność dowolna.

— Cóż, królowo — rzekł wiedźmin — niewątpliwie jestem mało interesującym partnerem za stołem. Nadziwić się nie mogę, że właśnie mnie wyróżniłaś zaszczytem zajmowania tego miejsca. Można wszak było posadzić tu kogoś znacznie bardziej odpowiedniego. Każdego, kogo byś zapragnęła. Wystarczyło tylko komuś rozkazać lub kogoś kupić. To tylko kwestia ceny.

— Mów, mów — Calanthe odchyliła głowę do tyłu, przymknęła oczy, nadając ustom pozór miłego uśmiechu.

— Jestem tedy zaszczycony i dumny, że to ja siedzę obok królowej Calanthe z Cintry, której urodę przewyższa tylko jej mądrość. Za równie wielki zaszczyt uważam, że królowa raczyła słyszeć o mnie i że na podstawie tego, co słyszała, nie chce wykorzystywać mnie do banalnych spraw. Zeszłej zimy księżę Hrobarik, nie będąc tak łaskawy, próbował wynająć mnie do szukania ślicznotki, która mając

dość jego ordynarnych zalotów, uciekła z balu, gubiąc pantofelek. Trudno mi było go przekonać, że do tego potrzebny jest wielki łowczy, a nie wiedźmin.

Królowa słuchała z zagadkowym uśmiechem.

— Również inni władcy, ustępujący tobie, pani Calanthe, pod względem mądrości, nie cofali się przed proponowaniem mi banalnych zadań. Głównie szło im o banalne pozbawienie życia pasierba, ojczyrna, macochy, stryja, ciotki, trudno zliczyć. Byli zdania, że to tylko kwestia ceny.

Uśmiech królowej mógł oznaczać wszystko.

— Powtarzam więc — Geralt lekko skłonił głowę — że nie posiadam się z dumy, mogąc siedzieć obok ciebie, pani. Duma zaś ogromnie wiele znaczy dla nas, wiedźminów. Nie uwierzysz, królowo, jak wiele. Pewien władca uraził kiedyś dumę wiedźmina propozycją pracy, nie licującą z honorem i wiedźmińskim kodeksem. Co więcej, nie przyjął do wiadomości grzecznej odmowy, chciał powstrzymać wiedźmina przed opuszczeniem swojego kasztelu. Wszyscy komentujący potem to zdarzenie zgodnie twierdzili, że nie był to najlepszy z pomysłów tego władcy.

— Geralt — powiedziała Calanthe po chwili milczenia. — Myliłeś się. Jesteś bardzo interesującym partnerem przy stole.

Kudkudak, otrzepując wąsy i przód kaftana z piwnej piany, zadarł głowę i przesywając zawył w wielce udatnym naśladownictwie wilczycy w czasie rui. Psy z dziedzińca i całej okolicy zawtórowały wyciem.

Jeden z braci ze Streptu, bodajże Dzirzygórk, zamoczywszy palec w piwie, poprowadził grubą krechę dookoła formacji narysowanej przez Cracha an Craite.

— Błąd i nieudolność! — zawołał. — Nie należało tak czynić! Tu, na skrzydło, trzeba było skierować konnicę i uderzyć z flanki!

— Ha! — ryknął Crach an Craite, waląc kością o stół, znacząc twarz i tuniki sąsiadów kropelkami sosu. — I osłabić środek? Kluczową pozycję? Niedorzeczność!

— Tylko ślepiec lub chory na umyśle nie korzysta z manewru w takiej sytuacji!

— Tak jest! Słusznie! — krzyknął Windhalm z Attre.

— Kto cię pyta, gówniarzu?

— Sam jesteś gówniarz!

— Zamknij pysk, bo cię zdziele tę kością!

— Siedź na rzyci i milcz, Crach — zawołał Eist Tuirseach, przerywając konwersację z Vissegerdem. — Dosyć tych kłótni. Hejże, panie Drogodar! Szkoda waszego talentu! Zaiste, więcej skupienia i powagi wymaga słuchanie waszej pięknej, acz cichej gędźby. Draigu Bon-Dhu, przestań żreć i żłopać! Nikomu za tym stołem nie zaimponujesz ani jednym, ani drugim. Nadmij no swoje dudy i uraduj nasze uszy porządną, wojacką muzyką. Za twoim pozwoleniem, dostojna Calanthe!

— O, matko moja — szepnęła królowa do Geralta, unosząc na moment wzrok ku sklepieniu w niemej rezygnacji. Ale skinęła przyzwalająco, uśmiechając się wcale naturalnie i życzliwie.

— Draigu Bon-Dhu — rzekł Eist. — Zagraj nam pieśń o bitwie pod Chociebużem! Ta nie dostarczy nam przynajmniej wątpliwości co do taktycznych posunięć dowódców! Ani co do tego, kto okrył się tam nieśmiertelną sławą! Zdrowie bohaterskiej Calanthe z Cintry!

— Zdrowie! Chwała! — ryczeli goście, spełniając puchary i gliniane czarki.

Dudy Draiga Bon-Dhu wydały z siebie złowrogie buczenie, potem zaś buchnęły straszliwym, przeciągłym, modulowanym jękiem. Biesiadnicy podjęli pieśń, wybijając rytm, to jest tłukąc czym popadło o stół. Kudkudak chciwie wpatrywał się w wór z koziej skóry, niewątpliwie urzeczony myślą o wciągnięciu wydobywających się z jego wnętrza przerażających tonów do swego repertuaru.

— Chociebuż — powiedziała Calanthe, patrząc na Geralta — moja pierwsza bitwa. Chociaż lękam się wzbudzić oburzenie i pogardę dumnego wiedźmina, wyznam ci, że wówczas biliśmy się o pieniądze. Wróg palił bowiem wsie, które płaciły nam daniny, a my, nienasyчени i chciwi, zamiast im na to pozwolić, wyruszyliśmy w pole. Banalny powód, banalna bitwa, banalne trzy tysiące trupów rozdziobanych przez kruki. I spójrz tylko — zamiast się wstydzić, siedzę dumna jak paw, że śpiewa się o mnie pieśni. Nawet jeżeli do tak okropnej, barbarzyńskiej muzyki.

Znowu przywołała na twarz parodię uśmiechu, pełnego szczęścia i życzliwości, uniesieniem pustego pucharu odpowiadając na toasty wznoszone jak stół długi. Geralt milczał.

— Kontynuujmy — Calanthe przyjęła podane przez Drogodara udko bażanta i zaczęła je wdzięcznie ogryzać. — Jak mówiłam, wzbudziłeś moje zainteresowanie. Mówiono mi, że wy, wiedźmini, to ciekawa kasta, nie bardzo wierzyłam. Teraz wierzę. Przy uderzeniu wydajecie dźwięk, świadczący, że wykuto was ze stali, nie ulepiono z ptasiego gówna. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że jesteś tu, by wykonać zadanie. I wykonasz je bez mędrkowania.

Geralt nie uśmiechnął się lekceważąco i paskudnie, chociaż miał wielką ochotę. Milczał nadal.

— Myślałam — mruknęła królowa, zdając się poświęcać całą uwagę wyłącznie bażanciemu udku — że coś powiesz. Albo że się uśmiechniesz. Nie? Tym lepiej. Czy naszą umowę mogę uważać za zawartą?

— Niejasnych zadań — rzekł sucho wiedźmin — nie da się jasno wykonać, królowo.

— Co tu jest niejasnego? Przecież od razu wszystkiego się domyśliłeś. Rzeczywiście, mam plany odnośnie przymierza ze Skellige i co do małżeństwa mojej córki Pavetty. W przypuszczeniu, że plany te są zagrożone, również się nie pomyliłeś, ani w tym, że jesteś mi potrzebny, aby to zagrożenie wyeliminować. Ale tu

skończyła się twoja domyślność. Supozycja, że mylę twój zawód z profesją najemnego zbira, wielce mnie ubodła. Przyjmij do wiadomości, Geralt, że zaliczam się do tych niewielu władców, którzy wiedzą dokładnie, czym zajmują się wiedźmini i do czego należy ich angażować. Z drugiej strony, jeśli ktoś zabija ludzi równie wprawnie jak ty, chociaż i nie dla pieniędzy, nie powinien się dziwić, że tak wielu przypisuje mu profesjonalizm w tej dziedzinie. Twoja sława wyprzedza cię, Geralt, a jest ona głośniejsza od przeklętej kobzy Draiga Bon-Dhu. I równie mało w niej przyjemnych nut.

Dudarz, choć nie mógł słyszeć słów królowej, zakończył swój koncert. Biesiadnicy nagrodzili go chaotyczną, wrzaskliwą owacją, po czym z nowym zapałem poświęcili się niszczeniu zapasów jadła i picia, rozpamiętywaniu przebiegu rozmaitych bitew i nieprzyzwoitym żartom o niewiastach. Kudkudak wydawał gromkie odgłosy, nie sposób było jednak stwierdzić, czy była to imitacja kolejnego zwierzęcia, czy próba ulżenia przeładowanemu żołądkowi.

Eist Tuirseach nachylił się daleko przez stół.

— Królowo — powiedział — istnieją zapewne ważne powody, dla których cały czas poświęcasz wyłącznie panu z Czteroroga, ale najwyższa pora, byśmy ujrzeni królową Pavettę. Na co czekamy? Chyba nie na to, żeby Crach an Craite się spał. A chwila ta jest bliska.

— Masz rację, jak zwykle, Eist — Calanthe uśmiechnęła się ciepło. Geralt nie przestawał się dziwić, jak bogaty był arsenał jej uśmiechów. — Rzeczywiście, mam z wielmożnym Ravixem niezwykle ważne sprawy do omówienia. Nie lękaj się, poświęcę czas i tobie. Ale znasz moją zasadę: najpierw obowiązki, potem przyjemności. Panie Haxo!

Uniosła dłoń, skinęła na kasztelana. Haxo wstał bez słowa, skłonił się i szybko pobiegł po schodach, zniknął w ciemnej galerijce. Królowa znów odwróciła się do wiedźmina.

— Słyszałeś? Rozprawiamy zbyt długo. Jeśli Pavetta przestała już mizdrzyć się przed zwierciadłem, to zaraz tu będzie. Nadstaw zatem uszu, bo powtarzać nie będę. Chcę osiągnąć to, co sobie zamierzyłam, a co ty w miarę trafnie odgadłeś. Żadnych innych rozwiązań być nie może. Co do ciebie, to masz wybór. Możesz zostać zmuszony do działania moim rozkazem... nad konsekwencjami nieposłuszeństwa nie uważam za celowe się rozwodzić. Posłuszeństwo, ma się rozumieć, będzie hojnie nagrodzone. Albo możesz wyświadczyć mi płatną usługę. Zauważ, że nie powiedziałam: „Mogę cię kupić”, bo postanowiłam nie urażać twojej wiedźmińskiej dumy. Prawda, że to ogromna różnica?

— Ogrom tej różnicy umknął jakoś mojej uwadze.

— Wyteżaj więc bardziej uwagę, kiedy mówię do ciebie. Różnica, mój drogi, polega na tym, że kupowanemu płaci się według własnego widzimisie, świadczący usługę sam określa jej cenę. Jasne?

— W miarę. Załóżmy więc, że wybieram formę płatnej usługi. Powiniennem jednak chyba wiedzieć, na czym ta usługa ma polegać?

— Nie, nie powinieneś. Rozkaz, i owszem, musi być konkretny i jednoznaczny. Co innego, jeśli mowa o płatnej usłudze. Interesuje mnie efekt. Nic więcej. To twoja sprawa, jakimi środkami mi go zapewnisz.

Geralt, unosząc głowę, napotkał czarne, przenikliwe spojrzenie Myszowora. Druid ze Skellige, nie spuszczać z wiedźmina wzroku, kruszył jak gdyby w zamyszeniu trzymany w dłoni kawałek chleba, upuszczał okruszynki. Geralt spojrzał w dół. Przed nim, na dębowej desce stołu, okruchy, ziarnka kaszy i czerwone fragmenty skorupy ościężnika poruszały się szybko jak mrówki. Tworzyły runy. Runy połączyły się — na moment — w słowo. W pytanie.

Myszowór czekał, nie spuszczać z niego wzroku. Geralt ledwie dostrzegalnie kiwnął głową. Druid opuścił powieki, z kamienną twarzą zmiotł okruszki ze stołu.

— Szlachetni panowie! — zawołał herold. — Pavetta z Cintry!

Goście ucichli, obracając głowy w stronę schodów.

Poprzedzana przez kasztelana i jasnowłosego pazia w szkarłatnym kubraczku, królowna schodziła wolno, z opuszczoną głową. Włosy miała identycznego koloru jak matka — popielatoszare, ale nosiła je splecione w dwa grube warkocze, sięgające poniżej pasa. Oprócz diademika z misternie rzeźbioną gemmą i paska z drobnutkich złotych ogniwek, ściskającego na biodrach długą srebrnobłękitną suknię, Pavetta nie nosiła żadnych ozdób.

Eskortowana przez pazia, herolda, kasztelana i Vissegerda, królowna zajęła wolne krzesło pomiędzy Drogodarem a Eistem Tuirseach. Rycerski wyspiarz natychmiast zadbał o jej puchar i zabawił rozmową. Geralt nie dostrzegł, by odpowiadała więcej niż jednym słowem. Oczy miała stale spuszczone, przykryte długimi rzęsami, cały czas, nawet podczas hałaśliwych toastów, jakie sypnęły się ku niej z różnych punktów stołu. Niewątpliwie, jej uroda zrobiła wrażenie na biesiadnikach — Crach an Craite zaprzestał wrzasków, w milczeniu gapił się na Pavettę, zapominając nawet o kuflu piwa. Windhalm z Attre także pożerał królownę wzrokiem, mieniając się różnymi odcieniami czerwieni, jak gdyby już tylko kilka ziarenek piasku w klepsydrze dzieliło go od pokładzin. W podejrzanym skupieniu studiowali drobną twarz dziewczynki również Kudkudak i bracia ze Streptu.

— Aha — powiedziała cicho Calanthe, najwyraźniej rada z efektu. — I co powiesz, Geralt? Dziewczyna wdała się w matkę, bez fałszywej skromności. Aż mi jej trochę szkoda dla tego rudego kłosa, Cracha. Cała moja nadzieja w tym, że może ze szczeniaka wyrośnie ktoś klasy Eista Tuirseach. Wszak to ta sama krew. Słuchasz mnie, Geralt? Cintra musi sprzymierzyć się ze Skellige, bo wymaga tego interes państwa. Moja córka powinna poślubić odpowiednią osobę, bo to jest moja córka. To właśnie jest efekt, który musisz mi zapewnić.

— Ja mam to zapewnić? Czy aby tak się stało, nie wystarczy twoja wola, królowo?

— Sprawy mogą potoczyć się tak, że nie wystarczy.

— Cóż może być silniejsze od twojej woli?

— Przeznaczenie.

— Aha. A zatem ja, biedny wiedźmin, mam stawić czoło przeznaczeniu silniejszemu od królewskiej woli. Wiedźmin walczący z przeznaczeniem! Cóż za ironia.

— Co tu jest ironią?

— Mniejsza z tym. Królowo, wygląda na to, że usługa, której żądasz, graniczy z niemożliwością.

— Gdyby graniczyła z możliwością — wycodziła Calanthe zza uśmiechniętych warg — poradziłabym sobie z tym sama, nie potrzebowałabym sławnego Geralta z Rivii. Przestań mędrkować. Wszystko jest do załatwienia, to tylko kwestia ceny. Do cholery, w twoim wiedźmińskim cenniku musi figurować cena za to, co graniczy z niemożliwością. Domyślam się, że nie mała. Zapewnisz mi efekt o którym mówiłam, a dam ci to, czego zażądasz.

— Jak powiedziałaś, królowo?

— Dam, czego zażądasz. Nie lubię, kiedy ktoś każe mi powtarzać. Zastanawia mnie, wiedźminie, czy przed każdą robotą, której się imasz, próbujesz zniechęcić zleceniodawcę równie usilnie jak mnie? Czas ucieka. Odpowiadaj, tak lub nie?

— Tak.

— Lepiej. Lepiej, Geralt. Twoje odpowiedzi są już znacznie bliższe ideału, coraz bardziej przypominają te, których oczekuję, gdy stawiam pytania. A teraz wyciągnij dyskretnie lewą rękę i pomóż mi oparciem mojego tronu.

Geralt wsunął dłoń pod żółto — niebieskie udrapowanie.

Prawie natychmiast natrafił na miecz, płasko przytwierdzony do obitego kurdybanem oparcia. Na dobrze mu znany miecz.

— Królowo — powiedział cicho — pomijając już to, co wcześniej mówiłem o zabijaniu ludzi, zdajesz sobie oczywiście sprawę, że na przeznaczenie nie wystarczy miecza?

— Zdaje — Calanthe odwróciła głowę. — Potrzebny jest jeszcze wiedźmin trzymający rękojeść. Jak widzisz, zadbałam o to.

— Królowo. . .

— Ani słowa więcej, Geralt. Zbyt długo już spiskujemy. Patrz na nas, a Eist robi się zły. Porozmawiaj chwilę z kasztelanem. Zjedz coś, wypij. Byle nie za dużo. Chcę, byś miał pewną rękę.

Usłuchał. Królowa włączyła się do rozmowy, jaką wiedli Eist, Vissegerd i Myszwór przy milczącym i sennym udziale Pavetty. Drogodar odłożył lutnię i nadrabiał opóźnienia w jedzeniu. Haxo nie był rozmowny. Wojewoda o trudnym do

zapamiętania nazwisku, któremu obity się widać o uszy sprawy i problemy Czteroroga, spytał grzecznie, czy klacze dobrze się żrebią. Geralt odpowiedział, że tak, że znacznie lepiej od ogierów. Nie był pewien, czy żart został dobrze odebrany. Wojewoda nie zadawał więcej pytań.

Oczy Myszowora wciąż szukały kontaktu z oczami wiedźmina, ale okruszynki na stole nie poruszyły się więcej.

Crach an Craite coraz bardziej zaprzyjaźniał się z dwoma braćmi ze Streptu. Trzeci, najmłodszy, był już nie do użytku po próbie dotrzymania tempa w picciu, jakie narzucił Draig Bon-Dhu. Skald, wyglądało, wyszedł z tej próby bez najmniejszego szwanku.

Zgromadzeni w końcu stołu młodszy i mniej ważni komesi, podochoceni, zain-tonowali fałszywie znaną piosenkę o rogatym koziołeczku i mściwej, pozbawionej poczucia humoru babuleńce.

Kędzierzawy pacholek i kapitan straży w złoto — niebieskich barwach Cintry podbiegli do Vissegerda. Marszałek, zmarszczony, wysłuchał meldunku, wstał, stanął za tronem i nachylając się nisko, wymruczał coś do królowej. Calanthe rzuciła szybko okiem na Geralt, odpowiedziała krótko, jednym słowem. Vissegerd nachylił się jeszcze bardziej, zaszeptał, królowa spojrzała na niego ostro, bez słowa pacnęła otwartą dłońią w oparcie tronu. Marszałek skłonił się, przekazał rozkaz kapitanowi straży. Geralt nie dosłyszał, co to był za rozkaz. Dojrzał jednak, że Myszowór poruszył się niespokojnie i spojrzał na Pavettę — królowna siedziała nieruchomo, opuściwszy głowę.

W halli rozległy się ciężkie, brzęczące metalem kroki, przebijając się poprzez gwar u stołu. Wszyscy unieśli i obrócili głowy.

Nadchodząca postać zakuta była w zbroję z kombinacji żelaznych blach i trawionej w wosku skóry. Wypukły, graniasty, czarno i niebiesko szmelcowany napierśnik zachodził na segmentowany fartuch i krótkie ochraniacze na udach. Pancerne naramienniki jeżyły się od ostrych, stalowych cierni, również przyłbica z gęsto kratowaną zasłoną, wyciągniętą w kształt psiego pyska, była usiana kolcami jak łupina kasztana.

Chrzęszcząc i zgrzytając, dziwny gość zbliżył się do stołu, stając nieruchomo na wprost tronu.

— Dostojna królowo, szlachetni panowie — przemówił przybysz zza zasłony hełmu, wykonując sztywny ukłon. — Wybaczcie, że zakłócam uroczystą ucztę. Jestem Jeż z Erlenwaldu.

— Witaj nam, Jeżu z Erlenwaldu — powiedziała wolno Calanthe. — I zajmij miejsce za stołem. W Cintrze radzi jesteśmy każdemu gościowi.

— Dziękuję, królowo — Jeż z Erlenwaldu skłonił się jeszcze raz, dotknął piersi pięścią w żelaznej rękawicy. — Nie przybywam jednak do Cintry jako gość, lecz ze sprawą ważną, a nie cierpiącą zwłoki. Jeśli królowa Calanthe zezwoli, wyłożę moją sprawę natychmiast, nie marnując waszego czasu.

— Jeżu z Erlenwaldu — rzekła ostro królowa. — Chwalebna troska o nasz czas nie usprawiedliwia braku szacunku. A takim jest przemawianie do mnie z za żelaznego rzeszota. Zdejm zatem hełm. Zniesiemy jakoś stratę czasu, jaki zabierze ci ta czynność.

— Moja twarz, królowo, musi na razie pozostać zakrytą. Za twoim przyzwoleniem.

Po zebranych przebiegł gniewny szmer, pomruk, akcentowany tu i ówdzie zmielonym w zębach przekleństwem. Myszwór, pochylając głowę, bezgłośnie poruszył wargami. Wiedźmin wyczuł, jak zakłęcie na sekundę naelektryzowało powietrze, jak poruszyło jego medalionem. Calanthe patrzyła na Jeża, mrużąc oczy i postukując palcami po oparciu tronu.

— Przyzwalam — rzekła wreszcie. — Chcąc wierzyć, że powód, jaki tobą kieruje, jest dostatecznie ważny. Mów zatem, co cię sprowadza, Jeżu bez twarzy.

— Dzięki za przyzwolenie — powiedział przybysz. — Nie mogąc jednak znieść posądzenia o brak szacunku, wyjaśniam, że chodzi o ślub rycerski. Nie wolno mi odkrywać twarzy przed wybiciem północy.

Królowa niedbałym uniesieniem dłoni potwierdziła, że akceptuje wyjaśnienie. Jeż postąpił do przodu, chrzestując kolczastym pancerzem.

— Lat temu piętnaście — oznajmił głośno — twój małżonek, pani Calanthe, król Roegner, pobłądził był na łowach w Erlenwaldzie. Klucząc po wertepach, spadł z konia do jaru i zwichnął nogę. Leżał na dnie wąwozu i wołał pomocy, a odpowiadał mu jeno syk żmij i wycie zbliżających się wilkołaków. Zginąłby niezawodnie, gdyby nie pomoc, jaką mu okazano.

— Wiem, że tak było — potwierdziła królowa. — Jeśli i ty to wiesz, domyślam się, że byłeś tym, kto mu tę pomoc okazał.

— Tak. Tylko dzięki mnie powrócił cało i zdrowo do zamku. Do ciebie, pani.

— Winnam ci zatem wdzięczność, Jeżu z Erlenwaldu. Wdzięczności tej nie umniejsza fakt, że Roegner, pan mego serca i łoża, odszedł już z tego świata. Rada bym zapytać, w jaki sposób mogłabym ci tę wdzięczność okazać, lękam się jednak, że szlachetnego rycerza, składającego rycerskie ślubowania, kierującego się we wszystkich postępkach prawem rycerskim, takie pytanie może obrazić. Zakładałoby bowiem, że pomoc, jakiej udzieliłeś królowi, nie była bezinteresowna.

— Dobrze wiesz, królowo, że nie była bezinteresowna. Wiesz także, że właśnie przychodzę po nagrodę, obiecaną mi przez króla za uratowanie mu życia.

— Ach, tak? — Calanthe uśmiechnęła się, ale w jej oczach zapełgały zielone ogniki. — Znalazłeś więc króla na dnie jaru, bezbronnego, rannego, wydanego na pastwę żmij i potworów. I dopiero wówczas, gdy obiecał ci nagrodę, pospieszyłeś mu z ratunkiem? A gdyby nie chciał lub nie mógł obiecać ci nagrody, zostawiłbyś go tam, a ja do dzisiaj nie wiedziałabym, gdzie bieleją jego kości? Ach jak szlachetnie. Bez ochyby, twoim postępowaniem kierowało wówczas jakieś szczególne rycerskie ślubowanie.

Szmer wśród zgromadzonych przybrał na sile.

— I dzisiaj przybywasz po swoją nagrodę, Jeżu? — ciągnęła królowa, uśmiechając się coraz bardziej złowieszczo. — Po piętnastu latach? Liczysz pewnie na odsetki od sumy, jakie narosły przez ten czas? Tu nie jest krasnoludzki bank, Jeżu. Powiadasz, nagrodę obiecał ci Roegner? Cóż, trudno będzie go tu ściągnąć, żeby się wypłacił. Prościej będzie chyba posłać ciebie do niego, w zaświaty. Tam się dogadacie, co kto komu winien. Zbyt kochałam mego małżonka, Jeżu, by móc przestać myśleć o tym, że mogłam utracić go już wówczas, piętnaście lat temu, gdyby nie zechciał się z tobą targować. Myśl o tym budzi u mnie niezbyt sympatyczne uczucia do twojej osoby. Zamaskowany przybyszu, czy wiesz, że w tej chwili tu, w Cintrze, na moim zamku i w mojej mocy, jesteś równie bezradny i bliski śmierci jak Roegner, wtedy na dnie wąwozu? Cóż mi zaproponujesz, jaką cenę, jaką nagrodę, jeżeli ci obiecuję, że wyjdiesz stąd żywy?

Medalion na szyi Geralta zadrgał, zawibrował. Wiedźmin rzucił szybkie spojrzenie na Myszowora, napotkał jego przenikliwy, wyraźnie zaniepokojony wzrok. Pokręcił lekko głową, uniósł pytająco brwi. Druid zaprzeczył również, ledwie dostrzegalnym ruchem kędzierzawej brody wskazał na Jeża. Geralt nie był pewien.

— Twoje słowa, królowo — zawołał Jeż — obliczone są na to, by mnie zstraszyć. I na to, by wzbudzić gniew zebranych tutaj szlachetnych panów. Pogardę twej urodzivej córki Pavetty. A nade wszystko, twoje słowa nie są prawdziwe. I dobrze o tym wiesz!

— Innymi słowy, kłamie jak pies. — Na ustach Calanthe wypełził bardzo nieładny grymas.

— Dobrze wiesz, królowo — ciągnął niewzruszenie przybysz — co wydarzyło się wówczas w Erlenwaldzie. Wiesz, że uratowany Roegner sam, z własnej woli, zaprzysiągł dać mi to, czego tylko zażądam. Wzywam wszystkich na świadków tego, co teraz powiem! Kiedy król, wyratowany ze złej przygody, odprowadzony w pobliże swego orszaku, po raz wtóry spytał, czego żądam, odpowiedziałem mu. Poprosiłem, by obiecał oddać mi to, co w domu zostawił, o czym nie wie i czego się nie spodziewa. I król zaprzysiągł, że tak się stanie. A po powrocie do zamku zastał ciebie, Calanthe, w połogu. Tak, królowo, czekałem te piętnaście lat, a odsetki od mojej nagrody rosły. Dziś, gdy patrzę na piękną Pavettę, widzę, że czekanie się opłaciło! Panowie i rycerze! Część z was przybyła do Cintry, by pretendować do ręki królowej. Oświadczam, żeście przybyli nadaremnie. Od dnia swoich narodzin, mocą królewskiej przysięgi, piękna Pavetta należy do mnie!

Wśród biesiadników wybuchła wrzawa. Ktoś krzyczał, ktoś kłął, ktoś inny łupiał pięścią o stół, przewracając naczynia. Dzirżygórka ze Streptu wyrwał nóż z baraniej pieczeni i wymachiwał nim. Crach an Craite, pochylony, najwyraźniej próbował, czy nie uda się wyłamać deski z krzyżaka stołu.

— To niesłychane! — wrzeszczał Vissegerd. — Jakie masz dowody? Dowody?

— Twarz królowej — zawołał Jeż, wyciągając dłoń w żelaznej rękawicy — jest najlepszym dowodem!

Pavetta siedziała nieruchomo, nie unosząc głowy. W powietrzu gęstniało coś bardzo dziwnego. Medalion wiedźmina szarpał się na łańcuszku pod wamsem. Zobaczył, jak królowa gestem przyzwała stojącego za tronem pazia i szeptem wydała mu krótki rozkaz. Geralt nie dosłyszał jaki. Zastanowiło go jednak zdziwienie malujące się na twarzy chłopca i fakt, że rozkaz musiał zostać powtórzony. Paż pobiegł ku wyjściu.

Wrzawa przy stole nie cichła. Eist Tuirseach zwrócił się do królowej.

— Calanthe — rzekł spokojnie. — Czy on mówi prawdę?

— A nawet jeżeli — wycedziła królowa, przygryzając wargi i skubiąc zieloną szarfę na ramieniu — to co?

— Jeśli mówi prawdę — zmarszczył się Eist — obietnicy trzeba będzie dotrzymać.

— Doprawdy?

— Czy mam rozumieć — spytał ponuro wyspiarz — że równie beztrasko traktujesz wszystkie obietnice? W tej liczbie i te, które tak dobrze wryły mi się w pamięć?

Geralt, który nigdy nie spodziewał się ujrzeć u Calanthe głębokiego rumieńca, wilgotnych oczu i drżących warg, został zaskoczony.

— Eist — szepnęła królowa. — To co innego...

— Doprawdy?

— Ach, ty psi synu! — rozdarł się niespodziewanie Crach an Craite, zrywając się z miejsca. — Ostatni głupek, który twierdził, że coś zrobiłem nadaremnie, został oszczypany przez kraby na dnie zatoki Allenker! Nie po to przypląnąłem tu ze Skellige, żeby wracać z niczym! Znalazł się konkurent, mać jego gamratka! Hola, niech ktoś przyniesie mój miecz, i dajcie zaraz tu żelazo temu durniowi! Wnet obaczymy, kto...

— Może byś się tak zamknął, Crach? — rzekł zjadliwie Eist, opierając obie pięści o stół. — Draigu Bon-Dhu! Czynię cię odpowiedzialnym za dalsze zachowanie królewskiego siostrzeńca!

— Czy i mnie uciszysz, Tuirseach? — krzyknął Rainfarn z Attre wstając. — Kto ośmieli się powstrzymać mnie, przed zmyciem krwią zniewagi, jaką wyrządzono tu mojemu księciu? I jego synowi Windhalmowi, jedynemu, który godny jest ręki i łożnicy Pavetty! Przynieście miecze! Zaraz, tu na miejscu, udowodnię temu Jeżowi, czy jak go tam zwa, jak w Attre mścimy takie obelgi! Ciekawe, czy znajdzie się ktoś lub coś, zdolne mnie przed tym powstrzymać?

— Owszem. Wzgląd na dobre obyczaje — powiedział spokojnie Eist Tuirseach. — Nie godzi się wszczynać tu bitki ani wyzwąć nikogo, nie uzyskawszy wpiery zgody pani tego domu. Cóż to, czy halla tronowa Cintry to karczma, gdzie można prać się po pyskach i dźgać nożami gdy tylko przyjdzie ochota?

Wszyscy znowu zaczęli krzyczyć jeden przez drugiego, pomstować i wymachiwać rękami. Rozgardiasz ucichł jak ucięty nożem, gdy w sali rozległ się nagle krótki, wściekły ryk rozjuszonego żubra.

— Tak — powiedział Kudkudak, odchrząkując i unosząc się z krzesła — Eist się pomylił. To już nie wygląda nawet na karczmę. To coś na kształt zwierzyńca, dlatego i żubr był na miejscu. Dostojna Calanthe, zezwól, bym wypowiedział swój pogląd na problem, jaki tu mamy.

— Mnóstwo osób, jak widzę — powiedziała przeciągle Calanthe — ma na ten problem swoje poglądy i wypowiada je, nawet bez mego zezwolenia. Dziwne, dlaczego nie ciekawi was mój własny? A wedle mojego własnego poglądu, prędzej ten cholerny zamek zawali mi się na głowę, niż oddam Pavettę temu cudakowi. Nie mam najmniejszego zamiaru. . .

— Przysięga Roegniera. . . — zaczął Jeż, ale królowa przerwała mu natychmiast, grzotnąwszy o stół złotym pucharem.

— Przysięga Roegniera obchodzi mnie tyle co zeszłoroczny śnieg! A co do ciebie, Jeżu, to jeszcze nie zdecydowałam, czy zezwolę Crachowi lub Rainfarnowi na spotkanie z tobą na ubitej ziemi, czy po prostu rozkażę cię powiesić. Przerwywając mi, gdy mówię, w znaczący sposób wpływasz na moją decyzję!

Geralt, wciąż niepokojony drganiem medalionu, rozglądając się po sali, napotkał nagle oczy Pavetty, szmaragdowozielone jak oczy matki. Królowa nie kryła ich już pod długimi rzęsami — wodziła nimi od Myszowora do wiedźmina, nie zwracając uwagi na innych. Myszowór wiercił się, schylony, coś mamrotał.

Kudkudak, wciąż stojąc, chrząknął znacząco.

— Mów — skinęła królowa. — Aby do rzeczy i w miarę krótko.

— Na rozkaz, królowo. Dostojna Calanthe i wy, rycerze! Zaiste, dziwne żądanie postawił Jeż z Erlenwaldu królowi Roegnerowi, dziwnej nagrody zażądał, gdy król zadeklarował mu spełnienie każdego życzenia. Ale nie udawajmy, że nie słyszeliśmy już o takich żądaniach, o starym jak ludzkość Prawie Niespodzianki. O cenie, której może żądać ten, kto ratuje czyjeś życie w beznadziejnej, zdawałoby się, sytuacji, kto spełnia niemożliwe, zdawałoby się, życzenie. „Oddasz mi to, co pierwsze wyjdzie, aby cię powitać”. Powiecie, to może być pies, halabardnik przy bramie, nawet teściowa, niecierpliwiąca się, by napyskować wracającemu do domu zięciowi. Albo: „Oddasz mi to, co w domu zastaniesz, a czego się nie spodziewasz”. Po długiej podróży, mości panowie, i niespodziewanym powrocie będzie to zazwyczaj gach w łóżku żony. Ale bywa, że będzie to dziecko. Dziecko wskazane przez przeznaczenie.

— Streszczaj się, Kudkudak — zmarszczyła brwi Calanthe.

— Na rozkaz. Panowie! Czy nie słyszeliście o dzieciach wskazywanych przez przeznaczenie? Czy legendarny bohater Zatret Voruta nie został jako dziecko oddany krasnoludom, bo był tym, kogo ojciec spotkał jako pierwszego, wracając do warowni? A Szalony Dei, który wymógł na podróżnym oddanie tego, co w domu

zostawił, a o czym nie wie? Tą niespodzianką był sławny Supree, który później wyzwolił Szalonego Deï od ciężącej na nim klątwy. Przypomnijcie sobie także Zivelenę, która została królową Metinny za sprawą gнома Rumplestelta, a w zamian obiecała swoje pierwsze dziecko. Zivelena nie dotrzymała obietnicy, gdy Rumplestelt przybył po nagrodę, czarami zmusiła go do ucieczki. W niedługi czas potem ona i dziecko zmarli na zarazę. Nie igra się bezkarnie z przeznaczeniem!

— Nie strasz mnie, Kudkudaku — wykrzywiła się Calanthe. — Zbliża się północ, pora strachów. Czy pamiętasz jeszcze jakieś legendy z twojego niewątpliwie trudnego dzieciństwa? Jeśli nie, to siadaj.

— Dopraszam się łaski — baron podkreślił długi wąs — by jeszcze móc powstać. Chciałbym przypomnieć wszystkim jeszcze jedną legendę. To stara, zapomniana legenda, wszyscyśmy ją chyba słyszeli w naszym trudnym dzieciństwie. W tej legendzie królowie dotrzymywali danych obietnic. A nas, biednych wasali, z królami łączy jedynie królewskie słowo: na nim oparte są traktaty, przymierza, nasze przywileje, nasze lenna. I co? Mamy w to wszystko zwątpić? Zwątpić w nie naruszalność królewskiego słowa? Doczekać się, że będzie ono znaczyło tyle co zeszłoroczny śnieg? Zaiste, jeżeli tak ma być, to po trudnym dzieciństwie czeka nas trudna starość!

— Po czyjej ty stronie stoisz, Kudkudak? — wrzasnął Rainfarn z Attre.

— Cicho! Niech mówi!

— Ten zapowietrzony gdakacz obraża majestat!

— Baron z Tigg ma rację!

— Cisza — powiedziała nagle Calanthe wstając. — Pozwólcie mu skończyć.

— Pięknie dziękuję — skłonił się Kudkudak. — Alem właśnie skończył.

Zapadła cisza, dziwna po wrzawie, jaką dopiero co wywołały słowa barona. Calanthe stała nadal. Geralt nie sądził, żeby ktokolwiek oprócz niego dostrzegł drżenie dłoni, którą potarła czoło.

— Moi panowie — powiedziała wreszcie — należy się wam wyjaśnienie. Tak, ten... Jeż... mówi prawdę. Roegner rzeczywiście zaprzysiągł mu to, czego się nie spodziewał. Wygląda, że nasz nieodżałowany król był cymbałem w sprawach niewieścich i nie umiał liczyć do dziewięciu. A mnie wyznał prawdę dopiero na łożu śmierci. Bo wiedział, co bym mu zrobiła, gdyby wcześniej przyznał się do tej przysięgi. Wiedział, do czego zdolna jest matka, której dzieckiem rozporządza się tak lekkomyślnie.

Rycerze i wielmoże milczeli. Jeż stał nieruchomo jak żelazny, kolczasty posąg.

— A Kudkudak — podjęła Calanthe — cóż, Kudkudak przypomniał mi, że nie jestem matką, ale królową. Dobrze więc. Jako królowa, jutro zwołam radę. Cintra nie jest tyranią. Rada zadecyduje, czy przysięga nieżyjącego już króla ma przesądzić los następczyni tronu. Orzeknie czy należy ją i tron Cintry oddać przybłędzie, czy też postąpić zgodnie z interesem królestwa.

Calanthe zamilkła na chwilę, spojrzała koso na Geralta.

— A co się tyczy szlachetnych rycerzy, którzy przybyli do Cintry z nadzieją na rękę królowy... Pozostaje mi tylko wyrazić ubolewanie z powodu srogiego despektu i ujmę na honorze, jakich tu doznali. Śmieszności, jaką się okryli. Nie ja jestem temu winna.

Wśród szmeru głosów, jaki przetoczył się pomiędzy gośćmi, wiedźmin ułowił szept Eista Tuirseach.

— Na wszystkich bogów morza — dyszał wyspiarz. — To się nie godzi. To jawne podżeganie do rozlewu krwi. Calanthe, ty ich po prostu szczujesz...

— Zamilcz, Eist — syknęła wściekle królowa. — Bo się rozgniewam.

Czarne oczy Myszowora błysnęły, gdy druid wskazał nimi Rainfarna z Atre, który sposobił się, by wstać, z ponurą, skrzywioną twarzą. Geralt zareagował natychmiast, wyprzedził go, wstał pierwszy, hałaśliwie trzasnąwszy krzesłem.

— Może niepotrzebne okaże się zwoływanie rady — powiedział głośno i dźwięcznie.

Wszyscy zamilkli, patrząc na niego zdziwieni. Geralt czuł na sobie szmaragdowe spojrzenie Pavetty, wzrok Jeża zza krat czarnej przyłbicy, czuł też wzbierającą jak fala powodzi Moc, tężejącą w powietrzu. Widział, jak pod wpływem tej Mocy dym z pochodni i kaganków zaczyna przybierać fantastyczne kształty. Wiedział, że Myszowór też to widzi. Wiedział też, że nie widzi tego nikt inny.

— Powiedziałem — powtórzył spokojnie — że zwoływanie rady może okazać się niepotrzebne. Rozumiesz, co mam na myśli, Jeżu z Erlenwaldu?

Kolczasty rycerz postąpił dwa chrześzczące kroki do przodu.

— Rozumiem — powiedział głucho zza zasłony hełmu. — Głupi by nie zrozumiał. Słyszałem, co przed chwilą powiedziała miłościwa i szlachetna pani Calanthe. Znalazła świetny sposób na pozbycie się mnie. Przyjmuję twoje wyzwanie, nie znany mi rycerzu!

— Nie przypominam sobie — rzekł Geralt — abym cię wyzywał. Nie zamierzam pojedynkować się z tobą, Jeżu z Erlenwaldu.

— Geralt! — zawołała Calanthe, krzywiąc usta i zapominając o tytułowaniu wiedźmina „szlachetnym Ravixem”. — Nie przeciągaj struny! Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości!

— Ani mojej — dodał złowrogo Rainfarn. Zaś Crach an Craite tylko zawarczał. Eist Tuirseach pokazał mu zaciśniętą pięść wymownym gestem. Crach zawarczał jeszcze głośniej.

— Wszyscy słyszeli — przemówił Geralt — jak baron z Tigg opowiadał o sławnych bohaterach odebranych rodzicom na mocy takich samych przysięg, jaką wymógł Jeż na królu Roegnerze. Dlaczego jednak, w jakim celu, ktoś żąda takich przysięg? Znasz odpowiedź, Jeżu z Erlenwaldu. Taka przysięga zdolna jest stworzyć potężną, nierozzerwalną więź przeznaczenia pomiędzy żądającym przysięgi a obiektem tejże, dzieckiem — niespodzianką. Dziecko takie, wskazane

przez ślepy los, przeznaczone może być do rzeczy niezwykłych. Zdolne może być do odegrania niesłychanie ważnej roli w życiu tego, z kim wiąże je los. Właśnie dlatego, Jeżu, zażądałeś od Roegnera ceny, której się dzisiaj domagasz. Ty nie chcesz tronu Cintry. Chcesz zabrać królową.

— Jest dokładnie tak, jak mówisz, nie znany mi rycerzu — roześmiał się gromko Jeż. — Tego właśnie się domagam! Oddajcie mi tę, która jest moim przeznaczeniem!

— Tego — powiedział Geralt — trzeba będzie dowieść.

— Śmiesz w to wątpić? Po potwierdzeniu przez królową prawdziwości moich słów? Po tym, co sam przed chwilą powiedziałeś?

— Tak. Bo nie powiedziałeś nam wszystkiego. Roegner, Jeżu, znał moc Prawa Niespodzianki i wagę przysięgi, jaką złożył. A złożył ją, bo wiedział, że prawo i zwyczaj ma moc chroniącą takie przysięgi. Strzegącą, by spełniały się tylko wtedy, gdy potwierdzi je siła przeznaczenia. Twierdzę, Jeżu, że na razie nie masz do królowy żadnych praw. Zdobędziesz je dopiero wówczas, gdy...

— Gdy co?

— Gdy królowa sama zgodzi się odejść z tobą. Tak stanowi Prawo Niespodzianki. To zgoda dziecka, nie rodziców, potwierdza przysięgę, dowodzi, że dziecko rzeczywiście urodziło się w cieniu przeznaczenia. To dlatego wróciłeś po piętnastu latach, Jeżu. Taki bowiem warunek wprowadził do przysięgi król Roegner.

— Kim jesteś?

— Jestem Geralt z Rivii.

— Kim jesteś, GERALCIE z Rivii, że chcesz uchodzić za wyrocznie w kwestii zwyczajów i praw?

— On zna to prawo lepiej niż ktokolwiek inny — powiedział chrapliwie Myszwów — bo do niego je kiedyś zastosowano. Jego kiedyś zabrano z domu rodziców, bo był tym, kogo jego ojciec nie spodziewał się zastać w domu po powrocie. Bo był przeznaczony do czegoś innego. I mocą przeznaczenia został tym, kim jest.

— A kim on jest?

— Wiedźminem.

W ciszy, jaka zapanowała, uderzył dzwon z kordegardy, ponurym akcentem ogłaszając północ. Wszyscy wzdrgnęli się i poderwali głowy Myszwów, patrząc na Geralt'a zrobił dziwną, zaskoczoną minę. Ale najbardziej zauważalnie wzdrgnął się i niespokojnie poruszył Jeż. Ręce w pancernych rękawicach opadły mu bezwładnie wzdłuż boków, kolczasty hełm zakotłosał się niepewnie.

Dziwna, niewiadoma Moc, wypełniająca hallę jak siwa mgła, zgęstniała raptownie.

— To prawda — powiedziała Calanthe. — Obecny tu Geralt z Rivii jest wiedźminem. Jego zawód godzien jest szacunku i poważania. Poświęcił się, aby strzec

nas od potworności i koszmarów, jakie płodzi noc, jakie zsyłają złowrogie, szkodzące ludziom siły. On zabija wszelkie straszdyła i monstra, jakie czają się na nas po lasach i jarach. Również i te, które mają czelność zachodzić do naszych siedzib.

Jeż milczał.

— A zatem — ciągnęła królowa, unosząc upierścienioną dłoń — niechże dokona się prawo, niech spełni się przysięga, której spełnienia domagasz się, Jeżu z Erlenwaldu. Wybiła północ. Twój ślub już nie obowiązuje. Zdejm przyłbicę. Zanim moja córka wypowie swoją wolę, zanim zdecyduje o swoim przeznaczeniu, niech ujrzy twoją twarz. Wszyscy pragniemy ujrzeć twoją twarz.

Jeż z Erlenwaldu wolno podniósł opancerzoną dłoń, szarpnął wiązania hełmu, zdjął go, chwytając za żelazny róg i cisnął z brzękiem na posadzkę. Ktoś krzyknął, ktoś zaklął, ktoś ze świstem wciągnął powietrze. Na twarzy królowej pojawił się zły, bardzo zły uśmiech. Uśmiech okrutnego tryumfu.

Znad szerokiej, półokrągłej blachy napierśnika spoglądały na nich dwa wypukłe, czarne guzki ślepi, umiejscowione po obu stronach pokrytego rudawą szczecina wydłużonego, tępego ryjka, uzbrojonego drgającymi wibrysami, pełnego ostrych, białych kielków. Głowa i kark stojącej pośrodku halli postaci jeżyły się grzebieniem krótkich, szarych, ruchliwych kolców.

— Tak właśnie wyglądam — przemówił stwór — o czym dobrze wiedziałaś, Calanthe. Roegner, opowiadając o przygodzie, jaka przydarzyła mu się w Erlenwaldzie, nie mógł pominąć opisu tego, komu zawdzięczał życie. Komu, pomimo jego wyglądu, zaprzysiął, co zaprzysiął. Dobrze przygotowałaś się na moje przybycie, królowo. Twoją wyniosłą i pogardliwą odmowę dotrzymania słowa wytknęli ci własni wasale. Gdy nie powiodła się próba poszczucia na mnie innych zalotników, miałaś jeszcze w odwodzie wiedźmina mordercę, zasiadającego po prawicy, na podporządku. A na koniec pospolite, niskie oszustwo. Chciałaś mnie upokorzyć, Calanthe. Wiedz, że upokorzyłaś siebie.

— Dosyć — Calanthe wstała, oparła zaciśniętą pięść o biodro. — Skończmy z tym. Pavetto! Widzisz, kto, a raczej co, stoi przed tobą i rości sobie do ciebie pretensje. W myśl Prawa Niespodzianki i odwiecznego zwyczaju decyzja należy do ciebie. Odpowiedz. Wystarczy jednego twojego słowa. Powiesz: „Tak”, a staniesz się własności zdobyczą tego potwora. Powiesz: „Nie”, a nigdy go już nie ujrzysz.

Tętniąca w sali Moc ścisnęła skronie Geralta żelazną obręczą, szumiała w uszach, jeżyła włosy na karku. Wiedźmin patrzył na bielejące knykcie palców Myszowora, zaciśnięte na brzegu stołu. Na cienką strużkę potu biegnącą w dół po policzku królowej. Na okruszki chleba na stole, ruszające się jak robaczki, formujące runy, rozłazące się i znowu grupujące w wyraźny napis: UWAŻAJ!

— Pavetto! — powtórzyła Calanthe. — Odpowiedz. Czy chcesz odejść z tym stworzeniem?

Pavetta uniosła głowę.

— Tak.

Moc przepelniająca salę zawtórowała, dudniąc głucho w łukach sklepienia. Nikt, absolutnie nikt nie wydał najmniejszego dźwięku.

Calanthe wolno, bardzo wolno opadła na tron. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

— Wszyscy słyszeli — w ciszy rozległ się spokojny głos Jeża. — Ty także, Calanthe. I ty, wiedźminie, chytry, płatny zbóju. Moje prawa zostały dowiedzione. Prawda i przeznaczenie wzięły górę nad kłamstwem i kręctwem. Cóż wam pozostaje, szlachetna królowo, przebrany wiedźminie? Zimna stal?

Nikt się nie odezwał.

— Najchętniej — ciągnął Jeż, poruszając wibrysami i kłapiąc ryjkiem — natychmiast opuściłbym to miejsce wraz z Pavettą, ale nie odmówię sobie pewnej przyjemności. To ty, Calanthe, przyprowadzisz twoją córkę tutaj, gdzie stoję, i włożysz jej białą dłoń do mojej dłoni.

Calanthe powoli odwróciła głowę w stronę wiedźmina. W jej oczach był rozkaz. Geralt nie poruszył się, czując i widząc, jak skraplająca się w powietrzu Moc koncentruje się na nim. Tylko na nim. Już wiedział. Oczy królowej zwięziły się, usta drgnęły. . .

— Co?! Co takiego? — zaryczał nagle Crach an Craite, zrywając z miejsca. Białą dłoń. Do jego dłoni? Królowna z tym szczeniastym śmierdzielem? Z tym. . . świńskim ryjem?

— A ja chciałem z nim walczyć jak z rycerzem! — zawtórował Rainfarn. — Z tym straszylłem, z tym bydlęciem! Poszczuć go psami! Psami!

— Straż! — wrzasnęła Calanthe.

Potem już poszło szybko. Crach an Craite chwycił nóż ze stołu, z trzaskiem przewrócił krzesło. Posłuszny rozkazowi Eista Draig Bon-Dhu bez namysłu zdzielił go w potylicę szalając od dud, z całej siły. Crach runął na stół pomiędzy jesiotra w szarym sosie a krzywe wręgi żeber, jakie zostały z pieczonego dzika.

Rainfarn skoczył ku Jeżowi, błyskając wydobytym z rękawa sztyletem. Kudkudak, zrywając się, kopnął zydel wprost pod jego nogi. Rainfarn zwinnie przeskoczył przeszkodę, ale chwila zwłoki wystarczyła — Jeż zmylił go krótkim zwodem i posłał na kolana potężnym uderzeniem opancerzonej pięści. Kudkudak przypadł, by wyrwać Rainfarnowi sztylet, ale powstrzymał go książę Windhalm, czepiając się jego uda niczym pies posokowiec.

Od wejścia biegli strażnicy uzbrojeni w gizarmy i giewie. Calanthe, wyprostowana i groźna, wskazała im Jeża władczy, gwałtownym gestem. Pavetta zaczęła krzyczeć, Eist Tuirseach kłąć. Wszyscy pozrywali się z miejsc, nie bardzo wiedząc, co robić.

— Zabijcie go! — krzyknęła królowa.

Jeż, fukając gniewnie i szczerząc kły, obrócił się ku atakującym strażnikom. Był bezbronny, ale zakuty w kolczastą stal, od której ze szczękiem odbiły się szpi- kulce gizarm. Uderzenie rzuciło go jednak w tył, wprost na wstającego Rainfar- na, który unieruchomił go, chwytając za nogi. Jeż zaryczał, odbijając żelaznymi nałokcicami ciosy brzeszczotów sypiące się na jego głowę. Rainfarn dźgnął go sztyletem, ale ostrze ześlizgnęło się po blachach napierśnika. Strażnicy, krzyżując drzewca, przyparli Jeża do rzeźbionego komina. Rainfarn, uwieszony u jego pasa, odszukał w pancerzu szczelinę i wbił w nią puginał. Jeż zwinął się.

— Dunyyyyyy!!! — wrzasnęła cienko Pavetta, wskakując na krzesło.

Wiedzmin, z mieczem w ręku, pomknął ku walczącym przez stół, roztrzając talerze, półmiski i puchary. Wiedział, że czasu jest niewiele. Pisk Pavetty nabierał coraz bardziej nienaturalnego brzmienia. Rainfarn wznosił sztylet do kolejnego pchnięcia.

Geralt ciął, skacząc ze stołu, przyklękając. Rainfarn zawył, zatoczył się na ścianę. Wiedzmin zawirował, środkiem klingi chlasnął strażnika usiłującego wbić ostry jęzor glewi pomiędzy fartuch a napierśnik Jeża. Strażnik runął na ziemię, gubiąc płaski hełm. Od wejścia biegli następni.

— Nie godzi się! — zaryczał Eist Tuirseach, chwytając za krzesło. Z rozma- chem zdruzgotał nieporęczny mebel o posadzkę, a z tym, co zostało mu w ręku, rzucił się na nadbiegających.

Jeż, zaczepiony dwoma jednocześnie hakami gizarm, zwałił się ze szczękiem, zakrzyczał i zafukał, wleczony po posadzce. Trzeci strażnik przyskoczył, wzniosł glewie do pchnięcia. Geralt ciął go w skroń samym końcem miecza. Włokący Jeża odskoczyli, rzucając gizarmy. Nadbiegający od wejścia cofnęli się przed ułomkiem krzesła świszczącym w ręku Eista niczym czarodziejski miecz Balmur w prawicy legendarnego Zatrete Voruty.

Pisk Pavetty osiągnął szczyt i nagle jakby się załamał. Geralt, czując, co się święci, padł płasko na ziemię, łowiąc okiem zielonkawy błysk. Poczł okropny ból w uszach usłyszał straszliwy huk i przeraźliwy krzyk wrywający się z licz- nych gardzieli. A potem równy, jednostajny, wibrujący krzyk królowny.

Stół, siejąc dookoła zastawą i jadłem, wznosił się wirując, ciężkie krzesła la- tały po halli roztrzaskując się o ściany, łopotwały wzbijając chmury kurzu, gobeliny i arrasy. Od wejścia słyhać było łomot, wrzask i suche trzaski drzewców gizarm pękających jak patyki.

Tron, razem z siedzącą na nim Calanthe, podskoczył i jak strzała pomknął przez salę, z hukiem wyrznął o ścianę i rozleciał się. Królowa osunęła się bez- władna jak szmaciana kukielka. Eist Tuirseach, ledwo utrzymując się na nogach, skoczył ku niej, chwycił w ramiona, własnym ciałem zasłonił przed tłuczącym o ściany i podłogę gradem.

Geralt, ściskając medalion w dłoni, tak szybko, jak tylko mógł, pełził w stronę, gdzie Myszowór, nie wiadomo jakim cudem wciąż na kolanach, a nie na brzuchu,

unosił w górę krótką różdżkę z głogowej gałęzi. Na końcu różdżki zatknięta była szczurza czaszka. Na ścianie za plecami druida gobelin przedstawiający oblężenie i pożar twierdzy Ortagor płonął najprawdziwszym ogniem.

Pavetta wyła. Obracając się, cięła krzykiem jak batem wszystko i wszystkich. Ktokolwiek z leżących na podłodze próbował się unieść, walił się i turlał, lub rozpląszczał na ścianie. Na oczach Geralta wielkie srebrne naczynie do sosu, rzeźbione w kształt wielowiosłowej nawy z zadartym dziobem, świszcząc w powietrzu, zważyło z nóg próbującego umykać wojewodę o trudnym do zapamiętania nazwisku. Z powały cichutko sypał się tynk. Pod powałą krążył stół, rozpląszczony na nim Crach an Craite miotał w dół ohydne przekleństwa.

Geralt doczołgał się do Myszowora, obaj przypadli za górką, którą licząc od dołu, tworzyli Paszkot ze Streptu, beczułka piwa, Drogodar, krzesło i lutnia Drogodara.

— To czysta, pierwotna Moc! — wrzasnął druid, przekrzykując harmider i łomot. — Ona nad tym nie panuje!

— Wiem! — odwrzasnął Geralt. Spadający nie wiadomo skąd pieczony bazant, wciąż z kilkoma pręgowanymi piórami tkwiącymi w kuprze, wyrzwał go w plecy.

— Trzeba ją powstrzymać! Ściany zaczynają się rysować!

— Widzę!

— Gotów?

— Tak!

— Raz! Dwa! Teraz!

Uderzyli ją jednocześnie, Geralt Znakiem Aard, Myszowór straszliwym, trzy-stopniowym zaklęciem, od którego, wydawałoby się, zacznie się topić posadzka. Krzesło, na którym siedziała królowa, rozleciało się w drzazgi. Pavetta jak gdyby tego nie zauważyła — wisiała nadal w powietrzu, wewnątrz przejrzystej zielonej sfery. Nie przestając krzyczeć, obróciła ku nim głowę, a jej drobna twarzyczka skurczyła się nagle w złowróbnym grymasie.

— Na wszystkie demony! — zaryczał Myszowór.

— Uwaga! — krzyknął wiedźmin, kuląc się. — Blokuj ją, Myszowór! Blokuj, bo będzie po nas!

Stół rymnął ciężko o podłogę, druzgocąc pod sobą krzyżak i wszystko, co znalazło się pod spodem. Leżący na stole Crach an Craite podskoczył płasko, na trzy łokcie do góry. Dookoła padał ciężki deszcz talerzy i resztek jadła, eksplodowały w zetknięciu z posadzką kryształowe karafy. Urwany z muru gzyms zahuczał jak grom, wstrząsając posadami zamczyska.

— Zwalnia wszystko! — zakrzyczał Myszowór, celując różdżką w królową. — Zwalnia wszystko! Teraz cała Moc pójdzie na nas!

Geralt uderzeniem miecza odbił lecący prosto na druida wielki dwuzębny widelec.

— Blokuj, Myszowór!

Szmaragdowe oczy posłały w nich dwie zielone błyskawice. Błyskawice skreśliły się w oślepiające, wirujące leje, wiry, z wnętrza których runęła na nich Moc, jak taran rozsadzając czaszki, gasząc oczy, porażając dech. Wraz z Mocą sypnęło się na nich szkło, majolika, półmiski, świeczniki, kości, nadgryzione bochenki chleba, deski, deszczułki i tłące się polana z paleniska. Krzycząc dziko niby wielki głuszcak przeleciał nad ich głowami kasztelan Haxo. Ogromny łeb gotowanego karpia rozbryzwał się na piersi Geralta, na złotym polu, niedźwiedziu i pannie z Czteroroga.

Poprzez trzęsące ścianami halli zakłęcia Myszowora, poprzez własny krzyk i wycie rannych, huk, brzęk i łomot, poprzez wycie Pavetty, wiedźmin usłyszał nagle najstraszliwszy dźwięk, jaki dane mu było kiedykolwiek usłyszeć.

Kudkudak klęcząc dusił rękami i kolanami dudy Draiga Bon-Dhu. Sam zaś, przekrzykując potworne odgłosy wydobywające się z miecha, odrzuciwszy głowę do tyłu, wył i ryczał, kwiczał i skrzeczał, beczał i kwilił w mieszaninie głosów wszystkich znanych, nieznanym, domowych, dzikich i mitycznych zwierząt.

Pavetta zamilkła przerażona, patrząc na barona z szeroko otwartymi ustami. Moc zelżała raptownie.

— Teraz! — ryknął Myszowór, wymachując różdżką. Teraz, wiedźminie!

Uderzyli ją. Zielonkawa sfera otaczająca królową pękła pod uderzeniem jak mydlana bańka, próżnia momentalnie wessała szalejącą po halli Moc. Pavetta klapnęła ciężko na posadzkę i rozpląkała się.

Po chwili ciszy dzwoniącej w uszach po niedawnym pandemonium, poprzez rumowisko i zniszczenie, przez połamane sprzęty i bezwładne ciała, z trudem i mozolem zaczęły przebijać się głosy.

— Cuach op arse, ghou! y badraigh ma! an cuach — powtarzał Crach an Craite, plując krwią płynącą z przygryzionej wargi.

— Opanuj się, Crach — powiedział z wysiłkiem Myszowór, otrzepując przód ubioru z gryczanej kaszy. — Tu są kobiety.

— Calanthe. Umiłowana. Moja. Calanthe! — powtarzał Eist Tuirseach w przerwach pomiędzy pocałunkami. Królowa otworzyła oczy, ale nie próbowała wyzwolić się z jego uścisku.

— Eist. Ludzie patrzą — powiedziała.

— A niech patrzą.

— Czy ktoś zechciałby mi objaśnić, co to było? — spytał marszałek Vissegerd, wyczołgując się spod zerwanego arrasu.

— Nie — powiedział wiedźmin.

— Medyka! — krzyknął cienko Windhalm z Attre, schylony nad Rainfarnem.

— Wody! — wołał jeden z braci ze Streptu, Dzirzygórka, dusząc własnym kaftanem tłący się gobelin. — Wody, prędzej!

— I piwa! — wychrypiał Kudkudak.

Kilku mogących jeszcze ustać na nogach rycerzy próbowało unieść Pavettę, ta jednak odtrąciła ich ręce, wstała sama i chwiejnym krokiem poszła w stronę komina, przy którym siedział oparty plecami o ścianę Jeż, niezręcznie usiłując pozbyć się pomazanych krwią blach pancerza.

— Dzisiejsza młodzież! — parsknął Myszowór, patrząc w ich stronę. — Wcześniej zaczynają! Tylko jedno im w głowie.

— Że co?

— Cóż to, nie wiesz, wiedźminie, że dziewica, znaczy się nie tknięta, nie mogłaby używać Mocy?

— Pal diabli jej dziewictwo — mruknął Geralt. — Skąd u niej w ogóle takie zdolności? Z tego, co wiem, ani Calanthe, ani Roegner...

— Odziedziczyła z przeskokiem, ani chybi — rzekł druid. — Jej babka, Adalia, podnosiła most zwodzony ruchem brwi. Hej, Geralt, popatrz no! Ona wciąż nie ma dość!

Calanthe, ciągle uwieszona na ramieniu Eista Tuirseach, wskazała rannego Jeża strażnikom. Geralt i Myszowór zbliżyli się szybko, ale niepotrzebnie. Strażnicy odskoczyli od półleżącej postaci, cofnęli się szepcząc i mrużąc.

Potworny pysk Jeża rozmazał się, rozmył, zaczął tracić kontury Kolce i szczecina falując zmieniły się w czarne lśniące, kręcone włosy i brodę, okalające bladą, kanciastą męską twarz, ozdobioną wydatnym nosem.

— Co... — zająknął się Eist Tuirseach. — Kto to? Jeż?

— Duny — powiedziała miękko Pavetta. Calanthe, z zaciśniętymi ustami, odwróciła głowę.

— Zakłęty? — zamruczał Eist. — Ale jak...

— Wybiła północ — powiedział wiedźmin. — Właśnie w tej chwili. Dzwon, który słyszeliśmy wcześniej, był nieporozumieniem i pomyłką. Dzwonnika. Prawda, Calanthe?

— Prawda, prawda — stęknął mężczyzna o imieniu Duny, odpowiadając zamiast królowej, która zresztą nie miała zamiaru odpowiadać. — Może jednakowoż zamiast rozprawiać, ktoś pomoże ściągnąć ze mnie te blachy i wezwie medyka. Ten szaleniec Rainfarn dziabnął mnie pod żebro.

— Po co nam medyk? — powiedział Myszowór, wyjmując różdżkę.

— Dostyc — Calanthe wyprostowała się, dumnie unosząc głowę. — Dostyc tego. Jak już będzie po wszystkim, chcę was widzieć w mojej komnacie. Wszystkich, jak tu stoicie. Eist, Pavetta, Myszowór, Geralt i ty... Duny. Myszowór?

— Tak, królowo.

— Czy ta twoja różdżka... Stłukłam sobie kręgosłup. I okolice.

— Na rozkaz, królowo.

* * *

— . . . klątwa — ciągnął Duny, trąc skronie. — Od urodzenia. Nigdy nie dowiedziałem się, jaka była przyczyna, kto mi to zrobił. Od północy do świtu normalny człowiek, od świtu. . . widzieliście co. Akerspaark, mój ojciec, chciał to ukryć. W Maecht ludzie są zabobonni, czary i klątwy w rodzinie królewskiej mogłyby się okazać fatalne dla dynastii. Z dworu zabrał mnie jeden z rycerzy ojca, wychował, we dwójkę włóczyliśmy się po świecie, błędny rycerz z giermkim, potem, gdy on zginął, podróżowałem sam. Już nie pamiętam, od kogo usłyszałem, że od klątwy może mnie wyswobodzić dziecko — niespodzianka. Krótco po tym spotkałem Roegnera. Dalej wiecie.

— Dalej wiemy, względnie domyślamy się — kiwnęła głową Calanthe. — Zwłaszcza tego, że nie czekałeś na uzgodnione z Roegnerem piętnaście lat i wcześniej zawróciłeś głowę mojej córce. Pavetta! Od jak dawna?

Królowna opuściła głowę i uniosła jeden palec.

— No, proszę. Ty mała czarownico. Pod samym moim nosem! Niech no ja się tylko dowiem, kto go wpuszczał nocą do zamku! Niech no dobiore się do dam dworu, z którymi chodziłaś zbierać pierwiosnki. Pierwiosnki, cholera! No i co ja mam z wami teraz zrobić?

— Calanthe. . . — zaczął Eist.

— Pomału, Tuirseach. Jeszcze nie skończyłam. Duny, sprawa mocno się skomplikowała. Jesteś z Pavettą od roku, i co? I nic. To znaczy, że od niewłaściwego ojca wytargowałeś przysięgę. Przeznaczenie zadrwiło z ciebie. Cóż za ironia, jak mawia obecny tu Geralt z Rivii.

— Do licha z przeznaczeniem, przysięgami i ironią — wykrzywił się Duny — Kocham Pavettę i ona mnie kocha, tylko to się liczy. Nie możesz, królowo, stawać na drodze do naszego szczęścia.

— Mogę, Duny, mogę, i to jeszcze jak — uśmiechnęła się Calanthe jednym ze swoich niezawodnych uśmiechów. — Na twoje szczęście, nie chcę. Mam pewien dług wobec ciebie, Duny. Za tamto, wiesz. Byłam zdecydowana. . . Powinam cię prosić o wybaczenie, ale ja tego bardzo nie lubię. A więc daję ci Pavettę i bądźmy kwita. Pavetta? Nie rozmyślałaś się aby?

Królowna zaprzeczyła, z zapalem kręcąc głową.

— Dzięki, pani. Dzięki — uśmiechnął się Duny. — Jesteś mądrą i wielkoduszną królową.

— Pewnie, że tak. I piękną.

— I piękną.

— Możecie oboje zostać w Cintrze, jeśli chcecie. Tutejsi ludzie są mniej zabobonni od mieszkańców Maecht i prędko się przyzwyczajają. Zresztą, nawet jako Jeż byłeś dość sympatyczny. Tyle że na tron nie możesz na razie liczyć. Mam zamiar

jeszcze trochę porządzić u boku nowego króla Cintry. Szlachetny Eist Tuirseach ze Skellige uczynił mi pewną propozycję.

— Calanthe...

— Tak, Eist, zgadzam się. Jeszcze nigdy nie wysłuchałam miłosnego wyznania, leżąc na podłodze wśród szczątków własnego tronu, ale... Jak ty to powie-
działeś, Duny? Tylko to się liczy i niech nikt lepiej nie staje na drodze do mojego
szczęścia, dobrze radzę. A wy, co się tak gapicie? Nie jestem jeszcze taka stara,
jak sądzicie, patrząc na moją prawie zamężną córkę.

— Dzisiejsza młodzież — zamruczał Myszowór. — Niedaleko pada jabłko...

— Co tam mamroczesz, czarowniku?

— Nic, pani.

— To dobrze. Przy okazji, Myszowór, mam dla ciebie propozycję. Pavetta po-
trzebować będzie nauczyciela. Powinna się nauczyć, jak obchodzić się ze swoim
szczególnym darem. Lubię ten zamek, wolałabym, żeby stał, jak stoi. Przy następ-
nym ataku hysterii mojej zdolnej córki może się rozlecieć. Co ty na to, druidzie?

— Zaszczyt to dla mnie.

— Ja myślę — królowa odwróciła głowę w stronę okna. — Świta już. Pora...

Raptownie odkręciła się w stronę, gdzie Pavetta i Duny szeptali do siebie,
trzymając się za ręce i nieledwie stykając się czołami.

— Duny!

— Tak, królowo?

— Słyszysz? Świta! Jest już jasno! A ty...

Geralt spojrział na Myszowora, Myszowór na Geralta i obaj zaczęli się śmiać.

— A wam co tak wesoło, czarownicy? Czy nie widzicie...

— Widzimy, widzimy — zapewnił Geralt.

— Czekaliśmy, aż sama zobaczysz — parsknął Myszowór. — Ciekawiło
mnie, kiedy się połapiesz.

— W czym?

— Zdjęłaś klątwę. Ty ją zdjęłaś — rzekł wiedźmin. — W momencie, gdy
wyrzekłaś: „Daję ci Pavette”, spełniło się przeznaczenie.

— Dokładnie — potwierdził druid.

— Na bogów — rzekł wolno Duny. — Więc nareszcie. Psiakrew, myślałem,
że się będę bardziej cieszył, że zagrają jakieś surmy albo co... Przyzwyczajenie.
Królowo! Dzięki. Pavetta, słyszysz?

— Mhm — powiedziała królowa, nie unosząc powiek.

— Tym samym — westchnęła Calanthe, patrząc na Geralta zmęczonym wzro-
kiem — wszystko dobrze się kończy. Prawda, wiedźminie? Klątwa zdjęta, szykują
się dwa wesela, remont halli tronowej potrwa z miesiąc, czterech zabitych, ran-
nych bez liku, Rainfarn z Attre ledwie dycha. Radujmy się. Czy wiesz, wiedźmi-
nie, że był moment, gdy miałam ochotę kazać cię...

— Wiem.

— Ale teraz muszę oddać ci sprawiedliwość. Żądałam efektu i mam efekt. Cintra sprzymierza się ze Skellige. Moja córka nie najgorzej wychodzi za mąż. Przez chwilę myślałam sobie, to wszystko i tak by się spełniło zgodnie z przeznaczeniem, nawet jeśli nie ściągnęłabym cię na tę ucztę i nie posadziła obok siebie. Ale myliłam się. Przeznaczenie mógł odmienić sztylet Rainfarna. A Rainfarna powstrzymał miecz w ręku wiedźmina. Zapracowałeś uczciwie, Geralt. Teraz kwestia ceny. Mów, czego żądasz.

— Zaraz — powiedział Duny, macając zabandażowany bok. — Kwestia ceny, mówicie. To ja jestem dłużnikiem, do mnie należy. . .

— Nie przerywaj mi, zięciu — zmrużyła oczy Calanthe. — Twoja teściowa nie znosi, gdy się jej przerywa. Zapamiętaj to. I wiedz, że żadnym dłużnikiem nie jesteś. Tak się składa, że byłeś czymś w rodzaju przedmiotu umowy, jaką zawarłam z Geraltem z Rivii. Mówiłam, jesteśmy kwita i nie widzę sensu, żebym musiała cię za to w nieskończoność przeproszać. Ale umowa obowiązuje mnie nadal. No, Geralt. Twoja cena.

— Dobrze — rzekł wiedźmin. — Proszę o twoją zieloną szarfę, Calanthe. Niech zawsze przypomina mi kolor oczu najpiękniejszej ze znanych mi królowych.

Calanthe zaśmiała się, odpięła z szyi naszyjnik ze szmaragdami.

— Ta błyskotka — powiedziała — ma kamienie we właściwszym odcieniu. Zachowaj ją wraz z miłym wspomnieniem.

— Czy mogę coś powiedzieć? — spytał skromnie Duny.

— Ależ tak, zięciu, proszę, proszę.

— Dalej twierdzę, że to ja jestem twoim dłużnikiem wiedźminie. To mojemu życiu zagrażał sztylet Rainfarna. Mnie zatłukliby strażnicy, gdyby nie ty. Jeśli jest mowa o jakiegokolwiek cenie, ja ją powinienem zapłacić. Zaręczam, że mnie na to stać. Czego żądasz, Geralt?

— Duny — powiedział wolno Geralt. — Wiedźmin, któremu stawia się takie pytanie, musi prosić, by je powtórzono.

— Powtarzam więc. Bo, widzisz, jestem twoim dłużnikiem jeszcze z innego powodu. Gdy dowiedziałem się tam w halli, kim jesteś, nienawidziłem cię i myślałem o tobie bardzo źle. Miałem cię za ślepe, żadne krwi narzędzie, za kogoś, kto bezmyślnie i beznamietnie zabija, ociera klingę z krwi i liczy pieniądze. A przekonałem się, że zawód wiedźmina rzeczywiście godzien jest szacunku. Bronisz nas nie tylko przed Złem czającym się w mroku, ale i przed tym, które tkwi w nas samych. Szkoda, że jest was tak mało.

Calanthe uśmiechnęła się. Po raz pierwszy tej nocy Geralt skłonny był uznać, że był to uśmiech naturalny.

— Ładnie powiedział mój zięć. Muszę do tej wypowiedzi dodać dwa słowa. Dokładnie dwa. Wybacz, Geralt.

— A ja — powiedział Duny — powtarzam. Czego żądasz?

— Duny — rzekł poważnie Geralt — Calanthe, Pavetto. I ty, prawy rycerzu Tuirseach, przysły królu Cintry. Aby zostać wiedźminem, trzeba urodzić się w cieniu przeznaczenia, a bardzo niewiele tak się rodzi. Dlatego jest nas tak mało. Starzejemy się, giniemy, a nie mamy komu przekazywać naszej wiedzy, naszych zdolności. Brakuje nam następców. A ten świat pełen jest Zła, które tylko czeka, by nas zabrakło.

— Geralt — szepnęła Calanthe.

— Tak, nie mylisz się, królowo. Duny! Dasz mi to, co już posiadasz, a o czym nie wiesz. Wrócę do Cintry za sześć lat, by sprawdzić, czy przeznaczenie było dla mnie łaskawe.

— Pavetto — Duny szeroko otworzył oczy. — Ty chyba nie...

— Pavetto! — zawołała Calanthe. — Czy ty... Czy ty jesteś...

Królewna spuściła oczy i zaczerwieniła się. A potem odpowiedziała.

Głos rozsądku V

— Geralt! Hej! Jesteś tu?

Uniósł głowę znad pożółkłych szorstkich stron *Historii świata* Rodericka de Novembre, ciekawego, choć nieco kontrowersyjnego dzieła, które studiował od wczoraj.

— Jestem. Co się stało, Nenneke? Potrzebujesz mnie?

— Masz gościa.

— Znowu? Kto tym razem? Diuk Hereward we własnej osobie?

— Nie. Tym razem to Jaskier, twój kumpel, ta powsinoga, ten truteń i nierób, ów kapłan sztuki, świecąca jasno gwiazda ballady i miłosnego wiersza. Jak zwykle opromieniony sławą, nadęty jak świński pęcherz i śmierdzący piwem. Chcesz się z nim widzieć?

— Oczywiście. Przecież to mój przyjaciel.

Nenneke zachnęła się, wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem tej przyjaźni. On jest twoim absolutnym przeciwieństwem.

— Przeciwieństwa przyciągają się.

— Najwyraźniej. O, proszę, nadchodzi — wskazała ruchem głowy. — Twój słynny poeta.

— On naprawdę jest słynnym poetą, Nenneke. Nie będziesz chyba twierdzić, że nie słyszałaś jego ballad.

— Słyszałam — skrzywiła się kapłanka. — A jakże. Cóż, nie znam się na tym, być może umiejętność swobodnego przeskakiwania od wzruszającej liryki do obscenicznego świństwa to właśnie jest talent. Mniejsza z tym. Wybacz, ale nie dotrzymam wam towarzystwa. Nie jestem dziś w nastroju ani do jego poezji, ani do jego wulgarnych żartów.

Z korytarza rozległ się perlisty śmiech, brzęk lutni, na progu biblioteki stanął Jaskier w liliowym kubraczku z koronkowymi mankietami i kapelusiku na bakier. Na widok Nenneke trubadur ukłonił się przesadnie, zamiatając posadzkę przypiętym do kapelusika czaplím piórem.

— Moje głębokie uszanowanie, czcigodna matko — zakwilił kretyńsko. — Chwała Wielkiej Melitele i jej kapłankom, krynicom cnoty i mądrości. . .

— Przystań pieprzyć, Jaskier — parsknęła Nenneke. — I nie tytułuj mnie matką. Wiedz, że na myśl, iż mógłbyś być moim synem, ogarnia mnie zgroza.

Odwróciła się na pięcie i wyszła szeleszcząc powłóczytą szatą. Jaskier robiąc małpie miny sparodiował ukłon.

— Nic się nie zmieniła — rzekł pogodnie. — Nadal kompletnie nie rozumiem się na żartach. Wściekła się na mnie, bo po przyjeździe pogawędziłem chwilę z furtianką, taką milutką blondynką o długich rzesach, z dziewiczą kosą sięgającą zgrabnej dupeczki, której nie uszczypnąć byłoby grzechem. Więc uszczypnąłem, a Nenneke, która właśnie nadeszła. . . A, co tam. Witaj, Geralt.

— Witaj, Jaskier. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Poeta wyprostował się, podciągnął spodnie.

— Byłem w Wyzimie — powiedział. — Usłyszałem o strzydze, dowiedziałem się, że zostałeś ranny. Domyśliłem się, dokąd mogłeś pojechać na rekonwalescencję. Jak widzę, jesteś już zdrów?

— Dobrze widzisz. Ale spróbuj wytłumaczyć to Nenneke. Siadaj, pogawędzimy.

Jaskier usiadł, zajął do księgi leżącej na pulpicie.

— Historia? — uśmiechnął się. — Roderick de Novembre? Czytałem, czytałem. Gdy studiowałem w akademii w Oxenfurcie, historia zajmowała drugie miejsce na liście moich ulubionych przedmiotów.

— Co było na pierwszym miejscu?

— Geografia — rzekł poważnie poeta. — Atlas świata był większy i łatwiej było za nim ukryć gąsiorek wódki.

Geralt zaśmiał się sucho, wstał, wyjął z regału *Arkana magii i alchemii* Luniniego i Tyrssa i wyciągnął na światło dzienne ukryte za opasłym tomiskiem pękate, oplecione słomą naczynie.

— Oho — poweselał wyraźnie bard. — Mądrość i natchnienie, jak widzę, nadal kryją się w księgozbiorach. Oooh! To lubię! Na śliwkach, prawda? Tak, to jest alchemia, co się zowie. Oto kamień filozoficzny, prawdziwie wart studiów. Twoje zdrowie, bracie. Oooh, mocna, jak zaraza!

— Co cię tu sprowadza? — Geralt przejął gąsiorek od poety, łyknął i rozkaszał się, macając zabandażowaną szyję. — Dokąd zmierzasz?

— Donikąd. To znaczy, mógłbym udać się tam, dokąd ty się udajesz. Mógłbym ci potowarzyszyć. Długo myślisz tu zabawić?

— Niedługo. Lokalny diuk dał mi do zrozumienia, że nie jestem mile widziany w jego włościach.

— Hereward? — Jaskier znał wszystkich królów, książąt, władcyków i seniorów od Jarugi po Góry Smocze. — Gwiżdż na niego. Nie odważy się zdrzeć z Nenneke, z boginią Melitele. Lud puściłby mu kasztel z dymem.

— Nie chcę kłopotów. A siedzę tu już i tak za długo. Jadę na południe, Jaskier. Daleko na południe. Tutaj nie znajdę roboty. Cywilizacja. Na cholere tu komuś wiedzmin? Gdy pytam o jakieś zajęcie, patrzą na mnie jak na dziwoląga.

— Co też ty wygadujesz. Jaka tam cywilizacja. Przeprowadziłem się przez Buinę tydzień temu, a jadąc przez kraj, nasłuchiwałem się przeróżnych opowieści. Podobno są tu wodniki, wijuny, przerazy, latawce, wszelkie możliwe świństwo. Powinieneś mieć roboty po uszy.

— Opowieści to i ja słyszałem. Połowa jest albo zmyślona, albo przesadzona. Nie, Jaskier. Świat się zmienia. Coś się kończy.

Poeta pociągnął z gąsiorka, zmrużył oczy, westchnął ciężko.

— Znowu zaczynasz płakać nad twym smutnym, wiedzmińskim losem? I filozofować przy tym? Dostrzegam zgubne skutki niewłaściwych lektur. Bo na to, że świat się zmienia, wpadł nawet ten stary pierdziel Roderick de Novembre. Owa zmienność świata to, nawiasem mówiąc, jedyna teza z jego traktatu, z którą można zgodzić się bez zastrzeżeń. Ale nie jest to teza na tyle odkrywczą, byś mnie tu nią musiał raczyć, przybierając przy tym minę myśliciela, z którą ci absolutnie nie do twarzy.

Geralt, zamiast odpowiedzieć, łyknął z gąsiorka.

— Tak, tak — westchnął ponownie Jaskier. — Świat się zmienia, słońce zachodzi, a wódka się kończy. Co się jeszcze, twoim zdaniem, kończy? Wspominałeś coś o kończeniu, filozofie.

— Dam ci parę przykładów — rzekł Geralt po chwili milczenia. — Z ostatnich dwóch miesięcy spędzonych na tym brzegu Buiny. Któregoś dnia podjeżdżam, patrzę, most. Pod mostem siedzi troll, od każdego przechodzącego żąda opłaty. Tym, którzy odmawiają, przetrąca nogę, a czasem i obie. Idę więc do wójta, ile mi dacie, pytam, za tego trolla. Wójt otwiera gębę ze zdumienia. Jak to, pyta, a kto będzie most naprawiał, jak trolla nie stanie? Troll dba o most, naprawia go regularnie w pocie czoła, solidnie, jak się patrzy. Taniej wypada więc płacić mu myto. Jadę więc dalej, patrzę, widłogon. Nieduży, będzie z pięć arszynów od czubka nosa do końca ogona. Leci, niesie w szponach owcę. Jadę do wsi, ile, pytam, zapłacicie za gada. Chłopi na kolana, nie, wołają, to ulubiony smok najmłodszej córki naszego barona, jak mu łuska z grzbietu spadnie, to baron sioło spali, a nas ze skóry obedrze. Jadę dalej, a robi mi się coraz głodniej. Rozpytuje o pracę, owszem, jest, ale jaka? Temu złap rusałkę, temu nimfę, owemu dziwożonę... Pogłupieli doszczętnie, po wsiach pełno dziewczek jak rzepy, a im się chce nieludek. Inny prosi, bym zabił wojsiłka i dostarczył mu kostkę z jego dłoni, bo zmielona i wysypana do polewki podobno wzmacnia potencję...

— To akurat bujda — wtrącił Jaskier. — Próbowałem. Nie wzmacnia nic a nic, a polewce nadaje smak wywaru z onuc. No, ale jeśli ludzie w to wierzą i są skłonni płacić...

— Nie będę zabijał wojsiłków. Ani innych nieszkodliwych stworzeń.

— To będziesz chodził głodny. Chyba, że zmienisz pracę.

— Na jaką?

— Na byle jaką. Zostań kapłanem. Byłbyś niezły z twoimi skrupułami, z twoją moralnością, z twoją wiedzą o naturze ludzi i wszelkiej rzeczy. To, że nie wierzysz w żadnych bogów, problemu stanowić nie powinno. Mało znam kapłanów, którzy wierzą. Zostań kapłanem i przestań się użalać nad sobą.

— Nie użalam się. Stwierdzam fakty.

Jaskier założył nogę na nogę i z zainteresowaniem przyjrzał się startej zelówce.

— Przypominasz mi, Geralt, sędziwego rybaka, który pod koniec życia odkrył, że ryby śmierdzą, a od wody ciągnie i łamie w kościach. Bądź konsekwentny. Gadanie i żale niczego nie poprawią. Ja, gdybym stwierdził, że skończył się popyt na poezję, zawiesiłbym lutnię na kołku i został ogrodnikiem. Hodowałbym róże.

— Pieprzysz. Do takiego wyrzeczenia nie byłbyś zdolny.

— Cóż — zgodził się poeta, nadal wpatrzony w zelówkę — może i nie byłbym. Ale nasze profesje różnią się nieco. Popyt na poezję i dźwięk strun lutni nie spadnie nigdy. Z twoim zawodem jest gorzej. Wy, wiedźmini, sami przecież pozbawiacie się pracy, stopniowo, ale stale. Im lepiej i sumienniej pracujecie, tym mniej macie do roboty. Przecież waszym celem, racją waszego istnienia jest świat bez potworów, świat spokojny i bezpieczny. Czyli świat, w którym wiedźmini są zbędni. Paradoks, prawda?

— Prawda.

— Dawniej, gdy były jeszcze jednorożce, istniała całkiem liczna grupa dziewczyn, które pielęgnowały cnotę, by móc je łowić. Pamiętasz? A szczurołapowie z fujarkami? Wszyscy bili się wręcz o ich usługi. A wykończyli ich alchemicy, wynajdując skuteczne trucie, na to nałożyło się powszechne udomowienie kotów, fretek i łasic. Zwierzaczki były tańsze, miłsze i nie chlały tyle piwa. Dostrzegasz analogie?

— Dostrzegam.

— Korzystaj więc z cudzych doświadczeń. Prawiczki od jednorożców, gdy straciły pracę, natychmiast się rozprawczyły. Niektóre, pragnąc odbić sobie lata wyrzeczeń, szeroko zaślęły potem z techniki i zapału. Szczurołapowie... No, tych raczej nie naśluduj, bo jak jeden mąż rozpili się i zeszli na dziadów. Cóż, wygląda, że teraz przyszedł kolej na wiedźminów. Czytasz Rodericka de Novembre? Są tam, o ile pamiętam, wzmianki o wiedźminach, o tych pierwszych, którzy zaczęli jeździć po kraju jakieś trzysta lat temu. W czasach, kiedy chłopci wychodzili żać zbrojnymi kupami, wsie otaczano potrójnym ostrokołem, karawany kupieckie przypominały przemarsze wojsk zaciężnych, a na wałach nielicznych grodów dzień i noc stały gotowe do strzału katapulty. Bo my, ludzie, byliśmy tu intruzami. Tą ziemią władały smoki, mantikory, gryfy i amfisbeny, wampiry, wilkołaki

i strzygi, kikimory, chimery i latawce. I trzeba było im tę ziemię odbierać po kawałku, każdą dolinę, każdą przełęcz, każdy bór i każdą polanę. I udało nam się to nie bez nieocenionej pomocy wiedźminów. Ale te czasy minęły, Geralt, minęły bezpowrotnie. Baron nie pozwala zabić widłogona, bo to pewnie ostatni drakonid w promieniu tysiąca mil i nie budzi już grozy, lecz współczucie i nostalgię za minionym czasem. Troll pod mostem zżył się z ludźmi, to już nie potwór, którym straszy się dzieci, to relikw i lokalna atrakcja, w dodatku pożyteczna. A przerazy, mantikory, amfiisbeny? Siedzą w matecznikach i niedostępnych górach. . .

— Miałem więc rację. Coś się kończy. Czy ci się to podoba, czy nie, coś się kończy.

— Nie podoba mi się to, że prawisz banalne komunały. Nie podoba mi się mina, z jaką to czynisz. Co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię, Geralt. Ech, zaraza, jedźmy co rychlej na to południe, do tych dzikich krajów. Gdy zarąbiesz parę potworów, to zaraz ci minie chandra. A potworów tam podobno nie ma. Powiadają, że jeśli starą babkę zmęczy tam życie, to idzie sama — samiuteńka po chrust do lasu, nie biorąc ze sobą rohatyny. Skutek gwarantowany. Powinieneś osiąść tam na stałe.

— Może powinienem. Ale nie osiądę.

— Dlaczego? Tam wiedźminowi łatwiej zarobić.

— Zarobić łatwiej — Geralt łyknął z gąsiora. — Ale wydać trudniej. Do tego jada się tam pęczak i proso, piwo ma smak szczyn, dziewczyny się nie myją, a komary gryzą.

Jaskier zarechotał donośnie, opierając potylicę o regał, o oprawne w skórę grzbiety książek.

— Proso i komary! To mi przypomina naszą pierwszą wspólną wyprawę na kraniec świata — powiedział. — Pamiętasz? Poznaliśmy się na festynie w Gulecie i namówiłeś mnie. . .

— To ty mnie namówiłeś. Musiałeś przecież wiać z Gulety co koń wyskoczy, bo dziewczę, które wychędożyłeś pod podium dla muzykantów, miało czterech roślących braci. Szukali cię po całym mieście, grożąc, że cię wywałaszą i wytarzają w smole i trocinach. Dlatego się do mnie wtedy przyczepiłeś.

— A ty o mało z portek nie wyskoczyłeś z radości, żeś znalazł kompana. Do tamtych pór mogłeś w drodze pogadać wyłącznie z koniem. Ale niech ci będzie, masz rację, było jak mówisz. Musiałem wtedy faktycznie zniknąć na jakiś czas, a Dolina Kwiatów wydawała mi się w sam raz do tego celu. Miał to być przecież kraniec zamieszkanego świata, forpoczta cywilizacji i Nowego, najdalej wysunięty punkt na granicy dwóch światów. . . Pamiętasz?

— Pamiętam, Jaskier.

Kraniec świata

Jaskier zszedł ostrożnie ze schodków karczmy, niosąc dwie ociekające pianą stągwie. Klnąc pod nosem, przecisnął się przez grupkę tłoczących się wokół ciekawskich dzieciaków. Przeszedł skosem przez podwórze, omijając krowie placki.

Dookoła wystawionego na majdan stołu, przy którym wiedźmin rozmawiał ze starostą, zebrało się już kilkunastu osadników. Poeta postawił kufle, usiadł. Z miejsca zorientował się, że w czasie jego krótkiej nieobecności rozmowa nie posunęła się do przodu nawet o piędź.

— Jestem wiedźminem, panie starosto — powtórzył po raz nie wiadomo który Geralt, ocierając usta z piwnej piany. — Niczym nie handluje. Nie zajmuję się zacięciem do wojska i nie umiem leczyć nosacizny. Jestem wiedźminem.

— Taka profesja — wyjaśnił po raz nie wiadomo który Jaskier. — Wiedźmin, rozumiecie? Strzygi zabija i upiory. Wszelkie plugastwo tępi. Zawodowo, za pieniądze. Pojmujecie, starosto?

— Aha! — czoło starosty zorane głębokimi brzdami ciężkiego myślenia wygładziło się. — Wiedźmin! Trzeba było tak od razu!

— No właśnie — potwierdził Geralt. — Od razu zatem zapytam: znajdzie się tu w okolicy jakaś robota dla mnie?

— Aaaa — starosta znowu zaczął myśleć, w sposób zauważalny. — Robota? Niby te... No... Żywiołaki? Pytacie, są li tu żywiołaki?

Wiedźmin uśmiechnął się i kiwnął głową, trąc knykciem swędzącą od kurzu powiekę.

— Są — doszedł do wniosku starosta po dłuższej chwili. — Spójrzcie tylko tam, widzicie te góry? Tam elfy mieszkają, tam jest ichnie królestwo. Pałace ichnie, powiadam wam, całe są ze szczerego złota. Oho, panie! Elfy, powiadam wam. Zgroza. Kto tam pójdzie, ten już nie wraca.

— Tak sądziłem — rzekł Geralt chłodno. — Właśnie dlatego wcale się tam nie wybieram.

Jaskier zarechotał bezczelnie. Starosta, zgodnie z oczekiwaniami Geralta, myślał długo.

— Aha — rzekł wreszcie. — Ano, tak. Ale są tu i inne żywiołaki. Z elfiej krainy widać leżą do nas. O, panie, jest ich a jest. Zliczyć trudno. A najgorsza to Mora będzie, dobrze mówię, ludkowie?

„Ludkowie” ożywili się, oblegli stół ze wszystkich stron.

— Mora — rzekł jeden. — Tak, tak, prawie starosta gada. Błada dziewczica, onaż po chałupach chodzi o brzasku a dzieciaki od tego mrą.

— I chochliki — dodał drugi, żołdak z miejscowej strażnicy. — Koniom grzywy płaczą po stajniach!

— I nietopyrze! Nietopyrze tu są!

— I wiły! Przez nie człeka krosta obsypuje!

Następne kilka minut upłynęło na intensywnym wyliczaniu potworów naprzykrzających się okolicznym włościanom swymi niecnymi uczynkami lub samą tylko egzystencją. Geralt i Jaskier dowiedzieli się o błędakach i mamunach, przez które uczciwy chłop nie może trafić do domu w pijanym widzie, o latawicy, co lata i krowom mleko spija, o biegającej po lesie głowie na pajęczych nogach, o chobołdach noszących kraśne czapeczki i o groźnym szczupaku, który wyrывa bieliznę z rąk piorących bab, a tylko patrzeć, jak weźmie się za same baby. Nie obyło się jak zwykle bez tego, by nie poinformowano ich, że stara Naradkowa lata nocą na ożogu, a w dzień płody spędza, że młynarz fałszuje mąkę prochem z żółędzi, a niejaki Duda, mówiąc o królewskim włodarzu, nazwał tegoż złodziejem i swołoczą.

Geralt wysłuchał spokojnie, kiwając głową w udanym skupieniu, zadał kilka pytań dotyczących głównie dróg i topografii terenu, po czym wstał i skinął na Jaskra.

— No, to bywajcie, dobrzy ludzie — powiedział. — Rychło wrócę, wtedy zobaczymy, co da się zrobić.

Odjechali w milczeniu wzdłuż chałup i płotów, odprowadzani przez jazgoczące psy i wrzeszczące dzieci.

— Geralt — odezwał się Jaskier, stając w strzemionach i zrywając dorodne jabłko z gałęzi wystającej poza ogrodzenie sadu. — Całą drogę narzekasz, że coraz to trudniej przychodzi ci znaleźć zajęcie. A z tego, co przed chwilą słyszałem, wynika, że będziesz tu pracował do zimy, i to bez wytchnienia. Ty zarobiłbyś trochę grosza, ja miałbym piękne tematy do ballad. Dlaczego więc, wytłumacz mi, jedziemy dalej?

— Nie zarobiłbym tu ani szeląga, Jaskier.

— Dlaczego?

— Dlatego, że w tym, co oni mówili, nie było słowa prawdy.

— Co proszę?

— Żaden ze stworów, o których mówili, nie istnieje.

— Żartujesz chyba! — Jaskier wypluł pestkę i rzucił ogryzkiem w łaciatego kundla, szczególnie zawziętego na pęciny koni. — Nie, to niemożliwe. Przyglądałem się tym ludziom, a ja się na ludziach znam. Oni nie kłamali.

— Nie — zgodził się wiedźmin. — Nie kłamali. Głęboko wierzyli we wszystko. Co nie zmienia faktu.

Poeta milczał czas jakiś.

— Żaden z tych potworów... Żaden? To być nie może. Coś z tego, co wymienił, musi tu być. Chociaż jedno! Przyznaj.

— Przyznaję. Jedno tu jest z pewnością.

— Ha! Co?

— Nietopyrze.

Wyjechali za ostatnie płoty, na gościniec wśród zagonów żółtych od rzepaku i falujących na wietrze łąnów zboża. Droga, w przeciwnym kierunku, ciągnęły wyładowane wozy. Bard przełożył nogę przez łęk siodła, oparł lutnię o kolano i wybrzdękiwał na strunach tęskne melodie, od czasu do czasu machając ręką ku chichoczącym, podkasanyim dziewczynom, wędrującym poboczami z grabiami na krzepkich ramionach.

— Geralt — powiedział nagle. — Przecież potwory są. Może nie jest ich tyle co niegdyś, może nie czają się za każdym drzewem w lesie, ale przecież są. Istnieją. Czemu więc przypisać, że ludzie dodatkowo wymyślają takie które nie istnieją? Mało tego, wierzą w to, co wymyślają? He? Gerałcie z Rivii, słynny wiedźminie? Nie zastanawiałeś się nad przyczyną?

— Zastanawiałem, słynny poeto. I znam tę przyczynę.

— Ciekawym.

— Ludzie — Geralt odwrócił głowę — lubią wymyślać potwory i potworności. Sami sobie wydają się wtedy mniej potworni. Gdy piją na umór, oszukują, kradną, leją żonę lejcami, morzą głodem babkę staruszkę, tłuką siekierą schwytanego w paści lisa lub szpikują strzałami ostatniego pozostałego na świecie jednorozca, lubią myśleć, że jednak potworniejsza od nich jest Mora wchodząca do chat o brzasku. Wtedy jakoś lżej im się robi na sercu. I łatwiej im żyć.

— Zapamiętałem — powiedział Jaskier po chwili milczenia. — Dobiorę rymy i ułożę o tym balladę.

— Ułoż. Ale nie licz na wielki poklask.

Jechali wolno, ale wkrótce stracili z oczu ostatnie chałupy osady. Niebawem pokonali linię zalesionych wzgórz.

— Ha — Jaskier wstrzymał konia, rozejrzał się. — Spójrz, Geralt. Czyż tu nie pięknie? Idylla, niech mnie diabli. Oko się raduje!

Teren za wzgórzami opadał łagodnie w kierunku równych, płaskich pól pociętych mozaiką różnokolorowych upraw. Pośrodku, okrągłe i regularne jak listek koniczyny, szklły się plosa trzech jezior okolonych ciemnymi pasami olchowych

zarośli. Horyzont wytyczała zamglona, sina linia gór wznoszących się nad czarną, bezkształtną połacią boru.

— Jedziemy, Jaskier.

Gościniec wiódł prosto ku jeziorom wzdłuż grobli i ukrytych w olszynach stawów pełnych rozkwakanych kaczek krzyżówek, cyranek, czapli i perkozów. Bogactwo pierzastego zwierza dziwiło przy widocznych wszędzie śladach działalności człowieka — groble były zadbane, obłożone faszyną, przepusty wzmocnione kamieniami i balami. Mnichy przy stawach, wcale nie przegniłe, wesoło ciurkały wodą. W nadjeziornych trzcinach widać było czółna i pomosty, a z plos sterzały drągi zastawionych sieci i więcierzy.

Jaskier obejrzał się nagle.

— Ktoś jedzie za nami — powiedział podniecony. — Na wozie!

— Niesłychane — zadrwił wiedźmin, nie oglądając się. — Na wozie? A ja myślałem, że tutejsi jeżdżą na nietopyrzach.

— Wiesz, co ci powiem? — warknął trubadur. — Im bliżej krańca świata, tym bardziej wyostrza ci się dowcip. Strach pomyśleć, do czego to dojdzie!

Jechali niespiesznie, a że zaprzężony w dwójkę srokatych koni wóz był pusty, dogonił ich więc szybko.

— Ppprrrr! — powożący mężczyzna wstrzymał konie tuż za nimi. Nosił kozuch na gołą skórę i miał włosy aż po brwi. — Bogów chwałę, miłościwi!

— I my — odrzekł Jaskier, biegly w obyczaju — ich chwalimy.

— Jeśli chcemy — mruknął wiedźmin.

— Zwę się Pokrzywka — oznajmił woźnica. — Przyglądałem się wam, jakęście ze starostą z Górnej Posady gadali. Wiem, żeście wiedźmin.

Geralt puścił wodze, pozwolił klaczy poprychać na przydrożne pokrzywy.

— Słyszałem — ciągnął mężczyzna w kozuchu — jak wam starosta bajędy prawili. Miarkowałem waszą minę i nie dziwno mi było. Dawnom takich bredni i łzy nie słychiwał.

Jaskier zaśmiał się. Geralt patrzył na chłopca bacznie, nic nie mówiąc. Chłop, zwany Pokrzywką, chrząknął.

— Nie chcielibyście się nająć do prawdziwej, porządnej roboty, panie wiedźmin? — spytał. — Miałbym coś dla was.

— Cóż takiego?

Pokrzywka nie spuścił oczu.

— O interesach na gościńcu źle się gada. Jedźmy do mnie, do Dolnej Posady. Tam pogadamy. Przecie i tak tamtędy wam droga.

— Skąd ta pewność?

— Stąd, że tu nie masz innej drogi, a wasze konie w tamtę stronę pyskiem, nie chwostem obrócone.

Jaskier zaśmiał się ponownie.

— Co na to powiesz, Geralt?

— Nic — rzekł wiedźmin. — Na gościńcu źle się gada. W drogę tedy, mości Pokrzywka.

— Troczcie konie do drabki i siednijcie na wóz — zaproponował chłop. — Wygodniej będzie. Po co rzyć na kulbace męczyć?

— Święta prawda.

Wdrapali się na wóz. Wiedźmin z rozkoszą wyciągnął się na słomie. Jaskier, bojąc się widać pobrudzić swój elegancki zielony kubrak, usiadł na desce. Pokrzywka cmoknął na konie, wehikuł zaturkotał po umocnionej balami grobli.

Przejechali przez most na zarośniętym grązelami i rzęsą kanale, minęli pas skoszonych łąk. Dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się uprawne pola.

— Wierzyć się nie chce, że to kraniec świata, koniec cywilizacji — powiedział Jaskier. — Rzuć tylko okiem, Geralt. Żyto jak złoto, a w tej kukurydzy schowałby się chłop na koniu. Albo ta rzepa, zobacz, jaka ogromniasta.

— Znasz się na rolnictwie?

— My, poeci, musimy znać się na wszystkim — rzekł wyniośle Jaskier. — W przeciwnym razie kompromitowalibyśmy się, pisząc. Uczyć się trzeba, mój drogi, uczyć. Od rolnictwa zależy los świata, dobrze więc znać się na rolnictwie. Rolnictwo karmi, ubiera, chroni od chłodu, dostarcza rozrywki i wspomaga sztukę.

— Z tą rozrywką i sztuką trochę przesadziłeś.

— A gorzałkę z czego się pędzi?

— Rozumiem.

— Mało rozumiesz. Ucz się. Spójrz, te fioletowe kwiatki. To łubin.

— Po prawdzie, to jest wyka — wtrącił Pokrzywka. — Łubinuście nie widzieli, czy jak? Ale w jednym utrafiłicie, panie. Rodzi się tu wszystko na potęgę i rośnie, aż miło. Dlatego i mówią: Dolina Kwiatów. Dlatego się tu nasi dziadowie posiadlili, elfów stąd wprzód wyżenawszy.

— Dolina Kwiatów, czyli Dol Blathanna — Jaskier trącił łokciem wyciągniętego na słomie wiedźmina. — Uważasz? Elfów wyżenawszy, ale dawnej elfiej nazwy nie uznawszy za konieczne zmieniawszy. Brak fantazji. A jak żyje się tu wam z elfami, gospodarzu? Macie ich przecież w górach za miedzą.

— Nie mieszamy się jedni do drugich. Oni sobie, my sobie.

— Najlepsze wyjście — rzekł poeta. — Prawda, Geralt?

Wiedźmin nie odpowiedział.

* * *

— Dzięki za poczęstunek — Geralt oblizał kościaną łyżkę i włożył ją do pustej miski. — Dzięki stokrotne, gospodarze. A teraz, jeśli pozwolicie, przejdziemy do rzeczy.

— Ano, można — zgodził się Pokrzywka. — Co, Dhun?

Dhun, starszy Dolnej Posady, ogromny mężczyzna o ponurym wejrzeniu, skinął na dziewczki, te pospiesznie zebrały ze stołu naczynia i opuściły świetlicę ku wyraźnemu żalowi Jaskra, który od początku biesiady szczyrzył do nich zęby i zmuszał do chichotów niewybrednymi żartami.

— Słucham tedy — rzekł Geralt, patrząc w okno, zza którego dobiegał stuk siekier i odgłos piłowania. Na podwórzu wrzała jakaś robota przy drewnie, ostry żywiczny zapach docierał aż do izby — Mówcie, w czym się tu wam mogę przydać.

Pokrzywka spojrział na Dhuna. Starszy osady kiwnął głową, odchrząknął.

— Ano, to jest tak — powiedział. — Jest tu takie jedno pole. . .

Geralt kopnął pod stołem Jaskra, który już szykował się do złośliwego komentarza.

— Pole — kontynuował Dhun. — Dobrze mówię, Pokrzywka? Leżało to pole długi czas odłogiem, ale zaoralim je i teraz sadzimy tamój konopie, chmiel i len. Kawał pola, powiadam wam. Aż po sam bór sięga. . .

— I co? — nie wytrzymał poeta. — Co jest na tym polu?

— Ano — Dhun uniósł głowę, podrapał się za uchem. — Ano, grasuje tam diabeł.

— Co? — parsknął Jaskier. — Co takiego?

— Przecie mówię. Diabeł.

— Jaki diabeł?

— A jaki ma być? Diabeł i tyle.

— Diabłów nie ma!

— Nie wtrącaj się, Jaskier — rzekł Geralt spokojnym głosem. — A wy mówcie dalej, mości Dhun.

— Przecie mówię: diabeł.

— To już wiem. — Geralt, gdy chciał, potrafił być niestęchaniem cierpliwy. — Powiedzcie, jak wygląda, skąd się wziął, w czym wam przeszkadza. Po kolei, jeśli łaska.

— Ano — Dhun uniósł sękatą dłoń i jął wyliczać, po kolei odginając palce, z wielkim trudem. — Po kolei, jako żywo, mądry z was człek. Ano, tak. Wygląda to on, panie, jak diabeł, wypisz wymaluj diabeł. Skąd się wziął? Ano znikąd. Bęc, trzask, prask i patrzmy: diabeł. A przeszkadzać to on nam po prawdzie nie zanadto przeszkadza. Bywa nawet, że pomaga.

— Pomaga? — zarechotał Jaskier, usiłując wyciągnąć muchę z piwa. — Diabeł?

— Nie wtrącaj się, Jaskier. Mówcie dalej, panie Dhun. W jaki to sposób pomaga wam ten, jak powiadacie. . .

— Diabeł — powtórzył z naciskiem kmięć. — Ano, pomaga tak: grunt użyźnia, glebę wzrusza, krety tępi, ptaki płoszy, rzepy i buraków dogląda. A i liszkę,

co się w kapuście lęgnie, zjada. Ale kapustę także po prawdzie zjada. Nic, ino by żarł. Jak to diabeł.

Jaskier znowu zarechotał, po czym pstryknął palcami i strzelił zmoczoną w piwie muchą w kota śpiącego przy palenisku. Kot otworzył jedno oko i spojrzał na barda z wyrzutem.

— Wszelakoż — rzekł spokojnie wiedźmin — gotowicie mi zapłacić, by pozbyć się tego diabła, czy tak? Innymi słowy, nie chcecie go w okolicy?

— A któżby — Dhun spojrzał na niego ponuro — chciał diabła na ojcowiznie? Nasza to ziemia z dziada-pradziada, z królewskiego nadania i nic diabłowi do niej. Pluć nam na jego pomoc, co to, sami rąk nie mamy? A to, panie wiedźmin, nie diabeł, a złośliwe bydlę i w głowie ma, z przeproszeniem, nasrane tak, że wytrzymać ciężko. Nie wiedzieć rano, co mu wieczorem do łba strzeli. A to, panie, w studnię napaskudzi, a to za dziewczką goni, straszy, grozi, że dupczył będzie. Kradnie, panie, chudobę i spyżę. Niszczy a psuje, naprzykrza się, na grobli ryje, doły kopie jak piźmowiec albo bober jaki, woda z jednego stawu ze szczętem uciekła i karpie posnęły. We stogu lulkę palił, kurwi syn, z dymem puścił wszystko siano...

— Rozumiem — przerwał Geralt. — Więc jednak przeszkadza.

— Nie — pokręcił głową Dhun. — Nie przeszkadza. Psoci jeno, ot co.

Jaskier odwrócił się do okna, tłumiąc śmiech. Wiedźmin milczał.

— A, co tu gadać — odezwał się milczący do tej pory Pokrzywka. — Wyście są wiedźmin, nie? To zróbcie z tym diabłem porządek. Szukaliście roboty w Górnej Posadzie, sam słyszałem. To i macie robotę. Zapłacimy wam, ile trza. Ale zważcie, nie chcemy, abyście diabła ubili. Co to, to nie.

Wiedźmin uniósł głowę i uśmiechnął się paskudnie.

— Interesujące — powiedział. — Rzekłbym, niecodzienne.

— Co? — zmarszczył się Dhun.

— Niecodzienny warunek. Skąd tyle miłosierdzia?

— Nie lza ubijać — Dhun zmarszczył się jeszcze bardziej — bo w tej Dolinie...

— Nie lza i już — przerwał Pokrzywka. — Złapcie go tylko, panie, albo wygońcie za siódmą górę. A przy zapłacie nie ukrzywdzimy was.

Wiedźmin milczał, nie przestając się uśmiechać.

— Przybijecie ugodę? — spytał Dhun.

— Najpierw chciałbym mu się przyrzec, temu waszemu diabłu.

Kmiecie popatrzyli po sobie.

— Wasze prawo — powiedział Pokrzywka, po czym wstał. — I wasza wola. Diabeł nocami hula po całej okolicy, ale we dnie siedzi gdzieś w konopiach. Albo wśród starych wierzb na bagnisku. Tam se go możecie oglądnać. Nie będziemy was naglić. Chcecie wypocząć, wypoczywajcie jak długo wola. Wygody ni jadła wam nie poskapimy, wedle prawa gościny. Bywajcie.

— Geralt — Jaskier zerwał się z zydła, wyrzwał na podwórko, na oddalających się od chaty kmieciów. — Przystaję zgoła rozumieć. Nie minął dzień od chwili, gdy rozmawialiśmy o wymaginowanych potworach, a ty nagle angażujesz się do łowienia diabłów. A o tym, że właśnie diabły to wymysły, że to stworzenia mityczne, wie przecież każdy, wyjąwszy widać ciemnych kmiotków. Co ma oznaczać twój niespodziewany zapał? Zakładam, znając cię trochę, że nie zniżyłeś się do załatwienia nam tym sposobem noclegu, wikt i opierunku?

— Rzeczywiście — skrzywił się Geralt. — Wygląda na to, że mnie już trochę znasz, śpiewaku.

— W takim razie nie rozumiem.

— Co tu jest do rozumienia?

— Diabłów nie ma! — wrzasnął poeta, definitywnie wybijając kota ze snu. — Nie ma! Diabły nie istnieją, do diabła!

— Prawda — uśmiechnął się Geralt. — Ale ja, Jaskier, nigdy nie mogłem oprzeć się pokusie popatrzenia na coś co nie istnieje.

* * *

— Jedno jest pewne — mruknął wiedźmin obrzuciwszy wzrokiem roztaczającą się przed nimi splątana konopiana dżunglę. — Głupi ten diabeł nie jest.

— Z czego to wnosisz? — zaciekawiał się Jaskier. — Z faktu, że siedzi w nieprzebytym gąszczu? Byle zająć ma na to dość rozumu.

— Chodzi o specjalne właściwości konopi. Tak ogromne pole emituje silną aurę antymagiczną. Większość zaklęć byłaby tu bezużyteczna. A tam, spójrz, widzisz te tyczki? To chmiel. Polleny z szyszek chmielu mają podobne działanie. Załóż się, że to nie przypadek. Łajdak wyczuwa aurę i wie, że jest tu bezpieczny.

Jaskier odkaslnął, poprawił spodnie.

— Ciekawym — powiedział, drapiąc się w czoło pod kapelusikiem — jak też się do tego zabierzesz, Geralt. Nigdy cię jeszcze nie widziałem przy pracy. Zakładam, że wiesz co nieco o chwytności diabłów. Staram się przypomnieć sobie niektóre starożytne ballady. Była taka jedna, o diable i babie, nieprzyzwoita, ale zabawna. Baba, uważasz. . .

— Daruj mi babę, Jaskier.

— Jak chcesz. Chciałem być pomocny, nic więcej. A starożytnych przyśpiewek nie należy lekceważyć, tkwi w nich nagromadzona przez pokolenia mądrość. Jest ballada o parobku imieniem Yolop, który. . .

— Przystań gadać. Czas zabrać się do roboty. Zapracować na wikt i opierunek.

— Co chcesz zrobić?

— Pomyszkuję trochę w konopiach.

— Oryginalne — parsknął trubadur. — Choć niewyrafinowane.

— A ty, jak byś się do tego zabrał?

— Inteligentnie — nadał się Jaskier. — Sprytnie. Z nagonką, dla przykładu. Wypędziłbym diabła z chaszczy, a w czystym polu dognałbym go konno, wziął na arkan. Co o tym sądzisz?

— Wcale ciekawa koncepcja. Kto wie, może i do zastosowania, jeśli zechciałbyś uczestniczyć, bo do takiej operacji trzeba co najmniej dwóch. Ale na razie jeszcze nie polujemy. Na razie chcę się zorientować, co to takiego jest, ów diabeł. Dlatego muszę poszperać w konopiach.

— Hej! — bard dopiero teraz zauważył. — Nie wzięłeś miecza!

— A po co? Też znam ballady o diabłach. Ani baba, ani parobek imieniem Yolop nie używali mieczy.

— Hmm... — Jaskier rozejrzał się. — Musimy pchać się w sam środek tej gęstwiny?

— Ty nie musisz. Możesz wracać do wsi i czekać tam na mnie.

— O, nie — zaprotestował poeta. — Mam stracić taką okazję? Też chcę zobaczyć diabła, przekonać się, czy rzeczywiście jest taki straszny, jak go malują. Pytałem, czy koniecznie musimy przedzierać się poprzez konopie, skoro tam jest ścieżka.

— Faktycznie — Geralt przysłonił oczy dłonią. — Jest ścieżka. Skorzystajmy z niej.

— A jeśli to diabła ścieżka?

— Tym lepiej. Nie nachodzimy się zbytnio.

— Wiesz, Geralt — paplał bard, krocząc za wiedźminem wąską, nierówną ścieżynką wśród konopi. — Zawsze myślałem, że „diabeł” to tylko taka metafora, wymyślona, żeby było jak kłąć. „Diabli nadali”, „niech to diabli”, „do diabła”. My tak mówimy we wspólnym. Niziołki, gdy widzą nadjeżdżających gości, mówią: „Znowu kogoś diabli niosą”. Krasnoludy klną: „Düvvel hoáel”, gdy im się coś nie uda, a kiepski towar nazywają: „Düvvelsheyss”. A w Starszej Mowie jest takie powiedzonko: „A d’yaebl aép arse”, co znaczy...

— Wiem, co to znaczy. Przestań pleść, Jaskier.

Jaskier zamilkł, zdjął ozdobiony czaplím piórkiem kapelusik, powachlował się nim i wytarł spocone czoło. W gęstwinie panowało ciężkie, wilgotne, duszne gorąco, potęgowane jeszcze wiszącym w powietrzu zapachem kwitnących traw i chwastów. Ścieżka zakreślała lekko, a tuż za zakretem kończyła się niedużą, wydeptaną w zielsku polanką.

— Spójrz, Jaskier.

W samym centrum polanki leżał duży, płaski kamień, na nim stało kilka glinianych miseczek. Między miseczkami rzucała się w oczy wypalona prawie do końca łożowa świeczka. Geralt widział przyklejone do placków roztopionego tłuszczu ziarna kukurydzy i bobu, jak również inne nierozpoznawalne pestki i nasionka.

— Tak przypuszczałem — mruknął. — Składają mu ofiary.

— W samej rzeczy — rzekł poeta, wskazując na świeczkę. — I palą diabłu ogarek. Ale karmią go, jak widzę, ziarenkami, niby jakiegoś czyżyka. Zaraza, co za cholerny chlew. Wszystko tu aż lepi się od miodu i dziegciu. Co. . .

Dalsze słowa barda zagłuszyło groźne i donośne beczenie. W konopiach coś zaszusciło i zatupało, po czym z gęstwiny wyłonił się najdziwniejszy stwór, jakiego Geraltowi zdarzyło się oglądać.

Stworzenie miało nieco powyżej sążnia wzrostu, wyłupiaste oczy, kozie rogi i brodę. Również usta, ruchliwe, podzielone i miękkie, przywodziły na myśl żującą kozę. Dolna część ciała stwora pokryta była długim, gęstym ciemnorudym włosiem aż po rozwidlane racice. Dziwoląg wyposażony był też w długi, zakończony pędzlastym kutasem ogon, którym energicznie zamiatał.

— Uk! Uk! — szczeknął potwór, przebierając racicami. — Czego tu? Precz, precz, bo na rogi wezmę, uk, uk!

— Kopnął cię ktoś kiedyś w rzyć, koziołku? — nie wytrzymał Jaskier.

— Uk! Uk! Beeeeee! — zabeczał kozłoróg. Trudno było ocenić, czy było to potwierdzenie, zaprzeczenie czy też beczenie dla samej jeno sztuki.

— Zamilcz, Jaskier — warknął wiedźmin. — Ani słowa.

— Blebleblebeeeeeee! — zagulgotał wściekle stwór, przy czym warga rozeszła się szeroko, ukazując żółte końskie zęby. — Uk! Uk! Uk! Bleubeeeebleuuubeeeee!

— Jak najbardziej — kiwnął głową Jaskier. — Katarynka i dzwoneczek są twoje. Gdy będziesz szedł do domu, możesz je zabrać.

— Przestań, do cholery — syknął Geralt. — Psujesz wszystko. Zachowaj dla siebie głupie żarty. . .

— Żarty!!! — ryknął donośnie kozłoróg i podskoczył. — Żarty, beee, beeee! Nowi żartownisie przyszli, co? Przynieśli kulki żelazne? Ja wam dam kulki żelazne, łajdakowie wy, uk, uk, uk! Żartów się wam zachciało, beeee? Macie żarty! Macie wasze kulki! Macie!

Stwór podskoczył i machnął gwałtownie ręką. Jaskier zawył i usiadł na ścieżce, trzymając się za czoło. Stwór zabeczał, zamachnął się ponownie. Koło ucha Geralta coś świsnęło.

— Macie wasze kulki! Beeee!

Całowej średnicy żelazna kulka rąbnęła wiedźmina w ramię, następna trafiła Jaskra w kolano. Poeta zaklął szpetnie i rzucił się do ucieczki. Geralt nie czekając skoczył za nim, a kulki świszczały mu nad głową.

— Uk! Uk! Beeee! — wrzasnął kozłoróg, podskakując. — Ja wam dam kulki! Żartownisie zaszrani!

Kulka zaświszczała w powietrzu. Jaskier zaklął jeszcze szpetniej, chwytając się za potylicę. Geralt rzucił się w bok, pomiędzy konopie, ale nie uniknął pocisku, który trafił go w łopatkę. Trzeba było przyznać, diabeł rzucał zatrzważająco celnie i wydawał się mieć nieprzebrany zapas kulek. Wiedźmin, klucząc wśród gęstwiny,

usłyszał jeszcze triumfalne beczenie zwycięskiego diabła, a zaraz potem świst kolejnej kulki, bluźnierstwo i tupot nóg Jaskra zmykającego ścieżką.

A potem zapadła cisza.

* * *

— No wiesz, Geralt — Jaskier przyłożył do czoła schłodzoną w wiadrze podkową. — Tego się nie spodziewałem. Taka rogata pokraka z kozią brodą, taki cap kosmaty, a pogonił cię jak jakiegoś chłystka. A ja oberwałem w łeb. Zobacz, jakiego mam guza!

— Pokazujesz mi go po raz szósty. Nie wygląda ciekawiej aniżeli za pierwszym.

— Miły jesteś. A myślałem, że będę przy tobie bezpieczny!

— Nie prosiłem, byś łąził za mną w konopie. Prosiłem natomiast, byś trzymał za zębami twój niewyparzony język. Nie posłuchałeś, teraz cierp. W milczeniu, jeśli łaska, bo właśnie nadchodzą.

Do świetlicy weszli Pokrzywka i zwałisty Dhun. Za nimi dreptała siwiuteńka i pokręcona jak precel babuleńka prowadzona przez jasnowłosego i przeraźliwie chudego podlotka.

— Mości Dhun, mości Pokrzywka — zaczął wiedźmin bez wstępów. — Zanim wyruszy łem, pytałem, czy próbowaliście już sami coś przedsięwziąć względem tego waszego diabła. Powiedzieliście, że nie robiliście niczego. Mam powody przypuszczać, że było inaczej. Czekam na wyjaśnienia.

Osadnicy pomruczeli między sobą, po czym Dhun pokasłał w pięść i postąpił krok.

— Prawiście, panie. Wybaczenia prosim. Zełgaliśmy, bo wstyd nas żarł. Chcieliśmy sami diabła przechytryć, sprawić, by poszedł sobie od nas precz. . .

— Jakim sposobem?

— U nas w Dolinie — rzekł wolno Dhun — już dawniej objawiały się straszdyła. Smoki latające, wijuny ziemne, burdałaki, upiory, pająki ogromniaste i żmije różne. A my zawsze sposobu na plugastwo wszelkie w naszej księdze szukali.

— W jakiej księdze?

— Pokażcie księgę, babko. Księgę, mówię. Księgę! Krew mnie zaleje zaraz! Głucha, by pień! Lille, rzeknij babce, żeby księgę pokazała!

Jasnowłosa dziewczyna wyszarpnęła wielką księgę ze szponiastych palców staruszki i podała ją wiedźminowi.

— W księdze tej — ciągnął Dhun — którą w rodzie naszym mamy od niepamiętnych czasów, są sposoby na wszystkie potwory, czary i cudactwa, jakie na świecie były, są albo będą.

Geralt obrócił w dłoniach ciężkie, grube, obrosłe tłustym kurzem tomisko. Dziewczyna wciąż stała przed nim, mnąc dłońmi fartuszek. Była starsza, niż początkowo przypuszczał — zmyliła go jej filigranowa postać, tak różna od krzepkiej postury innych dziewcząt z osady, zapewne jej rówieśniczek.

Położył księgę na stole i odwrócił ciężką drewnianą okładkę.

— Rzuć na to okiem, Jaskier.

— Pierwsze Runy — ocenił bard, zaglądając mu przez ramię, z podkową ciągle przyłożoną do czoła. — Najstarsze pismo używane do czasu wprowadzenia nowoczesnego alfabetu. Oparte jeszcze na runach elfich i krasnoludzkich ideogramach. Zabawna składnia, ale tak wówczas mówiono. Ciekawe ryciny i iluminacje. Nieczęsto widzi się coś takiego, Geralt, a jeżeli już, to w bibliotekach świątynnych, nie po wsiach na krańcu świata. Na wszystkich bogów, skąd to macie, włościanie kochani? Chyba nie chcecie nam wmówić, że umiecie to czytać? Babko? Umiesz czytać Pierwsze Runy? Umiesz czytać jakiegokolwiek runy?

— Czegoooo?

Jasnowłosa dziewczyna zbliżyła się do babki i szepnęła jej coś wprost do ucha.

— Czytać? — starowinka pokazała w uśmiechu bezzębne dziąsła. — Ja? Nie, złociutki. Tej sztuki nie posiadała zem.

— Objaśnijcie mi — rzekł Geralt zimno, odwracając się do Dhuna i Pokrzywki — jakim sposobem korzystacie z księgi, nie umiejąc czytać runów?

— Najstarsza babka zawsze wie, co w księdze stoi — rzekł ponuro Dhun. — A tego, co wie, uczy jaką młodą, gdy już jej pora do ziemi. Sami baczycie, że naszej babce już pora. Babka tedy przygarnęła Lille i uczy ją. Ale póki co, babka najlepiej wie.

— Stara wiedźma i młoda wiedźma — mruknął Jaskier.

— Jeśli dobrze rozumiem — powiedział Geralt z niedowierzaniem — babka zna całą księgę na pamięć? Czy tak? Babciu?

— Całą nie, gdzieżby tam — odrzekła babka, znowu za pośrednictwem Lille — jeno to, co podle obrazka stoi.

— Aha — Geralt otworzył księgę na chybił trafił. Widniejący na naddartej stronie obrazek przedstawiał cętkowaną świnię z rogami w kształcie liry. — Pochwalcie się zatem, babciu. Co tu jest napisane?

Babka zamlaskała, przyjrzała się rycinie, po czym zamknęła oczy.

— Tur rogaty albo taurus — wyrecytowała. — Przez nieuków ziubrem zwany błędnie. Rogi ma i bodzie niemi. . .

— Dość. Bardzo dobrze, zaiste — wiedźmin przewrócił kilka lepiących się stron. — A tu?

— Pochmurniki a planetniki rozmaite są. Te deszcz leją, tamte wiatery sieją, owamte pioruny miotają. Chceszli urodzaj od nich uchronić, weźmij nóż żelazny, nowy, łajna mysiego łuty trzy, czapli siwej smalcu. . .

— Dobrze, brawo. Hmm. . . A tu? Co to jest?

Rycina przedstawiała rozczochrane straszycło na koniu, z ogromnymi ślepiami i jeszcze większymi zębami. W prawej ręce straszycło dzierżyło okazały miecz, w lewej wór pieniędzy.

— Wiedźmak — zamamlała babka. — Przez niektórych wiedźminem zwany. Wzywać go niebezpiecznie barzo, wždy trzeba, bo gdy przeciw potworu a plugastwu niczym nie uradzi, wiedźmak uradzi. Baczyć aby trzeba. . .

— Wystarczy — mruknął Geralt. — Wystarczy, babciu. Dziękuję.

— Nie, nie — zaprotestował Jaskier ze złośliwym uśmiechem. — Jak tam dalej idzie? Wielce ciekawa to księga! Mówcie, babciu, mówcie.

— Eee. . . Baczyć aby trzeba, coby wiedźmaka nie dotykać, bo od tego oparzyćwieć można. A dziewczki przed nim kryć, bo wiedźmak chutliwy jest ponad miarę wszelką. . .

— Zgadza się, wypisz wymaluj — zaśmiał się poeta, a Lille, jak wydało się Geraltowi, uśmiechnęła się ledwie zauważalnie.

— . . . chocia wiedźmak wielce chciwy a na złoto łasy — mamrotała babka, mrużąc oczy — nie dać onemu więcej jak: za utopca srebrny grosz abo półtorak. Za kotołaka: srebrne grosze dwa. Za wapiersza: srebrne grosze cztery. . .

— To były czasy — mruknął wiedźmin. — Dziękuję, babko. A teraz pokażcie nam, gdzie tu o diable mowa i cóż to księga o diabłach powiada. Tym razem więcej rad bym usłyszeć, bom ciekaw, jakiego to sposobu na niego użyliście.

— Uwważaj, Geralt — zachichotał Jaskier. — Zaczynasz wpadać w ten żargon. To zaraźliwa maniera.

Babka, z trudem opanowując drżenie ręki, przewróciła kilka stronic. Wiedźmin i poeta schylili się nad stołem. W samej rzeczy, na rycinie figurował miotacz kulek, rogaty, włochaty, ogoniasty i złośliwie uśmiechnięty.

— Diabło! — wyrecytowała babka. — Takoż zwany rokita albo silvan. Przeciw chudobie a domowej gadzinie szkodnik wielki i uprzykrzony. Chceszli go z opola wygonić, tako uczyn. . .

— No, no — zamruczał Jaskier.

— Weźmij orzechów jedną przygarść — ciągnęła babka, wodząc palcem po pergaminie. — Weźmij zasię kulek żelaznych przygarść drugą. Miodu łagiewkę, dziegciu drugą. Mydła szarego faskę, twarogu drugą. Kędy diabło siedzi pójdź nocną porą. A jeść pocznij orzechy. Wraz diabło, któren łakomy jest, przybieży i spyta, smaczne li. Wonczaś daj onemu kulki żelazne. . .

— A żeby was cholera — mruknął Jaskier. — A żeby was pokręciło. . .

— Cicho — rzekł Geralt. — No, babciu. Dalej.

— . . . zębów nadłamawszy, diabło, baczywszy, jak miód jesz, takoż miodu zapragnie. Daj onemu dziegciu, a sam twaróg jedz. Posłyszysz niebawem, jak diabłowi we wnętrzu burczy a kurczy, ale pozór daj, jakoby to nic. A zechce diabło twarogu, daj onemu mydła. Po mydle zasię diabło nie zdierży. . .

— Doszliście do mydła? — przerwał Geralt z kamienną twarzą, odwracając się w stronę Dhuna i Pokrzywki.

— A gdzie tam — stęknął Pokrzywka. — Aby do kulek. Och, panie, dał on nam bobu, gdy kulkę ugryznął. . .

— A kto wam kazał — rozsierdził się Jaskier — dawać mu tyle kulek? Stoi w księdze, żeby jeno przygarść. A wy jemu wór onych kulek dali! Wy jemu amunicji na dwa roki bez mała przysporzyli, durni wy!

— Uważaj — uśmiechnął się wiedźmin. — Wpadasz w żargon. To zaraźliwe.

— Dziękuję.

Geralt raptownie uniósł głowę, spojrział w oczy stojącej obok babki dziewczyny. Lille nie spuściła wzroku. Oczy miała jasne i wściekle niebieskie.

— Dlaczego składacie diabłu ofiary w postaci ziarna? — spytał ostro. — Przecież widać, że to typowy roślinożerca.

Lille nie odpowiedziała.

— Zadałem ci pytanie, dziewczyno. Nie bój się, od rozmowy ze mną nie parzywieje się.

— Nie pytajcie jej o nic, panie — odezwał się Pokrzywka z wyraźnym zakłopotaniem w głosie. — Lille. . . Ona. . . Dziwna jest. Nie odpowie wam, nie przymuszajcie jej.

Geralt nadal patrzył w oczy Lille, a Lille nadal nie spuszczała wzroku. Poczuł dreszcz biegnący po plecach, wpełzający na kark.

— Dlaczego nie poszliście na diabła z kłonicami i widłami? — uniósł głos. — Dlaczego nie zastawiliście na niego paści? Gdybyście tylko zechcieli, jego kozi łeb byłby już zatknięty na kiju jako straszidło na wrony. Mnie uprzedziliście, bym go nie próbował zabić. Dlaczego? Ty im tego zabroniłaś, prawda, Lille?

Dhun wstał z ławy. Głową niemal sięgał powały.

— Wyjdź, dziewczko — warknął. — Zabierz babkę i wyjdź stąd.

— Kto to jest, mości Dhun? — podjął wiedźmin, gdy za babką i Lille zamknęły się drzwi. — Kim jest ta dziewczyna? Dlaczego cieszy się u was większym szacunkiem niż ta cholerna księga?

— Nie wasza rzecz — Dhun spojrział na niego, a w spojrzeniu tym nie było przyjaźni. — Mądre niewiasty u siebie w miastach prześladujecie, u siebie stopy podpalajcie. U nas tego nie było i nie będzie.

— Nie zrozumieliście mnie — rzekł wiedźmin zimno.

— Bom się i nie starał — warknął Dhun.

— Zauważyłem to — wycedził Geralt, też nie siląc się na serdeczność. — Ale jedną podstawową rzecz raczcie zrozumieć, mości Dhun. Nadal nie wiąże nas żadna umowa, nadal nie zobowiązałem się wobec was do niczego. Nie macie podstaw do mniemania, że kupiliście sobie wiedźmina, który za srebrny grosz albo półtorak zrobi to, czego wy zrobić nie umiecie. Albo nie chcecie. Albo nie

wolno wam. Otóż nie, mości Dhun. Nie kupiliście sobie jeszcze wiedźmina i nie myślę, żeby wam się to udało. Nie przy waszej niechęci do rozumienia.

Dhun milczał, mierząc Geralta ponurym wejrzeniem. Pokrzywka zachrząkał, powiercił się na ławie, szurając łapcami po klepisku, potem nagle wyprostował się.

— Panie wiedźmin — powiedział. — Nie sierzście się. Powiemy wam, co i jak. Dhun?

Starszy osady kiwnął przyzwalająco, usiadł.

— Jakeśmy tu jechali — zaczął Pokrzywka — baczyliście, jak tu wszystko rośnie, jakie się tu zbiory udają. Takie się tu nieraz uhoduje, o jakie gdzie indziej trudno albo i w ogóle nie uświadczysz. Tak tedy u nas sadzonki a siewne ziarno ważna rzecz, my i daninę tym płacim, i sprzedajem, i mieniamy się. . .

— Co to ma wspólnego z diabłem?

— Ma. Diabeł dawniej aby naprzykrzał się i głupie figle płatał, aż tu zaczął ziarno wykraść na potęgę. Z początku zaczęliśmy mu nosić po troszku na kamień w konopiach, myślelim, naźre się i da pokój. Nic z tego: kraść dalej, aż trzeszczało. A jakeśmy przed nim zapasy kryć poczęli po sklepach i szopach na trzy spusty zamkniętych, to on wściekł się, panie, ryczał, beczał, „uk-uk” wołał, a kiedy on „uk-uk”, tedy lepiej nogi za pas. Groził, że. . .

— . . . dupczył będzie — wtrącił Jaskier z rubasznym uśmiechem.

— To też — przytaknął Pokrzywka. — A i o czerwonym kurze napomknął. Długo by gadać, nie mógł kraść, to zażądał daniny Kazał sobie ziarno i inne dobro nosić worami całymi. Wtedy prawie żeśmy się zeżlili i zamiarowaliśmy mu ogoniastą rzyć przetrzepać. Ale. . .

Kmieć chrząknął, spuścił głowę.

— Nie trza kręcić — odezwał się nagle Dhun. — Żleśmy wiedźmina ocenili. Gadaj wszystko, Pokrzywka.

— Babka zabroniła diabła bić — powiedział szybko Pokrzywka — aleć przecie wiemy, że to Lille, bo babka. . . Babka tylko to gada, co jej Lille każe. A my. . . Wiecie sami, panie wiedźmin. My się słuchamy.

— Zauważyłem — Geralt skrzywił usta w uśmiechu. — Babka potrafi tylko trząść brodą i międlić tekst, którego sama nie rozumie. A na dziewczynę gapicie się jak na posąg bogini, z otwartymi gębami, unikacie jej oczu, ale próbujecie zgadywać jej życzenia. A jej życzenia to dla was rozkazy. Kto to jest, ta wasza Lille?

— Przecie odgadliście, panie. Wieszcza. No, Mądra, znaczy. Ale nie mówcie o tym nikomu. Prosimy was. Gdyby tak do włodarza doszło, albo, nie dajcie bogowie, do namiestnika. . .

— Nie obawiajcie się — rzekł poważnie Geralt. — Wiem w czym rzecz, i nie zdradzę was.

Trafiające się po wsiach dziwne kobiety i dziewczęta, nazywane wieszczkami lub Mądrymi, nie cieszyły się zbyt dużą sympatią wielmożów, którzy zbierali daniny i ciągnęli zyski z rolnictwa. Rolnicy zawsze zasięgaliby rady wieszczek, w każdej nieledwie sprawie. Wierzyli im ślepo i bezgranicznie. Podejmowane zaś na gruncie takich porad decyzje były często absolutnie sprzeczne z polityką panów i władcyków. Geralt słyszał o przypadkach wręcz radykalnych i niezrozumiałych — o wybijaniu całych stad zarodowych, zaprzestaniu siewu lub zbioru, a nawet o migracjach całych wsi. Władcy tępiliby więc „zabobon”, często nie wybierając w środkach. Toteż kmiecie bardzo szybko nauczyli się ukrywać Mądre. Ale słuchać ich rad nie przestali. Bo jedno, jak dowodziło doświadczenie, nie ulegało wątpliwości — na dłuższą metę zawsze okazywało się, że Mądre miały słuszność.

— Lille nie zwoiliła nam diaboła ubić — ciągnął Pokrzywka. — Kazała zrobić tak, jak księga każe. Jak wiecie, nie wyszło. Były już kłopoty z włodarzem. Gdyśmy mniej niż zwykle ziarna w daninę oddali, gębę by rozwarł, krzyczał, pomstował. O diable tośmy mu nawet nie pisnęli, bo włodarz srogi jest i na żartach zna się okrutnie mało. I wtedy wyście się napatoczyli. Pytałim Lille, czy można was... najać...

— I co?

— Rzekła przez babkę, że wpierw musi na was spojrzeć.

— I spojrzała.

— Spojrzała. I uznała was, wiemy to, umiemy poznać, co Lille uznaje, a czego nie.

— Nie powiedziała do mnie ani słowa.

— Do nikogo, prócz babki, nigdy słowa nie powiedziała. Ale gdyby was nie uznała, do świetlicy nie weszłaby za nic.

— Hm... — zastanowił się Geralt. — To ciekawe. Wieszczka, która zamiast wieszczęć, milczy. Skąd ona wzięła się u was?

— Nie wiemy, panie wiedźmin — mruknął Dhun. — Ale z babką, jak to pamiętają starsi, takóó było. Zapoprzednia babka też przygarnęła dziewczkę małomówną, taką, co się zjawiała nie wiedzieć skąd. A ta dziewczka, to teraz właśnie nasza babka. Dziad mój mawiali, że babka się odradza tym sposobem. Iście niby miesiąc na niebie odradza się i coraz to nowa jest. Nie śmieście się...

— Nie śmieję się — pokręcił głową Geralt. — Za wiele widziałem, by śmieżyły mnie takie rzeczy. Nie myślę też wścibiać nosa w wasze sprawy, mości Dhun. Pytania moje zmierzają do ustalenia związku między Lille a diabłem. Sami już chyba zrozumieliście, że taki związek istnieje. Jeżeli więc zależy wam na waszej wieszczce, to względem diabła mogę wam podać jeden jedyny sposób: musicie go polubić.

— Wiecie, panie — rzekł Pokrzywka — to nie tylko o diaboła idzie. Lille niczego nie pozwala krzywdzić. Żadnego stworu.

— Oczywiście — wtrącił Jaskier. — Wiejskie wieszczki wywodzą się z tego samego pnia co druidzi. A taki druid gdy giez ssie z niego krew, to mu jeszcze życzy smacznego.

— Utrafiliście — uśmiechnął się lekko Pokrzywka. — Utrafiliście w sedno. Toż samo było u nas z dzikami, co warzywniki ryły. I co? Wyglądajcie oknem: warzywniki jak malowanie. Sposób się znalazł, Lille nawet nie wie jaki. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Pojmujecie?

— Pojmuję — mruknął Geralt. — A jakże. Ale nic z tego. Lille czy nie, wasz diabeł to silvan. Niezwykle rzadkie, ale rozumne stworzenie. Nie zabiję go, mój kodeks tego zabrania.

— Jeśli on rozumny — odezwał się Dhun — to przemówcie mu do rozumu.

— W samej rzeczy — podchwycił Pokrzywka. — Jeśli diabeł ma rozum, zna czy kradnie ziarno wedle rozumu. To wy, panie wiedźmin, dowiedzcie się, o co jemu chodzi. Przecież on tego ziarna nie żre, wždy nie tyle. To po co mu ziarno? Na złość nam czyni, czy jak? Czego on chce? Dowiedzcie się i wypędźcie go z okolicy jakimś wiedźmińskim sposobem. Zrobicie to?

— Spróbuję — zdecydował się Geralt. — Ale...

— Ale co?

— Wasza księga, drodzy moi, jest przestarzała. Rozumiecie, do czego zmierzam?

— Tak po prawdzie — burknął Dhun — to nie bardzo.

— Wy tłumaczę wam. Otóż, mości Dhun, mości Pokrzywka, jeśli liczyliście, że moja pomoc będzie was kosztowała srebrny grosz albo półtorak, toście się cholernie pomylili.

* * *

— Hej!

Z gęstwiny dobiegł szelest, gniewne „uk-uk” i potrzaskiwanie tyczek.

— Hej! — powtórzył wiedźmin, przezornie ukryty. — Pokaż no się, rokita.

— Sam jesteś rokita.

— Więc jak? Diabeł?

— Sam jesteś diabeł — koźloróg wystawił głowę z konopi, szczerząc zęby. — Czego chcesz?

— Pogadać.

— Kpisz, czy jak? Myślisz, że nie wiem, ktoś ty taki? Chłopi wynajęli cię, byś mnie stąd wyrzucił, co?

— Zgadza się — przyznał Geralt obojętnie. — I o tym właśnie chciałem pogawędzić. A nuż się dogadamy?

— Tu cię boli — zabezcał diabeł. — Chciałbyś wykpić się tanim kosztem, co? Bez wysiłku? Nie ze mną takie numery, beee! Życie, człowieku, to współzawodnictwo. Wygrywa lepszy. Chcesz ze mną wygrać, udowodnij, że jesteś lepszy. Zamiast dogadywania się, zawody. Zwycięzca podyktuje warunki. Proponuję wyścig, stąd do starej wierzby na grobli.

— Nie wiem, gdzie jest grobla ani gdzie jest stara wierzba.

— Gdybyś wiedział, to bym nie proponował wyścigu. Lubię zawody, ale nie lubię przegrywać.

— Zauważyłem. Nie, nie będziemy się ścigać. Gorąco dzisiaj.

— Szkoda. Może więc zmierzmy się w inny sposób? — diabeł wyszczerzył żółte zęby i podniósł z ziemi spory polny kamień. — Czy znasz grę w „Kto głośniej huknie?” Ja hukam pierwszy. Zamknij oczy.

— Mam inną propozycję.

— Zamieniam się w słuch.

— Wyniesiesz się stąd bez zawodów, wyścigów i hukania. Sam, bez przymusu.

— Wsadź taką propozycję a d'yeabl aép arse — diabeł wykazał znajomość Starszej Mowy. — Nie wyniosę się stąd. Mnie się tu podoba.

— Ale za bardzo tu narozrabiałeś. Przesadziłeś z żartami.

— Düvvelsheyss ci do moich żartów. — Silvan, jak się okazało, znał również krasnoludzki. — A twoja propozycja też warta jest tyle co Düvvelsheyss. Nigdzie się nie wyniosę. Chyba że mnie pokonasz w jakiejś grze. Dać ci szansę? Zabawimy się w zagadki, jeśli nie lubisz gier siłowych. Zaraz zadam ci zagadkę, jeśli ją odgadniesz, wygrasz, a ja się wynoszę. Jeśli ci się nie uda, ja zostaję, a ty się wynosisz. Wyteż pomyślunek, bo zagadka nie jest łatwa.

Zanim Geralt zdążył zaprotestować, diabeł zabezcał, potupał racicami, smagnął ziemię ogonem i wyrecytował:

*Różowe listeczki, pełniutki strączeczki,
Rośnie w miękkiej glinie nie opodal rzeczki,
Na długiej łodydze nakrapiany kwiat,
Nie pokazuj kotu, boby zaraz zjadł.*

— No, co to jest? Zgadnij.

— Pojęcia nie mam — przyznał obojętnie wiedźmin, nawet nie usiłując się zastanawiać. — Może pnący groszek?

— Źle. Przegrałeś.

— A jak brzmi prawidłowe rozwiązanie? Co ma... hm... nakrapiane strączeczki?

— Kapusta.

— Słuchaj — warknął Geralt. — Zaczynasz działać mi na nerwy.

— Uprzedzałem — zarechotał diabeł — że zagadka nie jest łatwa. Trudno. Wygrałem, zostaję. A ty odchodzisz. Żegnam pana oziębło.

— Jeszcze chwila — wiedźmin skrycie włożył rękę do kieszeni. — A moja zagadka? Mam chyba prawo do rewanzu?

— Nie — zaprotestował diabeł. — Niby z jakiej racji? Przecież mógłbym nie odgadnąć. Masz mnie za głupka?

— Nie — pokręcił głową Geralt. — Mam cię za złośliwego, aroganckiego bęcwała. Zaraz zabawimy się w całkiem nową, nie znaną ci grę.

— Ha! Więc jednak! Co to za gra?

— Gra nazywa się — rzekł wiedźmin wolno — „Nie rób drugiemu, co tobie niemiło”. Nie musisz zamykać oczu.

Geralt zgarbił się w błyskawicznym zamachu, calowa żelazna kulka świsnęła ostro w powietrzu i z trzaskiem wyrznięła diabła prosto między rogi. Stwór runął na wznak jak trafiony gromem. Geralt długim szczupakiem rzucił się między tyki i chwycił go za kosmatą nogę. Silvan zabczał i wierzgnął, wiedźmin ukrył głowę za ramieniem, ale i tak zadzwoniło mu w uszach, bo diabeł, mimo nikczemnej postury, kopał z siłą złośliwego muła. Spróbował ucapić wierzgającą racicę, ale nie zdołał. Koźloróg zatrzepotał, zamłócił po ziemi rękami i kopnął go ponownie, prosto w czoło. Wiedźmin zaklął czując, jak noga diabła wymyka mu się z palców. Obaj, rozłączywszy się, potoczyli się w różne strony, z trzaskiem przewracając tyczki i płacząc się w konopianych pnączach.

Diabeł zerwał się pierwszy i zaszarżował, opuszczając rogaty łeb. Ale Geralt też już stał pewnie na nogach i bez wysiłku uniknął ataku, chwycił stwora za róg, szarpnął mocno, zwałił na ziemię i przygniótł kolanami. Diabeł zabczał i plunął mu prosto w oczy, i to w taki sposób, jakiego nie powstydziliby się wielbłąd dotknięty ślinotokiem. Wiedźmin odruchowo cofnął się, nie puszczając jednak diabolicznych rogów. Silvan, próbując miotać głową, wierzgnął obydwoma kopytami naraz i — co dziwniejsze — obydwoma trafił. Geralt zaklął brzydko, ale nie zwolnił chwytu. Poderwał diabła z ziemi, przyparł do trzeszczących tyczek i z całej siły kopnął w kosmate kolano, po czym schylił się i napluł mu prosto do ucha. Diabeł zawył i zakłapał tępymi zębami.

— Nie rób drugiemu... — wydyszał wiedźmin — ... co tobie niemiło! Gramy dalej?

— Bleblebleeeee!!! — diabeł bulgotał, wył i pluł zaciekle, ale Geralt krzepko dzierżył go za rogi i dusił łeb ku dołowi, dzięki czemu plunięcia trafiały we własne diaboliczne racice, drące ziemię, wzbijające chmury kurzu i zielska.

Następne kilka minut upłynęło na intensywnej szamotaninie, wymianie obelg i kopniaków. Geralt, o ile w ogóle mógł się z czegoś radować, to wyłącznie z faktu, że nikt go nie widzi, scena bowiem przedstawiała się iście kretyńsko.

Impet kolejnego kopniaka rozerwał obu walczących i cisnął nimi w przeciwne strony, w gąszcz konopi. Diabeł ponownie wyprzedził wiedźmina — zerwał się

i rzucił do ucieczki, zauważalnie kusztując. Geralt, dysząc i ocierając twarz, rzucił się w pościg. Przedarli się przez konopie, wpadli w chmiel. Wiedźmin usłyszał tętent galopującego konia. Odgłos, którego oczekiwał.

— Tutaj, Jaskier! Tutaj! — wrzasnął. — W chmielu!

Nagle zobaczył pierś wierzchowca tuż przed sobą, a w następnej chwili został najechany. Odbił się od konia jak od skały i runął na wznak, od uderzenia o ziemię pociemniało mu w oczach. Pomimo to zdołał odturlać się w bok, za chmielowe tyki, unikając kopyt. Zerwał się zwinnie, ale w tym momencie najechał go drugi jeździec, ponownie obalając. A potem nagle ktoś zwałił się na niego, przygwoździł do ziemi.

A potem był błysk i przenikliwy ból w potylicy.

I ciemność.

* * *

Na ustach miał piasek. Gdy chciał go wypluć, zorientował się, że leży twarzą do ziemi. Gdy chciał się poruszyć, zorientował się, że jest związany. Uniósł lekko głowę. Słyszał głosy.

Leżał na leśnej ściółce, tuż obok pnia sosny. O jakieś dwadzieścia kroków stało kilka rozkulbaczonych koni. Widział je zza pierzastych paproci, niedokładnie, ale jeden z tych koni był bez wątplenia kasztanką Jaskra.

— Trzy worki kukurydzy — usłyszał. — Dobrze, Torque. Bardzo dobrze. Spisałeś się.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział bekliwy głos, mogący być wyłącznie głosem diabła silvana. — Spójrz na to, Galarr. Niby fasola, ale zupełnie biała. I jaka wielka! A to, to się nazywa rzepak. Oni z tego robią olej.

Geralt mocno zacisnął powieki i ponownie otworzył oczy. Nie, to nie był sen. Diabeł i Galarr, kimkolwiek był, posługiwali się Starszą Mową, językiem elfów. Ale słowa „kukurydza”, „fasola” i „rzepak” użyte były we wspólnym.

— A to? Co to jest? — spytał ten nazywany Galarrem.

— Siemię lniane. Len, pojmujesz? Koszule się robi z lnu. To jest dużo tańsze niż jedwab i bardziej odporne. Sposób obróbki jest, jak mi się zdaje, dość skomplikowany, ale wybadam, co i jak.

— Byle się tylko przyjął ten twój len, byle nie zmarniał nam jak rzepa — poskarżył się Galarr, nadal posługując się cudacznym volapükim. — Postaraj się o nowe sadzonki rzepy, Torque.

— Nie ma strachu — beknął diabeł. — Tu z tym nie ma problemu, tu wszystko rośnie jak cholera. Dostarczę wam, nie bój się.

— I jeszcze jedno — powiedział Galarr. — Dowiedz się wreszcie, na czym polega ta ich trójpolówka.

Wiedźmin ostrożnie uniósł głowę i spróbował się obrócić.

— Geralt. . . — usłyszał szept. — Ocknąłeś się?

— Jaskier. . . — odszepnął. — Gdzie my. . . Co z nami. . .

Jaskier tylko stęknął z cicha. Geralt miał dość. Zaklął, wyprężył się i przewrócił na bok.

Na środku polany stał diabeł, noszący, jak to już wiedział, dźwięczne imię Torque. Był zajęty ładowaniem na konie worków, saków i juków. W czynności tej pomagał mu szczupły, wysoki mężczyzna mogący być wyłącznie Galarrem. Ten, usłyszawszy ruch wiedźmina, odwrócił się. Jego włosy były czarne z wyraźnym odcieniem granatu. Miał ostre rysy twarzy i wielkie, błyszczące oczy. I szpiczasto zakończone uszy.

Galarr był elfem. Elfem z gór. Czystej krwi Aén Seidhe, przedstawicielem Starszego Ludu.

Galarr nie był jedynym elfem w zasięgu wzroku. Na skraju polany siedziało ich jeszcze sześciu. Jeden zajęty był wybebeszaniem juków Jaskra, drugi brzdąkał na lutni trubadura. Pozostali, zebrani dookoła rozwiązanego worka, zajmowali się łapczywym pożeraniem rzepy i surowej marchwi.

— Vanadáin, Toruviel — powiedział Galarr, wskazując jeńców ruchem głowy. — Vedrái! Enn'le!

Torque podskoczył i zabeczał.

— Nie, Galarr! Nie! Filavandrel zabronił! Zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem. — Galar przerzucił dwa związane worki przez grzbiet konia. — Ale trzeba sprawdzić, czy nie rozluźnili pęt.

— Czego chcecie od nas? — jęknął trubadur, podczas gdy któryś z elfów, przygniótłszy go do ziemi kolanem sprawdzał węzły — Dlaczego nas więzicie? O co wam chodzi? Jestem Jaskier, poe. . .

Geralt usłyszał odgłos uderzenia. Obrócił się, wykręcił głowę.

Stojąca nad Jaskrem elfka miała czarne oczy i krucze włosy, bujnie opadające na ramiona, tyko na skroniach zaplecione w dwa cieniutkie warkoczyki. Nosila krótki skórzany kabacik na luźnej koszuli z zielonej satyny i obcisłe wełniane legginsy wpuszczone w jeździeckie buty. Biodra miała owinięte kolorową chustą sięgającą połowy ud.

— Que glosse? — spytała, patrząc na wiedźmina i bawiac się ręką długiego sztyletu u pasa. — Que l'en pavienn, ell'ea?

— Nell'ea — zaprzeczył. — T'en pavienn, Aén Seidhe.

— Słyszałeś? — elfka obróciła się w stronę towarzysza, wysokiego Seidhe, który nie zadając sobie trudu sprawdzania więzów Geralta brzdąkał na lutni Jaskra z obojętnym wyrazem pociągłej twarzy. — Słyszałeś, Vanadáin? Małpolud potrafi mówić! Potrafi nawet być bezczelny!

Seidhe wzruszył ramionami. Pióra dekorujące jego kurtkę zaszeleściły.

— Jeszcze jeden powód, by go zakneblować, Toruviel.

Elfka pochyliła się nad Geraltem. Miała długie rzęsy, nienaturalnie bladą cerę i spierzchnięte, spękane wargi. Nosiła długi naszyjnik z rzeźbionych kawałków złotej brzozy nawleczonych na rzemyk kilkakrotnie owinięty wokół szyi.

— No, powiedz coś jeszcze, małpoludzie — syknęła. — Zobaczymy, na co stać twoją przywykłą do szczekania krtani.

— Cóż to, potrzebujesz pretekstu — wiedźmin z wysiłkiem obrócił się na plecy, wypluł piasek — by uderzyć związanego? Bij bez pretekstu, przecież widziałem, że to lubisz. Ulżyj sobie.

Elfka wyprostowała się.

— Na tobie już sobie ulżyłam, i to wówczas, gdy miałeś wolne ręce — powiedziała. — To ja rozjechałam cię koniem i dałam po łbie. Wiedz, że to również ja z tobą skończę, gdy czas przyjdzie.

Nie odpowiedział.

— Najchętniej pchnęłabym cię z bliska, patrząc w oczy — ciągnęła elfka. — Ale ogromnie śmierdzisz, człowieku. Zastrzelę cię z łuku.

— Twoja wola — wiedźmin wzruszył ramionami, na ile pozwalały mu na to pęta. — Zrobisz, co zechcesz, szlachetna Aén Seidhe. Do związanego i nieruchomego celu powinnaś trafić.

Elfka stanęła nad nim w rozkroku, pochyliła się, błysnęła zębami.

— Powinam — syknęła. — Trafiam, w co zechcę. Ale możesz być pewien, że nie zginiesz od pierwszej strzały. Ani od drugiej. Postaram się, byś czuł, że umierasz.

— Nie podchodź tak blisko — wykrzywił się, udając wstręt. — Ogromnie śmierdzisz, Aén Seidhe.

Elfka odskoczyła, zakołysała się w wąskich biodrach i z rozmachem kopnęła go w udo. Geralt skurczył się i zwinął widząc, w które miejsce zamierza go kopnąć ponownie. Udało mu się, dostał w biodro, ale tak, że aż zęby mu zadzwoniły.

Stojący obok wysoki elf kwitował kopnięcia ostrymi akordami na strunach lutni.

— Zostaw go, Toruviel! — zabeczał diabeł. — Zwariowałaś? Galarr, każ jej przestać!

— Thaesse! — wrzasnęła Toruviel i kopnęła wiedźmina raz jeszcze. Wysoki Seidhe gwałtownie szarpnął struny, jedna pękła z przeciągłym jękiem.

— Dość tego! Dość, na bogów! — rozdarł się nerwowo Jaskier, szamocząc i ciskając w powrozach. — Dlaczego znęcasz się nad nim, głupia dziwko? Zostawcie nas w spokoju! A ty zostaw w spokoju moją lutnię, dobrze?

Toruviel odwróciła się ku niemu ze złym grymasem na spękanych ustach.

— Muzyk! — warknęła. — Człowiek, a muzyk! Lutnista!

Bez słowa wyciągnęła instrument z rąk wysokiego elfa i z rozmachem roztrzaskała lutnię o pień sosny, rzuciła oplątane strunami resztki na pierś Jaskra.

— Na krowim rogu ci grać, dzikusie, nie na lutni.

Poeta zbladł śmiertelnie, wargi mu zadrżały. Geralt, czując rosnącą gdzieś w środku zimną wściekłość, przyciągnął wzrokiem czarne oczy Toruviel.

— Co się tak gapisz? — syknęła elfka, pochylając się. — Brudny małpoludzie! Chcesz, bym wykuła ci te gadzie oczy?

Jej naszyjnik zawisł tuż nad nim. Wiedźmin wyprężył się, poderwał nagłym rzutem, chwycił naszyjnik zębami i targnął potężnie, kurcząc nogi i wykręcając się w bok. Toruviel straciła równowagę, zwała się na niego. Geralt miotnął się w więzach jak wyciągnięta na brzeg ryba, przygniótł sobą elfkę, odrzucił głowę w tył tak, że aż chrupnęło mu w kręgach szyjnych i z całej siły uderzył ją czołem w twarz. Toruviel zawyła, zachłysnęła się.

Brutalnie ściągnęli go z niej, wlokąc za ubranie i włosy, unieśli. Któryś uderzył go, poczuł, jak pierścienie tną skórę na kości policzkowej, las przed oczyma zatańczył i popłynął. Dostrzegł, jak Toruviel zrywa się na klęczki, zobaczył krew płynącą jej z nosa i ust. Elfka wyszarpnęła sztylet z pochwy, ale nagle załkała, zgarbiła się, chwyciła za twarz i opuściła głowę między kolana.

Wysoki elf w przybranej pstrokatymi piórami kurtce wyjął sztylet z jej ręki, podszedł do podtrzymywanego wiedźmina. Uśmiechał się, unosząc ostrze. Geralt widział go już na czerwono, krew z czoła rozciętego o zęby Toruviel zalewała mu oczodół.

— Nie! — zabeczał Torque, dopadając do elfa i wieszając się u jego ręki. — Nie zabijaj! Nie!

— Voe'rlle, Vanadáin — rozległ się nagle dźwięczny głos. — Quéss aén? Ca-élm, evelliénn! Galarr!

Geralt obrócił głowę na tyle, na ile pozwalała mu wczepiona w jego włosy pięść.

Koń, który wjechał na polankę, był śnieżnobiały, grzywę miał długą, miękką, jedwabistą jak włosy kobiety. Włosy jeźdźca siedzącego w bogatym siodle były identyczne w kolorze, ściągnięte na czole opaską wysadzaną szafirami.

Torque, pobekując, dopadł konia, uchwycił się strzemienia i zasypał białowłosego elfa potokiem wymowy. Seidhe przerwał mu władczym gestem, zeskoczył z siodła. Zbliżył się do podtrzymywanej przez dwóch elfów Toruviel, ostrożnie odjął jej od twarzy zakrwawioną chustkę. Toruviel jęknęła rozdzierająco. Seidhe pokręcił głową, odwrócił się w stronę wiedźmina, podszedł bliżej. Jego czarne, palące oczy, błyszczące niczym gwiazdy w poblądłej twarzy, były sino podkrążone, jak gdyby przez kilka nocy z rzędu nie zasnął snu.

— Kąsasz nawet związany — powiedział cicho w pozbawionym akcentu wspólnym. — Jak bazyliszek. Wyciągnę z tego wnioski.

— Toruviel zaczęła — zabeczał diabeł. — Kopąła go, związanego, jakby rozum straciła. . .

Elf znowu nakazał mu gestem milczenie. Na jego krótki rozkaz inni Seidhe zawlekli wiedźmina i Jaskra pod sosnę, przykrępowali pasami do pnia. Potem

wszyscy uklękli przy leżącej Toruviel, zasłaniając ją. Geralt słyszał, jak w pewnej chwili krzyknęła, szamocząc się w ich rękach.

— Nie chciałem tego — powiedział diabeł, nadal stojący obok nich. — Nie chciałem, człowieku. Nie wiedziałem, że oni się pojawią akurat wtedy, gdy my... Gdy ciebie ogłuszyli, a twego druha wzięli na powróż, prosiłem, by was porzucili tam, w chmielu. Ale...

— Nie mogli zostawić świadków — mruknął wiedźmin.

— Chyba nas nie zabiją? — jęknął Jaskier. — Chyba nas nie...

Torque milczał, poruszając miękkim nosem.

— Cholera — zajęczał znowu poeta. — Zabiją nas? O co tu chodzi, Geralt? Świadcami czego byliśmy?

— Nasz kozłorogi przyjaciel wypełnia w Dolinie Kwiatów szczególną misję. Prawda, Torque? Na polecenie elfów kradnie nasiona, sadzonki, wiedzę rolniczą... Co jeszcze, diable?

— Co się da — beknął Torque. — Wszystko, czego potrzebują. A pokaż mi taką rzecz, której oni nie potrzebują. Oni głodują w górach, zwłaszcza zimą. A o rolnictwie nie mają pojęcia. Zanim udomowią zwierzynę czy drób, zanim cokolwiek wyhodują na poletkach... Oni nie mają na to czasu, człowieku.

— Gównu mnie obchodzi ich czas. Co ja im zrobiłem? — zajęczał Jaskier. — Co ja im zrobiłem złego?

— Pomyśl dobrze — powiedział białowłosy elf, zbliżywszy się bezszelestnie — a być może sam zdołasz sobie odpowiedzieć na to pytanie.

— On po prostu mści się za wszystkie krzywdy, jakich elfy doznały od ludzi — uśmiechnął się krzywo wiedźmin. — Jest mu bez różnicy, na kim się mści. Nie daj się zwieść jego szlachetnej postaci i wyszukanej mowie, Jaskier. On niczym nie różni się od tej czarnookiej, która nas skopała. Musi na kimś wyładować swoją bezsilną nienawiść.

Elf podniósł strzaskaną lutnię Jaskra. Przez chwilę patrzył w milczeniu na zniszczony instrument, wreszcie odrzucił go w krzaki.

— Gdybym chciał dać upust nienawiści lub chęci zemsty — powiedział, bawiąc się rękawicami z miękkiej, białej skóry — wpadłbym do doliny nocą, spalił osady i wyrzucił mieszkańców. Dziecinnie łatwe, oni nawet nie wystawiają straży. Nie widzą i nie słyszą nas, gdy chodzą do lasu. Czy może być coś prostszego, coś łatwiejszego niż szybka, cicha strzała zza drzewa? Ale my nie urządzamy na was polowań. To ty, człowieku o dziwnych oczach, urządziłeś polowanie na naszego przyjaciela, silvana Torque.

— Eeee, przesada — beknął diabeł. — Jakie tam polowanie. Zabawiliśmy się trochę...

— To wy, ludzie, nienawidzicie wszystkiego, co różni się od was, choćby tylko kształtem uszu — ciągnął spokojnie elf, nie zwracając na kozłoroga uwagi. — Dlatego odebraliście nam naszą ziemię, wypędziliście nas z naszych domów, wy-

parliście w dzikie góry. Zajęliście naszą Dol Blathanna, Dolinę Kwiatów. Jestem Filavandrel aén Fidhail ze Srebrnych Wież, z rodu Feleaornów z Białych Okrętów. Obecnie, wygnany i wyszczuty na kraniec świata, jestem Filavandrel z Krańca Świata.

— Świat jest wielki — mruknął wiedźmin. — Możemy się pomieścić. Jest dość miejsca.

— Świat jest wielki — powtórzył elf. — To prawda, człowieku. Ale wyście zmienili ten świat. Początkowo zmienialiście go siłą, postępowaliście z nim tak, jak ze wszystkim, co wpadło wam w ręce. Teraz wygląda na to, że świat zaczął się do was dopasowywać. Ugiął się przed wami. Uległ wam.

Geralt nie odpowiedział.

— Torque powiedział prawdę — ciągnął Filavandrel. — Tak, głodujemy. Tak, grozi nam zagłada. Słońce świeci inaczej, powietrze jest inne, woda nie jest już tą wodą, którą była. To, co niegdyś jedliśmy, czego używaliśmy, ginie, karłowacieje, marnieje. Myśmy nigdy nie uprawiali ziemi, nie darliśmy jej w przeciwieństwie do was, ludzi, motykami i radłami. Wam ziemia płaci krwawy haracz. Nas obdarowywała. Wy wydzieracie ziemi jej skarby siłą. Dla nas ziemia rodziła i kwitła, bo kochała nas. Cóż, żadna miłość nie trwa wiecznie. Ale my chcemy przetrwać.

— Zamiast kraść ziarno, można je kupić. Tyle, ile będziecie potrzebowali. Wciąż macie mnóstwo rzeczy uważanych przez ludzi za niezwykle cenne. Możecie handlować.

Filavandrel uśmiechnął się pogardliwie.

— Z wami? Nigdy.

Geralt zmarszczył twarz, krusząc zaschniętą na policzku krew.

— Niech was diabli, razem z waszą arogancją i pogardą. Nie chcąc współżyć, skazujecie się sami na zagładę. Współżyć, ułożyć się, to wasza jedyna szansa.

Filavandrel pochylił się mocno do przodu, oczy mu rozbłyły.

— Współżyć na waszych warunkach? — spytał zmienionym, ale wciąż spokojnym głosem. — Uznawszy waszą dominację? Utraciwszy tożsamość? Współżyć jako kto? Niewolnicy? Parias? Współżyć z wami zza murów, którymi odgradzacie się od nas w miastach? Współżyć z waszymi kobietami i iść za to na stryczek? Względnie patrzeć, co spotyka na każdym kroku dzieci będące skutkiem takiego współżycia? Dlaczego unikasz mojego wzroku, dziwny człowieku? Jak tobie układa się współżycie z bliźnimi, od których przecież różnisz się nieco?

— Radzę sobie — wiedźmin spojrzął mu prosto w oczy. — Jakoś sobie radzę. Bo muszę. Bo innego wyjścia nie mam. Bo jakoś zmożłem w sobie pychę i dumę z inności, bo rozumiałem, że pycha i duma, choć jest obroną przed innością, jest obroną żalostną. Bo rozumiałem, że słońce świeci inaczej, bo coś się zmienia, a nie ja jestem osią tych zmian. Słońce świeci inaczej i będzie świecić, nic nie da porywanie się na nie z motyką. Trzeba akceptować fakty, elfie, trzeba się tego nauczyć.

— Tego właśnie pragniecie, prawda? — Filavandrel startł nadgarstkiem pot, który wystąpił na blade czoło nad białymi brwiami. — To chcecie narzucić innym? Przekonanie, że oto nadszedł wasz czas, wasza, ludzka era i epoka, że to, co robicie innym rasom, jest równie naturalne jak wschody i zachody słońca? Że wszyscy muszą się z tym pogodzić, zaakceptować to? I ty mnie zarzucasz pychę? A czym są poglądy, które głosisz? Dlaczego wy, ludzie, nie zdacie sobie wreszcie sprawy z faktu, że w waszym panowaniu nad światem jest akurat tyle naturalności, ile we wszach rozmnożonych w kozuchu? Z równym skutkiem mógłbyś proponować mi współżycie z wszami, z równym skupieniem słuchałbym wszy, gdyby w zamian za uznanie ich zwierzchnictwa wyrażały zgodę na wspólne korzystanie z kozucha.

— Nie trać więc czasu na dyskusję z takim nieprzyjemnym insektem, elfie — rzekł wiedźmin, z trudem panując nad głosem. — Dziwi mnie, jak bardzo pragniesz w takiej wszy jak ja wzbudzić poczucie winy i skruchę. Jesteś żaloszny, Filavandrel. Jesteś rozgoryczony, spragniony zemsty i świadom własnej bezszy. Dalej, pchnij mnie mieczem. Zemścij się na całej ludzkiej rasie. Zobaczysz, jak ci ulży. Kopnij mnie przedtem w jaja lub w zęby, jak ta twoja Toruviel.

Filavandrel odwrócił głowę.

— Toruviel jest chora — powiedział.

— Znam tę chorobę i jej objawy — Geralt splunął przez ramię. — To, co jej zaaplikowałem, powinno pomóc.

— Rzeczywiście, ta rozmowa nie ma sensu — Filavandrel wstał. — Przykro mi, ale musimy was zabić. Zemsta nie ma tu nic do rzeczy, to rozwiązanie czysto praktyczne. Torque musi nadal wykonywać swoje zadania, a nikt nie ma prawa podejrzewać, dla kogo to robi. Nie stać nas na wojnę z wami, a na handel i wymianę nie damy się nabrać. Nie jesteśmy aż tak naiwni, by nie wiedzieć, czyją forpocztę stanowią wasi kupcy. Kto za nimi przychodzi. I jakiego rodzaju współżycie przynosi.

— Elfie — odezwał się cicho milczący do tej chwili Jaskier. — Mam przyjaciół. Ludzi, którzy dadzą za nas okup. Jeśli zechcesz, także w formie żywności. W każdej formie. Pomyśl o tym. Przecież te ukradzione nasiona was nie uratują. . .

— Nic ich już nie uratuje — przerwał mu Geralt. — Nie płaszcz się przed nim, Jaskier, nie błagaj go. To bezcelowe i pożałowania godne.

— Jak na kogoś, kto żyje tak krótko — uśmiechnął się wymuszenie Filavandrel — wykazujesz zaskakującą pogardę śmierci, człowieku.

— Raz matka rodziła i raz się umiera — powiedział spokojnie wiedźmin. — Filozofia w sam raz dla wszy, prawda? A twoja długowieczność? Żal mi ciebie, Filavandrel.

Elf uniósł brwi.

— Wyjaśnij, dlaczego.

— Jesteście żałośnie śmieszni, wy, z ukradzionymi woreczkami nasion na jucznych koniach, z garstką ziarna, z tą odrobiną, dzięki której chcecie przetrwać. I z tą waszą misją, która ma odwrócić wasze myśli od bliskiej zagłady. Bo ty przecież wiesz, że to już koniec. Nic nie wzejdzie i nie urodzi się na płaskowyżach, nic was już nie uratuje. Ale jesteście długowieczni, będziecie żyli długo, bardzo długo, w arogancko wybranej izolacji, coraz mniej liczni, coraz słabsi, coraz bardziej zgorzkniali. I ty wiesz, co się wówczas stanie, Filavandrel. Wiesz, że wtedy zrozpaczeni młodzieńcy o oczach stuletnich starców i dziewczyny, przekwitłe, jałowe i chore, takie jak Toruviel, poprowadzą w doliny tych, którzy jeszcze będą mogli utrzymać w garści miecze i łuki. Zejdziecie w kwitnące doliny na spotkanie ze śmiercią, pragnąc umierać godnie, w walce, a nie na barłogach, na które powalą was anemia, gruźlica i szkorbut. Wtedy, długowieczny Aén Seidhe, przypomnisz sobie mnie. Przypomnisz sobie, że było mi cię żal. I zrozumiesz, że miałem rację.

— Czas pokaże, kto miał rację — rzekł cicho elf. — I tu tkwi przewaga długowieczności. Ja mam szansę się o tym przekonać. Choćby dzięki tej ukradzionej garstce ziarna. Ty takiej szansy mieć nie będziesz. Umrzesz za chwilę.

— Oszczędź chociaż jego — Geralt wskazał Jaskra ruchem głowy — Nie, nie z patetycznego miłosierdzia. Z rozsądku. O mnie nikt się nie upomni, ale jego będą chcieli pomścić.

— Marnie oceniasz mój rozsądek — powiedział z ociąganiem elf. — Jeśli on przeżyje dzięki tobie, bez wątpienia poczuje się w obowiązku pomścić cię.

— Możesz być pewien! — wybuchnął Jaskier, blady jak śmierć. — Możesz być pewien, sukinsynu. Zabij mnie też, bo obiecuję ci, w innym razie poderwę przeciw wam cały świat. Zobaczysz, na co stać wszy z kozucha! Wykończymy was, choćbyśmy mieli zrównać z ziemią te wasze góry! Możesz być tego pewien!

— Aleś ty głupi, Jaskier — westchnął wiedźmin.

— Raz matka rodziła i raz się umiera — rzekł hardo poeta, przy czym efekt hardości psuły nieco zęby dzwoniące jak kastaniety.

— To przesądza sprawę — Filavandrel wyjął rękawice z za pasa i naciągnął je. — Czas zakończyć ten epizod.

Na jego krótki rozkaz elfy z łukami ustawiły się naprzeciw. Zrobiły to szybko, najwyraźniej czekały na to już od dawna. Jeden, jak zauważył wiedźmin, wciąż jeszcze żuł rzepę. Toruviel, z ustami i nosem zabandażowanymi na krzyż pasami tkaniny i brzozewej kory, stanęła obok łuczników. Bez łuku.

— Zawiązać wam oczy? — spytał Filavandrel.

— Odejść — wiedźmin odwrócił głowę. — Idź sobie...

— A d'yeabl aép arse — dokończył Jaskier, dzwoniąc zębami.

— O, nie! — zabeczał nagle diabeł, podbiegając i zasłaniając sobą skazańców. — Rozum wam odjęło? Filavandrel! Nie tak się umawialiśmy! Nie tak! Miałeś ich wywieźć w góry, przetrzymać gdzieś w jaskiniach, dopóki nie skończymy tu...

— Torque — powiedział elf. — Nie mogę. Nie mogę ryzykować. Widziałeś, co on zrobił Toruviel, związany? Nie mogę ryzykować.

— Nie obchodzi mnie, co możesz, a czego nie! Co wy sobie wyobrażacie? Sądzicie, że pozwolę wam na mord? Tu, na mojej ziemi? Tuż obok mojej osady? Wy przekłęci durnie! Zabierajcie się stąd razem z waszymi łukami, bo was na rogi wezmę, uk, uk!

— Torque — Filavandrel oparł ręce o pas. — To, co musimy zrobić, to konieczność.

— Dūvvelsheyss, a nie konieczność!

— Odejdź na bok, Torque.

Koźloróg potrząsnął uszami, zabecztał jeszcze głośniejszym, wybałuszył oczy i zgiął łokieć w popularnym wśród krasnoludów obelżywym geście.

— Nie będziecie tu nikogo mordować! Wsiadajcie na konie i wynoście się w góry, za przełęcz! W przeciwnym razie musicie zabić i mnie!

— Bądź rozsądny — powiedział wolno białowłose elf. — Jeżeli zostawimy ich przy życiu, ludzie dowiedzą się o tobie, o tym, co robisz. Dopadną cię i zamęczą. Znasz ich przecież.

— Znam — beknął diabeł, wciąż zasłaniając sobą Geralta i Jaskra. — Wychodzi na to, że znam ich lepiej niż was! I nie wiem, zaiste, z kim lepiej trzymać! Żałuję, że się z wami sprzymierzyłem, Filavandrel!

— Sam tego chciałeś — rzekł zimno elf, dając znak łucznikom. — Sam tego chciałeś, Torque. L'sparelleán! Evellienn!

Elfy wyciągnęły strzały z kołczanów.

— Odejdź, Torque — rzekł Geralt, zaciskając zęby. — To nie ma sensu. — Odejdź na bok.

Diabeł, nie ruszając się z miejsca, pokazał mu krasnoludzki gest.

— Słyszę... muzykę... — zaszlochał nagle Jaskier.

— To się zdarza — rzekł wiedźmin, patrząc na groty strzał. — Nie przejmuj się. To żaden wstyd zgłupieć ze strachu.

Twarz Filavandrela zmieniła się, skurczyła w dziwnym grymasie. Białowłose Seidhe odwrócił się gwałtownie krzyknął na łuczników, krótko, urwanie. Łucznicy opuścili broń.

Na polanę weszła Lille.

To nie było już chude wiejskie dziewczę w zgrzebnej sukieneczce. Przez porastającą polanę trawy szła — nie, nie szła — płynęła ku nim Królowa, promienna, złotowłosa, płomiennooka, zachwycająca Królowa Pól udekorowana girlandami kwiatów, kłosów, pęków ziół. U jej lewego boku dreptał na sztywnych nogach jelonek, u prawego szeleścił wielki jeź.

— Dana Méadbh — powiedział z czcią Filavandrel. A potem pochylił głowę i uklęknął.

Klęknęły też pozostałe elfy, powoli, jakby z ociąganiem jeden po drugim padały na kolana, pochylały głowy nisko, z czcią. Ostatnią, która uknęła, była Toruviel.

— Haél, Dana Méadbh — powtórzył Filavandrel.

Lille nie odpowiedziała na pozdrowienie. Zatrzymała się kilka kroków przed elfem, powiodła błękitnym spojrzeniem po Jaskrze i Geralcie. Torque, choć również pochylony, zgięty w ukłonie, natychmiast zabrał się do rozcinania więzów. Żaden z Seidhe nie poruszył się.

Lille wciąż stała przed Filavandrelem. Nie odezwała się, nie wydała najmniejszego dźwięku, ale wiedźmin widział zmiany na twarzy elfa, wyczuwał otaczającą ich aurę i nie miał wątpliwości, że między parą dokonywała się wymiana myśli. Diabeł pociągnął go nagle za rękaw.

— Twój przyjaciel — zabecztał cicho — zdecydował się zemdleć. Rychło w czas. Co robić?

— Daj mu parę razy po gębie.

— Z rozkoszą.

Filavandrel wstał z kolan. Na jego rozkaz elfy błyskawicznie rzuciły się siodłać konie.

— Chodź z nami, Dana Meabdh — powiedział białowłosy elf. — Jesteś nam potrzebna. Nie opuszczaj nas, Odwieczna. Nie pozbawiaj nas twej miłości. Zginieemy bez niej.

Lille wolno pokręciła głową, wskazała na wschód, w stronę gór. Elf skłonił się, mnąc w dłoni zdobione wodze swego białogrzywego wierzchowca.

Podszedł Jaskier, błądy i oniemiały, podtrzymywany przez silvana. Lille spojrzała na niego, uśmiechnęła się. Popatrzyła w oczy wiedźmina, patrzyła długo. Nie powiedziała ani słowa. Słowa nie były potrzebne.

Większość elfów była już w siodłach, gdy zbliżyli się Filavandrel i Toruviel. Geralt spojrzał w czarne oczy elfki widoczne znad bandaży.

— Toruviel... — zaczął. I nie dokończył.

Elfka kiwnęła głową. Zdjęła z łęku siodła lutnię, wspaniały instrument z lekkiego, kunsztownie intarsjowanego drewna, ze smukłym, rzeźbionym gryfem. Bez słowa wręczyła lutnię Jaskrowi. Poeta przyjął instrument, skłonił się. Również bez słowa, ale jego oczy mówiły wiele.

— Żegnaj, dziwny człowieku — powiedział cicho Filavandrel do Geralta. — Masz rację. Słowa nie są potrzebne. Niczego nie zmieniaj.

Geralt milczał.

— Po dłuższym zastanowieniu — dodał Seidhe — doszedłem do wniosku, że miałaś słusność. Wtedy, gdy było ci nas żal. Do zobaczenia zatem. Do zobaczenia wkrótce, w dniu, w którym zejdziemy w doliny, by umierać z godnością. Będziemy wówczas rozglądać się za tobą, ja i Toruviel. Nie zawieź nas.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. A potem wiedźmin odpowiedział krótko i prosto:

— Postaram się.

* * *

— Na bogów, Geralt — Jaskier przestał grać, przytulił lutnię, dotknął jej policzkiem. — To drewno samo śpiewa! Te struny żyją! Co za cudowny ton! Cholera, za tę luteńkę parę kopniaków i trochę strachu to bardzo niska cena. Pozwoliłbym się kopać od świtu do zmierzchu, gdybym wiedział, co dostanę. Geralt? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

— Trudno was nie słyszeć — wiedźmin uniósł głowę znad księgi, spojrzął na diabła, który nadal zajadle piskał na dziwacznej fujarce zmontowanej z kawałków trzciny o różnej długości. — Słyszę was, cała okolica was słyszy.

— Düvvlsheyss, a nie okolica — Torque odłożył fujarkę. — Pustkowie i tyle. Dzicz. Zadupie. Ech, żal mi moich konopi!

— Konopi mu żal — zaśmiał się Jaskier, ostrożnie podkrecając misternie rzeźbione kołki lutni. — Trzeba było siedzieć w gąszczu jak mysz pod miotłą, zamiast straszyć dziewczki, niszczyć groble i paskudzić w studnie. Myślę, że teraz będziesz ostrożniejszy i zaniechasz figli, co, Torque?

— Ja lubię figle — oświadczył diabeł, szczerząc zęby. — I życia sobie bez nich nie wyobrażam. Ale niech wam będzie, obiecuję, że na nowych terenach będę ostrożniejszy. Będę figlował powściągliwiej.

Noc była pochmurna i wietrzna, wicher kładł trzciny, szumiał w gałęziach krzewów, wśród których rozłożyli obóz. Jaskier dorzucił chrustu do ognia. Torque wiercił się na legowisku, opędzając ogonem od komarów. W jeziorze z pluskiem rzuciła się ryba.

— Całą naszą wyprawę na kraniec świata opiszę w balladzie — oświadczył Jaskier. — I ciebie też w niej opiszę, Torque.

— Nie myśl, że ci to ujdzie na sucho — warknął diabeł. — Ja wtedy też napiszę balladę i opiszę ciebie, i to tak, że przez dwanaście lat nie będziesz się mógł pokazać w przyzwoitym towarzystwie. Uważaj tedy Geralt?

— Co?

— Wyczytałeś coś ciekawego w tej księdze, którą niecznie wyłudziłeś od kmiotków?

— Owszem.

— To przeczytaj i nam, póki się jeszcze ogień nie wypalił.

— Tak, tak — Jaskier zabrzączał na dźwięcznych strunach lutni Toruviel. — Przeczytaj, Geralt.

Wiedźmin oparł się na łokciu, przysuwając księgę bliżej ogniska.

— Ujrzyć ją można — zaczął — letnim czasem, od Dni Maja i Czerwca aż po dni Paźdźierza, ale najczęściej zdarza się to we Święto Sierpu, które prastarzy zwali: „Lammas”. Objawia się ona jako Panna Jasnowłosa, we kwiatkach cała, a wszystko, co żywe, podąża za nią i lgnie do niej, zajedno, zielenie czy zwierzę. Dlatego i imię jej jest Żywia. Prastarzy zwą ją: „Danamebi” i czczą ją wielce. Nawet Brodaci, chociaż we wnętrzu gór, nie wśród pól mieszkają, szanują ją i imionują: „Bloëmenmagde”.

— Danamebi — mruknął Jaskier. — Dana Meabdh, Panna Polna.

— Kiedy Żywia stąpnie, ziemia kwitnie i rodzi, i bujnie lęgnie się wszelaki stwór, taka jej moc. Ludy wszystkie ofiary jej składają z urodzaju, w nadziei płonnej, że ich, nie cudzą dziedzinę Żywia odwiedzi. Bo mówią też, że kiedyś na koniec osiadzie Żywia wśród tego ludu, który się nad inne wybije, ale są to, ot, babskie bajki. Bo prawie mędracy powiadają, że Żywia ziemię jeno kocha i to, co rośnie na niej i żyje, jednak, bez różnicy, płonka to najmniejsza czy robak najlichszy, a ludy wszelkie dla niej nie więcej znaczą niżli owa najchudsza płonka, bo przecie i tak przeminą kiedyś, a nowe po nich, inne przyjdą plemiona. A Żywia wieczną jest, była i będzie, zawsze, po koniec wieków.

— Po koniec wieków! — zaśpiewał trubadur i zabrzączał na lutni. Torque dołączył się wysokim trelem na swej trzciniowej piszczałce. — Bądź pozdrowiona, Panno Polna! Za urodzaj, za kwiaty w Dol Blathanna, ale i za skórę niżej podpisanego, którą ocaliłaś przed podziurawieniem grotami strzał. Wiecie, coś wam powiem.

Przestał grać, objął lutnię jak dziecko i posmutniał.

— Chyba nie wspomnę w balladzie o elfach i o trudnościach, z jakimi przyszło im się borykać. Nie zabrakłoby mętów chętnych do ruszenia w góry... Po co przyspieszać...

Trubadur zamilkł.

— Dokończ — rzekł gorzko Torque. — Chciałeś powiedzieć: przyspieszać to, co nieuchronne. Nieuniknione.

— Nie mówmy o tym — przerwał Geralt. — Po co o tym mówić? Słowa nie są potrzebne. Bierzcie przykład z Lille.

— Komunikowała się z elfem telepatycznie — mruknął bard. — Czułem to. Prawda, Geralt? Ty przecież wyczuwasz taką komunikację. Pojąłeś, o czym... Co przekazywała elfowi.

— Co nieco.

— O czym mówiła?

— O nadziei. O tym, że wszystko się odnawia i nie przestanie odnawiać.

— Tylko tyle?

— Wystarczyło.

— Hm... Geralt? Lille mieszka we wsi, wśród ludzi. Czy sądzisz, że...

— ... że wśród nich zostanie? Tu, w Dol Blathanna? Może. Jeżeli...

— Jeżeli co?

— Jeżeli ludzie okażą się tego godni. Jeżeli kraniec świata pozostanie krańcem świata. Jeżeli będziemy respektować granicę. No, dość tego gadania, chłopcy. Czas spać.

— Prawda. Północ blisko, ogień przygasa. Posiedzę jeszcze, zawsze najlepiej układało mi się rymy przy dogasającym ogniu. A potrzebuję dla mojej ballady tytułu. Ładnego tytułu.

— Może „Kraniec świata”?

— Banalne — parsknął poeta. — Nawet jeśli to faktycznie kraniec, trzeba to miejsce określić inaczej. Metaforycznie. Zakładam, że wiesz, co to metafora, Geralt? Hm... Niech pomyślę... „Tam, gdzie...” Cholera. „Tam, gdzie...”

— Dobranoc — powiedział diabeł.

Głos rozsądku VI

Wiedźmin rozsznurował koszulę, odkleił mokry len od karku. W jaskini było bardzo ciepło, wręcz gorąco, w powietrzu wisiała ciężka, mokra para skraplająca się na omszałych głazach i bazaltowych płytach ścian.

Wszędzie dookoła były rośliny. Wyrastały z wykutych w podłożu, wypełnionych torfem zagłębień, z wielkich skrzyń, koryt i donic. Pięły się po skałach, po drewnianych rusztowaniach i tyczkach. Geralt przyglądał się ciekawie, rozpoznając niektóre rzadkie okazy — te, które wchodziły w skład wiedźmińskich leków i eliksirów, magicznych filtrów i czarodziejskich dekoktów. I inne, jeszcze rzadsze, których właściwości mógł się jedynie domyślać. I takie, których w ogóle nie znał i nawet o nich nie słyszał. Widział oblepiające ściany jaskini połączenie gwiezdolistnego nostrixu, wylewające się z ogromnych donic zbite kule dętogłowu, pędy arenarii obsypane jagodami czerwonymi jak krew. Rozpoznawał mięsiste, grubo żyłkowane liście skorocelu, bordowożłote owale niezmiaru i ciemne strzałki piłorytki. Dostrzegał przytulony do kamiennych brył pierzasty mech stawikrew, połyskujące bulwy wroniego oka i tygrysio prążkowane płatki storczyka mysichwosta.

W zacienionej części grotu wyrzuszały się czapy grzyba szytnaćca, szare jak polne kamienie. Nie opodal rósł sięzygron, ziele zdolne zneutralizować każdą znaną toksynę lub jad. Wystające z wpuszczonych w grunt, głębokich skrzyń żółtoszare, niepozorne miotełki zdradzały ranog, korzeń o silnych i uniwersalnych właściwościach leczniczych.

Środek jaskini zajmowały rośliny wodne. Geralt widział kadzie pełne rogatka i żółwiowej rzęsy i baseny pokryte zbitym kozuchem wgłębki, pożywki dla pasożytniczego ostrzyżu. Szklane zbiorniki pełne pokręconych kłaczy halucynogennego dwugrotu, smukłych ciemnozielonych kryptokoryn i kłębów nicieńców. Błotniste, zamulone koryta, hodowle niezliczonych pleśniaków, glonów, pleśni i bagiennych porostów.

Nenneke, zakasawszy rękawy kapłańskiej szaty, wyjęła z koszyka nożyce i kościane grabki i bez słowa przystąpiła do pracy. Geralt przysiadł na ławeczce pomiędzy słupami światła wpadającego przez wielkie kryształowe płyty w sklepieniu jaskini.

Kapłanka mruczała i nuciła pod nosem, zwinnie zagłębiając ręce w gęstwinę liści i pędów, szybko szczękała nożycami, zapełniała koszyk pękami zielska. Poprawiała podtrzymujące rośliny tyczki i ramki, od czasu do czasu wzruszała ziemię trzonkiem grabek. Niekiedy, mamrocząc gniewnie, wrywała zeschnięte lub przegniłe łodyżki, ciskała je do zbiorników humusu na pożywkę dla grzybów i innych, łuskowatych i węzowo skręconych roślin, których wiedźmin nie znał. Nie był nawet pewien czy w ogóle były to rośliny — wydawało mu się, że połyskujące kłacza poruszały się lekko, wyciągając w stronę rąk kapłanki włosowate odnóżki.

Było ciepło. Bardzo ciepło.

— Geralt?

— Słucham — zwalczył ogarniającą go senność. Nenneke, bawiąc się nożycami, patrzyła na niego zza wielkich pierzastych liści muchokrzewu.

— Nie wyjeżdżaj jeszcze. Zostań. Kilka dni dłużej.

— Nie, Nenneke. Czas już ruszać mi w drogę.

— Co cię tak pędzi? Herewardem przejmować się nie musisz. A ten włóczyki Jaskier niech jedzie sam na złamanie karku. Zostań, Geralt.

— Nie, Nenneke.

Kapłanka szczęknęła nożycami.

— Czy dlatego tak ci spieszno, by opuścić świątynię, bo boisz się że ona cię tu odnajdzie?

— Tak — przyznał nie bez oporów. — Zgadłaś.

— To nie była bynajmniej trudna zagadka — mruknęła. — Ale uspokój się. Yennefer była tu już. Dwa miesiące temu. Nie wróci tak prędko, bo pokłóciłyśmy się. Nie, nie o ciebie, o ciebie nawet nie pytała.

— Nie pytała?

— Tu cię boli — zaśmiała się kapłanka. — Jesteś egocentrykiem jak każdy mężczyzna. Nie ma niczego gorszego niż brak zainteresowania, prawda? Niż obojętność? Ale nie, nie załamuj się. Znam Yennefer za dobrze. Nie pytała o nic, ale rozglądała się bacznie, szukając tu twoich śladów. A jest na ciebie potężnie wściekła, wyczułam to.

— O co się pokłóciłyście?

— O nic, co mogłoby cię obchodzić.

— I tak wiem.

— Nie sądzę — rzekła spokojnie Nenneke, poprawiając tyczki. — Twoja wiedza o niej jest bardzo powierzchowna. Jej wiedza o tobie, nawiasem mówiąc, również. To dość typowe dla związku, jaki was łączy lub łączył. Obydwojga nie stać na nic oprócz silnie emocjonalnej oceny skutków przy jednoczesnym ignorowaniu przyczyn.

— Ona była tu, aby próbować się leczyć — stwierdził chłodno. — O to się pokłóciłyście, przyznaj.

— Niczego nie przyznam.

Wiedźmin podniósł się, stanął w pełnym świetle, pod jedną z kryształowych tafli w sklepieniu grotu.

— Pozwól tu na moment, Nenneke. Rzuć na to okiem.

Rozsuptał tajną kieszonkę w pasie, wydobył maleńkie zawiniątko, miniaturową sakieweczkę z koziej skóry, wysypał zawartość na dłoń.

— Dwa diamenty, rubin, trzy ładne nefryty, interesujący agat. — Nenneke znała się na wszystkim. — Ile cię kosztowały?

— Dwa i pół tysiąca temerskich orenów. Zapłata za strzygę z Wyzimy.

— Za poszarpaną szyję — skrzywiła się kapłanka. — Cóż, kwestia ceny. Ale dobrze zrobiłeś, obracając gotówkę w te świecidełka. Oren stoi słabo, a ceny kamieni w Wyzimie nie są wysokie, za blisko do krasnoludzkich kopalni w Mahakamie. Jeśli sprzedasz te kamyki w Novigradzie, dostaniesz co najmniej pięćset novigradzkich koron, a korona to obecnie sześć i pół orena i zwyżkuje.

— Chciałbym, żebyś to wzięła.

— W depozyt?

— Nie. Nefryty zachowaj dla świątyni jako, dajmy na to, moją ofiarę dla bogini Melitele. A pozostałe kamienie... są dla niej. Dla Yennefer. Oddaj jej, gdy odwiedzi cię ponownie, co pewnie stanie się niebawem.

Nenneke spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie robiłabym tego na twoim miejscu. Wierz mi, rozwścieczysz ją jeszcze bardziej, o ile można bardziej. Zostaw wszystko tak, jak jest, bo niczego już nie jesteś w stanie ani poprawić, ani polepszyć. Uciekając od niej zachowałeś się... no, nazwijmy to, w sposób niespecjalnie godny dojrzałego mężczyzny. Próbując zmywać własną winę klejnotami, zachowasz się jak mężczyzna mocno, mocno przejrzały. Naprawdę nie wiem, którego typu mężczyzn gorzej nie znoszę.

— Była zbyt zaborcza — mruknął, odwracając twarz. — Nie mogłem tego znieść. Traktowała mnie jak...

— Przestań — powiedziała ostro. — Nie wyplakuj mi się na podołku. Nie jestem twoją matką, ile razy mam powtarzać? Twoją powiernicą też nie zamierzam być. Gównu mnie obchodzi, jak cię traktowała, a to, jak ty traktowałaś ją, obchodzi mnie jeszcze mniej. A pośredniczyć ani wręczać jej tych głupich kamyków nie mam najmniejszego zamiaru. Jeżeli chcesz być durniem, bądź nim bez mojego pośrednictwa.

— Nie zrozumiałaś mnie. Nie myślę jej przebłagiwać ani przekupywać. Jestem jej jednak coś winien, a kuracja, jakiej ona chce się poddać, jest podobno bardzo kosztowna. Chcę jej pomóc, to wszystko.

— Jesteś większym głupcem, niż myślałam — Nenneke podniosła koszyk z ziemi. — Kosztowna kuracja? Pomoc? Geralt, dla niej te twoje kamyczki to drobiazg nie warty plunięcia. Czy ty wiesz, ile Yennefer potrafi zainkasować za usunięcie ciąży u wielkiej damy?

— To akurat wiem. Jak i to, że za wyleczenie bezpłodności bierze jeszcze więcej. Szkoda, że sobie samej nie potrafi pomóc pod tym względem. Dlatego szuka pomocy u innych, także u ciebie.

— Jej nikt nie pomoże, to absolutnie niemożliwe. Jest czarodziejką. Jak większość magiczek ma zatrofizowane, zupełnie niewydolne gonady i to jest nieodwracalne. Nigdy nie będzie mogła mieć dziecka.

— Nie wszystkie czarodziejki są upośledzone pod tym względem. Wiem coś o tym, ty wiesz o tym również.

— Owszem — Nenneke zmrużyła oczy — Wiem.

— Nie może być regułą coś, od czego są wyjątki. Nie serwuj mi aby, proszę, banalnych nieprawd o wyjątkach, które reguły potwierdzają. Powiedz mi coś o wyjątkach jako takich.

— O wyjątkach — odrzekła chłodno — można powiedzieć wyłącznie jedno. Że są. Więcej nic. A Yennefer... Cóż, niestety, wyjątkiem nie jest. Przynajmniej nie pod względem upośledzenia, o którym mówimy Bo pod innymi względami trudno o większy wyjątek niż ona.

— Czarodziejom — Geralt nie przejął się chłodem ani aluzją — udawało się już wskrzeszać zmarłych. Znam udokumentowane przypadki. A wskrzeszanie zmarłych jest trudniejsze niż cofnięcie atrofii narządów lub organów, jak mi się zdaje.

— Źle ci się zdaje. Bo ja nie znam ani jednego udokumentowanego, w pełni udanego przypadku cofnięcia atrofii lub regeneracji gruczołów dokrewnych. Geralt, wystarczy już, to już zaczyna przypominać konsylium. Ty się na tym nie znasz, ja się znam. I jeżeli ci mówię, że Yennefer zapłaciła za pewne zdolności utratą innych, to tak jest.

— Jeżeli to aż tak oczywiste, nie rozumiem, dlaczego ona wciąż stara się... .

— Ty bardzo mało rozumiesz — przerwała kapłanka. — Cholernie mało. Przestań przejmować się dolegliwościami Yennefer, pomyśl o własnych. Twój organizm też poddano zmianom, które są nieodwracalne. Dziwisz się jej, a co powiesz o sobie samym? Dla ciebie też powinno być oczywiste, że nigdy nie będziesz człowiekiem, a przecież ciągle starasz się nim być. Popelniając ludzkie błędy. Błędy, których wiedźmin popełniać nie powinien.

Oparł się o ścianę jaskini, otarł pot z brwi.

— Nie odpowiadasz — stwierdziła fakt Nenneke, uśmiechając się lekko. — Nie dziwię się. Niełatwo dyskutuje się z głosem rozsądku. Ty jesteś chory, Geralt. Jesteś niepełnosprawny. Źle reagujesz na eliksiry. Masz przyspieszone tętno, zwolnioną akomodację oka, opóźnione reakcje. Nie wychodzą ci najprostsze Znaki. I ty chcesz ruszać na szlak? Ty musisz się leczyć. Konieczna jest terapia. A przed nią trans.

— To dlatego przysłałaś do mnie Iolę? W ramach terapii? Dla ułatwienia transu?

— Głupi jesteś!

— Nie aż tak.

Nenneke odwróciła się, wsunęła ręce pomiędzy mięsiste łodygi nie znanych wiedzminowi pnączy.

— No, niech ci będzie — rzekła swobodnie, — Tak, przysłałam ją do ciebie. W ramach terapii. I powiem ci, że się udało. Dużo lepiej reagowałeś nazajutrz. Byłeś spokojniejszy. Oprócz tego Iola też potrzebowała terapii. Nie złość się.

— Nie złość się na terapię ani na Iolę.

— Ale na głos rozsądku, który słyszysz?

Nie odpowiedział.

— Konieczny jest trans — powtórzyła Nenneke, obrzucając wzrokiem swój jaskiniowy ogródek. — Iola jest gotowa. Nawiązała z tobą kontakt fizyczny i psychiczny. Jeżeli chcesz wyjeżdżać, zrobmy to dziś w nocy.

— Nie. Nie chcę. Zrozum, Nenneke, w transie Iola może zacząć wieszczyć. Prorokować, czytać przyszłość.

— O to właśnie chodzi.

— Właśnie. A ja nie chcę znać przyszłości. Jak mógłbym robić to, co robię, gdybym ją znał? Zresztą, ja ją i tak znam.

— Jesteś pewien?

Nie odpowiedział.

— No, dobrze — westchnęła. — Chodźmy już. Aha, Geralt? Nie chcę być niedyskretna, ale powiedz mi. . . Powiedz, jak wyście się poznali? Ty i Yennefer? Jak to się zaczęło?

Wiedzmin uśmiechnął się.

— Zaczęło się od tego, że ja i Jaskier nie mieliśmy niczego na śniadanie i postanowiliśmy nałowić ryb.

— Mam rozumieć, że zamiast ryby złowiłeś Yennefer?

— Opowiem ci, jak to było. Ale może po wieczery, bo zgłodniałem nieco.

— Chodźmy więc. Mam już wszystko, czego potrzebowałam.

Wiedzmin ruszył do wyjścia, powiódł jeszcze raz wzrokiem po jaskiniowej cieplarni.

— Nenneke?

— Aha?

— Połowa z tego, co tu masz, to rośliny, które nie rosną już nigdzie na świecie. Nie myślę się, prawda?

— Nie mylisz się. Więcej niż połowa.

— Czym to wytłumaczyć?

— Jeśli powiem, że łaską bogini Melitele, pewnie ci to nie wystarczy?

— Pewnie nie.

— Tak sądziłem — Nenneke uśmiechnęła się. — Widzisz, Geralt, to nasze jasne słońce ciągle jeszcze świeci. Ale już nie tak, jak dawniej. Chcesz, poczytaj

sobie księgi. Jeżeli zaś nie chce ci się tracić na to czasu, to może zadowolę cię wyjaśnieniem, że kryształ, z którego zrobiony jest dach, działa jak filtr. Eliminuje zabójcze promienie, których coraz więcej w świetle słonecznym. Dlatego rosną tu rośliny, których nigdzie na świecie dziko rosnących nie zobaczysz.

— Zrozumiałem — kiwnął głową wiedźmin. — A my, Nenneke? Co z nami? Na nas też świeci słońce. Czy i my nie powinniśmy schronić się pod taki dach?

— W zasadzie powinniśmy — westchnęła kapłanka. — Ale...

— Ale co?

— Już za późno.

Ostatnie życzenie

Sum wystawił nad powierzchnię wąsaty łeb, targnął się z mocą, zachlapał, wzburzył wodę, błysnął białym brzuchem.

— Uważaj, Jaskier! — krzyknął wiedźmin, zapierając się obcasami w mokry piach. — Trzymaj, do cholery!

— Trzymam. . . — stęknął poeta. — Matko, ależ potwór! Lewiatan, nie ryba! Ale będzie jedzenia, bogowie!

— Popuszczaj, popuszczaj, bo linka pęknie!

Sum przymurował do dna, nagłym atakiem ruszył pod prąd, w kierunku zakola rzeki. Linka zasyczała, rękawice Jaskra i Geralta zadymiły.

— Ciągnij, Geralt, ciągnij! Nie popuszczaj, bo zapłacze się w korzenie!

— Linka pęknie!

— Nie pęknie! Ciągnij!

Zgarbili się, pociągnęli. Linka z sykiem cięła wodę, wibrowała, siała kropelkami połyskującymi jak rtęć w blasku wschodzącego słońca. Sum nagle wynurzył się, zakotłował pod samą powierzchnią, napięcie sznura zelżało. Zaczęli szybko wybierać luz.

— Uwędzimy go — zasapał Jaskier. — Zawieziemy do wsi i każemy uwędzić. A z łba ugotujemy zupę!

— Uważaj!

Czując pod brzuchem płyciznę, sum wywalił się z wody do połowy dwusążniowego cielska, targnął łbem, chlasnął płaskim ogonem i ostro runął w głębinę. Z rękawic zadymiło się ponownie.

— Ciągnij, ciągnij! Na brzeg go, sukinsyna!

— Linka aż trzeszczy! Popuść, Jaskier!

— Wytrzyma, nie bój się! Z łba. . . ugotujemy zupę. . .

Przywleczony znowu w pobliże plaży sum zakotłował się i zatargał wściekle, jakby na znak, że tak łatwo do garnka wsadzić się nie da. Bryzgi poleciały na szań w górę.

— Skórę sprzedamy. . . — Jaskier, zapierając się, ciągnął linkę oburącz, czerwony z wysiłku. — A wąsy. . . Z wąsów zrobimy. . .

Nikt nigdy nie dowiedział się, co też poeta zamierzał zrobić z sumich wąsów. Linka pękła z trzaskiem, a obaj rybacy, straciwszy równowagę, zwalili się na mokry piasek.

— A niech cię cholera! — wrzasnął Jaskier, aż echo zadudniło po wiklinach. — Tyle żarcia przypadło! A bodajbyś zdechł, sumi synu!

— Mówiłem — Geralt otrzepał spodnie. — Mówiłem, żeby nie ciągnąć na siłę. Spieprzyłeś sprawę, kolego. Rybak z ciebie jak z koziej rzyci trąba.

— Nieprawda — oburzył się trubadur. — To, że ten potwór w ogóle wziął, to moja zasługa.

— Ciekawe. Palcem nie kiwnąłeś, by pomóc mi zastawić sznur. Grałeś na lutni i darłeś gębę na całą okolicę, więcj nic.

— Mylisz się — wyszczerzył zęby Jaskier. — Bo widzisz, gdy zasnąłeś, zdjąłem z haka pędraki i zaczepiłem zdechłą wronę, którą znalazłem w krzakach. Chciałem rano zobaczyć twoją minę, gdy tę wronę wyciągniesz. A sum złapał się na wronę. Na twoje pędraki gównno by wzięło.

— Wzięło, wzięło — wiedźmin splunął do wody, nawijając sznur na drewniane widełki. — Ale się urwało, boś ciągnął jak kto głupi. Zamiast gadać, zwiń resztę sznurów. Słońce już wzeszło, pora w drogę. Idę się pakować.

— Geralt!

— Czego?

— Na drugim sznurze też coś jest. . . Nie, psiakrew, tylko się zaczepiło. Cholera, trzyma jak kamień, nie dam rady! Noo, poszło. . . Ha, ha, zobacz, co ciągnę! To chyba wrak szkuty z czasów króla Dezmoda! Ale wielkie gównno! Zobacz, Geralt!

Jaskier, rzecz jasna, przesadzał, wyciągnięty z wody kłęb przegniłych powrozków, resztek sieci i wodorostów był pokaźny, ale daleko mu było do rozmiarów szkuty z czasów legendarnego króla. Bard rozrzucił kłębowisko na plaży i zaczął grzebać w nim czubkiem buta. Wodorosty aż ruszały się od pijawek, kiełży i małych raczków.

— Ha! Popatrz, co znalazłem!

Geralt zbliżył się, zaciekawiony. Znalaziskiem okazał się obtłuczony kamionkowy dzban, coś w rodzaju dwuuczej amfory, zaplątany w sieć, czarny od zgniłych glonów, kolonu chruścików i ślimaków, ociekający śmierdzącym mułem.

— Ha! — zakrzyknął znowu dumnie Jaskier. — Czy ty wiesz, co to jest?

— Owszem. To jest stary garnek.

— Mylisz się — oświadczył trubadur, kawałkiem drewna odrapując z dzbana muszle i skamieniałą, zbryloną glinę. — To jest ni mniej, ni więcej, tylko zaklęty dzban. W środku zaś siedzi džinn, który spełni moje trzy życzenia.

Wiedźmin parsknął.

Możesz się śmiać — Jaskier dokończył odrapywania, schylił się i opłukał amforę. — Ale na czopie jest pieczęć, a na pieczęci czarodziejski znak.

— Jaki? Pokaż.

— A jużci — poeta ukrył dzbanek za plecami. — Jeszcze czego, chciałbyś. Ja to znalazłem i potrzebne mi są wszystkie życzenia.

— Nie ruszaj tej pieczęci! Zostaw to!

— Puść, mówię! To moje!

— Jaskier, uważaj!

— Akurat!

— Nie dotykaj! O, jasna cholera!

Z dzbanka, który podczas szamotaniny upadł na piasek, buchnął czerwony, świetlisty dym.

Wiedźmin odskoczył i rzucił się w stronę biwaku po miecz. Jaskier, skrzyżowawszy ręce na piersi, nawet nie drgnął.

Dym zatętnił, skupił się w nieregularną kulę wiszącą na wysokości głowy poety. Kula przybrała kształt karykaturalnej, beznosej głowy z wielkimi ślepiami i czymś w rodzaju dzioba. Głowa miała około sążnia średnicy.

— Dżinnie! — przemówił Jaskier, tupnąwszy nogą. — Ja cię wyzwoliłem i od nynie jam jest twym panem. Moje życzenia...

Głowa zakłapała dziobem, który nie był wcale dziobem, ale czymś na kształt obwisłych, zdeformowanych i zmiennokształtnych warg.

— Uciekaj! — wrzasnął wiedźmin. — Uciekaj, Jaskier!

— Moje życzenia — kontynuował poeta — są następujące Po pierwsze, niechaj co rychlej szlag trafi Valdo Marxa, trubadura z Cidaris. Po drugie, w Caelf mieszka hrabianka Virginia, która nie chce nikomu dać. Niech mnie da. Po trzecie...

Nikt nigdy nie dowiedział się, jakie było trzecie życzenie Jaskra. Potworna głowa wyłoniła z siebie dwie jeszcze potworniejsze łapy i chwyciła barda za gardło. Jaskier zaskrzeczał.

Geralt dopadł głowy w trzech skokach, zamachnął się srebrnym mieczem i ciał od ucha, przez środek. Powietrze zawyło, głowa buchnęła dymem i gwałtownie urosła, podwajając swą średnicę. Potworna paszcza, teraz również znacznie większa, rozwarła się, zakłapała i wizgnęła, łapy zatargały szarpiącym się Jaskrem i przygniotły go do ziemi.

Wiedźmin złożył palce w Znak Aard i władował w głowę maksymalną ilość energii, jaką udało mu się zmobilizować. Energia, materializując się w otaczającej głowę poświacie jako oślepiający promień, uderzyła w cel. Huknęło tak, że Geralta zakłuło w uszach, a od wsysanego przez implozję powietrza aż zaszumiały wikliny. Potwór zaryczał ogłuszająco, jeszcze bardziej urósł, ale puścił poetę, wzbił się w górę, zakołował, odleciał nad powierzchnię wody, wymachując łapami.

Wiedźmin rzucił się, by odciągnąć Jaskra leżącego bez ruchu. W tym momencie jego palce natrafiły na zagrzebany w piasku okrągły przedmiot.

Była to mosiężna pieczęć ozdobiona znakiem złamanego krzyża i dziewięcioramiennej gwiazdy.

Wisząca nad rzeką głowa nabrała już wielkości stogu siana. Rozwarta, rycząca paszcza przypominała zaś wrota stodoły średnich rozmiarów. Wyciągnąwszy łapska, potwór zaatakował.

Geralt, zupełnie nie wiedząc, co robić, ścisnął pieczęć w pięści i wystawiając rękę w kierunku napastnika, wyrzeszczał formułę egzorcyzmu, której nauczyła go kiedyś pewna kapłanka. Nigdy dotąd tej formuły nie używał, albowiem w zabobony pryncypialnie nie wierzył.

Efekt przeszedł jego oczekiwania.

Pieczęć zasyczała i rozgrzała się gwałtownie, parząc dłoń. Gigantyczna głowa zamarła w powietrzu, zawisała nieruchomo nad rzeką. Wisiała tak przez chwilę, wreszcie zawyła, zaryczała i rozwiła się w pulsujący kłęb dymu, w wielką, kłębiastą chmurę. Chmura zawizzała cienko i z niesamowitą prędkością pomknęła w górę rzeki, zostawiając na powierzchni wody wzburzoną smugę. W ciągu kilku sekund znikła w oddali, tylko woda niosła jeszcze czas jakiś ucichające wycie.

Wiedźmin przypadł do poety kulącego się na piasku.

— Jaskier? Żyjesz? Jaskier, cholera! Co z tobą?

Poeta zaszamotał głową, zatrzepał rękami i otworzył usta do wrzasku. Geralt wykrzywił się i zmrużył oczy — Jaskier miał szkolony, donośny tenor, a pod wpływem przestachu potrafił sięgnąć głosem niebywałych rejestrów. Ale tym, co wyrwało się z krtani barda, był ledwie słyszalny, ochrypty skrzek.

— Jaskier! Co z tobą? Odezwij się!

— Hhhh... eeee... khee... khhuurwa...

— Boli cię coś? Co z tobą? Jaskier!

— I Ihhh... Khuu... .

— Nic nie mów. Jeśli wszystko w porządku, kiwnij głową.

Jaskier wykrzywił się i z wielkim trudem kiwnął, a natychmiast po tym przekreślił się na bok, zwinął i zwymiotował krwią, dusząc się i kaszląc.

Geralt zaklął.

* * *

— Na bogów! — strażnik cofnął się i opuścił latarnię. — Co z nim?

— Przepuść nas, dobry człowieku — rzekł cicho wiedźmin, podtrzymując skulonego w siodle Jaskra. — Spieszno nam. Przecież widzisz.

— Widzę — przełknął ślinę strażnik, patrząc na bladą twarz poety i jego zachlapaną czarną skrzeplą krwią podbródek. — Ranny? Paskudnie to wygląda, panie.

— Spieszę się — powtórzył Geralt. — Jesteśmy w drodze od świtania. Przepuśćcie nas, proszę.

— Nie możemy — powiedział drugi strażnik. — Przez bramę tylko od wschodu do zachodu słońca. Po nocy nie lza. Taki rozkaz. Nie lza nikomu, chyba że ze znakiem od króla albo burmistrza. Albo jeśli herbowy szlachcic.

Jaskier zaskrzeczał, skulił się jeszcze bardziej, opierając czoło o grzywę konia, zadygotał, zatrząsł się, szarpnął w suchym wymiotnym odruchu. Po rozgałęzionym, zakrzepłym deseniu na szyi wierzchowca pociekła kolejna strużka.

— Ludzie — powiedział Geralt najspokojniej jak umiał. — Przecież widzicie, że źle z nim. Muszę znaleźć kogoś, kto go wyleczy. Przepuście nas, proszę.

— Nie proście — strażnik wsparł się na halabardzie. — Rozkaz jest rozkaz. Przepuszczę was, to pójdę pod pręgierz i pogonią mnie precz ze służby, co wtedy dzieciakom dam jeść? Nie, panie, nie mogę. Ściągnijcie druha z konia i dajcie go do izby do barbakanu. Opatrzmy go, do świtu wytrzyma, jeśli tak mu pisane. To już niedługo.

— Tu nie wystarczy opatrunek — zgrzytnął zębami wiedźmin. — Potrzebny jest uzdrowiciel, kapłan, zdolny medyk. . .

— Takowego i tak po nocy nie zbudzilibyście — rzekł drugi strażnik. — Tyle dla was możemy uczynić, byście nie musieli do świtania pod bramą koczować. W izbie ciepło, a i złożyć rannego też będzie na czym, lekcej mu będzie niżli na kulbace. Dajcie, pomożemy wam ściągnąć go z konia.

W izbie wewnątrz barbakanu rzeczywiście było ciepło, duszno i przytulnie. Ogień wesoło trzaskał w kominie, a za kominem zajadle ćwierkotał świerszcz.

Przy ciężkim, kwadratowym stole zastawionym dzbanami i talerzami siedziało trzech mężczyzn.

— Wybaczcie, wielmożni — powiedział podtrzymujący Jaskra strażnik — że wam przeszkadzamy. . . Tuszę, nie będziecie przeciwni. . . Ten tu rycerz, hmm. . . I drugi, ranion, tedy myślałem. . .

— Dobrze myślałeś — jeden z mężczyzn odwrócił ku nim szczupłą, ostrą, wyrazistą twarz, wstał. — Dalej, kładźcie go na wyrko.

Mężczyzna był elfem. Podobnie jak drugi, siedzący przy stole. Obaj, jak wskazywało ich odzienie, będące charakterystyczną mieszanką ludzkiej i elfiej mody, byli elfami osiadłymi, zasymilowanymi. Trzeci mężczyzna, z wyglądu najstarszy, był człowiekiem. Rycerzem, wnosząc z ubioru i szpakowatych włosów obciętych tak, by pasowały pod hełm.

— Jestem Chireadan — przedstawił się wyższy z elfów, ten o wyrazistej twarzy. Jak zwykle u przedstawicieli Starszego Ludu, nie sposób było ocenić jego wieku, mógł równie dobrze mieć dwadzieścia jak i sto dwadzieścia lat. — A to mój krewniak Errdil. Ten zaś szlachcic to rycerz Vratimir.

— Szlachcic — mruknął Geralt, ale uważniejsze spojrzenie na herb wyhaftowany na tunice rozwiało jego nadzieje: czterodzielna tarcza ze złotymi liliami przecięta była na skos srebrnym balkiem. Vratimir pochodził nie tylko z nieprawego łoża, ale i z mieszanego, ludzko-nieludzkiego związku. Jako taki, choć

herbowy, nie mógł uważać się za pełnoprawnego szlachcica i niewątpliwie nie przysługiwał mu przywilej przekraczania bram miasta po zmierzchu.

— Niestety — uwadze elfa nie uszło spojrzenie wiedźmina — i my musimy czekać tu na świt. Prawo nie zna wyjątków, przynajmniej nie dla takich jak my Zapraszamy do kompanii, panie rycerzu.

— Geralt z Rivii — przedstawił się wiedźmin. — Jestem wiedźminem, nie rycerzem.

— Co z nim? — Chireadan wskazał na Jaskra, którego tymczasem strażnicy złożyli na barłogu. — Wygląda to na zatrucie. Jeżeli to zatrucie, mogę mu pomóc. Mam przy sobie dobre lekarstwo.

Geralt usiadł, po czym szybko zdał ogólną relację z wydarzenia nad rzeką. Elfy popatrzyły po sobie. Szpakowaty rycerz postrzykał śliną przez zęby, marszcząc twarz.

— Niesamowite — rzekł Chireadan. — Co to mogło być?

— Dżinn z butelki — mruknął Vratimir. — Jak w baśni. . .

— Niezupełnie — Geralt wskazał na skurczonego na wyrku Jaskra. — Nie znam żadnej baśni, która tak by się kończyła.

— Obrażenia tego biedaka — powiedział Chireadan — są ewidentnie magicznej natury. Obawiam się, że moje medykamenty nie na wiele się zdadzą. Ale mogę mu przynajmniej ulżyć w cierpieniu. Dawałeś mu już jakiś lek, Geralt?

— Elik sir przeciwbólowy.

— Chodź, pomożesz mi. Podtrzymasz mu głowę.

Jaskier wypił chciwie zmieszane z winem lekarstwo, zakrztusił się ostatnim łykiem, zarzęził, opluł skórzaną poduszkę.

— Ja go znam — powiedział drugi z elfów, Errdil. — To Jaskier, trubadur i poeta. Widziałem go kiedyś, gdy śpiewał na dworze króla Ethaina w Cidaris.

— Trubadur — powtórzył Chireadan, patrząc na Geralta. — Niedobrze. Bardzo niedobrze. On ma porażone mięśnie szyi i krtań. Zaczynają się zmiany w strunach głosowych. Trzeba jak najszybciej przerwać działanie czaru, bo inaczej. . . To może być nieodwracalne.

— To znaczy. . . Czy to znaczy, że nie będzie mógł mówić?

— Mówić, tak. Może. Ale nie śpiewać.

Geralt, nie mówiąc ani słowa, usiadł przy stole, oparł czoło na zaciśniętych pięściach.

— Czarodziej — powiedział Vratimir. — Konieczny jest lek magiczny lub zaklęcie uzdrawiające. Musisz go zawieźć do jakiegoś innego miasta, wiedźminie.

— Jak to? — Geralt uniósł głowę. — A tu, w Rinde? Nie ma tu czarodzieja?

— W całej Redanii trudno o magików — rzekł rycerz. — Prawda, panowie elfy? Od czasu, gdy król Heribert nałożył zbójcecki podatek na czary, magicy bojkotują stolicę i te miasta, które są gorliwe w wypełnianiu królewskich zarządzeń.

A rajcy z Rinde, jak słyshałem, słyńą z gorliwości w tej mierze. Prawda? Chireadan, Errdil, mam rację?

— Masz — potwierdził Errdil. — Ale... Chireadan, można?

— Nawet trzeba — rzekł Chireadan, patrząc na wiedźmina. — Nie ma co robić z tego tajemnicy, i tak wszyscy o tym wiedzą, całe Rinde. W mieście, Geralt, bawi chwilowo pewna czarodziejka.

— Zapewne incognito?

— Niezbyt — uśmiechnął się elf. — Osoba, o której mówię, to wielka indywidualistka. Lekceważy zarówno bojkot, którym Rada Czarodziejów obłożyła Rinde, jak i zarządzenia tutejszych rajców, a wychodzi na tym znakomicie, bo bojkot powoduje, że jest tu ogromny popyt na magiczne usługi. Oczywiście, czarodziejka nie płaci żadnego podatku.

— A rada miejska to toleruje?

— Czarodziejka mieszka w rezydencji pewnego kupca, faktora handlowego z Novigradu, który jest jednocześnie tytułarnym ambasadorem. Nikt nie może jej tam ruszyć. Jest w azylu.

— To bardziej areszt domowy niż azyl — poprawił Errdil. — Ona jest tam praktycznie uwięziona. Ale nie narzeka na brak klientów. Bogatych klientów. Na rajców demonstracyjnie bimba, urządza bale i hulanki...

— Rajcy zaś wściekają się, podburzają przeciw niej kogo zdołają, psują jej opinię jak mogą — dodał Chireadan. — Rozpuszczają o niej obrzydliwe plotki, pewnie w nadziei że hierarcha z Novigradu zabroni kupcowi udzielać jej azylu.

— Nie lubię pchać palców między takie drzwi — mruknął Geralt. — Ale nie mam wyboru. Jak nazywa się ten kupiec — ambasador?

— Beau Berrant. — Wiedźminowi wydało się, że Chireadan skrzywił się, wymieniając nazwisko. — Cóż, rzeczywiście, to twoja jedyna szansa. A raczej jedyna szansa tego biedaka, który jęczy tam na łóżku. Ale czy czarodziejka zechce ci pomóc... Nie wiem.

— Uważaj, gdy będziesz tam szedł — rzekł Errdil. — Szpicle burmistrza obserwują dom. Gdyby cię zatrzymali, wiesz, co robić. Pieniądz otwiera wszelkie drzwi.

— Pójdę, gdy tylko otworzą bramy. Jak nazywa się czarodziejka?

Geraltowi wydało się, że dostrzega na wyrazistej twarzy Chireadana lekki rumieniec. Ale mógł to być wyłącznie odbłask ognia z komina.

— Yennefer z Vengerbergu.

* * *

— Pan śpi — powtórzył odźwierny, patrząc na Geralt z góry. Był wyższy o głowę i blisko dwukrotnie szerszy w barach. — Głuchy jesteś, włóczęgo? Pan śpi, mówię.

— A niech sobie śpi — zgodził się wiedźmin. — Mam interes nie do twojego pana, ale do damy, która tu przebywa.

— Masz interes, powiadasz — odźwierny, jak się okazało, był człowiekiem dowcipnym, co zadziwiało u kogoś tej postury i aparycji. — To idź, powsinogo, do zamtuza i zrób z niego użytek. Wynocha.

Geralt odpiął od pasa sakiewkę i zważył ją w dłoni, trzymając za rzemyki.

— Nie przekupisz mnie — rzekł dumnie cerber.

— Nie zamierzam.

Odźwierny był za potężny, by mieć refleks pozwalający uchylić się lub zasłonić przed szybkim ciosem zwykłego człowieka. Przed ciosem wiedźmina nie zdołał nawet przymknąć oczu. Ciężka sakiewka z metalicznym trzaskiem wyrzuciła go w skroń. Runął na drzwi, chwytając się oburącz ościeżnicy. Geralt oderwał go od niej kopniakiem w kolano, pchnął barkiem i zdzielił sakiewką jeszcze raz. Oczy odźwiernego zmętniały i rozbiegły się w przekomicznym zezie, nogi złożyły się pod nim jak dwa scyzoryki. Wiedźmin, widząc, jak drab, choć już prawie bez zmysłów, maca jeszcze dookoła rękami, walnął go z rozmachem po raz trzeci, prosto w ciemię.

— Pieniądz — mruknął — otwiera wszelkie drzwi.

W sieni było ciemnawo. Zza drzwi po lewej dobiegało gromkie chrapanie. Wiedźmin zajrzał tam ostrożnie. Na rozkopanym wyrku spała, gwizdząc nosem, otyła kobieta w nocnej koszuli zadartej powyżej bioder. Nie był to najpiękniejszy widok. Geralt wciągnął odźwiernego do izdebki i zamknął drzwi na skobel.

Po prawej były kolejne drzwi, półotwarte, a za nimi kamienne schodki prowadzące w dół. Wiedźmin już miał je minąć, gdy z dołu dobiegło go niewyraźne przekleństwo łomot i suchy trzask pękającego naczynia.

Pomieszczenie było wielką kuchnią, pełną utensyliów, pachnącą ziołami i smolnym drewnem. Na kamiennej podłodze, wśród odłamków glinianego dzbanka, klęczał zupełnie goły mężczyzna z nisko opuszczoną głową.

— Sok jabłkowy, psia mać — powiedział bełkotliwie kręcąc głową jak baran, który omyłkowo ubódł mur fortecy. — Sok... jabłkowy. Gdzie... Gdzie jest służba?

— Słucham? — spytał grzecznie wiedźmin.

Mężczyzna uniósł głowę i przełknął ślinę. Oczy miał błędne i mocno przekrwione.

— Ona chce soku z jabłek — oświadczył, po czym, unosząc się z wyraźnym trudem, usiadł na nakrytej kozuchem skrzyni i oparł się o piec. — Muszę... zanieść na górę, bo...

— Czy mam przyjemność z kupcem Beau Berrantem?

— Ciszej — skrzywił się boleśnie mężczyzna. — Nie wrzeszcz. Słuchaj, tam w beczulce... Sok. Z jabłek. Nalej w coś... i pomóż mi wejść na schody, dobrze?

Geralt wzruszył ramionami, potem pokiwał głową ze współczuciem. Sam raczej unikał alkoholowych ekscesów, ale stan, w jakim znajdował się kupiec, nie był mu całkowicie obcy. Odnalazł wśród naczyń dzban i cynowy kubek naczepał soku z beczułki. Usłyszał chrapanie i odwrócił się. Goły mężczyzna spał, zwięsiwszy głowę na pierś.

Wiedźmin miał przez chwilę ochotę połać go sokiem i rozbudzić, ale rozmyślił się. Wyszedł z kuchni, niosąc dzban. Korytarz kończył się ciężkimi, intarsjowanymi drzwiami. Wszedł ostrożnie, uchylając je tylko na szerokość pozwalającą wśliznąć się do środka. Było ciemnawo, rozszerzył więc źrenice. I zmarszczył nos.

W powietrzu wisiał ciężki zapach kwaśniejącego wina, świec i przejrzałych owoców. I jeszcze czegoś, co przypominało mieszankę woni bzu i agrestu.

Rozejrzał się. Stół na środku komnaty dźwigał prawdziwe pobojuwisko dzbanków, karaf, pucharów, srebrnych talerzy i pater, półmisek i sztuców oprawnych w kość słoniową. Zmięta, zsunięta serweta zalana była winem, pełna fioletowych plam, sztywna od wosku, który ściekł ze świeczników. Łupiny pomarańczy jaskrawiły się niby kwiaty wśród pestek śliwek i brzoskwiń, ogonków gruszek i kostropatych, obranych z winogron szypuł. Jeden puchar był przewrócony i rozbity. Drugi był cały, w połowie pełny, sterczała z niego kość indyka. Obok pucharu stał czarny pantofelek na wysokim obcasie. Zrobiony był ze skóry bazyliuszka. Nie istniał droższy surowiec mogący być wykorzystany w szewstwie.

Drugi pantofelek leżał pod krzesłem na rzuconej niedbale czarnej sukni z białymi falbankami i haftem o kwiecistym motywie.

Geralt stał przez chwilę niezdecydowany, walcząc z uczuciem zażenowania, z chęcią, by odwrócić się na pięcie i wyjść. Ale to oznaczałoby, że cerber w sieni oberwał zupełnie niepotrzebnie. Wiedźmin nie lubił robić czegokolwiek niepotrzebnie. W rogu komnaty dostrzegł kręcone schody.

Na stopniach znalazł cztery zwiędłe białe róże i serwetkę poplamioną winem i karminową pomadką. Zapach bzu i agrestu narastał.

Schody wiodły do sypialni, której podłogę pokrywała wielka kosmata skóra. Na skórze leżała biała koszula z koronkowymi mankietami i kilkanaście białych róż. I czarna pończocha.

Druga pończocha zwisała z jednego z czterech rzeźbionych słupków podtrzymujących kopulasty baldachim nad łóżem. Rzeźby na słupkach wyobrażały nimfy i faunów, w różnych pozycjach. Niektóre pozycje były interesujące. Niektóre idiotycznie śmieszne. Wiele się powtarzało. Ogólnie rzecz biorąc.

Geralt chrząknął głośno, patrząc na mnóstwo czarnych loków widocznych spod adamaszkowej kołdry. Kołdra poruszyła się i jęknęła. Geralt chrząknął jeszcze głośniejsze.

— Beau? — spytało niewyraźnie mnóstwo czarnych loków. — Przyniosłeś sok?

— Przyniosłem.

Spod czarnych loków objawiła się blada trójkątna twarz, fiołkowe oczy i wąskie, lekko skrzywione wargi.

— Oooh... — wargi skrzywiły się jeszcze bardziej. — Oooh... Umrę z pragnienia...

— Proszę.

Kobieta usiadła, wygrzebując się z pościeli. Miała ładne ramiona i zgrabną szyję, na szyi czarną aksamitkę z gwiazdzistym, skrzącym się od brylantów klejnotem. Oprócz aksamitki nie miała na sobie niczego.

— Dziękuję — wyjęła mu kubek z ręki, wypła chciwie, potem uniosła ręce i dotknęła skroni. Kołdra zsunęła się jeszcze bardziej. Geralt odwrócił wzrok. Grzecznie, ale niechętnie.

— Kim ty właściwie jesteś? — spytała czarnowłosa kobieta, mrużąc oczy i zakrywając się kołdrą. — Co tu robisz? Gdzie, do cholery, jest Berrant?

— Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw?

Momentalnie pożałował ironii. Kobieta uniosła dłoń, z palców wystrzeliła złoścista smuga. Geralt zareagował odruchowo, składając obie dłonie w Znak Heliotropu, wychwycił czar tuż przed twarzą, ale wyładowanie było tak silne, że cisnęło go w tył, na ścianę. Osunął się na podłogę.

— Nie trzeba! — zawołał widząc, że kobieta unosi rękę ponownie. — Pani Yennefer! Przybywam w pokoju, bez złych zamiarów!

Od strony schodów dobiegł tupot, w drzwiach sypialni zamajaczyły postacie służących.

— Pani Yennefer!

— Odejdźcie — rozkazała im spokojnie czarodziejka. — Nie jesteście mi już potrzebni. Płaci się wam za pilnowanie domu. Ale skoro ten osobnik zdołał jednak tu wejść, zajmę się nim sama. Przekażcie to panu Berrantowi. A dla mnie proszę przygotować kąpiel.

Wiedźmin wstał z trudem. Yennefer przyglądała mu się w milczeniu, mrużąc oczy.

— Odbiłeś moje zaklęcie — powiedziała wreszcie. — Nie jesteś czarodziejem, to widać. Ale zareagowałeś niezwykle szybko. Mów, kim jesteś, przybywający w pokoju nieznajomy. I radzę, mów prędko.

— Jestem Geralt z Rivii. Wiedźmin.

Yennefer wychyliła się z łoża, chwytając wyrzeźbionego na słupie fauna za fragment anatomii nieźle przystosowany do chwytania. Nie spuszczać wzroku z Geralta, podniosła z podłogi płaszcz z futrzanym kołnierzem. Owinąwszy się nim szczelnie, wstała. Nie spiesząc się naląła sobie jeszcze jeden kubek soku, wypła duszkiem, odkaszlnęła, zbliżyła się. Geralt dyskretnie pomasaował krzyżę, które przed momentem boleśnie zetknęły się ze ścianą.

— Geralt z Rivii — powtórzyła czarodziejka, patrząc na niego zza czarnych rzęs. — Jak się tu dostałeś? I w jakim celu? Berrantowi, mam nadzieję, nie zrobiłeś krzywdy?

— Nie. Nie zrobiłem. Pani Yennefer, potrzebuję twojej pomocy.

— Wiedźmin — mruknęła, podchodząc jeszcze bliżej, szczerzej otulając się płaszczem. — Nie dość, że pierwszy, którego widzę z bliska, to nie kto inny, a sławny Biały Wilk. Słyszałam o tobie to i owo.

— Wyobrażam sobie.

— Nie wiem, co sobie wyobrażasz — ziewnęła, po czym przysunęła się jeszcze bliżej. — Pozwolisz? — dotknęła dłonią jego policzka, zbliżyła twarz, spojrzała mu w oczy. Zaciśnął szczęki. — Żrenice odruchowo dopasowują ci się do światła, czy też możesz je zwać lub rozszerzać zależnie od woli?

— Yennefer — powiedział spokojnie. — Jechałem do Rinde cały dzień, nie zatrzymując się. Czekałem całutką noc na otwarcie bram. Dałem po czerepie odźwiernemu, który nie chciał mnie tu wpuścić. Niegrzecznie i natrętnie zakłóciłem ci sen i spokój. A wszystko to dlatego, że mój przyjaciel potrzebuje pomocy, której wyłącznie ty możesz udzielić. Udziel jej, proszę, a potem, jeśli zechcesz, porozmawiamy o mutacjach i aberracjach.

Cofnęła się o krok, nieładnie skrzywiła usta.

— O jakiego rodzaju pomoc chodzi?

— O regenerację magicznie porażonych narządów. Gardła, krtani i strun głosowych. Porażenie takie, jakby spowodowane przez szkarłatną mgłę. Lub bardzo podobne.

— Podobne — powtórzyła. — Krótko mówiąc, to nie szkarłatna mgła magicznie poraziła twego przyjaciela. Co to zatem było? Mówże, wyrwana ze snu o świecie nie mam ani siły, ani ochoty, by sondować ci mózg.

— Hmm... Najlepiej będzie, jeśli zacznę od początku...

— O, nie — przerwała. — Jeśli to aż tak skomplikowane to wstrzymaj się nieco. Niesmak w ustach, potargane włosy, zlepione powieki i inne poranne niedogodności silnie ograniczają moje zdolności percepcyjne. Zejdź na dół do łaźni w piwnicy. Zaraz tam będę i wtedy wszystko mi opowiesz.

— Yennefer, nie chciałbym być natrętny, ale czas nagli. Mój przyjaciel...

— Geralt — przerwała ostro. — Wylazłam dla ciebie z łóżka, a nie zamierałam tego zrobić przed południowym dzwonem. Jestem gotowa zrezygnować ze śniadania. Wiesz, dlaczego? Bo przyniosłeś mi sok jabłkowy. Spieszyłeś się, głowę zaprzętało ci cierpienie przyjaciela, wdarłeś się tu przemocą, bijąc ludzi po czerepach, a mimo to poświęciłeś myśl spragnionej kobiecie. Ująłeś mnie tym i niewykłuczone, że ci pomogę. Ale z wody i mydła nie zrezygnuję. Idź. Proszę.

— Dobrze.

— Geralt.

— Słucham — zatrzymał się w progu.

— Skorzystaj z okazji i sam też się wykup. Po zapachu jestem w stanie domyślić się nie tylko rasy i wieku, ale i maści twojego konia.

* * *

Weszła do łaźni w momencie, gdy Geralt, siedząc goły na maleńkim zydelku, polewał się wodą z ceberka. Chrząknął i skromnie obrócił się tyłem.

— Nie krępuj się — powiedziała, rzucając naręczce odzieży na wieszak. — Nie mdleję na widok nagiego mężczyzny. Triss Merigold, moja przyjaciółka, mawia, że jeśli się widziało jednego, to widziało się wszystkich.

Wstał, owinąwszy się ręcznikiem w biodrach.

— Piękna blizna — uśmiechnęła się Yennefer, patrząc na jego pierś. — Co to było? Wpadłeś pod piłę w tartaku?

Nie odpowiedział. Czarodziejka nadal przyglądała mu się, zalotnie przekrzywając głowę.

— Pierwszy wiedźmin, którego mogę obejrzyć z bliska, i to rozebranego do rosołu. Oho! — pochyliła się, nadstawiając ucha. — Słyszę twoje serce. Bardzo wolny rytm. Potrafisz kontrolować wydzielanie adrenaliny? Ach, wybacz zawodową ciekawość. Jesteś, zdaje się, dziwnie drażliwy na punkcie cech własnego organizmu. Zwykłeś te cechy określać słowami, których bardzo nie lubię, popadając przy tym w patetyczny sarkazm, którego nie lubię jeszcze bardziej.

Nie odpowiedział.

— No, ale dość o tym. Moja kąpiel stygnie — Yennefer uczyniła ruch, jakby chciała zrzucić płaszcz, zawahała się. — Ja się będę kąpała, ty będziesz opowiadał. Oszczędzimy czas. Ale... Nie chcę cię peszyć, a poza tym prawie się nie znamy. A zatem, przez wzgląd na przyzwoitość...

— Odwróć się — zaproponował niepewnie.

— Nie. Muszę widzieć oczy tego, z kim rozmawiam. Mam lepszy pomysł.

Usłyszał wypowiedane zaklęcie, poczuł drgnięcie medalionu i zobaczył czarny płaszcz, miękko osuwający się na posadzkę. A potem usłyszał plusk wody.

— Teraz ja nie widzę twoich oczu, Yennefer — powiedział. — A szkoda.

Niewidzialna czarodziejka parsknęła, zachlupotała w kadzi.

— Opowiadaj.

Geralt skończył mocować się z wciąganymi pod ręcznik spodniami, usiadł na ławie. Dopinając klamry butów, zrelacjonował przygodę nad rzeką, skracając do minimum opis walki z sumem. Yennefer nie wyglądała na kogoś, kogo może interesować rybołówstwo.

Gdy doszedł do momentu, w którym stwór — obłok wydostał się z dzbana, wielka gąbka mydląca niewidzialność zamarła.

— No, no — usłyszał. — Interesujące. Dżinn zamknięty w butelce.

— Jaki tam dzinn — zaproponował. — To była jakaś odmiana szkarłatnej mgły. Jakiś nowy, nieznan rodzaj. . .

— Nowy a nieznan rodzaj zasługuje, by go jakoś nazwać — rzekła niewidzialna Yennefer. — Dzinn to nazwa nie gorsza od innych. Kontynuuj, proszę.

Usłuchał. Mydliny w kadzi pieniały się zawzięcie w trakcie dalszego ciągu opowieści, woda przelewała się przez krawędź. W pewnej chwili coś przykuło jego wzrok. Przypatrzył się uważniej i dostrzegł zarysy i kształty ukazane przez mydło pokrywające niewidzialność. Zarysy i kształty pochłonęły go tak, że zaniemówił.

— Opowiadaj! — ponaglił go głos dobiegający z nicości sponad zarysów. — Co było dalej?

— To wszystko — powiedział. — Przepędziłem tego, jak mówisz, dzinna. . .

— Jakim sposobem? — Czerpak uniósł się i wylał wodę. Mydło znikło, kształty też. Geralt westchnął.

— Zakłęciem — powiedział. — Dokładniej, egzorcyzmem.

— Jakim? — Czerpak znowu wylał wodę. Wiedźmin zaczął pilniej obserwować czynności czerpaka, bo woda choć na krótko, również ukazywała to i owo. Powtórzył zakłęcie, zgodnie z zasadą bezpieczeństwa zastępując głoskę „e” wdechchem. Sądził że zaimponuje czarodziejce znajomością tej zasady, zdziwił się więc, słysząc z kadzi szaleńczy śmiech.

— Co w tym jest śmiesznego?

— Ten twój egzorcyzm. . . — Ręcznik sfrunął z kołka i zaczął gwałtownie wycierać resztki zarysów. — Triss popłacze się ze śmiechu, gdy jej o tym opowiem! Kto cię tego nauczył, wiedźminie? Tego. . . zakłęcia?

— Pewna kapłanka z chramu Huldry. To tajny język świątynny. . .

— Dla kogo tajny, dla tego tajny. — Ręcznik chlasnął o brzeg kadzi, woda bryzgnęła na posadzkę, ślady bosych stóp zaznaczyły kroki czarodziejki. — To nie było żadne zakłęcie, Geralt. Nie radziłabym ci też powtarzać tych słów w innych świątyniach.

— Jeśli nie zakłęcie, to co to było? — spytał patrząc, jak dwie czarne pończochy tworzą, jedną po drugiej, zgrabne nogi z powietrza.

— Dowcipne powiedzenie. — Majtki z falbankami opięły się na nicości w niezwykle interesujący sposób. — Choć nieco niecenzuralne.

Biała koszula z wielkim żabotem w kształcie kwiatu furknęła w górę i utworzyła kształty. Yennefer, jak zauważył wiedźmin, nie nosiła żadnych fiszbinowych fidrygałek używanych zwykle przez kobiety. Nie musiała.

— Jakie powiedzenie? — spytał.

— Mniejsza z tym.

Ze stojącej na stołku czworokątnej kryształowej butelki wyskoczył korek. W łaźni zapachniało bzem i agrestem. Korek opisał kilka kręgów i wskoczył na miejsce. Czarodziejka zapięła mankiety koszuli, wciągnęła suknię i zmaterializowała się.

— Zapnij mnie — odwróciła się plecami, czesząc włosy szylkretowym grzebieniem. Grzebień, jak zauważył, miał długi i zastrzony kolec mogący w potrzebie z powodzeniem zastąpić sztylet.

Zapiął jej suknię wyrachowanie powoli, haftkę po haftce, ciesząc się zapachem jej włosów opadających czarną kaskadą do połowy pleców.

— Wracając do butelkowego stwora — powiedziała Yennefer, przypinając do uszu brylantowe kolczyki — to oczywistym jest, że nie to twoje śmieszne „zakłęcie” zmusiło go do ucieczki. Bliższa prawdy wydaje się hipoteza, że wyładował wściekłość na twoim kompanie i uciekł, znudzony po prostu.

— Prawdopodobnie — zgodził się Geralt ponuro. — Nie sądzę bowiem, by poleciał do Cidaris ukatrupić Valdo Marxa.

— Kto to jest Valdo Marx?

— Trubadur, który uważa mojego kompana, również poetę i muzyka, za ulegające gustom motłochu beztalencie.

Czarodziejka odwróciła się z dziwnym błyskiem we fiołkowych oczach.

— Czyżby twój przyjaciel zdążył wypowiedzieć życzenie?

— Nawet dwa. Oba potwornie głupie. Dlaczego pytasz? Przecież to ewidentna bzdura, to spełnianie życzeń przez geniusze, d’jinni, duchy lampy. . .

— Ewidentna bzdura — powtórzyła Yennefer z uśmiechem. — Oczywiście. To wymysł, pozbawiona sensu bajęda, tak jak wszystkie legendy, w których dobre duchy i wróżki spełniają życzenia. Bajki takie wymyślane są przez biednych prostaczków, którzy nawet marzyć nie mogą o tym, by swe liczne życzenia i pragnienia zaspokajać w drodze własnej aktywności. Cieszy mnie, że nie należysz do takowych, Geralcie z Rivii. Jesteś mi przez to bliższy duchowo. Ja, gdy czegoś pragnę, nie marzę, lecz działam. I zawsze zdobywam to, czego pragnę.

— Nie wątpię. Jesteś gotowa?

— Jestem gotowa — czarodziejka dopięła rzemyki trzewiczków, wstała. Nawet na obcasach nie była imponująco wysoka. Potrząsnęła włosami, które, jak stwierdził, zachowały malowniczy, rozburzony i wijący się nieład pomimo zawziętego czesania.

— Mam pytanie, Geralt. Pieczęć, która zamykała butlę. . . Czy twój przyjaciel ma ją nadal?

Wiedźmin zastanowił się. Pieczęć miał nie Jaskier, ale on sam, i to przy sobie. Ale doświadczenie uczyło, że czarodziejom nie należało mówić za wiele.

— Hmm. . . Sądzę, że tak — zmylił ją co do przyczyny zwłoki w odpowiedzi. — Tak, chyba ma. A co? Czy ta pieczęć jest ważna?

— Dziwne pytanie — powiedziała ostro — jak na wiedźmina, specjalistę od nadprzyrodzonych potworności. Kogoś, kto powinien był wiedzieć, że taka pieczęć jest ważna na tyle, by jej nie dotykać. I nie pozwolić dotykać przyjacielowi.

Zacisnęła szczęki. Cios był celny.

— Cóż — Yennefer zmieniła ton na znacznie łagodniejszy. — Nie ma nieomylnych ludzi, nie ma też nieomylnych wiedźminów, jak widać. Każdy może się pomylić. No, możemy ruszać w drogę. Gdzie znajduje się twój towarzysz?

— Tu, w Rinde. W domu niejakiego Errdila. Elfa.

Spojrzała na niego bacznie.

— U Errdila? — powtórzyła, krzywiąc wargi w uśmiechu. — Wiem, gdzie to jest. Jak mniemam, przebywa tam również jego kuzyn, Chireadan?

— Zgadza się. A co...

— Nic — przerwała, uniosła ręce, zamknęła oczy. Medalion na szyi wiedźmina zatętnił, szarpnął łańcuszkiem.

Na wilgotnej ścianie łaźni rozbłysnął świetlisty zarys przypominający drzwi, w obramowaniu których kłębiła się fosforyzująca mleczna nicość.

Wiedźmin zaklął z cicha. Nie lubił magicznych portali i podróżowania za ich pomocą.

— Czy musimy... — chrząknął. — To niedaleko...

— Nie mogę chodzić po ulicach tego miasta — ucięła. — Nie przepadają tu za mną, mogą zelżyć, obrzucić kamieniami, a może i czymś gorszym. Kilka osób psuje mi tu skutecznie opinię, sądząc, że robi to bezkarnie. Nie bój się, moje portale są bezpieczne.

Geralt był świadkiem, jak kiedyś przez bezpieczny portal przeleciała połowa przechodzącego. Drugiej połowy nie odnaleziono nigdy. Przypadków, gdy ktoś wszedł w portal i wszelki słuch o nim zaginął, znał kilka.

Czarodziejka po raz kolejny poprawiła włosy, przypięła do paska wyszywającą perłami sakiewkę. Sakiewka wydawała się za mała, by pomieścić cokolwiek oprócz garści miedziaków i pomadki do ust, ale Geralt wiedział, że nie jest to zwykła sakiewka.

— Obejmij mnie. Mocniej, nie jestem z porcelany. W drogę!

Medalion zawibrował, coś błysnęło i Geralt znalazł się nagle wśród czarnej nicości, w przenikliwym zimnie. Niczego nie widział, nie słyszał, nie czuł. Zimno było jedynym, co rejestrowały zmysły.

Chciał zakląć, ale nie zdążył.

* * *

— Mija godzina, od kiedy tam weszła — Chireadan obrócił stojącą na stole klepsydrę. — Zaczynam się niepokoić. Czyżby z gardłem Jaskra było aż tak źle? Nie sądzisz, że należałoby zajrzeć tam do nich na górę?

— W dość wyraźny sposób nie życzyła sobie tego — Geralt dopił kubek ziołowego napitku, krzywiąc się niemiłosiernie. Cenił i lubił osiadłych elfów za inteligencję, spokojną rezerwę i specyficzne poczucie humoru, ale ich upodobań

względem jadła i napoju nie rozumiał i nie podzielał. — Nie zamierzam jej przeskadzać, Chireadan. Magia wymaga czasu. Niech to trwa choćby i dobę, byle Jaskier ozdrowiał.

— Cóż, masz słuszność.

Z pomieszczenia obok rozlegał się stuk młotków. Errdil, jak się okazało, mieszkał w opuszczonej gospodzie, którą kupił, zamierzał odnowić i prowadzić wraz z żoną, cichutką i małomówną elfką. Rycerz Vratimir, który po nocy wspólnie spędzonej w kordegardzie przyłgął do kompanii, samorzutnie zaoferował pomoc w pracach remontowych. Współ z małżeństwem zabrał się za odnawianie boazerii natychmiast, gdy uspokoiło się zamieszanie, wywołane nagłym a spektakularnym objawieniem się wiedźmina i Yennefer wyskakujących ze ściany w błysku portalu.

— Jeśli mam być szczery — podjął Chireadan — nie spodziewałem się, że tak łatwo ci pójdzie. Yennefer nie należy do osób szczególnie spontanicznych, jeśli chodzi o niesienie pomocy. Kłopoty bliźnich nie bulwersują jej zbyt i nie zakłócają snu. Krótko mówiąc, nie słyszałem, by kiedykolwiek pomogła komukolwiek bezinteresownie. Ciekawe, jaki ma interes w tym, by pomóc tobie i Jaskrowi.

— Nie przesadzasz? — uśmiechnął się wiedźmin. — Nie zrobiła na mnie aż tak złego wrażenia. Wyższość, owszem, lubi demonstrować, ale w porównaniu z innymi czarodziejami, z całą tą arogancką bandą, jest chodzącym wdziękiem i wcieloną życzliwością.

Chireadan również się uśmiechnął.

— To trochę tak — powiedział — jakbyś uważał, że skorpion jest ładniejszy niż pająk, bo ma taki śliczny ogonek. Uważaj, Geralt. Nie jesteś pierwszym, który tak ją ocenia, nie wiedząc, że z wdzięku i urody uczyniła broń. Oręż, którym posługuje się nader zręcznie i bez skrupułów. Co oczywiście nie umniejsza faktu, że jest fascynująco urodziwą kobietą. Nie zaprzeczysz, prawda?

Geralt spojrzał bystro na elfa. Już po raz drugi wydało mu się, że dostrzega na jego twarzy ślad rumieńca. Zdziwiło go to nie mniej niż słowa Chireadana. Elfy czystej krwi nie zwykły zachwycać się ludzkimi kobietami. Nawet tymi bardzo pięknymi. Yennefer zaś, choć na swój sposób atrakcyjna, za piękność uchodzić nie mogła.

Gusta gustami, ale w istocie mało kto określał czarodziejki jako „urodziwe”. Wszystkie wywodziły się wszak z kręgów społecznych, w których wyłącznym przeznaczeniem córek było zamążpójście. Któż pomyślałby o tym, by skazywać córkę na lata żmudnej nauki i tortury zmian somatycznych, gdy można było wydać ją za mąż i korzystnie się spowinowacić? Kto życzył sobie mieć w rodzinie czarodziejkę? Pomimo respektu, jakim cieszyli się magicy, rodzina czarodziejki nie miała z niej najmniejszej korzyści, bo zanim dziewczyna ukończyła edukację, z rodziną przestawało łączyć ją cokolwiek — liczyło się wyłącznie konfraterstwo.

Dlatego czarodziejkami zostawały wyłącznie córki mające zerowe szanse na znalezienie męża.

W przeciwieństwie do kapłanek i druidek, które niechętnie brały brzydkie lub kalekie dziewczynki, czarodzieje przyjmowali każdą, która zdradzała predyspozycje. Jeśli zaś dziecko przechodziło przez sito pierwszych lat terminowania, wkraczała magia — prostująca i wyrównująca nogi, reperująca źle zrosnięte kości, łatająca zajęcze wargi, usuwająca blizny, znamiona i ślady po ospie. Młoda czarodziejka stawiała się „atrakcyjna”, bo wymagał tego prestiż jej profesji. Rezultatem były pseudoładne kobiety o złych i zimnych oczach brzydul. Brzydul niezdolnych zapomnieć o swej brzydocie przysłoniętej magiczną maską, ukrytej nie dlatego, by je uszczęśliwić, a wyłącznie dla prestiżu profesji.

Nie, Geralt nie rozumiał Chireadana. Jego oczy, oczy wiedźmina, rejestrowały zbyt wiele szczegółów.

— Nie, Chireadan — odpowiedział na pytanie. — Nie zaprzeczę. Dziękuję ci też za ostrzeżenie. Ale tu chodzi wyłącznie o Jaskra. Ucierpiał przy mnie, w mojej obecności. Nie zdołałem go ocalić, nie umiałem mu pomóc. Gdybym wiedział, że to go uleczy, usiadłbym na skorpionie gołym tyłkiem.

— Tego właśnie musisz się strzec najbardziej — uśmiechnął się zagadkowo elf — Bo Yennefer o tym wie, a lubi wykorzystywać taką wiedzę. Nie ufaj jej, Geralt. Jest niebezpieczna.

Nie odpowiedział.

Na górze skrzyknęły drzwi. Yennefer stanęła przy schodach wsparta na balustradzie galeryjki.

— Wiedźminie, czy mógłbyś tu na chwilę przyjść?

— Oczywiście.

Czarodziejka oparła się plecami o drzwi jednego z niewielu jako tako umeblowanych pokoi, w którym umieszczono cierpiącego trubadura. Wiedźmin podszedł, przyglądając się w milczeniu. Widział jej lewe ramię, odrobinę wyższe od prawego. Nos, odrobinę za długi. Usta, nieco zbyt wąskie. Podbródek, troszkę zbyt cofnięty. Brwi, za mało regularne. Oczy...

Widział zbyt wiele szczegółów. Zupełnie niepotrzebnie.

— Co z Jaskrem?

— Wątpisz w moje umiejętności?

Nadal patrzył. Miała figurę dwudziestolatki, choć jej prawdziwego wieku wolał nie zgadywać. Poruszała się z naturalną, niewymuszoną gracją. Nie, nie sposób było zgadnąć, jaka była dawniej, co w niej poprawiono. Przestał się nad tym zastanawiać, sensu to nie miało żadnego.

— Twój utalentowany druh będzie zdrowy — powiedziała. — Odzyska swe zdolności wokalne.

— Masz moją wdzięczność, Yennefer.

Uśmiechnęła się.

— Będziesz miał sposobność ją okazać.

— Czy mogę zajrzeć tam do niego?

Milczała chwilę, przyglądając mu się z dziwnym uśmiechem, bębniąc palcami po framudze drzwi.

— Oczywiście. Wejdz.

Medalion na szyi wiedźmina zaczął ostro, rytmicznie drgać.

W centralnym punkcie podłogi leżała płonąca mlecznym światłem szklana kula wielkości małego arbuza. Kula wytyczała środek dziewięcioramiennej gwiazdy, precyzyjnie wytrasowanej, sięgającej ramionami kątów i ścian komnatki. W gwiazdę wpisany był wymalowany czerwoną farbą pentagram. Końce pentagramu oznaczone były czarnymi świecami tkwiącymi w lichtarzach o dziwnym kształcie. Czarne świece płonęły również na wezgielisku łóżka, na którym spoczywał okryty baraniami skórąmi Jaskier. Poeta oddychał spokojnie, nie rzeził już i nie charczał, z jego twarzy znikł grymas bólu, zastąpiony idiotycznym, pełnym szczęścia uśmiechem.

— Śpi — powiedziała Yennefer. — I śni.

Geralt przyjrzał się wzorom wykreślonym na podłodze. Ukryta w nich magia była wyczuwalna, ale wiedział, że była to magia śpiąca, nie rozbudzona. Przywodziła na myśl szmer oddechu drzemającego lwa, ale dawała pojęcie o tym, czym może być lwi ryk.

— Co to jest, Yennefer?

— Pułapka.

— Na kogo?

— Na ciebie, chwilowo — czarodziejka przekręciła klucz w zamku, obróciła go w dłoni. Klucz znikł.

— Tak więc, jestem schwyty — powiedział zimno. — Co teraz? Będziesz nastawać na moją cnotę?

— Nie pochlebiaj sobie — Yennefer usiadła na brzegu łóżka. Jaskier, wciąż kretynsko uśmiechnięty, zajęczał cicho. Był to bez wątpienia jęk rozkoszy.

— O co tu chodzi, Yennefer? Jeśli to gra, to nie znam reguł.

— Wspominałam ci — zaczęła — że zawsze zdobywam to, czego pragnę. Tak się zaś składa, że zapragnęłam czegoś, co ma Jaskier. Odbiorę mu to i rozstaniemy się. Nie obawiaj się, nie stanie mu się żadna krzywda. . .

— Cudactwa, które ustawiłaś na podłodze — przerwał — służą do wywoływania demonów. Tam, gdzie wywołuje się demony, zawsze staje się komuś krzywda. Nie pozwolę na to.

— . . . włos mu z głowy nie spadnie — kontynuowała czarodziejka, nie zwracając żadnej uwagi na jego słowa. — Głosik będzie miał jeszcze piękniejszy i będzie bardzo zadowolony, wręcz szczęśliwy. Wszyscy będziemy szczęśliwi. I rozstaniemy się, bez żalu, ale i bez uraz.

— Ach, Virginio — zajęczał Jaskier, nie otwierając oczu. — Piękne są twe piersi, delikatniejsze niżli puch łabędzi... Virginio...

— Rozum mu odjęło? Majaczy?

— Śni — uśmiechnęła się Yennefer. — Jego marzenie spełnia się we śnie. Wysondowałam mu mózg do samego dna. Wiele tam nie było. Trochę świństw, kilka marzeń mnóstwo poezji. Mniejsza z tym. Pieczęć, którą zacopowana była butla z dżinnem, Geralt. Wiem, że to nie trubadur ją ma, ale ty. Poproszę o nią.

— Do czego ci ta pieczęć?

— Jak by tu odpowiedzieć na twoje pytanie? — czarodziejka uśmiechnęła się zalotnie. — Spróbujmy może tak: gównu cię to obchodzi, wiedźminie. Zadowolona cię taka odpowiedź?

— Nie — uśmiechnął się również, i równie paskudnie. — Nie zadowolona. Ale nie rób sobie z tego powodu wyrzutów, Yennefer. Niełatwo mnie zadowolić. Jak do tej pory udawało się to wyłącznie osobom sięgającym wyżej niż przeciętność.

— Szkoda. Pozostaniesz zatem niezadowolony. Twoja strata. Pieczęć, poproszę. Nie rób min nie pasujących do twego typu urody i karnacji. Jeśli nie zauważyłeś, to wiedz, że właśnie zaczęło się odwdzięczanie, które jesteś mi winien. Pieczęć jest pierwszą ratą ceny za głos śpiewaka.

— Jak widzę, rozłożyłaś cenę na wiele rat — powiedział zimno. — Dobrze. Mogłem się tego spodziewać i spodziewałem się. Ale niech to będzie uczciwy handel, Yennefer. Ja kupiłem twoją pomoc. I ja zapłacę.

Skrzywiła wargi w uśmiechu, ale jej fiołkowe oczy pozostały nie zmrużone i zimne.

— Co do tego, wiedźminie, nie powinieneś mieć wątpliwości.

— Ja — powtórzył. — Ale nie Jaskier. Zabieram go stąd w bezpieczne miejsce. Uczyniwszy to, wrócę, zapłacę drugą ratę i dalsze. Bo jeżeli chodzi o pierwszą...

Sięgnął do sekretnej kieszonki w pasie, wy dobył mosiężną pieczęć ze znakiem gwiazdy i złamanego krzyża.

— Proszę, weź. Nie jako ratę. Przyjmij to od wiedźmina w dowód wdzięczności za to, że choć wyrachowanie, ale potraktowałaś go życzliwiej, niż zrobiłaby to większość twoich konfratrów. Przyjmij to jako dowód dobrej woli, który powinien przekonać cię, że zadbawszy o bezpieczeństwo przyjaciela wrócę tu, by płacić. Nie dostrzegłem skorpiona wśród kwiatów, Yennefer. Gotów jestem płacić za moją nieuwagę.

— Piękna przemowa — czarodziejka skrzyżowała ręce na piersi. — Wzruszająca i patetyczna. Szkoda, że daremna. Jaskier jest mi potrzebny i zostanie tu.

— On już raz był blisko tego, co zamierzasz tu ściągnąć. — Geralt wskazał na wzory na podłodze. — Gdy zakończysz dzieło i ściągniesz tu dżinna, pomimo twoich obietnic Jaskier ucierpi z pewnością, może jeszcze gorzej niż poprzednio. Bo wszakże to o stwora z butelki ci idzie, prawda? Zamierzasz zawładnąć nim,

zmusić, by ci służył? Nie musisz odpowiadać, wiem, gównu mnie to obchodzi. A rób sobie, co chcesz, ściągnij tu sobie nawet dziesięć demonów. Ale bez Jaskra. Jeśli narazisz Jaskra, to nie będzie to już uczciwy handel, Yennefer, i nie masz prawa za takowy żądać zapłaty. Nie pozwolę...

Urwał.

— Ciekawiło mnie, kiedy poczujesz — zachichotała czarodziejka.

Geralt napiął mięśnie, wyteżył całą wolę, zaciskając szczęki do bólu. Nie pomogło. Był jak sparaliżowany, jak kamienny posąg, jak wbity w ziemię słup. Nie mógł poruszyć nawet palcem w bucie.

— Wiedziałam, że potrafisz odbić czar rzucony wprost — powiedziała Yennefer. — Wiedziałam też, że nim cokolwiek przedsięweźmiesz, będziesz starał się zaimponować mi elokwencją. Ty gadałeś, a zawieszony nad tobą urok działał i powoli cię łamał. Teraz możesz już tylko mówić. Ale nie musisz mi już imponować. Wiem, że jesteś elokwentny. Dalsze wysiłki w tym kierunku popsują własny efekt.

— Chireadan... — powiedział z wysiłkiem, wciąż próbując walczyć z magicznym paraliżem. — Chireadan zorientuje się, że coś knujesz. Zorientuje się rychło, nabierze podejrzeń lada chwila, bo nie ufa ci, Yennefer. Nie ufał ci od początku...

Czarodziejka powiodła dłonią w szerokim geście. Ściany komnaty zamazały się i nabrały jednolitej mętnoszarej struktury i barwy. Znikły drzwi, znikły okna, znikły nawet zakurzone kotary i upstrzone przez muchy obrazki na ścianach.

— I co z tego, że Chireadan się zorientuje? — wykrzywiła się złośliwie. — Pobiegnie po pomoc? Przez moją barierę nie przejdzie nikt. Ale Chireadan nigdzie nie pobiegnie, nie uczyni nic przeciw mnie. Nic. Jest pod moim urokiem. Nie, nie chodzi o czarnoksiężstwo, nie robiłam niczego w tym kierunku. Zwykła chemia organizmu. Zakochał się we mnie, bałwan. Nie wiedziałeś o tym? Zamierzał nawet wyzwać Beau na pojedynek, wyobrażasz sobie? Elf, a zazdrosny. To się rzadko zdarza. Geralt, ja nie bez powodu wybrałam ten dom.

— Beau Berrant, Chireadan, Errdil, Jaskier. Rzeczywiście, idziesz do celu najprostsza drogą. Ale mną, Yennefer, nie posłużysz się.

— Ależ posłużę, posłużę. — Czarodziejka wstała z łóżka, podeszła, starannie omijając wykreślone na podłodze znaki i symbole. — Mówiłam przecież, że jesteś mi coś winien za uzdrowienie poety. Chodzi o drobnostkę, o niewielką przysługę. Po tym, czego zamierzam tu zaraz dokonać natychmiast znikam z Rinde, a mam jeszcze w tym miasteczku pewne... nie spłacone rachunki, nazwijmy to. Kilku osobom przyrzekłam tu coś, a ja zawsze spełniam obietnice. Ponieważ jednak sama nie zdążę, ty spełnisz te obietnice za mnie.

Walczył, walczył z całych sił. Nadaremnie.

— Nie szamocz się, wiedźminku — uśmiechnęła się zjadliwie. — To na nic. Masz silną wolę i sporo odporności na magię, ale ze mną i moim zaklęciem mie-

rzyć się nie możesz. I nie odgrywaj przede mną komedii. Nie próbuj fascynować mnie twą twardą i hardą męskością. Ty wyłącznie we własnym mniemaniu jesteś hardy i twardy. By ratować przyjaciela, zrobiłbyś dla mnie wszystko i bez czarów, zapłaciłbyś każdą cenę, wylizałbyś mi buty. A może i coś jeszcze, gdybym nieoczekiwanie zapragnęła rozrywki.

Milczał. Yennefer stała przed nim, uśmiechając się i bawiąc przypiętą do aksamitki gwiazdą z obsydianu skrzącą się od brylancików.

— Już w sypialni Beau — ciągnęła — po wymianie kilku słów wiedziałam, jaki jesteś. I wiedziałam, w jakiej monecie zażądam od ciebie zapłaty. Moje rachunki w Rinde mógłby wyrównać każdy, choćby Chireadan. Ale zrobisz to ty, bo musisz zapłacić. Za udawaną hardość, za zimny wzrok, za oczy łowiące każdy szczegół, za kamienną twarz, za sarkastyczny ton. Za mniemanie, że możesz stać twarzą w twarz z Yennefer z Vengerbergu i uważać ją za pełną samouwielbienia arogantkę, za wyrachowaną wiedźmę, a jednocześnie wytrzeszczać oczy na jej namydlone cycki. Płać, GERALCIE z Rivii!

Chwyciła go oburącz za włosy i gwałtownie pocałowała w usta, wpiła się w niego jak wampir. Medalion na szyi zadygotał, Geralt miał wrażenie, że łańcuszek kurczy się i zaciska jak garota. W jego głowie coś rozbłysło, w uszach zaczęło straszliwie szumieć. Przestał widzieć fiołkowe oczy czarodziejki, zapadł w ciemność.

Kłęczał. Yennefer mówiła do niego łagodnym, miękkim głosem.

— Zapamiętałeś?

— Tak, pani.

To był jego własny głos.

— Idź zatem i wykonaj moje polecenia.

— Na rozkaz, pani.

— Możesz pocałować mnie w rękę.

— Dzięki, pani.

Poczuł, że zbliża się do niej na kolanach. W głowie brzęczało dziesięć tysięcy pszczoł. Jej dłoń pachniała bzem i agrestem. Bzem i agrestem... Bzem i agrestem... Błysk. Ciemność.

Balustrada, schody. Twarz Chireadana.

— Geralt! Co z tobą? Geralt, dokąd?

— Muszę... — Jego własny głos. — Muszę iść...

— Bogowie! Spójrzcie na jego oczy!

Twarz Vratimira, wykrzywiona przerażeniem. Twarz Errdila. I głos Chireadana.

— Nie! Errdil, nie! Nie dotykajcie go i nie próbujcie zatrzymać! Z drogi, Errdil! Zejdź mu z drogi!

Zapach bzu i agrestu. Bzu i agrestu...

Drzwi. Eksplozja słońca. Gorąco. Parno. Zapach bzu i agrestu. Będzie burza, pomyślał.

I była to ostatnia jego trzeźwa myśl.

* * *

Ciemność. Zapach. . .

Zapach? Nie, odor. Smród uryny, zgniłej słomy i mokrych łachmanów. Smród kopczącej pochodni zatkniętej w żelazny uchwyt osadzony w ścianie z nierównych kamiennych bloków. Rzucany przez pochodnię cień, cień na pokrytym słomą klepisku. . .

Cień kraty.

Wiedźmin zaklął.

— Nareszcie. — Poczuję, jak ktoś unosi go, opiera plecami o zawilgły mur. — Już się zaczynałem martwić, że tak długo nie przytomniejesz.

— Chireadan? Gdzie. . . Cholera, głowa mi pęka. . . Gdzie my jesteśmy?

— A jak ci się wydaje?

Geralt przetarł twarz, rozejrzał się. Pod przeciwległą ścianą siedziało trzech oberwańców. Widział ich niewyraźnie, siedzieli w miejscu najbardziej oddalonym od światła pochodni, w zupełnych niemal ciemnościach. Pod kratą oddzielającą ich od oświetlonego korytarza przycupnęło coś, co jedynie z pozoru było kupą łachmanów. W rzeczywistości był to chuderlawy staruszek z nosem jak bociani dziób. Długość poskręcanych w strąki włosów i stan odzieży świadczyły, że nie przebywa tu od wczoraj.

— Wsadzili nas do lochu — stwierdził ponuro.

— Cieszy mnie — rzekł elf — że odzyskałeś zdolność wyciągania logicznych wniosków.

— Cholera jasna. . . A Jaskier? Jak długo tu siedzimy? Ile czasu minęło od. . .

— Nie wiem. Tak jak i ty, byłem bez zmysłów, gdy mnie tu wrzucano. — Chireadan podgarnął słomę, usiadł wygodniej. — Czy to ważne?

— Jeszcze jak, psiakrew. Yennefer. . . I Jaskier. Jaskier jest tam, z nią, a ona planuje. . . Hej, wy tam! Jak dawno temu nas tu zamknięto?

Oberwańcy poszeptali między sobą. Żaden nie odpowiedział.

— Ogłuchliście? — Geralt splunął, wciąż nie mogąc pozbyć się metalicznego posmaku z ust. — Pytam, jaka jest teraz pora dnia? Czy nocy? Chyba wiecie, kiedy przynoszą wam żarcie?

Oberwańcy pomruczeli znowu, pochrzákali.

— Wielmożni — rzekł wreszcie jeden. — Ostawcie nas w pokoju i nie gadajcie do nas, miłości prosim. Myśmy są porządni złodzieje, nie jacyś polityczni. Myśmy się na władzę nie zamachiwali. Myśmy ino kradli.

— Ano — powiedział drugi. — Wy macie swój kącik, my swój. I niech każdy swego pilnuje.

Chireadan parsknął. Wiedźmin splunął.

— Tak ono i jest — zamamlał zarośnięty staruszek z długim nosem. — Każdy w turmie swego kąta pilnuje i ze swymi trzyma.

— A ty, dziadku — spytał drwiąco elf — trzymasz z nimi czy z nami? Do której grupy się zaliczasz?

— Do żadnej — odrzekł dumnie dziadunio. — Bo ja jestem niewinny.

Geralt splunął ponownie.

— Chireadan? — spytał, masując skronie. — Z tym zamachem na władzę... To prawda?

— Absolutnie. Niczego nie pamiętasz?

— Wszedłem na ulicę... Ludzie mi się przyglądali... Potem... Potem był jakiś sklep...

— Lombard — zniżył głos elf. — Wszedłeś do lombardu. Natychmiast po wejściu dałeś w zęby właścicielowi. Mocno. Nawet bardzo mocno.

Wiedźmin zmełł w zębach przekleństwo.

— Lichwiarz upadł — ciągnął cicho Chireadan. — A ty kopnąłeś go kilka razy w czułe miejsca. Na ratunek pryncypałowi przybieżał pacholek. Wyrzuciłeś go oknem, prosto na ulicę.

— Obawiam się — mruknął Geralt — że na tym się nie skończyło.

— Obawa uzasadniona. Wszedłeś z lombardu i pomaszerowałeś środkiem ulicy, potracając przechodniów i wykrzykując jakieś głupstwa o honorze damy. Za tobą ciągnął już spory tłumek, w którym byłem ja, Errdil i Vratimir. Ty zaś zatrzymałeś się przed domem aptekarza Wawrzynoska, wszedłeś, a po chwili byłeś znowu na ulicy, wlokąc Wawrzynoska za nogę. I wygłosiłeś do tłumu coś w rodzaju mowy.

— Jakiej?

— Najprościej rzecz ujmując, oznajmiłeś, że nawet zawodowej nierządniczy szanujący się mężczyzna nie powinien nazywać kurwą, bo to niskie i obraźliwe. Zaś używanie określenia: „kurwa” w stosunku do kobiety, której się nigdy nie chędożyło i nigdy się jej za to nie dawało pieniędzy, jest gówniarskie i absolutnie karygodne. Kara, oznajmiłeś wszem i wobec, będzie wymierzona na miejscu, a będzie to kara w sam raz dla gówniarza. Ścisnąłeś głowę aptekarza między kolanami, ściągnąłeś mu portki i wkroiłeś w rzyć pasem.

— Mów, Chireadan. Mów. Nie oszczędzaj mnie.

— Łoiliś w zad Wawrzynoska, nie żałując ręki, a aptekarz wył, wrzeszczał, płakał, wzywał pomocy boskiej i ludzkiej, błagał o litość, ba, obiecał nawet poprawę, ale w widoczny sposób nie uwierzyłeś. Wtedy nadbiegło kilku uzbrojonych bandytów, których w Rinde przyjęło się nazywać gwardią.

— A ja — pokiwał głową Geralt — właśnie wtedy zamachnąłem się na władzę?

— A gdzieżby tam. Zamachnąłeś się znacznie wcześniej. Zarówno lichwiarz, jak i Wawrzynosek są w radzie miejskiej. Pewnie cię zainteresuje, że obaj nawoływali do wyrzucenia Yennefer z miasta. Nie tylko głosowali za tym w radzie, ale gardłowali przeciw niej po karczmach i obmawiali w niewyszukany sposób.

— Domyśliłem się tego już dawno. Opowiadaj. Zatrzymałeś się na strażnikach miejskich, którzy nadbiegli. To oni wsadzili mnie do lochu?

— Chcieli. Och, Geralt, co to było za widowisko. Coś ty z nimi wyprawiał, opisać trudno. Oni mieli miecze, baty, pałki, toporki, a ty wyłącznie jesionową laskę z gałką, którą odebrałeś jakiemuś elegantowi. A gdy już wszyscy leżeli na ziemi, poszedłeś dalej. Większość z nas wiedziała, dokąd zmierzasz.

— I ja radbym to wiedzieć.

— Szedłeś do świątyni. Bo kapłan Krepp, również członek rady, poświęcał Yennefer sporo miejsca w swych kazaniach. Ty zresztą wcale nie kryłeś poglądów na temat kapłana Kreppa. Obiecywałeś mu lekcję szacunku dla płci pięknej. Mówiąc o nim, pomijałeś jego oficjalny tytuł, ale dodawałeś inne określenia, budząc wielką uciechę wśród ciągnącej za tobą dziatwy.

— Aha — mruknął Geralt. — Doszło zatem jeszcze bluźnierstwo. Co jeszcze? Desekracja świątyni?

— Nie. Nie zdołałeś tam wejść. Przed świątynią czekała już cała rota straży miejskiej uzbrojona we wszystko, co tylko było w cekhauzie, oprócz katapulty, jak mi się zdaje. Zanosilo się na to, że cię po prostu zmasakrują. Ale nie doszedłeś do nich. Nagle złapałeś się oburącz za głowę i zemdlałeś.

— Kończyć nie musisz. Ale, Chireadan, skąd ty wziąłeś się w lochu?

— Kiedy upadłeś, kilku strażników doskoczyło, by podziurawić cię sulicami. Wdałem się z nimi w spór. Dostałem po głowie buzdyganem i ocknąłem się tu, w jamie. Niewątpliwie oskarżą mnie o udział w antyludzkim spisku.

— Jeśli już jesteśmy przy oskarżeniu — zgrzytnął zębami wiedźmin — to co nam grozi, jak myślisz?

— Jeżeli Neville, burmistrz, zdążył wrócić ze stolicy — mruknął Chireadan — to kto wie... Znam go. Ale jeśli nie zdążył, wyrok wydadzą rajcy, w tym oczywiście Wawrzynosek i lichwiarz. A to oznacza...

Elf wykonał krótki gest w okolicy szyi. Pomimo panującego w piwnicy mroku gest ten pozostawiał mało miejsca na domysły. Wiedźmin nie odezwał się. Złodzieje mruzcili do siebie cichcem. Siedzący za niewinność dziadunio zdawał się spać.

— Pięknie — rzekł wreszcie Geralt i plugawie zaklął. — Nie dość, że będę wisiał, to jeszcze ze świadomością, że byłem powodem twojej śmierci, Chireadan. I zapewne Jaskra. Nie, nie przerywaj. Wiem, że to sprawka Yennefer, ale winę

ponoszę ja. Moja głupota. Omamiła mnie, zrobiła ze mnie, jak mówią krasnoludy, wała.

— Hmm... — mruknął elf. — Nic dodać, nic ująć. Ostrzegałem cię przed nią. Psiakrew, ciebie ostrzegałem, a sam okazałem się równie wielkim, wybaczenie, durniem. Martwisz się, że przez ciebie tu siedzę, a jest dokładnie odwrotnie. Ty siedzisz tu przede mną. Mogłem zatrzymać cię na ulicy, obezwładnić, nie pozwolić... Nie zrobiłem tego. Bo bałem się, że gdy pryśnie czar, jaki na ciebie rzuciła, wrócisz i... skrzywdzisz ją. Wybaczone mi.

— Wybaczone skwapliwie. Bo nie masz pojęcia, jaką moc miał ten urok. Ja, drogi elfie, zwykły szarm przełamuję w kilka minut i nie mdleję przy tym. Uroku Yennefer nie udałoby się wam przełamać, a z obezwładnieniem mogłyby być kłopoty. Przypomnij sobie gwardię.

— Nie myślałem, powtarzam, o tobie. Myślałem o niej.

— Chireadan?

— Tak?

— Ty ją... Ty ją...

— Nie lubię wielkich słów — przerwał elf, uśmiechając się smutno. — Jestem nią, nazwijmy to, mocno zafascynowany. Dziwisz się zapewne, jak można być zafascynowanym kimś takim jak ona?

Geralt przymknął oczy, by przywołać w pamięci obraz. Obraz, który go w niewytłumaczalny sposób, nazwijmy to, unikając wielkich słów, fascynował.

— Nie, Chireadan — powiedział. — Nie dziwię się.

Z korytarza rozległy się ciężkie kroki, szcęk metalu. Loch wypełniły cienie czterech strażników. Zgrzytnął klucz, niewinny staruszek odskoczył od kraty jak ryś i skrył się wśród kryminalnych.

— Tak prędko? — zdziwił się półgłosem elf. — Myślałem, że postawienie szafotu zajmie więcej czasu...

Jeden ze strażników, łysy jak kolano drab z isticzniczą szczecina na gębie, wskazał na wiedźmina.

— Ten — powiedział krótko.

Dwaj inni chwycili Geralta, brutalnie poderwali i przyparli go do muru. Złodzieje wcisnęli się w swój ką, długonosy dziadunio zagrzebał się w słomę. Chireadan chciał się zerwać, ale opadł na klepisko, cofając się przed ostrzem przystawionego do piersi korda.

Łysy strażnik stanął przed wiedźminem, podciągnął rękawy i pomasaował pięść.

— Pan rajca Wawrzynosek — powiedział — kazał zapytać, czy ci aby dobrze u nas w loszku. Może nie dostaje ci czego? Może chłód doskwiera? A?

Geralt nie uznał za celowe odpowiadać. Kopnąć łysiego też nie mógł, bo trzymający go strażnicy nadepnęli mu na stopy ciężkimi buciorami.

Łysy wziął krótki zamach i walnął go w żołądek. Nie pomogło obronne napięcie mięśni. Geralt, z wysiłkiem łapiąc oddech, poobserwował czas jakiś sprzączkę własnego pasa, po czym strażnicy poderwali go znowu.

— Niczego ci nie trzeba? — kontynuował łysy, zionąc cebulą i zepsutymi zębami. — Ucieszy się pan rajca, że się nie skarżysz.

Następne uderzenie, w to samo miejsce. Wiedźmin zakrztusił się i byłby wyrzygał, ale nie miał czym. Łysy obrócił się bokiem. Zmieniał rękę.

Łup! Geralt ponownie popatrzył na sprzączkę własnego pasa. Choć wydawało się to dziwne, ale powyżej nie było dziury, przez którą przeświecałby mur.

— No jak? — łysy cofnął się nieco, niewątpliwie celem wzięcia większego zamachu. — Nie masz żadnych życzeń? Kazał pan Wawrzynosek spytać, czy nie masz jakowych. Ale czemu to nic nie gadasz? Jęzor ci się na supeł zamotał? Zara ci go odmotam!

Łup!

Geralt i tym razem nie zemdłał. A musiał zemdleć, bo zależało mu trochę na wewnętrznych organach. Aby zemdleć, musiał zmusić łysiego do...

Strażnik splunął, wyszczerzył zęby, znowu pomasował kułak.

— No jak? Żadnych życzeń?

— Jedno... — stęknął wiedźmin, z trudem podnosząc głowę. — Żebyś pękł, skurwysynu.

Łysy zgrzytnął zębami, cofnął się i zamachnął, tym razem, zgodnie z planem Geralta, zamierzając bić w głowę. Ale cios nie został zadany. Strażnik zagulgotał nagle niczym indyk, poczerwieniał, chwycił się oburącz za brzuch zawył, zaryczał z bólu...

I pękł.

* * *

— I co ja mam z wami zrobić?

Pociemniałe niebo za oknem przecięła oślepiająco jasna wstęga błyskawicy, po krótkiej chwili rozległ się ostry, przeciągły trzask gromu. Ulewa przybierała na sile chmura burzowa przepływała nad Rinde.

Geralt i Chireadan, usadzeni na ławie pod wielkim arrasem przedstawiającym Proroka Lebiodę pasącego owce, milczeli, skromnie opuściwszy głowy. Burmistrz Neville przechadzał się po komnacie, parszkając i sapiąc gniewnie.

— Wy cholerni, zasrani czarownicy! — wrzasnął nagle, zatrzymując się. — Uwzięliście się na moje miasto, czy jak? Nie ma innych miast na świecie, czy co? Elf i wiedźmin milczeli.

— Żeby coś takiego... — zachłysnął się burmistrz. — Żeby klucznika... Jak pomidor! Na miazgę! Na czerwoną papkę! To nieludzkie!

— Nieludzkie i bezbożne — powtórzył obecny w urzędowej komnacie ratusza kapłan Krepp. — Tak nieludzkie, że głupiec domyśliłby się, kto za tym stoi. Tak, burmistrz. Chireadana znamy obaj, a ten tu, podający się za wiedźmina, nie miałby dość Mocy, by tak potraktować klucznika. To wszystko sprawa tej Yennefer, tej przeklętej przez bogów wiedźmy!

Za oknem, jakby potwierdzając słowa kapłana, gruchnął grom.

— To ona, nikt inny — ciągnął Krepp. — To nie ulega kwestii. Któż, jeśli nie Yennefer, chciałby się mścić na panu rajcy Wawrzynosku?

— He, he, he — zarechotał nagle burmistrz. — O to akurat się najmniej gniewam. Wawrzynosek podgryzał mnie, na urząd mój dybał. A teraz nie znajdzie już u ludzi posłuchu. Co kto sobie przypomni, jak dostał w dupę. . .

— Brakowało tylko, byście zaczęli przyklaskiwać tej zbrodni, panie Neville — zmarszczył się Krepp. — Przypominam wam, że gdybym nie rzucił na wiedźmina egzorcyzmu, podniósłby rękę na mnie i na majestat świątyni. . .

— A bo to też i paskudnie gadaliście o niej w kazaniach, Krepp. Nawet Ber-rant skarżył się na was. Ale co prawda, to prawda. Słyszycie, łotry? — burmistrz znowu odwrócił się do Geralta i Chireadana. — Nic was nie usprawiedliwia! Nie myślę tolerować tu takich awantur! No już, jazda, gadajcie mi tu wszystko, gadajcie, co macie na swoją obronę, bo jak nie, to klnę się na wszystkie relikwie, zatańczę z wami tak, że do śmierci nie zapomnicie! Gadać mi tu wszystko, zaraz, jak na spowiedzi!

Chireadan westchnął ciężko i popatrzył na wiedźmina znacząco i prosząco. Geralt też westchnął, odchrząknął.

I opowiedział wszystko. No, prawie wszystko.

— A więc to takie buty — rzekł kapłan po chwili milczenia. — Ładna historia. Geniusz uwolniony z zamknięcia. I czarodziejka, która zagięła na tego geniusza parol. Niezła kombinacja. To się może źle skończyć, bardzo źle.

— Co to jest geniusz? — spytał Neville — I o co chodzi tej Yennefer?

— Czarodzieje — wyjaśnił Krepp — czerpią swą moc z sił natury, a dokładniej z tak zwanych Czterech Elementów albo Pierwiastków, popularnie nazywanych żywiołami. Powietrze, Woda, Ogień i Ziemia. Każdy z tych żywiołów ma swój własny Wymiar, w żargonie czarowników nazywany Płaszczyzną. Istnieje Płaszczyzna Wody, Płaszczyzna Ognia i tak dalej. Wymiary te, dla nas niedostępne, zamieszkują istoty zwane geniuszami. . .

— Zwane w legendach — przerwał wiedźmin. — Bo o ile mi wiadomo. . .

— Nie przerywaj — uciął Krepp. — To że niewiele ci wiadomo, było jasne już w czasie twojej opowieści, wiedźminie. Milcz więc teraz i posłuchaj mądrzejszych od siebie. Wracając do geniuszy, są ich cztery rodzaje, tak jak cztery są Płaszczyzny. Istnieją d'jinni, istoty powietrzne, maridy, związane z żywiołem wody, ifrity, które są geniuszami Ognia, i d'ao, geniusze Ziemi. . .

— Zagalopowałeś się, Krepp — wtrącił Neville. — Tu nie szkołka świątynna, nie ucz nas. Mów krótko: czego Yennefer chce od tego geniusza?

— Taki geniusz, burmistrzu, to żywy zbiornik energii magicznej. Czarownik, mając geniusza na zawołanie, może tę energię ukierunkowywać w postaci zaklęć. Nie musi mozolnie ciągnąć Mocy z Natury, robi to za niego geniusz. Wówczas moc takiego czarodzieja jest ogromna, bliska wszechmocy...

— Jakoś nie słyszałem o magach mogących wszystko — skrzywił się Neville. — Wręcz przeciwnie, moc większości z nich jest wyraźnie przesadzona. Tego nie mogą, tamtego nie...

— Czarodziej Stammelford — przerwał kapłan, znowu przybierając ton, pozę i minę akademickiego wykładowcy — przesunął kiedyś górę, bo mu zasłaniała widok z wieży. Nikomu nie udało się nigdy, ani przedtem, ani potem dokonać czegoś podobnego. Bo Stammelford, jak wieść niesie, miał na usługi d'ao, geniusza Ziemi. Istnieją zapiski o podobnych w skali wyczynach innych magików. Ogromne fale i katastrofalne deszcze, niezawodnie dzieło maridów. Słupy ogniste, pożary i eksplozje, robota ognistych ifritów...

— Trąby powietrzne, huragany, loty nad ziemią — mruknął Geralt. — Geoffrey Monck.

— Zgadza się. Coś jednak wiesz, jak widzę — Krepp spojrzał na niego życzliwiej. — Mówi się, że stary Monck znalazł sposób, by zmusić do służby d'jinni, geniusza Powietrza. Krążyły pogłoski, że niejednego. Miał je trzymać jakoby w butlach i wykorzystywał w miarę potrzeby, po trzy życzenia od każdego geniusza. Bo geniusz, moi panowie, spełnia tylko trzy życzenia, a potem jest wolny i ucieka w swój wymiar.

— Ten nad rzeką niczego nie spełniał — rzekł stanowczo Geralt. — Od razu rzucił się Jaskrowi do gardła.

— Geniusze — zadarł nos Krepp — to istoty złośliwe i przewrotne. Nie lubią takich, co pakują je do butli i każą przesunąć góry. Robią wszystko, by uniemożliwić wypowiedzenie życzeń, a spełniają je też w sposób trudny do opanowania i przewidzenia. Niekiedy dosłownie, trzeba więc uważać, co się mówi. Aby zaś geniusza ujarzmić, trzeba żelaznej woli, stalowych nerwów, silnej Mocy i niemałych umiejętności. Z tego, co opowiadałeś, wynika, że twoje umiejętności, wiedźminie, były za małe.

— Za małe, żeby drania ujarzmić — zgodził się Geralt. — Ale przepędziłem go, wiał tak, że aż powietrze wyło. A to też jest coś. Yennefer, co prawda, wyśmiała mój egzorcyzm...

— Jaki to był egzorcyzm? Powtórzcie.

Wiedźmin powtórzył, słowo w słowo.

— Co?!? — kapłan najpierw pobałdł, potem poczerwieniał, a na koniec posiniał. — Jak śmiesz! Dworujesz sobie ze mnie?

— Wybaczcie — zająknął się Geralt. — Mówiąc szczerze, to nie znam... znaczenia tych słów.

— Nie powtarzajcie więc, czego nie znacie! Pojęcia nie mam, gdzie mogliście usłyszeć podobne plugastwo!

— Dość tego — machnął ręką burmistrz. — Tracimy czas. Dobra. Wiemy już, do czego czarownicy jest ten geniusz. Ale mówiliście, Krepp, że to niedobrze. Co jest niedobrze? A niech go sobie złapie i niech idzie do diabła, co mnie to obchodzi. Ja myślę...

Nikt nigdy nie dowiedział się, co w danej chwili myślał Neville, jeżeli nawet nie były to przechwałki. Na ścianie obok arrasu z Prorokiem Lebiodą pojawił się nagle świetlisty czworokąt, coś błysnęło, po czym na środku ratuszowej komnaty wylądował... Jaskier.

— Niewinny! — wrzasnął poeta czyściutkim, dźwięcznym tenorem, siedząc na podłodze i wodząc dookoła błędnym wzrokiem. — Niewinny! Wiedźmin jest niewinny! Życzę sobie, by w to uwierzono!

— Jaskier! — krzyknął Geralt, powstrzymując Kreppa, najwyraźniej szykującego się do egzorcyzmowania, a kto wie, czy nie kłątwy — Skąd ty... tutaj... Jaskier!

— Geralt! — bard zerwał się z podłogi.

— Jaskier!

— Co to za jeden? — warknął Neville. — Do jasnej cholery, jeśli nie zaprzestaniecie czarów, to nie ręczę za siebie. Powiedziałem, w Rinde czarować nie wolno! Najpierw trzeba złożyć pisemne podanie, potem uiścić podatek i opłatę skarbową... Ejże? Czy to aby nie ten śpiewak, zakładnik wiedźmy?

— Jaskier — powtórzył Geralt, trzymając poetę za ramiona. — Jak się tu dostałeś?

— Nie wiem — przyznał bard z głupią i zatroskaną miną. — Mówiąc szczerze, jestem raczej nieświadom, co się ze mną działo. Pamiętam niewiele i niech mnie zaraza, jeśli wiem, co z tego było jawą, a co koszmarem. Przypominam sobie jednak niebrzydka czarnulkę o ognistych oczach...

— Co wy mi tu o czarnulkach — przerwał gniewnie Neville. — Do rzeczy, mospanie, do rzeczy. Wrzeszczeliście, że wiedźmin jest niewinny Jak mam to rozumieć? Że niby Wawrzynosek sam, własnoręcznie obił sobie dupę? Bo jeśli wiedźmin jest niewinny, to inaczej być nie mogło. Chyba że była to zbiorowa halucynacja.

— Nic mi nie wiadomo o dupach ani halucynacjach — rzekł dumnie Jaskier. — Ani o wawrzynowych noskach. Powtarzam, ostatnie, co pamiętam, to była elegancka kobieta ubrana w gustownie skomponowaną czerń i biel. Wzmiankowana wrzuciła mnie brutalnie do świecącej dziury, niechybnie portalu magicznego. A przedtem wydała mi wyraźne i dobitne polecenie. Po przybyciu na miejsce miałem bezzwłocznie oświadczyć, cytując: „Życzeniem moim jest, by mi uwie-

rzono, że wiedźmin nie ponosi winy za to, co się stało. Takie, nie inne, jest moje życzenie.” Dosłownie tak. Owszem, pytałem, w czym rzecz, o co chodzi i po co to wszystko. Czarnulka nie dała mi dojść do słowa. Obrugała mnie nieelegancko, wzięła za kark i wrzuciła w portal. To wszystko. A teraz...

Jaskier wyprostował się, otrzepał kubrak, poprawił kołnierz i fantazyjny, acz brudny żabot.

— ... zechcą mi panowie powiedzieć, jak nazywa się i gdzie się znajduje najlepsza w tym mieście oberża.

— W moim mieście nie ma złych oberży — powiedział wolno Neville. — Ale zanim będziesz się mógł o tym przekonać, obejrzysz dokładnie najlepszy w tym mieście loch. Ty i twoi kompani. Jeszcze nie jesteście na wolności, łajdacy, przypominam! Widzicie ich! Jeden opowiada niestworzone historie, a drugi wyskakuje ze ściany i krzyczy o niewinności, życzę sobie, wrzeszczy, by mi uwierzono. Ma czelność życzyć sobie...

— Bogowie! — kapłan chwycił się nagle za łysinę. — Teraz rozumiem! Życzenie! Ostatnie życzenie!

— Co się wam stało, Krepp? — burmistrz zmarszczył czoło. — Chorzyście?

— Ostatnie życzenie! — powtórzył kapłan. — Zmusiła barda do wypowiedzenia ostatniego, trzeciego życzenia. Geniuszem nie można było zawładnąć, dopóki nie spełnił tego życzenia. A Yennefer zastawiła pułapkę magiczną i zapewne pojmowała geniusza, zanim zdążył umknąć we własny wymiar! Panie Neville, trzeba koniecznie...

Za oknem zagrzmiało. I to tak, że zadrżały ściany.

— Cholera — mruknął burmistrz, podchodząc do okna. — Blisko rąbnęło. Byle nie w jaki dom, brakuje mi tu jeszcze pożaru... Bogowie! Spójrzcie tylko! Spójrzcie tylko na to! Krepp!!! Co to jest?

Wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się ku oknu.

— O matko! — wrzasnął Jaskier, chwytając się za gardło. — To on! To ten sukinsyn, który mnie udusił!

— D’jinni! — krzyknął Krepp. — Geniusz powietrza!

— Nad karczmą Errdila! — zawołała Chireadan. — Nad dachem!

— Złapała go! — Kapłan wychylił się tak mocno, że omal nie wypadł. — Widzicie światło magiczne? Czarownica schwytała geniusza w pułapkę!

Geralt patrzył w milczeniu.

Kiedyś przed laty, gdy będąc pełnym smarkaczem pobierał nauki w Kaer Morhen, w Wiedźmińskim Siedliszczu, on i jego koleżka Eskel schwyтали wielkiego leśnego trzmiela, którego następnie przywiązali do stojącego na stole dzbana długą nitką wyprutą z koszuli. Patrząc, co wyczynia trzmiel na uwieżi, pękali ze śmiechu do czasu, gdy zdybał ich na tym zajęciu Vesemir, ich preceptor, i złoł obu rzemieniem.

Dżinn krążący nad dachem oberży Errdila zachowywał się identycznie jak tamten trzmiel. Wzlatywał i spadał, zrywał się i pikował w dół, krążył, bucząc wściekle, po okręgu. Bo dżinn, identycznie jak trzmiel z Kaer Morhen, był przywiązany pokręconymi nitkami z oślepiąco jasnego, różnokolorowego światła, oplatającymi go szczelnie i kończącymi się na dachu. Dżinn jednak miał większe możliwości niż przywiązany do dzbanka trzmiel. Trzmiel nie mógł rozwalać okolicznych dachów, roznosić w strzępy strzech, burzyć kominów, druzgotać wieżyczek i mansard. Dżinn mógł. I robił to.

— Niszczy miasto! — zawył Neville. — Ten potwór niszczy moje miasto!

— He, he — zaśmiał się kapłan. — Trafiła kosa na kamień, jak mi się zdaje! To wyjątkowo silny d'jinni! Prawdziwie, nie wiem, kto kogo schwycił, wiedźma jego czy on wiedźmę! Ha, skończy się to tym, że d'jinni zetrze ją na proch, i bardzo dobrze! Sprawiedliwości stanie się zadość!

— Sram na sprawiedliwość! — wrzasnął burmistrz, nie bacząc, że pod oknami mogą stać wyborcy. — Patrz, Krepp, co się tam dzieje! Panika, ruina! Tego mi nie powiedziałaś, ty łysy durniu! Mądryłeś się, gadałeś, a o najważniejszym ani słowa! Dlaczego mi nie powiedziałaś, że ten demon... Wiedźminie! Zrób coś! Słyszysz, niewinny czarowniku? Zrób z tym diabłem porządek! Daruję ci wszystkie przewiny, ale...

— Tu się nic nie da zrobić, panie Neville — parsknął Krepp. — Nie uważaliście, gdy mówiłem, i tyle. Nigdy nie uważacie, gdy mówię. To jest, powtarzam, niesłychanie silny d'jinni, gdyby nie to, czarodziejka już by go miała. Powiadam wam, jej zaklęcie zaraz osłabnie, a wówczas d'jinni zmiażdży ją i ucieknie. I będzie spokój.

— A miasto pójdzie tymczasem w gruzy?

— Trzeba czekać — powtórzył kapłan. — Ale nie z założonymi rękami. Wydajcie rozkazy, burmistrzu. Niech ludzie opuszczą okoliczne domy i niech się przygotowują do gaszenia pożarów. To, co się tam teraz dzieje, jest niczym w porównaniu z piekłem, jakie się zacznie, gdy geniusz skończy z czarownicą.

Geralt uniósł głowę, napotkał wzrok Chireadana, umknął przed nim.

— Panie Krepp — zdecydował się nagle. — Potrzebna mi wasza pomoc. Chodzi o portal, którym przybył tu Jaskier. Portal wciąż łączy ratusz z...

— Nie ma już nawet znaku po portalu — rzekł zimno kapłan, wskazując na ścianę. — Nie widzisz?

— Portal, nawet niewidoczny, zostawia ślad. Można zaklęciem taki ślad ustabilizować. Przejdę tym śladem.

— Chybaście niespełna rozumu. Nawet jeśli takie przejście nie rozerwie was na sztuki, co chcecie osiągnąć? Chcecie znaleźć się w środku cyklonu?

— Pytałem, czy możecie rzucić zaklęcie stabilizujące ślad.

— Zaklęcie? — kapłan dumnie uniósł głowę. — Ja nie jestem bezbożnym czarownikiem! Ja nie rzucam zaklęć! Moja moc płynie z wiary i modlitwy!

— Możecie, czy nie?
— Mogę.
— To bierzcie się do roboty, bo czas nagli.
— Geralt — odezwał się Jaskier. — Tyś naprawdę zwariował! Trzymaj się z daleka od tego cholernego dusiciela!
— Proszę o ciszę — rzekł Krepp. — I o powagę. Modłę się.
— Do diabła z twoją modlitwą! — rozdarł się Neville. — Lecę zbierać ludzi! Trzeba coś zrobić, a nie stać i gadać! Bogowie, co za dzień! Co za cholerny dzień!
Wiedźmin poczuł, jak Chireadan dotyka jego ramienia. Odwrócił się. Elf spojrział mu w oczy, potem spuścił wzrok.
— Idziesz tam. . . bo musisz, prawda?
Geralt zawahał się. Zdawało mu się, że czuje zapach bzu i agrestu.
— Chyba tak — powiedział z ociąganiem. — Muszę. . . Przepraszam cię, Chireadan. . .
— Nie przepraszaj. Wiem, co czujesz.
— Wątpię. Bo ja sam tego nie wiem.
Elf uśmiechnął się. Uśmiech ten mało miał wspólnego z radością.
— Na tym to właśnie polega, Geralt. Właśnie na tym.
Krepp wyprostował się, odetchnął głęboko.
— Gotowe — powiedział, wskazując z dumą na ledwie widoczny zarys na ścianie. — Ale portal jest chwiejny i długo się nie utrzyma. Nie ma też żadnej pewności, czy nie jest przerwany. Zanim w to wstąpicie, panie wiedźminie, uczynicie rachunek sumienia. Mogę was pobłogosławić, ale na odpuszczenie grzechów. . .
— . . . nie wystarczy czasu — dokończył Geralt. — Wiem, panie Krepp. Na to nigdy nie wystarcza czasu. Wyjdźcie wszyscy z komnaty. Jeżeli portal eksploduje, pękną wam bębenki w uszach.
— Ja zostanę — rzekł Krepp, gdy za Jaskrem i elfem zamknęły się drzwi. Poruszył dłońmi w powietrzu, wytwarzając dookoła siebie pulsującą aurę. — Roztoczę protekcję, na wszelki wypadek. A gdyby portal pękł. . . Spróbuję was wyciągnąć, panie wiedźminie. Wielka mi rzecz bębenki. Bębenki odrastają.
Geralt spojrział na niego życzliwiej. Kapłan uśmiechnął się.
— Mężny z was człowiek — powiedział. — Chcecie ją ratować, prawda? Ale męstwo nie na wiele się wam zda. Dżinny to mściwe istoty. Czarodziejka jest zgubiona. Wy, jeśli tam pójdziecie, też będziecie zgubieni. Uczynicie rachunek sumienia.
— Już uczyniłem — Geralt stanął przed słabo świecącym portalem. — Panie Krepp?
— Słucham was.
— Ten egzorcyzm, który tak was zdenerwował. . . Co znaczą te słowa?
— Zaiste, sposobna pora do żartów i krotchwili. . .

— Proszę was, panie Krepp.
— Cóż — rzekł kapłan, kryjąc się za ciężkim dębowym stołem burmistrza. —
Ostatnie to wasze życzenie, więc wam powiem. Znaczyło to... Hmm... Hmm...
„Odejdź stąd i wychędź się sam”.

Geralt wstał w nicość, a zimno zdławiło śmiech, który nim wstrząsał.

* * *

Portal, ryczący i kotłujący się jak huragan, wyrzucił go z impetem, wypłuł z rozrywającą płuca siłą. Wiedźmin runął bezwładnie na podłogę, dysząc, z trudem łapiąc powietrze otwartymi ustami.

Podłoga dygotała. Początkowo sądził, że to on sam trzęsie się po podróży przez pękające piekło portalu, ale szybko zorientował się w pomyłce. Cały dom wibrował, trząsał się i trzeszczał.

Rozejrzył się. Znajdował się nie w izdebce, w której po raz ostatni widział Yennefer i Jaska, ale w dużej ogólnej sali remontowanej karczmy Errdila.

Zobaczył ją. Klęczała pomiędzy stołami, pochylona nad magiczną kulą. Kula płonęła silnym mlecznym blaskiem, prześwietlała na czerwono palce czarodziejki. Blask rzucany przez kulę tworzył obraz. Migotliwy, chwiejny, ale wyraźny. Geralt widział pokoik z gwiazdą i pentagramem wykreślonymi na podłodze, rozjarzonymi obecnie do białości. Widział wystrzelające z pentagramu różnokolorowe, trzeszczące, ogniste linie przepadające w górze ponad dachem, skąd dobiegał wściekły ryk złowionego dzinna.

Yennefer zobaczyła go, zerwała się i uniosła dłoń.

— Nie! — krzyknął. — Nie rób tego! Chcę ci pomóc!

— Pomóc? — parsknęła. — Ty?

— Ja.

— Pomimo tego, co ci zrobiłam?

— Pomimo.

— Interesujące. Ale w gruncie rzeczy nieważne. Nie potrzebuję twojej pomocy. Wynoś się stąd, natychmiast.

— Nie.

— Wynoś się! — wrzasnęła, krzywiąc się złowróźnie. — Tu robi się niebezpiecznie! Sprawa wymyka mi się spod kontroli, rozumiesz? Nie mogę go opanovać, nie pojmuję tego, ale łajdak nie słabnie. Złapałam go, gdy spełnił trzecie życzenie trubadura, powinnam już mieć go w kuli. A on w ogóle nie słabnie! Cholera, wygląda, jakby robił się coraz silniejszy! Ale pokonam go i tak, złamię...
— Nie złamiesz go, Yennefer. On cię zabije.

— Nie tak łatwo mnie zabić...
— Nie tak łatwo mnie zabić...
— Nie tak łatwo mnie zabić...

Urwała. Cały sufit karczmy rozjarzył się nagle i rozbłysnął. Rzucana przez kulę wizja rozplynęła się w jasności. Na powale zarysował się wielki ognisty czworokąt. Czarodziejka zakłęta, unosząc ręce, z jej palców trysnęły iskry.

— Uciekaj, Geralt!

— Co się dzieje, Yennefer?

— Zlokalizował mnie... — jęknęła, czerwieniejąc z wysiłku. — Chce się do mnie dostać. Tworzy własny portal, by dostać się do środka. Nie może zerwać uwięzi, ale portalem się tu dostanie. Nie mogę... Nie mogę go powstrzymać!

— Yennefer...

— Nie rozpraszaaj mnie! Muszę się skoncentrować... Geralt, musisz uciekać. Otworzę mój portal, drogę ucieczki dla ciebie. Uważaj, to będzie portal losowo rzucający, nie mam czasu ani siły na inny... Nie wiem, gdzie wylądujesz... ale będziesz bezpieczny... Przygotuj się...

Wielki portal na suficie rozbłysnął nagle oślepiająco, rozdał się i zdeformował, z nicości wyłoniła się znana wiedźminowi bezkształtna, kłapiąca obwisłymi wargami paszcza, wyjąca tak, że aż świdrowało w uszach. Yennefer skoczyła, zamachała rękami i krzyknęła zakłęcie. Z jej dłoni wystrzeliła płatanina światła, spadając na dżinna jak sieć. Dżinn zaryczał i wypączkował z siebie długie łapy, które niczym atakujące kobry pomknęły ku gardłu czarodziejki. Yennefer nie cofnęła się.

Geralt rzucił się ku niej, odepchnął i zasłonił. Dżinn, omotany magicznym światłem, wyskoczył z portalu jak korek z butelki, rzucił się na nich, rozwierając paszczę. Wiedźmin zacisnął zęby i uderzył go Znakiem, bez widocznego efektu. Ale geniusz nie zaatakował. Zawisł w powietrzu pod samym sufitem, rozdał do imponujących rozmiarów, wybałuszył na Geralta blade ślepie i zaryczał. W ryku tym było coś, coś jak gdyby rozkaz, polecenie. Nie zrozumiał jakie.

— Tędy! — krzyknęła Yennefer, wskazując na portal, który wyczarowała na ścianie przy schodach. W porównaniu z portalem utworzonym przez geniusza portal czarodziejki wyglądał biednie, niepozornie i nader prowizorycznie. — Tędy, Geralt! Uciekaj!

— Tylko razem z tobą!

Yennefer, wodząc w powietrzu rękami, krzyczała zakłęcia, różnokolorowe liny uwięzi sypały iskrami, trzeszczały. Dżinn zawirował jak bąk, napinając więzy, rozciągając je. Powoli, ale stale zbliżał się do czarodziejki. Yennefer nie cofnęła się.

Wiedźmin przyskoczył, zręcznie podstawił jej nogę, chwycił w pasie jedną ręką, drugą wpił we włosy na karku. Yennefer zakłęta obrzydliwie i walnęła go łokciem w szyję. Nie puścił jej. Przenikliwy zapach ozonu, jaki wytworzyły zakłęcia, nie zabił zapachu bzu i agrestu. Geralt podciął czarodziejce wierzgające nogi i skoczył, unosząc ją prosto w opalizująco migotliwą nicość mniejszego portalu.

Portalu prowadzącego w nieznanne.

Wylecieli, zwarci w uścisku, upadli na marmurową posadzkę, sunąc po niej w poślizgu przewrócili ogromny świecznik, a zaraz potem stół, z którego z hukiem i trzaskiem posypały się kryształowe puchary, patery z owocami i ogromna micha pełna tłuczonego lodu, wodorostów i ostryg. Ktoś wrzasnął, ktoś zapiszczał.

Leżeli na samym środku sali balowej, jasnej od kandelabrow. Bogato odziani panowie i skrzące się od klejnotów damy, przerwawszy taniec, przyglądali im się w osłupiałym milczeniu. Muzycy z galeryjki zakończyli grę gryzącą uszy kako-fonią.

— Ty kretynie! — krzyknęła Yennefer, usiłując wydrapać mu oczy. — Ty cholerny idioto! Przeszkodziłeś mi! Już go prawie miałam!

— Gównu miałaś! — odkrzyknął, zły nie na żarty. — Uratowałem ci życie, głupia więdźmo!

Parsknęła jak wściekły kot, jej dłonie sypnęły iskrami. Geralt, odwracając twarz, ucapił ją za oba przeguby, po czym zaczęli się tarzać wśród ostryg, kandyzowanych owoców i kruszonego lodu.

— Czy mają państwo zaproszenia? — spytał postawny mężczyzna ze złotym łańcuchem szambelana na piersi, patrząc na nich z góry z wyniosłą miną.

— Odchędoż się, durniu! — wrzasnęła Yennefer, wciąż próbując wydrapać Geraltowi oczy.

— To skandal — rzekł z naciskiem szambelan. — Doprawdy, przesadzacie z tą teleportacją. Poskarżę się Radzie Czarodziejów. Zażądam. . .

Nikt nigdy nie dowiedział się, czego zażąda szambelan. Yennefer wyszarpnęła się, otwartą dłonią trzasnęła więdźmina w ucho, z mocą kopnęła go w łydkę i skoczyła w gasnący na ścianie portal. Geralt rzucił się za nią, wypraktykowanym ruchem łapiąc za włosy i pasek. Yennefer, też nabrawszy praktyki, zdzieliła go łokciem. Od gwałtownego ruchu trzasnęła jej suknia pod pachą, odsłaniając zgrabną dziewczęcą pierś. Zza rozdartego dekoltu wyleciała ostryga.

Wpadli oboje w nicość portalu. Geralt usłyszał jeszcze słowa szambelana.

— Muzyka! Grać dalej! Nic się nie stało. Proszę nie przejmować się tym godnym pożałowania incydem!

Więdźmin był przekonany, że z każdą kolejną podróżą portalem rośnie też ryzyko nieszczęścia, i nie pomylił się. Trafili w cel, w karczmę Errdila, ale zmateriałowali się pod samym sufitem. Spadli, druzgocąc balustradę schodów, z ogłuszającym trzaskiem wylądowali na stole. Stół nie miał prawa tego wytrzymać i nie wytrzymał.

Yennefer w chwili upadku znalazła się pod spodem. Był pewien, że straciła przytomność. Mylił się.

Walnęła go nasadą pięści w oko i bluznęła prosto w twarz wiązanką obelg, których nie powstydziliby się krasnoludzki grabarz, a krasnoludzczy grabarze byli niezrównanymi plugawcami. Klątwom towarzyszyły wściekłe i bezładne ciosy wymierzane na oślepa, gdzie popadło. Geralt chwycił ją za rękę, a chcąc uniknąć

uderzenia czołem, wcisnął twarz w dekolt czarodziejki pachnący bzem, agrestem i ostrygami.

— Puść mnie! — wrzasnęła, wierzgając niczym kucyk. — Idioto, głupku, palancie! Puść, mówię! Uwięź zaraz pęknie, muszę ją wzmocnić, bo džinn ucieknie!

Nie odpowiedział, chociaż miał ochotę. Chwycił ją jeszcze mocniej, próbując przytłamsić do podłogi. Yennefer zakłęta wstrętnie, targnęła się i z całej siły kopnęła go kolanem w krocze. Zanim zdołał złapać oddech, wyrwała mu się, wrzasnęła zakłęcie. Poczł, jak jakaś potworna siła dźwiga go z podłogi i ciska nim przez całą długość sali, a potem z pozbawiającym oddechu impetem wyrznął o rzeźbioną dwudrzwiową komodę i zdruzgotał ją dokumentnie.

* * *

— Co się tam dzieje!?! — Jaskier uczepiony murku wyciągnął szyję, starając się przebić wzrokiem ulewę. — Co się tam dzieje, mówcie, do cholery!

— Biją się! — wrzasnął jeden z ciekawskich uliczników, odskakując od okna karczmy jak oparzony. Jego obszarpani koleżkowie również rzucili się do ucieczki, klaszcząc po błocie bosymi piętami. — Czarownik i wiedźma biją się!

— Biją się? — zdziwił się Neville. — Oni się biją, a ten zafajdany demon rujnuje moje miasto! Patrzcie, znowu obalił komin! I rozpieprzył cegielnię! Hej, ludzie! Biegiem tam! Bogowie, szczęście, że pada, byłby pożar jak nic!

— To już długo nie potrwa — powiedział ponuro kapłan Krepp. — Światło magiczne słabnie, uwięź zaraz pęknie. Panie Neville! Rozkażcie, niech ludzie się cofną! Tam zaraz rozpęta się piekło! Z tego domu zostaną drzazgi! Panie Errdil, z czego się śmiejecie? Przecież to wasz dom. Co was tak bawi?

— Ubezpieczyłem tę rudere na kupę forsy!

— Polisa obejmuje wypadki magiczne i nadprzyrodzone?

— Jasne.

— Rozumnie, panie elfie. Bardzo rozumnie. Gratuluje. Hej, ludzie, kryć się! Komu życie miłe, niech nie podchodzi bliżej!

Z wewnątrz Errdilowego domostwa rozległ się ogłuszający huk, błysnęła błyskawica. Tłumek cofnął się, kryjąc za filarami.

— Dlaczego Geralt tam polazł? — jęknął Jaskier. — Po jaką cholere? Dlaczego uparł się, by ratować tę czarownicę? Psiakrew, dlaczego? Chireadan, czy ty to rozumiesz?

Elf uśmiechnął się smutno.

— Rozumiem, Jaskier — potwierdził. — Rozumiem.

* * *

Geralt uskoczył przed kolejnym ogniście pomarańczowym grotem strzelającym z palców czarodziejki. Była wyraźnie zmęczona, groty były słabe i wolne, unikał ich bez większego trudu.

— Yennefer! — krzyknął. — Uspokój się! Zrozum wreszcie, co chcę ci powiedzieć! Nie zdołasz. . .

Nie dokończył. Z rąk czarodziejki trysnęły cieniutkie czerwone błyskawice, dosięgając go w wielu miejscach i dokładnie omotując. Ubranie zasyczało i zaczęło dymić.

— Nie zdołam? — wycedziła, stając nad nim. — Zaraz zobaczysz, do czego jestem zdolna. Wystarczy, że sobie poleżysz i nie będziesz więcej przeszkadzał.

— Zdejmij to ze mnie! — zaryczał, ciskając się i szarpiąc w ognistej pajęczynie. — Palę się, cholera!

— Leż bez ruchu — poradziła, dysząc ciężko. — To parzy tylko wtedy, gdy się poruszasz. . . Ja nie mogę poświęcić ci już więcej czasu, wiedźminie. Pobaraszkowaliśmy, ale co za dużo, to niezdrowo. Muszę zająć się dzinnem, bo gotów mi uciec. . .

— Uciec? — wrzasnął. — To ty powinnaś uciekać! Ten dzinn. . . Yennefer, posłuchaj mnie uważnie. Muszę ci coś wyznać. . . Muszę ci powiedzieć prawdę. Zdziwisz się.

* * *

Dzinn zatargał się na uwięzi, zatoczył koło, napiął trzymające go liny i zmiotł wieżyczkę z domu Beau Berranta.

— Ależ on ryczy! — zmarszczył się Jaskier, chwytając się odruchowo za gardło. — Ależ on potwornie ryczy! Wygląda, że jest cholernie wściekły!

— Bo jest — rzekł kapłan Krepp.

Chireadan spojrział na niego szybko.

— Co?

— Jest wściekły — powtórzył Krepp. — I nie dziwię się. Ja też byłbym wściekły, gdybym musiał co do joty wypełnić pierwsze życzenie, jakie przypadkowo wyraził wiedźmin. . .

— Jak to? — krzyknął Jaskier. — Geralt? Życzenie?

— To on miał w ręku pieczęć, która więziła geniusza. Geniusz spełnia jego życzenia. Dlatego czarownica nie może zapanować nad dzinnem. Ale wiedźmin nie powinien jej tego mówić, nawet jeżeli już się domyślił. Nie powinien mówić jej tego.

— Psiakrew — mruknął Chireadan. — Zaczynam rozumieć. Klucznik w lochu. . . Pękł. . .

— To było drugie życzenie wiedźmina. Zostało mu jeszcze jedno. Ostatnie. Ale, na bogów, nie powinien zdradzić tego Yennefer!

* * *

Stała nieruchomo, pochylona nad nim, nie zwracając żadnej uwagi na dżinna targającego się na uwięzi nad dachem oberży. Budynek trzął się, z sufitu sypało się wapno i drzazgi, meble pełzały po podłodze, dygocąc spazmatycznie.

— A więc to tak — syknęła. — Gratuluję. Udało ci się mnie oszukać. Nie Jaskier, lecz ty. To dlatego dżinn tak walczy! Ale ja jeszcze nie przegrałam, Geralt. Nie doceniasz mnie, nie doceniasz mojej mocy. Na razie jeszcze mam w garści i dżinna, i ciebie. Masz jeszcze jedno, ostatnie życzenie? A zatem wypowiedz je. Zwolnisz dżinna, a wówczas ja go zabutelkuje.

— Nie wystarczy ci już sił, Yennefer.

— Nie doceniasz moich sił. Życzenie, Geralt!

— Nie, Yennefer. Nie mogę... Dżinn może i spełni je, ale tobie nie daruje. Gdy będzie wolny, zabije cię, zemści się na tobie... Nie zdołasz go schwytać i nie zdołasz się przed nim obronić. Jesteś wycieńczona, ledwie trzymasz się na nogach. Zginiesz, Yennefer.

— To moje ryzyko! — krzyknęła wściekle. — Co cię obchodzi, co się ze mną stanie? Pomyśl lepiej o tym, co dżinn może dać tobie! Masz jeszcze jedno życzenie! Możesz zażądać, czego zechcesz! Wykorzystaj szansę! Wykorzystaj ją, wiedźminie! Możesz mieć wszystko! Wszystko!

* * *

— Zginą obydwójce? — zawył Jaskier. — Jak to? Panie Krepp, czy jak wam tam... Dlaczego? Przecież wiedźmin... Dlaczego, do ciężkiej i niespodziewanej zarazy, on nie ucieka? Dlaczego? Co go tam trzyma? Dlaczego nie zostawi na pastwę losu tej cholernej wiedźmy i nie ucieknie? Przecież to bez sensu!

— Absolutnie bez sensu — powtórzył Chireadan gorzko. — Absolutnie bez.

— To samobójstwo! I zwyczajny idiotyzm!

— To przecież jego fach — wtrącił Neville. — Wiedźmin ratuje moje miasto. Bogów przyzywam na świadków, jeśli pokona czarownicę i przepędzi demona, nagrodzę go sówicę...

Jaskier zerwał z głowy kapelusik ozdobiony czaplím piórką, napluł na niego, rzucił w błoto i rozdeptał, powtarzając przy tym różne słowa w różnych językach.

— Przecież on... — jęknął nagle. — Ma jeszcze jedno życzenie w zapasie! Mógłby uratować i ją, i siebie! Panie Krepp!

— To nie takie proste — zastanowił się kapłan. — Ale gdyby... Gdyby wyraził właściwe życzenie... Gdyby jakoś powiązał swój los z losem... Nie, nie sądzę, żeby na to wpadł. I chyba lepiej, żeby nie wpadał.

* * *

— Życzenie, Geralt! Prędeż! Czego pragniesz? Nieśmiertelności? Bogactwa? Sławy? Władzy? Potęgi? Zaszczytów? Prędeż, nie mamy czasu!

Milczał.

— Człowieczeństwa — powiedziała nagle, uśmiechając się paskudnie. — Odgadłam, prawda? Przecież tego pragniesz, o tym marzysz! O wyzwoleniu, o swobodzie bycia tym, kim zechcesz, nie tym, czym być musisz. Dżinn spełni to życzenie, Geralt. Wypowiedz je.

Milczał.

Stała nad nim w migotliwym blasku czarodziejkiej kuli, w poświęceniu magii, wśród rozbłysków wiążących dżinna promieni, z rozwianymi włosami i oczami płonącymi fioletem, wyprostowana, smukła, czarna, straszna...

I piękna.

Pochyliła się gwałtownie, spojrzała mu w oczy, z bliska. Czuł zapach bzu i agrestu.

— Milczysz — syknęła. — Więc czego ty pragniesz, wiedźminie? Jakie jest twoje najskrytsze marzenie? Nie wiesz, czy nie możesz się zdecydować? Poszukaj w sobie, poszukaj głęboko i dokładnie, bo klnę się na Moc, drugiej takiej szansy mieć nie będziesz!

A on nagle znał prawdę. Wiedział. Wiedział, kim była niegdyś. O czym pamiętała, o czym nie mogła zapomnieć z czym żyła. Kim była naprawdę, zanim stała się czarodziejką.

Bo patrzyły na niego zimne, przenikliwe, złe i mądre oczy garbuski.

Przeraził się. Nie, nie prawdy. Przeraził się, że odczyta jego myśli, że dowie się, co odgadł. Że nigdy mu tego nie wybaczy. Zgłuszył tę myśl w sobie, zabił ją, wyrzucił z pamięci na zawsze, bez śladu, czując przy tym ogromną ulgę. Czując, że...

Sufit pękł. Dżinn, oplątany siecią gasnących już promieni, zwałił się prosto na nich rycząc, a w ryku tym był tryumf i żądza mordy. Yennefer rzuciła się na spotkanie z jej rąk biło światło. Bardzo słabe światło.

Dżinn rozwarł paszczę i wyciągnął ku niej łapy. A wiedźmin nagle zrozumiał, że wie, czego pragnie.

I wypowiedział życzenie.

* * *

Dom eksplodował, cegły, belki i deski frunęły w górę w obłoku dymu i iskier. Z kurzawy wyprysnął dzinn, wielki jak stodoła. Rycząc i zanosząc się tryumfalnym śmiechem geniusz powietrza, d'jinni, już wolny, swobodny, nie wiązany żadnym zobowiązaniem i niczyją wolą, zatoczył nad miastem trzy kręgi, urwał iglicę z wieży ratuszowej, wzbił się w niebo i uleciał, przepadł, zniknął.

— Uciekł! Uciekł! — zawołał kapłan Krepp. — Wiedźmin dopiął swego! Geniusz odleciał! Nie zagrazi już nikomu!

— Ach — rzekł Errdil z niekłamanym zachwytem. — Cóż za cudowna ruina!

— Cholera, cholera! — wrzasnął Jaskier skulony za murkiem. — Rozwalił cały dom! Tego nikt nie mógł przeżyć! Nikt, powiadam wam!

— Wiedźmin Geralt z Rivii poświęcił się dla miasta — powiedział uroczyście burmistrz Neville. — Nie zapomnimy, uczymy go. Pomyślimy o pomniku. . .

Jaskier strząsnął z ramion kawał zlepionej gliną trzcinowej maty, otrzepał kurbak z pecyn zmoczonego deszczem tynku, spojrzął na burmistrza i w kilku precyzyjnie dobranych słowach wyraził swoją opinię o poświęceniu, czczeniu, pamięci i wszystkich pomnikach świata.

* * *

Geralt rozejrzał się. Z dziury w dachu wolno kapały krople wody. Dookoła piętrzyło się gruzowisko i sterty drewna. Dziwnym trafem miejsce, gdzie leżeli, było zupełnie czyste. Nie spadła na nich nawet jedna deska, jedna cegła. Było tak, jak gdyby chroniła ich niewidzialna tarcza.

Yennefer, zarumieniona lekko, ukłękła obok, wspierając dłonie o kolana.

— Wiedźminie — odchrząknęła. — Żyjesz?

— Żyję — Geralt otarł twarz z kurzu i pyłu, syknął. Yennefer wolnym ruchem dotknęła jego nadgarstka, delikatnie przesunęła palcami po dłoni.

— Poparzyłam cię. . .

— Drobiazg. Kilka bąbli. . .

— Przepraszam. Wiesz, dzinn uciekł. Definitywnie.

— Żałujesz?

— Nie bardzo.

— To dobrze. Pomóż mi wstać, proszę.

— Zaczekaj — szepnęła. — To twoje życzenie. . . Usłyszałam, czego sobie życzyłeś. Osłupiałam, po prostu osłupiałam. Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale żeby. . . Co cię do tego skłoniło, Geralt? Dlaczego. . . Dlaczego ja?

— Nie wiesz?

Pochyliła się nad nim, dotknęła go, poczuł na twarzy muśnięcie jej włosów pachnących bzem i agrestem i wiedział nagle, że nigdy nie zapomni tego zapachu, tego miękkiego dotyku, wiedział, że nigdy już nie będzie mógł porównać ich z innym zapachem i innym dotykiem. Yennefer pocałowała go, a on zrozumiał, że nigdy już nie będzie pragnął innych ust niż te jej, mięciutkie i wilgotne, słodkie od pomadki. Wiedział nagle, że od tej chwili istnieć będzie tylko ona, jej szyja, ramiona i piersi wyzwolone spod czarnej sukni, jej delikatna, chłodna skóra, nieporównywalna z żadną, której dotykał. Patrzył z bliska w jej fiołkowe oczy, najpiękniejsze oczy całego świata, oczy, które, jak się obawiał, staną się dla niego. . .

Wszystkim. Wiedział to.

— Twoje życzenie — szepnęła z ustami tuż przy jego uchu. — Nie wiem, czy takie życzenie w ogóle może się spełnić. Nie wiem, czy istnieje w Naturze Moc zdolna spełnić takie życzenie. Ale jeżeli tak, to skazałeś się. Skazałeś się na mnie.

Przerwał jej pocałunkiem, uściskiem, dotknięciem, pieszczotą, pieszczotami, a potem już wszystkim, całym sobą, każdą myślą, jedyną myślą, wszystkim, wszystkim, wszystkim. Przerwali ciszę westchnieniami i szelestem porzucanej na podłodze odzieży, przerwali ciszę bardzo łagodnie i byli leniwi, byli dokładni, byli troskliwi i czuli a chociaż obydwójce nie bardzo wiedzieli, co to troskliwość i czułość, udało im się, bo bardzo chcieli. I w ogóle im się nie spieszyło, a cały świat przestał nagle istnieć, przestał istnieć na maleńką, krótką chwilę, a im wydawało się, że była to cała wieczność, bo to rzeczywiście była cała wieczność.

A potem świat znowu zaczął istnieć, ale istniał zupełnie inaczej.

— Geralt?

— Mhm?

— I co dalej?

— Nie wiem.

— Ja też nie. Bo widzisz, ja. . . Nie jestem pewna, czy warto się było na mnie skazywać. Ja nie umiem. . . Zaczekaj, co robisz. Chciałam ci powiedzieć. . .

— Yennefer. . . Yen.

— Yen — powtórzyła, ulegając mu zupełnie. — Nikt nigdy mnie tak nie nazywał. Powiedz to jeszcze raz, proszę.

— Yen.

— Geralt.

* * *

Deszcz przestał padać. Nad Rinde zjawiała się tęcza, przecięła niebo urwanym, kolorowym łukiem. Zdawało się, że wyrasta wprost ze zrujnowanego dachu oberży.

— Na wszystkich bogów — mruknął Jaskier. — Jaka cisza. . . Nie żyją, mówię wam. Albo pozabijali się nawzajem, albo mój dzinn ich wykończył.

— Trzeba by zobaczyć — powiedział Vratimir, wycierając czoło zmiętą czapką. — Mogą być ranni. Może wezwać medyka?

— Prędeż grabarza — stwierdził Krepp. — Ja tę czarownicę znam, a wiedźminowi też diabeł z oczu patrzył. Nie ma co, trzeba zacząć kopać dwa doły na żalniku. Tę Yennefer radziłbym przed pochówkiem przebić osinowym kołkiem.

— Jaka cisza — powtórzył Jaskier. — Przed chwilą aż krokwie latały, a teraz jakby makiem zasiał.

Zbliżyli się do ruin oberży, bardzo czujnie i powoli.

— Niech stolarz robi trumny — rzekł Krepp. — Powiedźcie stolarzowi. . .

— Cicho — przerwał Errdil. — Coś słyszałem. Co to było, Chireadan?

Elf odgarnął włosy ze szpiczasto zakończzonego ucha, przechylił głowę.

— Nie jestem pewien. . . Podejźmy bliżej.

— Yennefer żyje — rzekł nagle Jaskier, wysilając swój muzyczny słuch. — Słyszałem, jak jęknęła. O, jęknęła znowu!

— Aha — potwierdził Errdil. — Ja też słyszałem. Jęknęła. Musi strasznie cierpieć, mówię wam. Chireadan, dokąd? Uważaj!

Elf cofnął się od rozwalonego okna, przez które ostrożnie zajrzał.

— Chodźmy stąd — powiedział krótko. — Nie przeszkadzajmy im.

— To oni żyją obydwój? Chireadan? Co oni tam robią?

— Chodźmy stąd — powtórzył elf. — Zostawmy ich tam samych na jakiś czas. Niech tam zostaną, ona, on i jego ostatnie życzenie. Poczekajmy w jakiejś karczmie, nie minie wiele czasu, a dołączą do nas. Oboje.

— Co oni tam robią? — zaciekał się Jaskier. — Powiedźże, do cholery!

Elf uśmiechnął się. Bardzo, bardzo smutno.

— Nie lubię wielkich słów — powiedział. — A nie używając wielkich słów nie da się tego nazwać.

Głos rozsądku VI

Na polanie stał Falwick w pełnej zbroi, bez hełmu, w odrzuconym na ramię karminowym płaszczu zakonnym. Obok niego krzyżował ręce na piersi krępy, brodaty krasnolud w lisiej szubie, kolczudze i misiurce z żelaznych kółek. Tailles bez zbroi, tylko w krótkim pikowanym wamsie przechadzał się wolno, wymachując od czasu do czasu obnażonym mieczem.

Wiedźmin rozejrzał się, wstrzymując konia. Dookoła połyskiwały półpancerze i płaskie kapaliny otaczających polanę żołdaków uzbrojonych w oszczepy.

— Psiakrew — mruknął Geralt. — Mogłem się spodziewać.

Jaskier obrócił konia, zaklął cicho na widok odcinających im odwrót oszczepników.

— O co chodzi, Geralt?

— O nic. Trzymaj gębę na kłódkę i nie wtrącaj się. Spróbuję jakoś wyłgać się z tego.

— O co chodzi, pytam? Znowu awantura?

— Zamknij się.

— To był jednak głupi pomysł, by jeździć do miasta — jęknął trubadur, spoglądając w stronę niedalekich, widocznych nad lasem wież świątyni. — Trzeba było siedzieć u Nenneke, nie wystawiać nosa za mury...

— Zamknij się, mówiłem. Zobaczysz, wszystko się wyjaśni.

— Nie wygląda na to.

Jaskier miał rację. Nie wyglądało. Tailles, wymachując nagim mieczem, nadal przechadzał się, nie patrząc w ich stronę. Żołdacy, wsparci na oszczepach, przyglądali się ponuro i obojętnie, z minami zawodowców, u których zabijanie nie powoduje intensywniejszego wydzielania adrenaliny.

Zsiedli z koni. Falwick i krasnolud zbliżyli się wolnym krokiem.

— Obraziliście urodzonego Taillesa, wiedźminie — powiedział hrabia bez wstępów ani zwyczajowych grzeczności. — A Tailles, jak zapewne pamiętacie, rzucił wam rękawicę. Na terenie świątyni nie godziło się na was nastawiać, poczekaliśmy więc, aż wychylicie się zza spódnicy kapłanki. Tailles czeka. Musicie się bić.

— Musimy?

— Musicie.

— A czy nie uważacie, panie Falwick — uśmiechnął się krzywo Geralt — że urodzony Tailles nadto mnie zaszczyca? Nigdy nie dostąpiłem honoru pasowania na rycerza, co do urodzenia, to lepiej nie wspominać o towarzyszących mu okolicznościach. Obawiam się, że nie jestem dostatecznie godny, aby... Jak to się mówi, Jaskier?

— Niezdolny do dawania satysfakcji i potykania się w szrankach — wyrecytował poeta, wydymając wargi. — Kodeks rycerski stanowi...

— Kapituła zakonu kieruje się własnym kodeksem — przerwał Falwick. — Gdybyście to wy wyzwali rycerza zakonnego, ów mógłby odmówić wam satysfakcji lub udzielić jej, zależnie od woli. Jest jednak odwrotnie: to rycerz wyzywa was, a tym samym podnosi do swej godności oczywiście wyłącznie na czas potrzebny do zmycia zniewagi. Nie możecie odmówić. Odmowa przyjęcia godności uczyniłaby was niegodnym.

— Jakże to logiczne — powiedział Jaskier z małpią miną. — Widzę, że studiowaliście filozofów, panie rycerzu.

— Nie wtrącaj się — Geralt uniósł głowę, spojrzął w oczy Falwicka. — Dołączcie, rycerzu. Chciałbym wiedzieć, do czego zmierzacie. Co się stanie, gdybym okazał się... niegodnym.

— Co się stanie? — Falwick skrzywił wargi w złośliwym uśmiechu. — A to, że wówczas każę powiesić cię na gałęzi, ty hyclu.

— Spokojnie — odezwał się nagle chrapliwie krasnolud. — Bez nerwów, panie hrabio. I bez wyzwisk, dobrze?

— Nie ucz mnie manier, Cranmer — wycodził rycerz. — I pamiętaj, że książe wydał ci rozkazy, które masz wypełnić co do joty.

— To wy nie uczcie mnie, hrabio — krasnolud oparł pięść o zatknięty za pas topór o podwójnym ostrzu. — Wiem, jak wykonywać rozkazy, obejdę się bez pouczeń. Panie Geralt, pozwólcie. Jestem Dennis Cranmer, kapitan straży księcia Herewarda.

Wiedźmin uklonił się sztywno, patrząc w oczy krasnoluda, jasnoszare, stalowe pod płowymi, krzaczastymi brwiami.

— Stańcie Taillesowi, panie wiedźminie — ciągnął spokojnie Dennis Cranmer. — Tak będzie lepiej. Walka ma być nie na śmierć, ale do obezwładnienia. Stańcie więc w polu i dajcie mu się obezwładnić.

— Co proszę?

— Rycerz Tailles jest ulubieńcem księcia — powiedział Falwick, uśmiechając się złośliwie. — Jeżeli dotkniesz go w walce mieczem, odmieńcze, poniesiesz karę. Kapitan Cranmer aresztuje cię i dostawi przed oblicze jego wysokości. Do ukarania. Takie otrzymał rozkazy.

Krasnolud nawet nie spojrzął na rycerza, nie odrywał od Geralta swych zimnych, stalowych oczu. Wiedźmin uśmiechnął się lekko, ale dosyć paskudnie.

— Jeśli dobrze rozumiem — powiedział — mam stanąć do pojedynku, bo jeżeli odmówię, to mnie powieszają. Jeśli będę walczył, to mam pozwolić, by przeciwnik mnie okaleczył, bo jeśli ja go zranię, to mnie połamią kołem. Same radosne alternatywy. A może zaoszczędzić wam kłopotów? Huknę głową o pień sosny i sam się obezwładnię. Usatysfakcjonuje was to?

— Bez drwin — syknął Falwick. — Nie pogarszaj swojej sytuacji. Obraziłeś zakon, włóczęgo, i musisz za to ponieść karę, chyba już zrozumiałeś? A młodemu Taillesowi potrzebna jest sława pogromcy wiedźmina, więc kapituła chce mu taką sławę dać. Inaczej już byś wisiał. Dasz się pokonać, ocalisz twoje nędzne życie. Nie zależy nam na twoim trupie, chcemy, by Tailles nakarbował ci skórę. A twoja skóra, skóra mutanta, zrasta się szybko. No, jazda. Decyduj. Wyboru nie masz.

— Tak sądzicie, panie hrabio? — Geralt uśmiechnął się jeszcze paskudniej, rozejrzał się, powiódł po żołdakach taksującym spojrzeniem. — A ja myślę, że mam.

— Tak, to prawda — przyznał Dennis Cranmer. — Macie. Ale wtedy poleje się krew, mnóstwo krwi. Tak jak w Blaviken. Chcecie tego? Chcecie obciążyć sumienie krwią i śmiercią? Bo wybór, o którym myślicie, panie Geralcie to krew i śmierć.

— Argumentujecie urokliwie, kapitanie, wręcz fascynująco — zakpił Jaskier. — Człowieka napadniętego w lesie próbujecie wziąć na humanitaryzm, apelujecie do jego wyższych uczuć. Proście, jak rozumiem, by raczył nie przelewać krwi zbójców, którzy go napadli. Ma ulitować się nad zbirami, bo zbiry są biedne, mają żony, dzieci, a kto wie, może nawet i matki. A nie wydaje się wam, kapitanie Cranmer, że za wcześnie się martwicie? Bo ja patrzę na tych waszych oszczepników i widzę, jak dygoczą im kolana na samą myśl o walce z Geraltem z Rivii wiedźminem, który radzi sobie ze strzygą gołymi rękami. Tu nie poleje się żadna krew, nikt tu nie poniesie uszczerbku. Za wyjątkiem tych, którzy połamią nogi, uciekając do miasta.

— Ja — powiedział spokojnie krasnolud i zawadiacko zadarł brodę — nie mam niczego do zarzucenia moim kolanom. Przed nikim nie uciekałem jak do tej pory i przyzwyczajęm nie zmienię. Nie jestem żonaty, o dzieciach nic mi nie wiadomo, a i matki, bliżej mi nie znanej niewiasty, wołałbym w to nie wciągać. Ale rozkazy, jakie mi wydano, wykonam. Jak zawsze, co do joty. Nie apelując do żadnych uczuć, proszę pana Geralta z Rivii, aby podjął decyzję. Zaakceptuję każdą i dostosuję się.

Patrzyli sobie w oczy, krasnolud i wiedźmin.

— Dobrze więc — powiedział wreszcie Geralt. — Załatwmy to. Szkoda dnia.

— Godzicie się zatem — Falwick uniósł głowę, oczy mu rozbłyły. — Przystawiacie na pojedynek z urodzonym Taillesem z Dorndal?

— Tak.

— Dobrze. Przygotujcie się.

— Jestem gotów — Geralt naciągnął rękawice. — Nie traćmy czasu. Jeśli Nenneke dowie się o tej awanturze będzie piekło. Załatwmy to szybko. Jaskier, zachowaj spokój. Ty nic do tego nie masz. Prawda, panie Cranmer?

— Absolutnie — stwierdził twardo krasnolud i popatrzył na Falwicka. — Absolutnie, panie Geralt. Co by nie było, to dotyczy tylko was.

Wiedźmin zdjął miecz z pleców.

— Nie — powiedział Falwick, dobywając swego. — Nie będziesz walczył tą twoją brzytwą. Weź mój miecz.

Geralt wzruszył ramionami. Wziął brzeszczot hrabiego i machnął nim na próbę.

— Ciężki — stwierdził zimno. — Z równym powodzeniem moglibyśmy się bić na szpadle.

— Tailles ma taki sam. Równe szanse.

— Niesłychanieście dowcipni, panie Falwick. Wprost niesłychanie.

Żołdacy otoczyli polanę rzadkim łańcuchem, Tailles i wiedźmin stanęli na wprost siebie.

— Panie Tailles? Co powiecie na przeprosiny?

Rycerzyk zacisnął wargi, założył lewą rękę za plecy, zamarł w pozycji szermierzej.

— Nie? — Geralt uśmiechnął się. — Nie posłuchacie głosu rozsądku? Szkoda.

Tailles przykucnął, skoczył, zaatakował błyskawicznie, bez ostrzeżenia. Wiedźmin nie wysilił się nawet na parady, uniknął płaskiego sztychu szybkim półobrotom. Rycerzyk zamachnął się szeroko, klinga znowu przecięła powietrze, Geralt zwinnym piruetem wyszedł spod ostrza, odskoczył miękko, krótką, lekką fintą wybił Taillesa z rytmu. Tailles zaklął, ciął szeroko, od prawej, stracił na moment równowagę, spróbował ją odzyskać, odruchowo, niezgrabnie i wysoko zasłaniając się mieczem. Wiedźmin uderzył z szybkością i siłą pioruna, wałnął na wprost, wyrzucając ramię na pełną długość. Ciężki brzeszczot grzmotnął ze szcękaniem w klingę Taillesa tak, że odbita silnie uderzyła go prosto w twarz. Rycerz zawył, upadł na klęczki i dotknął czołem trawy. Falwick podbiegł do niego. Geralt wbił miecz w ziemię, odwrócił się.

— Hej, straż! — wrzasnął Falwick, wstając. — Brać go!

— Stać! Na miejsca! — charknął Dennis Cranmer, dotykając topora. Żołdacy zamarli.

— Nie, hrabio — powiedział wolno krasnolud. — Ja zawsze wykonuję rozkazy co do joty. Wiedźmin nie dotknął rycerza Taillesa. Szczeniak uderzył się o własne żelazo. Jego pech.

Ma zmasakrowaną twarz! Jest oszpecony na całe życie.

— Skóra się zrasta — Dennis Cranmer utkwiał w wiedźminie swe stalowe oczy i wyszczerzył zęby — A blizna? Blizna dla rycerza to zaszczytna pamiątka,

powód do sławy i chwały, której tak życzyła mu kapituła. Rycerz bez blizny to kutas, nie rycerz. Zapytajcie go, hrabio, przekonacie się, że jest rad.

Tailles wił się na ziemi, pluł krwią, skowytał i wył, wcale nie wyglądając na uradowanego.

— Cranmer! — ryknął Falwick, wrywając swój miecz z ziemi. — Pożałujesz tego, przysięgam!

Krasnolud odwrócił się, powoli wyciągnął topór zza pasa, odkaszlnął i popłuł soczyscie na prawą dłoń.

— Oj, panie hrabio — zgrzytnął. — Nie przysięgajcie krzywo. Nie znoszę krzywoprzysięzców, a ksiązę Hereward dał mi prawo karania takich na gardle. Puszczę mimo uszu wasze głupie słowa. Ale nie powtarzajcie ich proszę was bardzo.

— Wiedźminie — Falwick, dysząc ze złości, odwrócił się do Geralta. — Wy-
noś się z Ellander. Natychmiast. Bez chwili zwłoki!

— Rzadko kiedy godzę się z nim — mruknął Dennis, podchodząc do wiedźmina i oddając mu miecz — ale w tym wypadku to on ma rację. Wyjedźcie stąd w miarę szybko.

— Zrobimy tak, jak radzicie — Geralt przewiesił pas przez plecy. — Ale przedtem. . . Mam jeszcze słowo do pana hrabiego. Panie Falwick!

Rycerz Białej Róży zamrugał nerwowo, otarł dłonie o płaszcz.

— Wróćmy na chwilę do kodeksu waszej kapituły — ciągnął wiedźmin, starając się nie uśmiechać. — Bardzo ciekawi mnie jedna sprawa. Gdybym, załóżmy, czuł się zde gustowany i obrażony waszą postawą w całej tej aferze, gdybym wyzwał was na miecze, tu, zaraz, na miejscu, cóż uczynilibyście? Czy uznalibyście mnie za dostatecznie godnego, by skrzyżować ze mną klingę? Czy też odmówilibyście, nawet wiedząc, że w razie odmowy ja miałbym was za niegodnego nawet tego, by na was napluć, obić po mordzie i kopnąć w rzyć na oczach knechtów? Hrabio Falwick, bądźcie tak łaskawi i zechciejcie zaspokoić moją ciekawość.

Falwick zbladł, cofnął się o krok, rozejrzał się. Żołdacy unikali jego wzroku. Dennis Cranmer wykrzywił się, wywiesił język i strzyknął śliną na sporą odległość.

— Choć milczycie — kontynuował Geralt — słyszę w waszym milczeniu głos rozsądku, panie Falwick. Zaspokoiliście moją ciekawość, teraz ja zaspokoję waszą. Jeśli ciekawi jesteście, co się stanie, jeśli zakon zechce w jakikolwiek sposób naprzykrzać się matce Nenneke lub kapłankom lub jeśli nadmiernie narzucać się będzie kapitanowi Cranmerowi, to wiedźcie, hrabio, że ja was wtedy odszukam i nie przejmując się żadnym kodeksem, spuszczę z was krew jak z wieprzka.

Rycerz zbladł jeszcze bardziej.

— Nie zapomnijcie o mojej obietnicy, panie Falwick. Chodź, Jaskier. Na nas czas. Bywaj, Dennis.

— Powodzenia, Geralt — uśmiechnął się szeroko krasnolud. — Bywaj. Wielcem rad z naszego spotkania, liczę na następne.

— Odwzajemnione, Dennis. Do zobaczenia tedy.

Odjechali demonstracyjnie wolno, nie oglądając się. Przeszli w kłus dopiero wtedy, gdy skryli się w lesie.

— Geralt — odezwał się nagle poeta. — Chyba nie pojedziemy prosto na południe? Trzeba będzie łukiem ominąć Ellander i włości Herewarda? Co? Czy też zamierzasz kontynuować ten pokaz?

— Nie, Jaskier. Nie zamierzam. Pojedziemy lasami, a później skęcimy na Kupiecki Szlak. Pamiętaj, przy Nenneke ani słowa o tej drace. Ani słóweczka.

— Mam nadzieję, że wyruszymy nie zwlekając?

— Natychmiast.

* * *

Geralt pochylił się, sprawdził naprawiony kabłąk strzemienia, dopasował pachnące nowiutką skórą puślisko, sztywne jeszcze i odporne w klamrze. Poprawił popręg, sakwy i zrolowaną za siodłem derkę, przytroczony do niej srebrny miecz. Nenneke stała obok nieruchomo skrzyżowawszy ręce na piersi.

Zbliżył się Jaskier, prowadząc swego skarogniadego wałacha.

— Dzięki za gościnę, czcigodna — powiedział poważnie. — I nie złość się już na mnie. Przecież ja i tak wiem, że mnie lubisz.

— Owszem — zgodziła się Nenneke bez uśmiechu. — Lubię cię, bęcwale, choć sama nie wiem, dlaczego. Bywaj.

— Do zobaczenia, Nenneke.

— Do zobaczenia, Geralt. Uważaj na siebie.

Wiedźmin uśmiechnął się cierpko.

— Wolę uważać na innych. To się lepiej sprawdza, na dłuższą metę.

Ze świątyni, pomiędzy oplecionych bluszczem kolumn wyszła Iola w towarzystwie dwóch młodszych adeptek. Niosła kuferek wiedźmina. Niezręcznie unikała jego wzroku, zakłopotany uśmiech mieszał się z rumieńcem na jej piegawatej, puciołowatej buzi, tworząc wdzięczną kompozycję. Towarzyszące jej adeptki nie kryły znaczących spojrzeń i z trudem powstrzymywały się, by nie chichotać.

— Na Wielką Melitele — westchnęła Nenneke. — Cały orszak pożegnalny. Weź kuferek, Geralt. Uzupełniłam twoje eliksiry, masz wszystko, czego brakowało. I to lekarstwo, wiesz które. Bierz regularnie przez dwa tygodnie. Nie zapomnij. To ważne.

— Nie zapomnę. Dzięki, Iola.

Dziewczyna spuściła głowę, podała mu kuferek. Tak bardzo chciała coś powiedzieć. Nie miała pojęcia, co należało powiedzieć, jakich słów należało użyć. Nie wiedziała, co powiedziała, gdyby mogła. Nie wiedziała. I pragnęła.

Ich ręce zetknęły się.

Krew. Krew. Krew. Kości jak białe połamane patyczki. Ściągną jak białawe powrozy eksplodujące spod pękającej skóry ciętej przez wielkie, najeżone kolcami łapy i ostre zęby. Obrzydliwy odgłos dartego ciała i krzyk — bezwstydnym i przerażającym w swoim bezwstydnym końcu. Śmierci. Krew i krzyk. Krzyk. Krew. Krzyk...

— Iola!!!

Nenneke, z szybkością niebywałą przy jej tuszy, przypadła do leżącej na ziemi, wyprężonej, dygoczącej w konwulsjach dziewczyny, przytrzymała ją za ramię i włosy. Jedna z adeptek stała jak porażona, druga, bystrzejsza, uklękła na nogach Ioli. Iola wygięła się w łuk, otwierając usta w bezgłośnym, niemym wrzasku.

— Iola! — krzyczała Nenneke. — Iola! Mów! Mów, dziecko! Mów!

Dziewczyna wyprężyla się jeszcze silniej, zagryzła, zacisnęła szczęki, cienka strużka kiwi popłynęła jej po policzku. Nenneke, czerwieniejąc z wysiłku, krzyknęła coś, czego wiedźmin nie zrozumiał, ale jego medalion targnął karkiem tak, że odruchowo się schylił, zgiął przyciśnięty niewidzialnym ciężarem.

Iola znieruchomiła.

Jaskier, blady jak płótno, westchnął głośno. Nenneke uniosła się na kolana, wstała z wysiłkiem.

— Zabierzcie ją — powiedziała do adeptek. Było już ich więcej, zbiegły się, poważne, przerażone i milczące.

— Weźcie ją — powtórzyła kapłanka. — Ostrożnie. I nie zostawiajcie jej samej. Zaraz przyjdę.

Odwróciła się do Geralta. Wiedźmin stał nieruchomo, mnąc wodze w spotniałej dłoni.

— Geralt... Iola...

— Nic nie mów, Nenneke.

— Ja też to widziałam... Przez chwilę. Geralt, nie jedź.

— Muszę.

— Ty widziałeś... widziałeś to?

— Tak. Nie pierwszy raz.

— I co?

— Nie ma sensu oglądać się za siebie.

— Nie jedź, proszę.

— Muszę. Zajmij się Iolą. Do zobaczenia, Nenneke.

Kapłanka wolno pokręciła głową, pociągnęła nosem i starła nadgarstkiem łzę ostrym, gwałtownym ruchem.

— Żegnaj — szepnęła nie patrząc mu w oczy.